



Artur  
**BANIEWICZ**

# SMOZY PAZUR

czyli magiczne i bohaterskie,  
wesołe i straszne przypadki  
Debreua z Dumayki, czarokrażcy,  
w księgach czterech opisane

supernOWA  
WARSZAWA 2016

Opracowanie graficzne:  
Tomasz Piorunowski

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA Sp. z o.o.  
Biuro Handlowe  
ul. Nowowiejska 10/12  
00-653 Warszawa  
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny:  
Mirosław Kowalski

ISBN 978-83-7578-135-9

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Księga pierwsza](#)

[Księga druga](#)

[Księga trzecia](#)

[Księga czwarta](#)

# Księga pierwsza

## Sprośny kapeć Kopciuszka

Izba nie wyglądała na pracownię wróżki. Nawet jeśli wziąć poprawkę na to, że w Sovro wszystko jest trochę inne.

– Pochwalony Machrus Zbawiciel – rzucił półgłosem Debren, rozglądając się niepewnie po skromnie umeblowanym pomieszczeniu. Gdyby nie przeciągnięte między ścianami sznurki pełne suszących się ziół, wypchana sowa na gzymsie pieca, no i czarny kocur, łypiący leniwie okiem z drugiego końca owego gzymsu, pewnie wycofałby się pospiesznie i wrócił na ulicę, by jeszcze raz odczytać szyld.

No i gdyby nie podłoga. Dom był stary, zawilgocony, marny. Któż mógłby pomyśleć, że na parterze, tuż za wysokim, wyciosanym z myślą o wylewach Pirrendu progiem człowiek natknie się na podłogę z sosnowych desek. Czystych w dodatku. Całe podgrodzie tonęło w błocie, moda na rynsztoki jeszcze tu nie dotarła, od woźniców nikt nie wymagał, by uważali, co i gdzie robi ich koń. Nocniki opróżniano też po staremu: z okna. Więc Debren najpierw nie bardzo patrzył, po czym stąpa, a teraz nawet nie pomyślał, że może trafić na podłogę z desek.

Nie umiał wycofać się chyłkiem po tym, co zrobił.

Pół pacierza później pogratulował sobie tej decyzji. Kobieta, która wysunęła się bezszelestnie zza płóciennej kotary pod przeciwległą ścianą, pierwsze spojrzenie rzuciła właśnie na jego nogi. Miała około trzydziestki i szarą sukienkę. Jej prawe oko też było szare, oprawione w las zadziwiająco długich rzęs. Drugiego oka nie miała: przesłaniającą je białą opaskę zbyt

precyzyjnie wykrojono i ukryto pod jasnymi włosami, by dała się pomylić z prowizorycznym opatrunkiem.

– Szylid przeczytałem – Debren pokazał kciukiem za siebie, choć do wróżki wchodziło się od podwórza i ulica oraz szylid znajdowały się akurat za plecami jasnowłosej. – Napisane: „Przed się i od się”. Czyli za bramą w prawo... Tak?

Uniosła wzrok, spojrzała mu w twarz.

– Do Jednookiej Neleyki? – upewniła się. – To tu, panie...

Miał na sobie zielony kaftan i teźże barwy rajtuzy, modne na Wschodzie, lecz tutaj mało popularne. Strój był średnio drogi, a teraz mocno znoszony, ale na pewno wyróżniał właściciela w tłumie. Po szczupłych zaczerwienionych dłoniach Debren nie umiał poznać, czy jednooka zamierza dyskretnie wytrzeć je o spódnicę, czy też szykuje się do pokornego ukłonu, którego bez unoszenia spódnicy nie da się wykonać. Tak czy siak wrażenie zrobił. Może dzięki rajtuzom, ale raczej dzięki dużej, emaliowanej na czerwono gwiazdce, zwisającej mu z szyi.

– Jestem Debren z Dumayki, magun. Ale chwilowo w podróży, więc można rzec, że... hmm... czarokrążca. – Kiwnęła nieznacznie głową. – Późno już, zaraz bramy zamykają, toteż powiem krótko: mam nadzieję na jakieś zlecenie.

– Nie kupuję nowych zaklęć – powiedziała szybko. – Stare w zupełności mi...

– Z zamku – dokończył z lekkim naciskiem. – Od księcia Igona. Wracam do siebie, do Lelonii, i trochę grosza mi się przyda. Asygnacji – uśmiechnął się – koń nie chce honorować.

– Aha, rozumiem. – Ruszyła w jego stronę. Wyszła z cienia i Debren zauważył, że jest boso. Plisowana sukienka zakrywała nogi tylko do połowy łydek. Zapracowanym wiejskim dziewczuchom wypadało pokazywać się w tak śmiałym stroju. Wróżkom na pewno nie. – No to, jeśli łaska,

postawcie buty w tym tu cebrzyku. Klienci, co po wróżby przychodzą, nogi w nim myją. Bo mnie woń łajna rozprasza. Gdybyście chcieli skorzystać, to tam w dzbanie woda stoi. Buty, widzę, przednie macie, ale tu u nas każdemu się może przez cholewę przelać. I w czapce przynosili bywało, a cóż dopiero... No, nie gapcie się tak. Za szybko mówię? Słabo sovrojski znacie? Bu-ty. Zdej-mo-...

– N... nie, nie... rozumiem. – Debren, zbyt oszołomiony, a i nie do końca pewien swego sovrojskiego, uniósł nogę, zdarł ubłoconą cizmę, wrzucił do cebra. – Darujcie, pani. Nabrudziłem trochę. Ale może łatwiej... Lekka teleportacja i śladu nie będzie. A szybciej. Boję się, że bramę zamkową zawrą i...

– Onuca? – przerwała mu, bez cienia skrepowania spoglądając na wyjętą z buta stopę. Debren nie miał o to za dużych pretensji. Mógł się odwzajemnić, pogapić w dół, gdzie były też jej stopy. Nieduże, białoróżowe, czyste jak podłoga wokół, miłe dla oka. – No proszę, całkiem jak u nas. A jam myślała, że lelońscy czarodzieje jeno w skarpetach chadzają. Pod cizmami, znaczy. No, ale to i lepiej.

– Eee... No tak. – Pachniała mydłem, błyskała bielą mocno odsłoniętych nóg, włosy nosiła rozpuszczone... Trudno mu się było skupić. Zwłaszcza że mocował się z drugim butem i próbował nie uświnić jeszcze bardziej podłogi. – Inaczej tu u was. I właśnie dlatego... Nie obraźcie się, jeśli... Co kraj to obyczaj, mozem źle wskazówki pojął. – Cizma wylądowała w cebrze, – Muszę zrobić dobre wrażenie na księciu.

– Zrobicie. – Wyciągnęła dłoń. Debren, znów zbity z tropu, sięgnął do sakiewki. – Nie, to potem. Onuce lepiej dajcie.

– He? Że niby...? – spojrział na nią lekko wystraszony.

– Toć czytaliście – westchnęła zniecierpliwiona. – Samiście się na szyld powołali. A co na szyldzie stoi? „Najpierwsza w Gusiańcu”. Czyli wiem, co robię. Bez obaw, zdążycie i na zamek, i jeszcze znakomite wrażenie na Igonie wyrzucić. –

Uśmiechnęła się pod nosem. – Taki gładki magik...

Uśmiech był dwuznaczny. Gdyby nie wspomniała Igona można by go było nawet uznać za jednoznaczny. Debren jeszcze raz sklął się w duchu za pobieżne czytanie szyldów, a potem wsparł plecami o ścianę z bali i posłusznie odwinął ze stopy mocno nieświeży pas białego niegdyś płótna. Jeśli nawet coś pokręcił z adresami i trafił na nierządnicę domodajkę, nie narobi sobie przecież wstydu z powodu brudnych onuc. Właściwie nie zmartwiłby się zanadto, gdyby pobłądził, a Neleyka zażądała kolejno jego kaftana, rajtuzów i kalesonów. Była niebrzydka i czysta. Piękna nie, co to, to nie, nawet wtedy, gdy jeszcze spoglądała na świat obydwoma zdrowymi oczami. Ale w tym jednym, które jej zostało, połyskiwało coś, co zastępowało niedobory urody. Nie potrafił ocenić, czy to inteligencja, dobroć czy miękka melancholia. Ale czymkolwiek to było, podobało mu się.

Zaskoczyła go, porywając onuce i znikając za kotarą, na wiodących gdzieś w dół schodach.

– Siądźcie, panie! – dobiegł zza ściany jej melodyjny głos. – Trochę mi zejdzie! Wywar ostygł! Lubicie woń bzu?

– Bzu? – Podszedł do stołu, opadł na zydel. Czuł pustkę w głowie.

Na licznych sznurkach schły nie tylko zioła. Był tu też rycerski kaftan z herbem, kropierz, dużo ekskluzywnych, zdobionych haftem pieluch. No i stało tam łóże. Obok, na półce, błyszczła klepsydra, piasek wskazywał siedem klepsydr i trzy szóstnice, ale było lato i słońce nie myślało jeszcze, by skryć się za horyzontem. Łóże wyglądało tak, jak wyglądają łóżka o siódmej z trzema szóstnicami – ale rano. Nie posłano go po nocy. Noc, sądząc po skotłowanej pościeli, nie była spokojna. Albo nie była samotna. Debren, patrząc na kaftan, obstawił to drugie.

– Do tego wysysa was najmują? – zainteresowała się Neleyka. – Czy może na bazyliuszka? Znów kogoś zeżarł?



– Nie trudnię się zabijaniem – wyjaśnił. – Nie moja działka. A... to księciu chodzi o biesiarza? Macie tu kłopoty z potworami? Na obwieszczeniu nijakich szczegółów nie podali. Tyle że magią władający pilnie poszukiwani. Nie wiecie, o co idzie?

– Wróżka jestem, nie telepatka. – Coś zaczęło postukiwać, głośno, szybko i rytmicznie. I jak gdyby... mokro. – Skąd niby mam wiedzieć, po co Igon czarodziejów do grodu wabi? Może go przepilec po wczorajszym balu gnębi? Kto wie? Albo co od bab podłapał. Po tych ich balach zaraz mi obroty podskakują. To jak, mogą być bzy?

– No... nie wiem. – Niech to diabli, nie miał pojęcia, o co Neleyka go pyta.

– Dam bzy. Niedrogie, a ładne. To mówicie, mistrzu, że nie paracie się biesiarstwem? – Mokre postukiwanie uparcie akompaniowało jej głosowi. Gdyby nie była wróżką, a jemu nie zależało na czasie, gotów byłby pomyśleć, że to kijanka. Zaś Neleyka zabawia go rozmową nie w trakcie przygotowywania się do seansu, a w trakcie przepierki. – Dziwne u czarokrążcy.

– W bramie też się dziwili – przyznał. – Albo może udawali, cholera ich wie. Tak czy siak, podatek za brak oręza mi wymierzili. Całe trzy grosze, dudkał ich pies.

– Podatek? – Postukiwanie ustało. – Za bezoreźność? O Machrusie słodki... Toż to nic inszego, jeno stan oblężenia!

– Wojna? – Debren drgnął. – Jesteś pewna? Nic nie mówią...

Bose stopy zakłapały szybko o mokre podłoże. Kamienne chyba, bo nie brzmiało to jak bieg po drewnie, a gdy Neleyka wypadła zza kotary, stopy miała za czyste jak na piwniczne klepisko.

Rzuciła Debrenowi bielusieńki pas lnianej tkaniny, odsunęła zydel, usiadła przy stole i sięgnęła do ustawionej pośrodku szkatułki. Wewnątrz tłoczyły się czaszki płazów

i gryzoni, jakieś flakony, miseczki runiczne, świece mrugalnice, karty różnego rodzaju i temu podobne akcesoria używane do wróżenia. Neleyka zignorowała je. Chwyliła trzy niepozorne sześcioboczne kości, przymknęła oko, odczekała chwilę i potrząsnąwszy kośćmi w dłoniach, rzuciła je na stół.

Wypadła czwórka, trójka i dwójka. Debren odnotował, że na spoconej twarzy kobiety odmalowała się ulga.

– Słaby minus – posłała mu nieśmiały uśmiech. – Nie widzi mi się, by o wojnę szło. Nawet mała doły daje, a tu balans...

– Aha. – Nic nie zrozumiał. – I dobrze. W moim fachu wojna szkodzi. Klienci całe srebro na knechtów przepuszczają, a nieszczęścia wokół tyle, że się nikt na drobiazgi nie ogląda. Czyli, rzecz można, jeden kłopot z głowy. Teraz jeno ów kontrakt złapać... – zawiesił głos, popatrzył jej w oko, znacząco, ale i nie bez skrepowania. Nauczył się sporo o Sovro, lecz nadal nie potrafił załatwiać takich spraw, nie odczuwając lekkiego upokorzenia. – Nie chcę was poganiać, ale...

Zerknęła na klepsydrę. I naraz się uśmiechnęła.

– Alem głupia... Już wam chciałam z rachunku spuszczać – wskazała na pas płótna, które Debren odłożył na stół. – Całkiem zapomniałam, że w stanie oblężenia bramy na zamek zamykają bez oglądania się na porę dnia. Czyli – podsumowała – i tak byście nie weszli. Więc nie muszę upustu dawać.

Debren dopiero teraz przyjrzał się białemu, lnianemu pasowi. Materiał był mocno wytarty tu i ówdzie, ale...

– To onuca? – posłał niepewne spojrzenie Neleyce. – Moje się nie nadawały?

– Ta jest wasza – wzruszyła ramionami, też jakby zdziwiona, ale głównie zaniepokojona. – Tylko nie mówcie, że nie. I że dziury porobiłam. Czarodziejowi, choćby wędrownemu, nie uchodzi samotnych niewiast na drobne

sumy naciągać.

Debren powtórzył sobie w myślach, że Sovro jest inne. Nie był zresztą pewien, na czym polega oszustwo. W jego onucach, gdyby nie sklejał ich brud, też byłoby sporo dziur.

– Nie przedłużajmy – mruknął chłodniejszym tonem. – Ile chcecie za zaświadczenie o pomyślnej wróżbie? Nie musi być entuzjastyczna. Wystarczy, by była pozytywna.

– Mam wam powróżyć? – uniosła prawą brew i nie przesłonięty opaską kawałek lewej. – Po to przyszliście?

– A niby po co? – Odczepił sakiewkę od pasa, ułożył przed sobą. – To ile? Włączając nowe onuce?

– Mam wam dać pergamin? – Zmarszczyła brwi.

– Starczy papier. Albo i kora brzoza. Skoro księciu wypada na brzeziniaku się ogłaszać... O treść idzie.

Sięgnęła z wahaniem po kości. Debren wzruszył ramionami wstał, przyniósł na stół dostrzeżoną na kufrze tackę z przyborami do pisania. Zestaw zawierał kubek z piórami, kałamarz i zeszytnicę oprawioną w deszczułki. Odkręcił flakonik z inkaustem, włożył gęsie pióro w kobiecą dłoń.

Drzwi z podwórza otworzyły się nagle i do izby wkroczyło trzech mężczyzn w średnim wieku, średniego wzrostu i urody lokującej się znacznie poniżej średniej. Wszyscy byli w burych skórzanych kubrakach i w butach. Latem buty, nawet tu, w stołecznym grodzie, nosił może co drugi z przechodniów. Jeśli przejeżdżali ostatnio przez bramę, nie kosztowało ich to raczej dziewięciu groszy: broni mieli pod dostatkiem.

– Ha, widzę, żeśmy dobrze trafili! – wyszczerzył ocalałą połowę uzębienia ten z przodu, najniższy i najstarszy. – Na piśmie się umawiacie? Znaczy, poważne zlecenie? Można przez ramię zerknąć, Neleyo Neleyewna?

Nie czekając na zgodę, stanął za wróżką, oparł dłonie na jej ramionach. Palce, mało dokładnie oblizane, pokrywał mu tu i ówdzie tłuszcz; z krótkiej brody raz po raz spadały okruchy chleba. Najwyraźniej oderwano go od stołu.

– Niepiśmienny jesteś, Juriff – rzuciła przez zęby gospodyni. Nie zabrzmiało to przyjaźnie, ale Debren odnotował, że nie próbowała strząsnąć z siebie brudnych łap.

– Oj, taka uczona, a taka roztargniona... Toć tłumaczyłem: nie niepiśmienny, a ćwierć piśmienny. Bo runy liczeniowe akurat znam. A te z grubsza czwartą część abecadła stanowią. Po prawdzie najważniejszą, to i rzecz można, że prawie półpiśmienny. No, to ileś zarobiła? Klient, widzę, w rajtuzach, z gwiazdą, konno... Bogaty, znaczy. I hojny pewnikiem. – Jego małe, bure jak kaftan oczka poszukały oczu Debrena. – Ja się na ludziach znam. Widać po tobie, Lelończyku, żeś człek dobry i rozsądny. Pewnie nie pożałujesz grosza ubogiej wróżce?

Debren zerknął na towarzyszy szczerbatego. Stali bliżej z dłońmi niby to na klamrach, a naprawdę przy rękojeściach długich noży. Ten z lewej miał też za pasem spory toporek i procę, ten z prawej czekan i trzy krótkie noże, służące do miotania, ale poorane bliznami ponure oblicza podpowiadały magunowi, że w razie czego przybysze zachowają się jak na weteranów karczemnych bojów przystało i nie popełnią błędu sięgania po mniej poręczną broń. Długi nóż jest bezkonkurencyjny, gdy prowadzone przy stole negocjacje nagle przechodzą w stan wojny.

– Dobroć – mruknął – zwykle koliduje z rozsądkiem.

– Palnąć go? – zapytał ten z czekanem, – Uczenie jakoś gada, może faktycznie czarodziej jaki? I gwiazdę nosi.

– Milcz, Lobka – szczerbaty uśmiechnął się szerzej. – Nie widzisz, co to za gwiazda? Jak dobrze potrzeć, wylezie niebieskie szmelcowanie. Demobil, po armii starego reżimu, oby się w piekle smażył. Przez Starogród tu jechałeś, Lelończyku? He, he, nie mów: sam widzę. Palczak Gorbucha medalion czarodzieja ci sprzedał. Wmówiwszy, że bez tego w Sovro ani rusz: jak nie obrabują, to za bezlicencyjne używanie magii do lochu poślą. Albo i za szpiegostwo. Bo to

konny, bez wozu, a się po kraju włóczy. Niby po co? Ano, widać, szpieg.

– Prawo nie wymaga...? – Debren odruchowo sięgnął do piersi. – A łajdak! Na głowę matki się kłął! I dzieci tuzin!

– Palczak dzieci nie ma – poinformował go ten z procą i toporem. – Wyskopili go, bo mniszkę zgwałcił. A znowu swoją starą, matulę znaczy, siekierką rozszczepił. Pysk darła, że drew nie narąbał, a on miał przepilca, łeb mu pękał, no to nie zdzierzył i ją w zastępstwie owych drew...

– Zawrzyj pysk, Musza – warknął najstarszy. – Z interesem przyszedł, a nie o znajomkach plotki czynić. Neleya Neleyewna pracować musi, czas to srebro. Widzę – schylił się po sakiewkę Debrena – że z góry płacisz. Chwali ci się. Od razu widać, żeś człek kulturalny, ze Wschodu. – Wysypał monety na dłoń. – Co tu mamy? Sześć srebrników jeno? I miedź? – Westchnął. – Marnie, Lelończyku. Jakby cię z tym zbóje zdybali, tobyś za sprawianie zawodu w łeb pałą wziął, Gwiazda czarodzieja na piersi, a przy pasie? Nawet nie trzy gruble. – Odliczył kilka miedziaków, dorzucił dwa srebrne grosze. Resztę wysypał do sakiewki i odłożył na stół. – Twoje szczęście, że my nie zbóje. Że porządnych ludzi bronimy.

– Dwa srebrniki?! – gospodyni próbowała poderwać się z zydła. – Onuce mu uprałam! To kosztuje pół skopejki za parę!

– Ale na poczekaniu aż dwie – ujął się za przywódcą Lobka. – I nie łzyj, babo: toć widzę, że onuca suchotka. Czyli usługa ekspresową była i poczwórnice się liczy.

– To dwie skopejki! A wy prawie grubla zabieracie! – Znów się szarpnęła i znów otłuszczone łapy Juriffa musiały docisnąć ją do zydła. – Jedna część od pięciu: tak się umawialiśmy! A wy co?! Sześćdziesiąt od dwóch?! To jawny rozbój!

– Obłączenie mamy – zarechotał Musza. – To i ceny drgnęły.

– Zawrzyj pysk, Musza – rzucił chłodno Juriff. – Co sobie

o nas gość zagraniczny pomyśli? Żeśmy zaiste zbóje. A toć my druga strona barykady. Ochrona. – Schylił się, włożył kobiecie pióro w dłoń. – Proszę, możemy spisać obrachunek. Od usługi prania: jedna piąta z dwóch skopejek, znaczy się, w zaokrągleniu, złamana skopejka. Od nierządu, skromnie wyceniając, pół grubla i skopejek...

– Nierząd?! – Po raz trzeci musiał ją sadzać. – Nie dudkam się za srebro! Wróżka jestem, nie zdzira!

– Półgoła jesteś, Neleyo Neleyewna, a i twój klient golizną świeci. Przed sądem byś przegrała. Zwłaszcza jak go przenocujesz. A przenocujesz. Oblężenie mamy, przypominam. Za włóczęgostwo jak za szpiegostwo mogą karać, więc Lelończyk musi nocleg znaleźć. Jak znam naszych, słono zedrą z głupka, co gwiazdy z demobilu kupuje. A za ochronę i tak zapłaci. Więc niech lepiej tu śpi. Bo ochronę już opłacił, I za siebie, i za konia. No właśnie – zwrócił się do Debrena. – Ta druga połowa grubla to za konia. Mogli ci go ukraść, na ten przykład. Albo gwoździem po boku pociągnąć: podgrodziowe otroki nie takie głupoty czynią. A tak to Lobka stanął, popilnował... Należy mu się te parę skopejek, prawda?

– Dla mnie – ucieszył się Lobka. – Cały półkopek?

– Zawrzyj pysk, durniu! Półkopek, widzicie go... No, nic. Pójdziemy już. Czas to srebro. Tylko uważaj, Lelończyku. Nie zrób jej bachora, bo ci przestojowe będziemy musieli doliczyć, akcyzę karną. I pieszo dalej pójdiesz. No, chłopcy, na nas pora. Trza sprawdzić, co w Bajkowym Zaułku słyhać. Bo coś mi się widzi, że nas tam nierządnicie skubią.

Wyszli. I zrobiło się cicho. Na bardzo długo.

– Myślałam – mruknęła w końcu Neleyka – że wszyscy Lelończycy są rycerscy. Tak tu o was mówią: żeście rycerscy.

– Bo nas z najazdów znacie – wyjaśnił Debren. – Nasze rycerstwo, konkretnie. Które i owszem: chwacko mieczami rąbie, rabuje, pali i niewiasty gwałci na potęgę. Jak to rycerstwo. Alem ci chyba wyjaśnił, że nie z zabijania żyję.

– Wyjaśniłeś, panie. I praktyką wyjaśnienie wsparłeś.  
– Debren, jeśli łaska. Skoro mam tu na nocleg stawać...  
– Nie obiecywałam noclegu! – Złość rozjarzyła jej jedyne oko.

– Prawda. Ale wróżbę jesteś mi winna. Spore wydatki już poniosłem. – Podał jej pióro. – Mierzi cię moja nie dość rycerska kompania – zerknął na schnący kropierz – więc załatwmy to i pójdę. Dwa słowa starczą: „Wróżby pomyślne”. No i podpis. Myślę, że więcej niż pół grubla nie policzysz?

– Za papier z dwoma słowami i podpisem? Nie. Tylko że ja nie pisaniem na chleb zarabiam. Chcesz wróżby? Proszę. Ale...

– ...to drożej kosztuje? – domyślił się. – W porządku.

– Nie przerywaj. I wsadź sobie w rzyć swój łapówkowy fundusz. Co tak patrzysz? Dobrześ słyszał: łapówkowy. Wiem, co się u was o Sovro mawia: że bez łapówki to ci i pies cizmy nie oszcza. I że ci jeno nie biorą, którym obie ręce za złodziejstwo ucięto. Ale ja, wystawcie sobie, za to jeno gotówkę biorę, coście mogli z szyldu wyczytać. Za złe wróżby i za usługi pralnicze.

– Za... co? – Debrenowi lekko opadła szczęka.

– Aha – sapnęła z gorzką satysfakcją. – Czyli jeszcze i półpiśmienny. Urodzaj dziś na was, cholera.

– Pierzesz – zamrugał powiekami. – Onuce?

– Onuce, pieluchy, kropierze – zatoczyła dłonią, wskazując sznury. – Cokolwiek. Bez wybrzydzenia. I wróżę też bez wybrzydzenia. – Chwyciła kości, potrząsnęła gniewnie w dłoniach, cisnęła na stół. Za mocno: jedna przetoczyła się przez krawędź i stukając dziarsko, umknęła w stronę łoża. – Nawet i oszustom, co chcą władzy lewymi świadectwami w oczy świecić. A co mi tam? Nasze podatki władza i tak zmarnuje, nie na tego kanciarza, to na innego. Alem cię z góry uprzedziła: jestem wróżka zła i uczciwa. Co mi z kości wychodzi, w zaświadczeniu piszę, a że wychodzi marnie, to już nie moja wina.

– Zawodowo? – Do Debrena dotarł głównie sam początek jej wypowiedzi. – Zawodowa praczka?

– A co, może nie widać?! – Jej opanowanie pękło. Złapała onucę i niemal wepchnęła mu ją w usta. – Co, źle uprana?! Reklamację składasz?! Odór został?! Nie dość biała?! – Zerwała się od stołu. – Wynoś się! Zabieraj swoje dwie skopejki i poszedł won! Za drzwiami czekaj!

– Za... Mam czekać? – Debren też się podniósł. – Po co?

– Bom drugiej prac nie skończyła! A nie chcę, by mnie obmawiali, że niby robotę rozbabruję i nie kończę!

– A i dlatego – rozległ się od strony drzwi tubalny męski głos – że urzędową sprawę zaraz się tu omawiać będzie. Od której nieupoważnionym uszom wara.

Oboje odskoczyli od siebie. Dopiero ta zgodna reakcja uświadomiła Debrenowi, że dał się zaskoczyć z onucą przy nosie. Neleyka schowała drugą za plecy o wiele za późno.

– Nie zalegam z podatkami – powiedziała, rzucając ku intruzowi na poły gniewne, na poły trwożliwe spojrzenie.

– Każdy zalega – wzruszył ramionami brzuchacz w nieco wyświechtanej, ale budzącej szacunek czarnej szacie. Na piersi miał masywny złoty łańcuch, a za pasem, oprócz paradnego sztyletu, tubę-pochwę, używaną przez heroldów i piśmiennych urzędników. – Wystarczy dobrze poszukać. Wyście są Neleya, córka Neleyi, ojca niewiadomego, wróżka patentowana? Zaułek Przytopek 8, bramą przed się i od się?

Czerwona na twarzy i znów spocona wróżka skinęła głową.

– Weźcie posoch, różdżkę czy czym tam czarujecie, odziejcie się porządnie i pójdźcie ze mną. Księstwo was potrzebuje.

Zakręciła się w miejscu, próbując ruszyć w kilku kierunkach równocześnie. W rezultacie wpadła na Debrena. Dostał w kostkę palcami jej bosej stopy musiał chwycić kobietę za biodra, by pomóc jej utrzymać równowagę. Zasycała, jej twarz wykrzywił na moment grymas bólu. Może



dlatego nie odepchnęła go, nie zdzieliła po pysku za ciut przydługi pobyt dłoni w fałdach spódnicy.

– Oj – zwróciła twarz w stronę czarnego. – Z klientem nie skończyłam. Musicie poczekać, panie, Zapłatę uścił.

– Akurat – uśmiechnął się krzywo czarny – Klient, dobre sobie. Na pół goły i bieliznę wam z drżącej rączki wachający. Napatrzyłem się wczoraj na takich, więc mi nie mieszajcie we łbie. Zupak jestem i za to złoto biorę, by mieć tam wszystko jak trza poukładane. A wy panie gachu, przestańcie macać wróżkę po tyłku. – Debren, choć do pośladków miał daleko, szybko zabrał ręce. – I oddajcie Neleyi medalion. Swoją drogą – zwrócił się do gospodyni – dziwię się wam. Poważna magiczka, najpierwsza w grodzie, a znaku cechowego przy płochych cielesnych uciechach używa. Wstyd.

– To nie moja gwiazda – zaprotestowała, podbiegając do łóżka i sięgając po stojące tam drewniaki. Wepchnęła stopę w pierwszy i znów skrzywiła się z bólu. Stopa wyskoczyła z powrotem, a z przechylnego chodaka wytoczyła się kostka uciekinierka. Debren przydeptał ją odruchowo.

– Zupak jestem, nie byle skryba – upomniał Neleykę czarny. – Nie łzyjcie mi, dobra wróżko.

– Zła jestem – stęknęła, rozcierając palce u nogi. – Znaczy, jako wróżka. Bo tak w ogóle, prywatnie, to się sąsiedzi na mnie nie skarżą. I nie obmawiają. Więc i wy mnie nie pomawiajcie o cielesne uciechy z klientami, panie...

– Putih, Wyczesław Wyczesławowicz. Zupak jego wysokości księcia buforowego Igona Gusianieckiego, pana na Zarzeczcu, Łamiejkach, Skoropasze... no, i tak dalej. Nie twoja gwiazda, powiadasz? To czyja?

– Moja – Debren skłonił się lekko. – Debren z Dumayki jestem, w Lelonii. Magun.

– Magun? – Putih uniósł brwi. – Znaczy... Gumą handlujesz?

– Magun z runą „n” na końcu. Słowo jest ze staromowy

zapożyczone. Różnie je tłumaczą, już to „mag uniwersytecki”, już to „mag uczon naukowo”, zaś niektórzy etymolodzy upierają się, że to zniekształcony zulijski „mo-gun”, czyli obdarzony potencją...

– Żeś obdarzony potencją – wyszczerzył zęby zupak Putih – to właśnie po łożu widzę. I wróżce, półprzytomnej jakby.

– Potencją magiczną – dokończył chłodno Debren. – Zdolnością czerpania mocy. Dodatnim i wysokim Współczynnikiem Zaczepnięcia, krótko mówiąc.

– Chcesz rzec, żeś jest czarodziejem? – zdziwił się Putih. – To czemu boso łazisz? Tak marnie czarujesz?

– Mistrz Debren – wyjaśniła Neleyka – na zamek się wybierał. Obwieszczenie księcia czytał i chciał o robotę wypytać. A że z Igoną istny pies, na zapachy czuły, to się tu wprzód do mnie pofatygował, by onuce przepaść.

O wróżbie i zaświadczeniu nie wspomniała. Debren uznał początkowo, że z przejęcia, ale nacisk jej drewniaka na jego bosą stopę dość szybko uzmysłowił mu, że jednak nie.

– Jeszcze jeden? – skrzywił się Putih. – No, możecie sobie chyba darować, panie magun. Nie powiem, Igonę dyskryminator seksualny nie jest i gładkiego otroka też uwagą zaszczyca... ale wyście już za starzy. A przede wszystkim spóźnieni. Bo wygląda na to... – zawahał się, po czym machnął ręką. – A, co tam... Jak czarokrążca, to i tak się dowiecie, do przetargu stając. Właśnie w tej sprawie przyszedłem. – Sięgnął do pasa, zaczął się szarpać z zatyczką tuby. – Stan oblężenia mamy, więc czuj się powołany, Debren. I pogoń swoją... hmm... konfraterkę. Czas to srebro. Nie możemy czekać do zmroku, aż się przebierze z tych łańców w coś stosownego.

Debren jedynie zassał z cicha powietrze. Drewniak był porządny, dębowy, a Neleyka zła. Nie bolałoby tak bardzo, gdyby rozdeptywała mu drugą stopę. Ale pod tą rozdeptywaną miał akurat kostkę.

– Jak się wam suknia nie widzi – warknęła wróżka – to się idźcie przespać i po pierwszych kurach wróćcie. Bo słaba w igle jestem i szybciej drugiej nie uszyję. A tak w ogóle, to może będziecie powiedzieli, w czym rzecz.

Zatyczka wreszcie puściła i zupak książęcy Putih wyjął z tuby biały damski pantofel, płócienny górą i na podwyższonym obcasie.

- To kapeć – wyjaśnił. – Wy macie znaleźć resztę.
- Czyli... drugi kapeć? Lewy? – upewnił się Debren.
- Zgłupieliście, mistrzu? Nogę. No i jej właścicielkę.

\*\*\*

Pracownia alchemika Vorysa przypominała Debrenowi nowoczesną kuźnię, którą widział w Starohucku. Różnica polegała na tym, że zamiast zwałów drewna ziemnego, zwanego przez fachowców węglem, kamienną szopę zalegały sterty błota, tłucznia i chyba suszonego łajna jakichś egzotycznych kopytnych, a gospodarz, siwobrody żwawy staruszek w skórzanym fartuchu, był trochę brudniejszy od lełońskich kowali. Na szczęście w kącie budynku, za hałdami drewna opałowego i półproduktów, Vorys miał także laboratorium z prawdziwego zdarzenia: z piecykiem-żarnikiem, retortami, słojami, odczynnikami, wagami, dedykowanymi różdżkami i innym, niekiedy bardzo nowoczesnym sprzętem.

– Książę nie pożałował grubli – oświadczył z dumą Putih. Usiadł przy zasłanym pergaminami stole, ustawił pośrodku wyjęty z tuby pantofelek i pokazał obecnym, by zajęli miejsca na ławach. – No, więcej nas nie będzie. W całym grodzie was troje jeno wie, za który koniec różdżkę dźierać. Zaczynamy tedy. Mistrzu Vorysie, w tym antałku to piwo? Pięknie. Kopnij się po tamto szklane, panienko. Suszy mnie, cholera.

– Wróżka jestem – mruknęła Neleyka, ale wstała i przyniosła jakąś pustą kolbę. – Mogliście służkę zabrać

z zamku.

– Nie mogłem, bo sprawa jest ściśle sekretna. – Łyknął piwa, skrzywił się. – Uuuch, cienkusz. No, nic. Służba. Znaczy się, zlecenie znacie. Książę kryptonim sprawie nadał, ku większej tajności. By kto postronny, podsłuchawszy, nic nie skojarzył. Zaraz, jak to szło...? Aha: Kapciuszek. – Podrapał się po głowie. – Hmm, po prawdzie to o skojarzenie nie aż tak trudno... No, ale rozkaz to rozkaz. Nie mnie podważać.

– A nie Kopciuszek przypadkiem? – upewnił się Debren.

– Znaczy, aluzja do Vorysa? – zastanowił się Putih. – No, może być i tak. Smrody nam tu takie czasami puszcza... Bez urazy, mistrzu: o kominie mówię.

– A ja o bajce – wyjaśnił nieco zmieszany Debren. – Jak mały byłem, to mi matka opowiadała taką... O ubożuchnej służce, co raz w przebraniu od dobrej wróżki na bal poszła. Ale o północy miała szaty zdać, więc chociaż się w niej królewicz z miejsca zakochał, to uciekła, cizemkę gubiąc.

– I jej wróżka dupę sprąła? – zainteresował się zupak.

– Dobre wróżki – uśmiechnęła się kwaśno Neleyka – nie muszą dorabiać wypożyczaniem sukien. Durna ta twoja bajka, Debren, i nieżyciowa. Niby że jak: o północy, jak się bal dopiero rozkręcił i na radości pora, to panienka, ot tak, wychodzi? Akurat ją puszcza. Nażarta się, natańczyła, a jak do wywdzięczania się przyszło, to myk do domu?

– Przyszliście bajki recenzować? – skrzywił się Vorys.

– Racja. – Putih odstawił pustą kolbę. – Trza formalności dopełnić. Z upoważnienia księcia ogłaszam przetarg na usługę magiczną. Jawny. Czy ktoś z obecnych czuje się na siłach sam i bez pozostałych odnaleźć osobę, która, z balu umykając, ów kapeć zgubiła? Vorys? – Starzec pokręcił głową, wstał i poszedł dorzucić do pieca-żarnika, z którego mocno jechało paloną siarką. – Neleyka? Też nie? A tak, ty jesteś zła wróżka i balowniczką potępiasz. – Wzruszyła ramionami, ale bez komentowania. – No to masz okazję, Debren. Na gotówkę

dużą nie licz, bo cudzoziemców u nas tak opodatkować potrafią, że z własnego dopłacają. Ale chłop jesteś, w sile wieku, potencję masz, jak widzieliśmy... Nic, jeno cię Ollda nagrodzić. Siostrą Igoną znaczy.

– I polową księstwa? – zdumiał się Debren. – O, diabli nadali... A myślałem, że to już tylko w bajkach...

– Dobrześ myślał. Pannę weźmiesz i posag, to wszystko. Na twoim miejscu bym nosem nie kręcił. Ollda ładniutka jest, na chłopów z potencją wielce łąsa, a od owej łąsności to i posag podwoiła prezentami, choć jej jeno dwadzieścia sześć wiosen.

– Dwadzieścia sześć? Niewiasty, statystycznie, trzydziestu pięciu dożywają. Starawa trochę panna.

– Mam trzydzieści – wtrąciła się Neleyka. – Jedną nogą w grobie jestem, więc może przyspieszcie, bo wam tu zemrę,

– Wybacz. Nie, panie Putih. Nie biorę kontraktu.

– Aha. No to w imieniu księcia powołuję komisję specjalną w składzie tu obecnych. Od siebie, prywatnie, to wam rzeknę, że niegłupio robicie. Komisjom łbów nie tną w razie czego.

– To aż takie ważne? – Debren podniósł pantofel, zaczął obracać w dłoniach. – Wolno spytać, dlaczego?

– Wolno. Książę... – Putih zerknął w kartkę. – Aha: „Doznał czasowego porażenia, nie zagrażającego jednak sprawowaniu urzędu”. – Odetchnął, zwinął papier. – Po ludzku mówiąc, za żywot się chwycił, tak dołem więcej i wyleciał ze stołowej, koniuszego i jedną dworkę w biegu obalając. Ochrona się od razu rzuciła, parę osób poturbowała, ktoś się na glewie nadział, spowiednika w palenisko pchnięto... Zamtuz, krótko mówiąc. No i sprawczyni, o ile to była baba, w zamieszaniu dała nogę. A wy tę nogę macie znaleźć.

– Czemu? – zapytał magun nieco chłodniejszym tonem. – Bo na księcia zamachu dokonano i książę dyszy chęcią zemsty?

– Nie, Debren. Bo mu baba od tej nogi, jeśli to baba była, cudnie zapachniała i biedny Igon dyszy chęcią zaciągnięcia jej

pod pierzynę. Albo jego.

Dość długo panowało milczenie. Vorys krzątał się przy piecu, mamrotał do obłożonej drewnem rury jakieś odczytywane z księgi zaklęcia. Debren wstał od stołu.

– Jeden pacierz – rzucił w stronę Putiha, – Neleyko, mogę cię prosić na stronę?

Wyszli przed szopę, na boczny dziedziniec starszej części zamku. Było już ciemnowo, zza okien dobiegał stukot łyżek.

– Nie dokończyłaś wróżby – mruknął, nie patrząc na stojącą obok kobietę. Dziwne, ale dopiero tu, na zamku, zauważył, jaka jest nieduża. Sięgała mu raptem do ramienia.

– Wiem. – Chyba się uśmiechnęła. – Bolało? Wybacz.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Wierzysz w przeznaczenie, Debren? – Nie dała mu odpowiedzi. – Ja tak. Ale myślę, że można je oszukać. A przynajmniej się łudzę. Więc jak zobaczyłam dwie jedyńki... Nie jestem dobrą wróżką, ale jako zła jestem naprawdę niezła. Co wyrzucę, to się prawie zawsze sprawdza. O stopniu nieszczęścia mówię, nie konkretach.

– Wypadły dwie jedyńki? – upewnił się. – I dlatego omal nie zmiażdżyłaś mi stopy? – Uśmiechnął się. – A myślałem, że mnie nie lubisz. Ten Juriff...

– Ci Juriffowie. To bracia. Z tych, co im weszli w drogę, paru przeżyło, choć głównie jako inwalidzi. Ale trzy jedyńki, gdy ja rzucam... Przeraziłam się. Nawet dwójka marnie by wróżyła. Najbardziej fortunny klient, któremu taki rzut zafundowałam, wychodząc ode mnie obrabowany został, trzy palce stracił przy zdejmowaniu sygnetów, no i obie nogi mu połamano, bo pyskował, że po drabów pobiegnie. Do dziś na szczydłach jeno kuśtyka. Bo mu jedną z nóg medycy odjęli.

– Mnie chyba nie odejmą – uśmiechnął się. – Choć mało brakowało. Twarde masz drewniaki. – Spoważniał. – Słuchaj, Neleyka, chcę wiedzieć, na czym stoję. Bo mi się ta robota nie uśmiecha. Jak znam życie, to panny uciekają z balu w takiej

panice z jednego głównie powodu. Cnotę ratując. A czasem i życie.

– Mam ci wywróżyć, czym odmowę przypłacisz? – domyśliła się. – Wybacz, Debren, ale nic z tego. Nie zabrałam kości. Gdyby Putih zauważył, że rzuciła, zapytałby, a ty byś z rozpędu prawdę powiedział. To ważna sprawa, słyszałeś. Mógłby zażądać, byś odsunął nogę i pokazał, co wypadło. A wtedy już nie byłoby odwrotu. Szóstka mogła wszystko anulować, ot, co najwyżej posag Olldy okazałby się nie taki znowu podwojony. Ale już od piątki w dół...

– Dzięki. Bez kości, jak rozumiem...?

– Praczką jestem, niczym więcej. Przykro mi, ale w niczym wam nie pomogę. Z czarów znam jeno rzucanie kośćmi, no i parę zaklęć przydatnych przy praniu. Na usuwanie plam, szybkie suszenie... Ot, drobiazgi. Inna rzecz, że z nich głównie żyję.

– Nie z wróżenia?

– Ja nie umiem dobrze wróżyć. Mówiłam: zła wróżka jestem. Albo jakieś nieszczęście ludziom przepowiadam, albo nic. To i nie dziwota, że czasem nawet skopejki nie zapłacą.

Słyszał o takich przypadkach. Wąska specjalizacja, blokada większości pasm przy jednoczesnej wrażliwości na ściśle wybrane impulsy. Wybrane przez los. Niekiedy złośliwy.

Wrócili do pracowni. Debren poprosił Neleykę, by zajęła się spisywaniem ustaleń, a sam zaczął omawiać z Vorysem plan analiz. Starał się nie myśleć, czemu posłużą. Jakoś wiązał koniec z końcem, od małego chadzał w butach, skórę stóp miał dość delikatną. Nie aż tak, by wyczuwać nią wytłoczenia na ściance kostki do gry. Ale był tylko człowiekiem; wiedział, czym jest strach i nie mógł uwolnić się od przeświadczenia, że tam, pod miażdżoną drewniakiem stopą, nie było szóstki.

\*\*\*

– Obudźcie się, panie zupak. Od razu widać, żeście były

wojskowy. Tak na trzeźwo, przy stole zasnąć...

– A, Debren. Od gumy. – Putih rozejrzył się trochę nieprzytomnie, ziewnął. Spojrzył na klepsydrę wodną. – O, już północ? No to faktycznie przysnąłem. Skąd wiesz, żem służył?

– No przecież... Skoro zupakiem się mienicie...

– Ha, widzę że w Lelonii dobre obyczaje panują. Znaczy się, u was na zupaków cywilbandy nie biorą? Słusznie. Ale tu i cywil się załapie. Miecza z pochwy taki bez kleszczy nie wyjmie, a tytuł mu dają. Eh, to nasze Sovro.

– Tytuł? To... zupak znaczy...?

– Nie wiesz? Z upoważnienia panującego aktualnie księcia. Znaczy się, zaufana osoba. Do takich właśnie jak ta, delikatnych robót. No, ale jak tam robota? – Rozejrzył się po zadymionej, pochłapanej odczynnikami pracowni. – Smrodu, widzę, narobiliście za dziesięciu. Chyba że to Vorys znów się do rudy dobrał i złoto produkuje.

– Obrażacie mnie, panie zupaku – oświadczył starzec. – Z całych sił harowałem. Kamień filozoficzny czternaście wieków czekał odkrywcy, to i jeszcze jeden dzionek poczeka. A złoto nie zając, z rudy nie umknie. – Postawił przed Putihem dużą tacę z rzędem szklanych flakonów. – Oto rezultaty naszego z Debrenem wysiłku. Przyznam, że sam połowy bym nie osiągnął.

– Woda? – zupak uniósł brwi. – Co mi tu...?

– Zawiesiny wodne – wyjaśnił z dumą Vorys. – Pobraliśmy z kaptia próbki materii obcych, znaczy się w stosunku do kaptia właściwego. Debren je poseparował, ja hodowle szybkie założyłem, no i proszę! Gotowe. Już wiemy, co w kaptiu było.

– Noga? – zapytał niepewnie Putih.

– Noga też – Debren zajrzył wróżce przez ramię, do gęsto zapisanej zeszytnicy. – Rozmiar stopy: jak w pysk damska stopa. To nie za dobrze rokuje. Jakby tak trójka, czwórka... O szóstce już nie marzę, bo by dziewczka w czólnach przyszła,



nie w bucikach. Ale stopę damską tak ustanowiono, że pośród wszystkich rozmiarów najbardziej typowy obrano. Czyli najmniej połowa bab takowe nogi miała. Dobrze chociaż, że norma stara jest, jeszcze wczesnowieczna, a my w średniowieczu żyjemy. Ludzie więksi teraz rosną, bo dobrobyt wzrósł, to i bab z rozmiarem ciżmy damska stopa już niewiele. Ale jeśli to młódka była, co rosnać nie skończyła, to znów jesteśmy w lesie. Aha, i słomy źdźbło znaleźliśmy. Co by sugerowało, że but nie musiał być dopasowany.

– Co wy mi tu pieprzycie, mistrzu? – otrząsnął się z lekkiego osłupienia Putih. – Toć bez czarowania widzę, jaki to but! Z przodu półotwarty, z tyłu już całkiem... A ten obcas? Słomę pchać do sprośnego kapcia? Chyba by durna musiała być!

– Sprośnego?

– Mamy tu kram ze sprośnościami – wyjaśniła Neleyka. – W Dajkowym Zaułku, Wyklęty, ale legalnie działający. Za osobistym zezwoleniem księcia. Znanego rozpustnika. Takowe pantofle tam sprzedają. Co i nie dziwi, bo ich zastosowanie jest mocno ograniczone. Widzisz, jakie delikatne? – podała bucik Debrenowi. – A obcas jaki wysoki! Nogę ma lepiej ustawiać, by się chłopu zgrabniejszą widziała. Cholernie to niewygodne, ale ponoć działa. A w jakich okolicznościach gołą niewieścią nogę chłop ogląda, chyba nie muszę mówić.

– Eee... – Vorys podrapał się po łysinie. – Możem ciut staromodny, ale... Niby że jak, reszta baby też goła? W łożu? To po co buty?

– Współczesna niewiasta – oświadczyła nieco wyniośle wróżka – do łoża umyta chadza, Nie mówię: każda. Ale takie, które na ową rozpustną bieliznę obuwniczą stać, mają zwykle duże komnaty, w których się i balia mieści. Więc w drodze od balii do łożnicy takie sprośniaki zakładają. Co i pościeli służy.

Ktoś westchnął. Debren nie był nawet pewien, czy nie on

sam. Wyobraźnię miał wyostrzoną czarowaniem, obraz wracającej z kąpieli Neleyki sam wskoczył przed rozmarzone oczy.

– Aha – kiwnął głową Vorys. – Pojąłem. Tylko mi to z łajnem koliduje. Owczym. Które panna nie tylko pod paznokciami, ale i na pięcie miała. Znaczy: balii nie użyła.

– Owcze łajno? – skrzywił się zupak. – A taki bieluški...

– Nie jest bieluški – uniósł pantofel Debren, – Jak się dobrze przyjrzeć, ciekawe rzeczy człek widzi. W tych roztworach – wskazał naczynia – znaleźliśmy tłuszcz kielbasiany, wino z Bomblogne i cukier. Spore ilości. To mnie zmusza do postawienia niezręcznego pytania: co księżę robił owemu Kopciuszкови w sali stołowej? – Zupak uniósł brwi. – Pytam, bo czegoś nie pojmuję. Na balach spódnica dobrze stopę zakrywa. Może coś i na bucik skapnie, ale nie aż tyle. Czy Igon aby...

– Łajno wiecie – mruknął zupak. – Za rozpustnika go tu biorą, za chłopofila. A on jeno tej jednej, jedynej szuka. I z rozpaczy comiesięczne bale urządza. Nie powiem: maskarady specyficzną atmosferę mają i niejedna już z zaproszonych bez wianka do domu wróciła albo i z niespodzianką w żywocie. Tyle że to nie Igon robotą. Kompani korzystają z księżęcych poszukiwań. A że zamaskowani, to i niejeden się pannie Igonem widzi. Albo młodziankowi. Bo i tych proszą na zamek.

– Bale są maskowe? – upewnił się Debren. – Dziwny sposób szukania miłości. Bo, jak rozumiem, jej księżę szuka? Toć z maski niewiele o dziewczynie się dowie. Czy... hmm... o otroku.

– Nie mówiłbym wam tego, ale wszyscy kodeksy cechowe macie, tajemnica was obowiązuje. – Putih westchnął, patrząc na biały pantofel. – Wychodzi chyba, że jak dziewczkę znajdziecie, to po oryginalnym bukiecie zapachów. Więc nie zaszokuję was pewnie, mówiąc, że i Igon węchem się kieruje.

– To cały Gusianiec wie – wzruszyła ramionami wróżka. – A po co niby Debren przyszedł onuce prać i bzami perfumować?

– Jakbyś nie siedziała na balach z nosem w misce – przyciął jej zupak – tobyś łatwo wyczuła, że nie cały. Panny owszem, ubiorą się w co mają najlepszego, ale z zapachami już gorzej u nich. No, ale też trzeba przyznać, że Igon sieci coraz szerzej rzuca. Pasterki zaproszenia dostają, przekupki jakoweś, oborowe... Jeszcze ze dwa bale i po mniszki będzie chyba musiał słać. Więc i atmosfera coraz cięższa się robi.

– Wiecie, ile wiązka chrustu kosztuje? – ujęła się za pasterkami Neleyka. – A balia? Mydło byle jakie?

– Toć się ich nie czepiam, że mało mydłem pachną. Mówię...

– A właśnie! – Vorys podniósł but, pokazał wyświdrowany w podeszwie otworek. – Debren sondował środek, przez tę tu dziurkę. I znalazł wielkie zagęszczenie mydła. Szarego.

– Coś z tego wynika? – zmarszczył brwi Putih. – Debren?

– Że się jednak myje regularnie. – Neleyka nie dopuściła maguna do głosu. – Bez urazy, panie zupaku, ale jak wam po zamkowych dziedzińcach drób biega i inszy zwierz, to się i panna w gościnę idąca mogła w co nogą wpakować.

Powiedziała to zdecydowanie i chyba przekonała Putiha. Debren nie skomentował. Trochę dlatego, że liczył flakony.

– Vorys – wskazał tacę alchemikowi. – To wszystkie?

Starzec klepnął się w czoło, podszedł do zawalonego naczyniami regału, pogrzechotał szkłem i gliną. Wrócił z jeszcze jednym flakonem. Debren odkorkował go, zanurzył palec w zawieszynie, oblizal, potarł nozdrza. Putih skrzywił się z odrazą, ale nic nie powiedział. Magun usiadł, zamknął oczy, zaczął skanować kolejne pasma.

– Długo on tak...? – dotarł do niego szept zupaka.

– Dobry jest – odszepnął Vorys. – Aż dziw, że czarokrążca. I u cesarzy stały etat by mógł podłapać. Nie, niedługo.

Debren znalazł właściwe pasmo. Sięgnął po przynależny mu katalizator, znów zamknął oczy. W myśli powtarzał formuły.

– Może coś przekąsimy, Neleya? Ty zawsze za trzech żresz.

– Niegłodnam. – Też szeptała. Debren nie był pewien, czy to coś dziwnego w jej głosie faktycznie było dziwne.

Potem milczeli. Długo. Szóstnicę, może nawet kwadrans,

– Chyba mam – westchnął, otwierając oczy. – Tak na dziewięć dziesiątych. To coś do rozgrzewania.

– Eee... siwucha? – Putih wahał się między podziwem a powątpiewaniem. – Tyle czarów, by siwuchę wysmakować? Hmm.

– Nie od środka. Od zewnątrz. Maść, znaczy.

– Na reumatyzm? – ucieszył się Vorys. – Też używam! – Zanurzył dłoń pod fartuch i z jednej z rozlicznych kieszeni wyciągnął mały dzbanuszek z czymś gęstym i cuchnącym. Debren odruchowo cofnął uwrażliwiony czarami nos.

– Na smoczym jądzie – pochwalił się alchemik. – Cudo!

– Skuteczne? – zapytała odruchowo Neleyka. I nie czekając na odpowiedź, rzuciła szybko: – Zresztą nieważne. Jak ze smoka, to pewnie drogie jak cholera. A dziewczka goła. Finansowo znaczy. No i woń całkiem insza.

– Skąd wiesz, że goła? – zaoponował Putih. – Nasze księstwo małe, buforowe jeno, ale dzięki tej buforowości niejeden się na handlu wzbogacił. Nie brak kupieckich córek na maskaradach u Igona. Niby mamy zasadę, by na każdy bal nowe panny czy kawalerów prosić, ale wiecie, jak to u nas jest. Kto chce, a na łapówkę ma, to na każdy wlezie, choćby dwudziesty z kolei. Nie walczę z tym, bo z czegoś administracja zamkowa musi żyć, a kosztów to właściwie nie zawyża. Bogate panny nie żrą tyle, co niektóre wróżki. Głównie tańczą i się za herbowymi młodziankami rozglądają. Za księciem, ale nie tylko.

– Bogate panny bosy nie chadzają – rzuciła chłodno Neleyka. – Uprzedzając pytanie: wiem, że bosy, bo właśnie

boso chadzające maści grzewczej używają. A i w sprośniakach balują. To najtańsze obuwie w grodzie. Właściciel kramu z paskudztwami poniżej kosztów się ich wyzbywa, bo na ulicę za delikatne i ogólnie niepraktyczne. A od wysokiego obcasa już parę bab krzywdę sobie poważną uczyniło, na pysk padając. No i rozmiar niedobry. Na buforowości między Żmutawilem a Wielkim Sovro nasze księstwo utuczyło się nieźle i niewiastom stopy u nóg urosły wraz z tą życiową. I słoma na koniec: jeno ubogie panny mają tu u nas zwyczaj słomą buty upychać. Zamożne, jak nie pończoszką, to onucką luzy regulują.

– No tak... – Debren popatrzył na zupaka. – A skoro o buforowości i polityce mowa... Co jest z tym oblężeniem?

– Oblężenia nie ma. Jest stan oblężenia. Jak panna nogę dała, to Igon z rozpędu kazał wszystkie wrota zawrzeć i jakiś kretyn rozciągnął to na bramy. Dekret raz-dwa ogłoszono, bo my tu buforowi, neutralni, więc rzecz dekretu wymaga. No i teraz, by zgodnie z prawem stan oblężenia anulować, trza procedurę przeprowadzić. Na czym ze dwa dni zejda. – Westchnął. – O tym też chciałem z wami pogadać. Pospieszcie się, kochani. Bo już za te dwa dni kupcy chcą mnie na jądrach powiesić. Straty jak cholera. A tu jeszcze Igon się zaparł, że procedury nic wszczy... wszcza... no, nie weszcznie, bo jakby Kopciuszek jednak przyjezdny był, to jeszcze wyjedzie i na wieki księcia unieszczęśliwi.

Dźwignął się od stołu.

– No, pójdę, raport z ustaleń złożę. A wy złapcie parę klepsydr snu, bo chyba nic więcej po ćmie nie zwojujemy. Czy może ma kto jakiś pomysł?

Trzy głowy pokreśliły się zgodnym ruchem.

– Takem myślał. Ale nogę mając, do kaptura ją dopasujesz? Co, Debren? Dasz radę?

Magun przytaknął.

– No to dobrej nocy. Urząd Ochrony Tronu wyselekcjonuje

dyskretnie te spośród zaproszonych wczoraj, które pod opis podpadają. Ale to rano.

\*\*\*

Noc była jasna, księżycowa, ale bruk uliczny podły. Tuż za zamkową bramą Neleyka potknęła się, i to tak, że jedynie chwyt za łokieć ocalił ją przed lądowaniem nosem w kupce łajna. Raz uchwyconego łokcia Debren już z ręki nie wypuścił. Ułożył ramię wróżki w zgięciu swego, jak rycerz ramię damy. Nie zaprotestowała, choć dalej szła ciut sztywna. Szli wolno, chyba nie tylko ze względu na podły bruk.

– Bolać cię nogi – powiedział w którymś momencie. Nie pytał. Pewnie dlatego nie próbowała przeczyć.

– To od tego mieszkania na Przytopku – mruknęła parę kroków dalej. – Pirrend wylewa, progi wysokie. A jam mała. Nie zawsze nogę dostatecznie uniosę. Chociaż teraz już lepiej. Od tego balowego szaleństwa Igona moda na czystość nam nastąpiła i na podłogę zarobiłam. Ładna, prawda?

– Śliczna. – Pozwolił jej się nacieszyć pochwałą. – Nie musisz mi kłamać, Neleyko. Magun jest jak medyk: co od klienta usłyszy, to jak kamień w studnię. No i nie zagoszczę tu długo. – Rzuciła mu uważne, trochę zmieszane, a trochę ostrzegawcze spojrzenie. – Nie patrz tak. Podłoga ładna, ale na belkową nie zarobiłaś. To deski. Cienkie. pod spodem sitowie pewnie albo słoma, więc w porównaniu z podmokłym klepiskiem rozkosz dla stóp. Ale na wysokie progi żadna pomoc. Co nie ma znaczenia, bo nie od progów cię nogi bolą.

– Nie wiem – powiedziała wolno – o czym mówisz.

– Pralnia w piwnicy. Mokro, kamienna posadzka. A ty tam boso pracujesz. Widziałem – powstrzymał jej protest. – A i zdarzało mi się różnym w wilgoci pracującym porad udzielać.

– Nisko mierzysz. – Nie był pewien, co miała na myśli.

– Biednym też ktoś musi pomóc. Słuchaj... Wiem, że się

wymądrzam, że niezyciowo radzę... Ale powinnaś rzucić pranie. To mi wygląda na początek reumatyzmu. A reumatyzm dla wróżki kości rzucającej to jak ślepotą dla łuczni... Oj – zreflektował się. – Wybacz. Nie myślałem...

Przeszli kawałek, nim odważył się odezwać ponownie:

– Układ palców o wyniku rzutu decyduje. Nie układasz ich świadomie, to talent wróżki ci je układa, ale jeśli coś z dłonią będzie nie tak... W twoim fachu dłonie są równie ważne jak u muzykanta. Albo chirurga.

– Albo rzezimieszka – zakpiła. – Daj spokój, Debren. Nie jestem klientką i nie będę, bo mnie na ciebie nie stać. Widziałam, jak czarujesz. I już wiem, czemuś Juriffów w trzy świnki nie pozamieniał. Taki jak ty dla paru srebrników nie będzie ryzykował, bo je szybciej zarobi, niż ty na tych łajdaków stracisz. Ta asygnacja, co to jej twój koń nie honoruje, pewnie na taką sumę, że by mi drugie oko od zerknięcia zbielało. Więc nie zniżaj się, nie szukaj we mnie klientki. Widziałeś: jedną sukienkę mam, a do zamku w drewniakach musiałam. Nędza, mówiąc wprost. Głodna ostatnio nie chodzę, to wszystko. Aha, no i podłoga.

– Jesteś moją konfraterką – uśmiechnął się. Nie odsunęła się, nadal czuł jej ciepło przy boku. – Zniżkę daję.

– Umiesz wyciągnąć te bóle ze stawów?

Westchnął.

– No właśnie. Wiem, że to nieuleczalne.

– Ale zatrzymywalne. I do załagodzenia. Trzeba dobrze się odżywiać, nie nadwerężyć się, w suchym i ciepłym mieszkać...

– Czyli robić wszystko, na co mnie nie stać. Jak kijanką parę dni nie pomacham, to z interesu wylecę i zdechnę z głodu. Nie przesadzam – uprzedziła jego protest. – Igonowe fanaberie już konkurencji do grodu napędziły. Z kapitałem. Nowocześnie piorą, ponoć nawet kija-samobija mają, co grubą materię tłucze. A mydła aż z Marimalu, pachnące że strach. Widziałeś moje łóżko? Wiem, widziałeś. I wiem, co żeś sobie

pomyślał. Ale to od gorączki, nie miłowania. Leżeć powinnam, bom się zaziębiła, ale jak tu się porządnie podleczyć, gdy za pranie onuc pół skopejki płacą? A i jeszcze niejednen wyklóca się, że uszkodzone, upustu żąda. Łatwo powiedzieć: rzuć pranie. A z czego żyć będę? Z wróżb? Za złe źle płacą. A jeszcze i renomę sobie psuć trzeba. Bo co: mam powiedzieć choremu, by mnie, a nie medykowi płacił, bo już po nim? Albo zrozpaczonej matce, że nie musi grubla ostatniego leśniczym oddawać, bo synkowie, co po grzyby w las poszli, już nie powrócą? Powinnam, wiem. Ale nie umiem. No to kręcę, w bawełnę owijam, a efekt taki, że klient, resztki nadziei się łapiąc, resztki gotówki na ratowanie chowa.

– Zła wróżka – mruknął. – Nisko szyld wieszasz, a przed szyldem stał ten pochlastany, Lobka. Tom i nie był pewien, myślałem, że coś z bukwami pomieszał. U nas runy jeno. Ale tak tam napisane? Że zła?

Przytaknęła.

– Neleyka, jesteś najlepszą wróżką, jaką znam. Serce masz jak ze szczerego...

– Ze względów podatkowych – weszła mu w słowo. – Niżej wieszane szyldy mniej kosztują. Pewnieś dlatego pralnicze usługi przegapił. Całkiem w dole są i przy powodzi Pirrend ciut bukwy rozmazał. – Błysnęła zębami. – Aleś miał głupią minę, gdy onuc zażądała. Myślałeś, że to do wróżenia? He?

Nie mógł się nie pośmiać wraz z nią. Choć w środku bolało. Dawno nie spotkał takiej kobiety. Może nawet nigdy. A wyraźnie czuł, że nic z tego nie będzie. Podpowiadał mu to i rozsądek, ale z rozsądkiem miał szansę się zmierzyć. Z przecuciem – już nie.

– Jak to się stało, że wzięłaś się za wróżenie?

– Mama wróżyła. Miała talent, nie to, co ja. Ale się bez głowy puściła. Nie patrz tak – wzruszyła ramionami. – Baba, co z magii żyje, nigdy męża nie znajdzie. Musi zgrzeszyć, gdy chce... Kto by wziął za żonę wiedźmę? Wiedźmin chyba, bo



odważny, a w razie czego... A że normalne jesteście, to i jakoś sobie musimy radzić. Tyle że mądre mądrze kochanków dobierają, a mama się, głupia, zakochała i geny mi spaskudziła. Nie myśl, że jej nie miłuję. Miłuję, choć zmarła. Ale to mnie nie zaślepia na fakty. Z czarodziejem pod pierzynę powinna wskoczyć. Który by zadbał, by dzieciątku talentu nie popsowała, a jeszcze i poprawiła ojcowym.

– Dawno zmarła?

– Zaraz po tym, jak oko straciłam. Dwadzieścia lat będzie, bom akurat dziesiąte urodziny świętowała. Nową sukienkę mi sprezentowała, choć już krucho ze srebrem było, bo ją kamienie męczyły.

– Kamienie?

– W nerkach. Okrutny ból, krwią sikała... No i mnie w tej nowej sukience jeden gówniarz zobaczył. Zaczął kamykami ciskać. Raz, drugi... Obok, nie powiem. Ale jakem się odwróciła, by mu rzec, co o takowym gówniarstwie myślę, to mnie w samą źrenicę...

Noc była chłodna, ale chyba nie dlatego przeszedł ją dreszcz.

– Razem żeśmy tak leżały. Mnie oko gniło, jej coś w środku. Że nie zmarłam razem z nią, to dziw. Bo na medyków już nie miałyśmy. Jak to oko zobaczyła, to pognęła i za resztę srebra jurystę najęła. Tyle że ojciec gówniarza droższego najął. I mamie udowodnili, że oko nie od kamienia straciłam, a od zarodników mchowych.

– Od czego? – zdziwił się Debren.

– Czarokrażca mamę leczył, z rok wcześniej. Bardzo dobry ponoć, a przynajmniej drogi. Zarodniki mchowe stosował...

– Aha, wiem. Że niby mech skały rozkłada, to i kamienie nerkowe... No, owszem, czasem to pomaga. I pewnie rozsiewał...

– Widzę, że się znasz. Owszem. Przed domem. Chorobę z mamy wyciągały i z wiatrem miały ponieść. No i mi trochę

oko zaprószył. Czerwone było, nic wielkiego. Sąsiedzi się śmiali, żartowali... A po roku któryś juryście doniósł, no i proces przegrałyśmy. I tak – westchnęła – resztki urody straciłam. I w cnocie za pięć lat pomrę, jeśli statystykom ufać.

Tym razem to ona uratowała Debrena przed poślizgnięciem się na końskim nawozie. Ale jej wyznanie i tak go z lekka ogłuszyło. Nie wiedział, co powiedzieć. I powiedział coś głupiego.

– Sąd miał rację. Jak kamień poszedł za mchem... Ależ to durny partacz. Przy dzieciach, na wietrze takowe rzyzykanckie terapie... Jego powinna twa matka skarżyć.

Następne szarpnięcie. Tym razem nie stopy o dziurę w bruku: to stojąca nagle Neleyka zatrzymała go jak łańcuch psa.

– Coś... powiedział? – wykrztusiła. Debren w jednej chwili pojął rozmiar katastrofy. W jej twarzy było tyle oszołomienia, przerażenia i niewiary, że prawdopodobnie nie dostrzegłby u niej więcej, gdyby ją teraz zgwałcił i na pożegnanie wydłubał jej jedyne oko. Zrobił coś strasznego. Nie wiedział, co. Ale że zrobił, wiedział na pewno.

– Neleyka... Ja... ja nie chciałem...

– Coś powiedział? – wymamrotała odrętwiałymi ustami, które nawet w mroku straszyły bledością. – Że to... że on... Że tak musiało być? Że czar? Nie chłopiec? Czar?

– Nie wiem – zająknął się. – Ten medyk... może nawet nie umiał czarować, a bez zaklęć takie sypanie zarodnikami... Boże, dziewczyno... Nie patrz tak. Nie miałem pojęcia...

W jedynym oku wróżki błysnęła łza. Potem druga, a kiedy z łez zaczęła się robić prawdziwa powódź, Neleyka odwróciła się nagle, złapała w dłonie swe drewniaki i zniknęła w pobliskim zaułku z szybkością, która z góry przekreślała nadzieję na udany pościg.

Nie gonił jej. Potrzebował całego pacierza, by w ogóle ruszyć z miejsca. Zrobił coś okropnego. Może okropniejszego

niż pewien gówniarz dwadzieścia lat wcześniej. To była głupia myśl, ale nie mógł się od niej uwolnić. Od myśli, że mając wybór, Neleyka wolałaby teraz pójść pod rękę z tamtym.

\*\*\*

Była wysoka, czarny płaszcz z kapturem zniekształcał figurę, zaulek tonął w ciemnościach, a kwiatami, sądząc po incydencie z bżem do onuc, pachniało w Gusiańcu także sporo mężczyzn. Ale od razu wyczuł, że to kobieta. Może dlatego nie podskoczył z wrażenia, gdy nagle wychynęła z czerni.

– Bez obaw, Lelończyku. – Głos miała nieprzyjemny. – Nie pchnę cię niczym ostrym. Nie ten etap. Wszystko po kolei. Tu masz grubie – wepchnęła mu pokaźną sakiewkę. – Złote. W zamian oczekuję sprawozdań. Pierwszego już teraz. Poza tobą... ktoś ją znajdzie? Albo jego? Wiesz, o kogo pytam.

Sakiewka, jak na wypełnioną złotem, była ciężka.

– Kim jesteś, pani?

– Nie odpowiedziałeś. Mnie się tu odpowiada.

Uwierzył. I raz jeszcze zadumał się nad ciężarem sakiewki. Nagle zaczęła ważyć więcej. I trudniej było ją oddać. Ale nie dlatego uległ woli zakapturzonej.

– Nie – odparł stanowczo. – A już na pewno nie ta ślepawa wróżka... Jak jej tam... Niedajka?

– Jesteś patriotą? Dobrym machrusaninem zulskiego obrządku? – Mocno zdziwiony, odruchowo kiwnął głową. – Więc i to weź pod uwagę. Księstwo jest buforowe, ale w końcu któraś ze stron je łyknie. Albo wy, albo Wielkie Sovro. Jesteśmy lewokolcami; tak jak wszyscy Sovrojcy znak święty kreślimy nie waszą modą. I język też nas od Lelonii i Żmutawilu odpycha. Ale ja lubię kulturę Wschodu. W przeciwieństwie do Igona. I jeśli będę miała coś do powiedzenia... Rozumiemy się.

Rozumieli się.

– Dziewki nie znajdziesz. Ani chłopaka. A gdyby Putih za

mocno cisnął i musiałbyś jednak znaleźć, to chcę wcześniej poznać jej imię. Albo jego.

– Mój kodeks cechowy...

– Sram na twój kodeks. O Bogu pomyśl. Igon w chłopofilstwo popadł, bale urządza, zgorszenie szerzy. To ma być dobry władca? Z Wielkim Sovro chce księstwo wiązać, lewokole wychwała. A własną siostrę w staropanieństwie gnoi, posagu skąpiąc, od czego dzieci na ziemi mniej. Znaczy przyrost naturalny ogranicza. A to cholernie ciężki grzech.

– Jesteś Ollda – mruknął. – Słyszałaś, księżniczko, że mi za znalezienie tej od kaptura twą rękę proponują?

– Za kogo mnie masz, Debrenie z Dumayki? To mój zamek. I moje w nim uszy nasłuchują. Pewnie, że słyszałam. Jak ci zależy – powiedziała obojętnie – to możesz mnie wydudkać. Teraz, potem... jak wola. O sposób też mniejsza, znam wszystkie. Ale na rękę nie licz. Wyżej mierzę. Tu, przez miedzę, jest jeden książę żmutawilski, stary dziecięciniały i z włościami jak dwa nasze Gusiańce. Idealny kandydat na ojca dla mojego pierworodnego. Mam nadzieję, że do wiosny dziad dożyje.

– Aha – zerknął w dół, gdzie płaszcz skrywał brzuch kobiety. – Chyba pojąłem. Dzięki, nie skorzystam.

Zaśmiała się cicho.

– Następny, któremu jeno przy ukochanej lędźwie działają?

– O czym mówisz, księżniczko?

– Nie udawaj. Niby czemu jakiegoś kopciucha po smrodzie łapci tropisz? Bo mój durny tatulo z jeszcze durniejszym magikiem nadwornym następcę tronu partnerką idealną uszczęśliwiali. Albo partnerem. Głupie dziady, nawet płci nie znali, ciemno czar kładąc. A potem poleźli do loszku, po następną flaszkę i magik ze schodów spadł. Do grobu wiedzę o personaliach partnera idealnego biorąc. Tyle wiadomo, że tutejsza ma być. Albo tutejszy. I że przy nikim innym Igonek, bidula, męskiej rozkoszy nie pokosztuje. Co, jak widzę,

zaraźliwe.

– Nie chcesz szczęścia dla brata? – zapytał cicho.

– Chcę. Wiekuistego. W tym roku trzydziestkę kończy. Tatulo w testamencie napisał, że jak się w porę nie ożeni, to ja tron wezmę, O ile płodna się okażę. Do grudnia okażę się na pewno, już teraz trochę widać. Igon do klasztoru pójdzie, ja za mąż, ale już jako księżna, na własnych warunkach. Żmutawilec raz dwa w kalendarz kopnie, a ja włości potroję. No i z twą Lelonią związę. Więc sam widzisz, że jeno korzyści z naszej współpracy będą.

– A... Kopciuszek?

– Do Kopciuszków – powiedziała powoli – nic nie mam. Póki się na zamki nie pchają. Te... usuwam z drogi. Tak – uśmiechnęła się – jak niepokornych magunów.

– Pojąłem. – Wyciągnął w jej stronę dłoń z sakiewką. – A to, póki co, zatrzymaj. Namyślę się. Bez urazy.

– Popatrz na to realnie. – Ona umiała patrzeć realnie, więc wzięła sakiewkę. – Wszystkie wartościowe kobiety, jakie żyją w grodzie, już Igon sprawdził. Wszystkie. Także stare, zameżne, puszczałskie, szpetne... Jeśli nawet znajdzie tę jedyną, szybko się okaże, że nie pasują do siebie. Bo on mądry, rycerski, poeta, esteta, a dziewczka jakiś durny, gruboskórny kopciuch z połową zębów i kupą bękarciat. I co? Na wdzięczność nie licz. Nie mówię o Igonie. Ale jest tu silne stronnictwo, co na niego i jego potomków stawia. Jak ich taką żoną dla księcia uraczysz... Przemyśl to sobie. Bo nie oni będą jedyni. Ja też muszę interesów dzieciątka bronić – poklepała się po brzuchu. – A Igon aż taki rycerski nie jest, by ratować kretyna, co go hańbą okrył i unieszczęśliwił kocmołuchem. I tak oto mistrz Debren fosę miejską sobą nakarmi. Albo inne, gorsze miejsce. Przemyśl to.

Odwróciła się i znikła w mroku.

Drzwi zostawiła otwarte, choć wewnątrz było całkiem ciemno. Debren zdjął buty, przekroczył próg, zatrzymał się niepewnie. Nie chciał czarować przy kimś, kto władał magią. Nie było to grzeczne. W stosunku do niewładnych też nie było, ale tamci nie wyczuliby zmian pola. Ona mogła.

Nie śpię. – Jej cichy głos dobiegł gdzieś od strony łoża. – Czekałam. Poblądziłeś? To już chyba klepsydra.

– Wybacz. Łaziłem trochę. Chciałem pomyśleć. – Pomacał w ciemnościach. – To ten ceber na buty?

– Ten. Słuchaj, głupia jestem. Przepraszam. Jak gówniara się zachowuję. Pięć lat do trumny, a takie sceny.. Myślałam, że nie przyjdiesz. Zajazdów w grodzie sporo, a ty masz angaż księżęcy. Założę się, że już plotka z zamku poszła. Darmo łoże dostaniesz. Z baldachimem i trzema dziewczkami. Gratis. Dziewki mam na myśli. Ktoś, kto wytypuje nową księżnę...

– Nie wiem, czy będę typował. Spotkałem kogoś.

Usiadł przy stole i opowiedział o Olldzie. Trwało dłużej niż przeprowadzona z księżniczką rozmowa. Mówił wolno, chciał dać Neleyce czas. Potem, nadal w ramach dawania czasu, przypalił świecę. Czarem.

Siedziała w poprzek łoża, oparta o ścianę, z podciągniętymi pod brodę kolanami i pierzyną. Sukienka leżała obok.

– Postawię ci teraz pytanie. Jako wróżce. Chodź tu, weź kości i rzuć. Od dobrej odpowiedzi może zależeć życie.

– Ja nie dam dobrych odpowiedzi – przypomniała cicho.

– Chcę podjąć decyzję. Jak wyjdzie bardzo źle, to podejmę odwrotną. Wróżba intencyjna, rozumiesz?

– Nie ma czegoś takiego, a ty dobrze o tym wiesz. Jedyna metoda to ta z przydeptywaniem nogi drewniakiem. Odczyt nie do końca. Bo jak do końca odczytasz, to właśnie koniec: stało się, odwrotu nie ma. Owszem, możesz decyzji nie podjąć. Ale w ośmiu przypadkach na dziesięć los robi to wtedy za takiego krętacza. I z reguły przyładowuje krętaczowi po łbie jeszcze większym nieszczęściem, Nie, Debren. Lubię cię. Nie

stawiam wróżb intencyjnych ludziom, których lubię.

– Chodź – wyciągnął dłoń. – Chcę, byś rzuciła.

W jej oku znów zamigotała łza. Jedna, piękna jak diament.

– Nie mogę – pociągnęła nosem. – Ja... jestem goła.

Zrobiła na nim wrażenie. Na tyle mocne, że nie zdążył się obejrzeć, usłyszawszy skrzypnięcie drzwi. Ktoś, kto je otworzył i stanął w progu, zdążył odskoczyć. Pozostało tylko wrażenie. I dużo pożywki dla wyobraźni.

Kobieta – magun czuł, że to musiała być właśnie kobieta – była boso, więc kiedy dopadł drzwi, nie usłyszał już odgłosów jej stóp. Znikła w mroku jak zjawą.

– Boże... – zamknął drzwi, zasunął rygiel, przetarł pot z czoła. – Widziałaś to? Tu... straszy? Macie gdzieś blisko jakiś cmentarz? Może nieoficjalny, dziki?

– Wierzysz w los? – wyszeptała. Wargi miała trochę sztywnie, mówiła niewyraźnie. – Bo ja właśnie trochę bardziej.

– Neleyka, nie ma czasu. Jeżeli mam wymknąć się z grodu...

– Nie rozumiesz? Ostrzegł cię. Nie igraj z nim. Ona – wysunęła spod pierzyny nagie ramię – próbowała. Nie, nie tak... To ja za nią, w jej imieniu... I widziałeś te wrzody. Już jeno nocą wychodzi, bo w nią kamieniami... To nie jest zaraźliwe, chyba że przez chędożenie, a któż by ją taką teraz... Ale kamieniami rzucają. Bo potworna. Nawet maguna wystraszyła. A taka śliczna była... Rycerz z własnym zamkiem konia zatrzymał i pytał, prosił, na kolano klękał, choć w Dajkowym Zaułku na nią trafił i wiedział, co za jedna. Przyszli tu. Prosiła o poradę. Intencyjny rzut. Jechać z nim, do ciepła, własnej komnaty, jadła, czy nie jechać. Rzuciłam. Bodaj mi ręce połamało. Wyszło, że nie. Mały minus, ale jednak. Zaufała mi, została. Oboje płakali. Oboje, Debren. Nie ożeniłby się z ladacznicą, pewnie. Ale oboje... Wyjechał. A ona do dawania wróciła i ją Juriffy w taką, jak widziałeś, france wpakowały. Klient też cały był we wrzodach, jak ona teraz, ale

się zamaskowany zabawiał, mało co spod szaty wyjmując. I teraz Zana umiera, gnijąc za życia. No i z głodu, Juriff, jak się domyślasz, dał jej bezpłatny urlop.

Zaczęła płakać. Debren posiedział chwilę, patrząc w kąt, a potem zdmuchnął świecę, podszedł do łóżka i usiadł obok, przytulając dziewczynę do piersi. Plecy miała gładkie, była szczuplutka, właściwie chuda. I jak dziecko drobna. W uścisku jej rąk też było więcej dziecka niż kobiety.

– Miłuj się ze mną – wychlipała mu w obojczyk. – Mam trochę gorzalki, ładniejszą ci się zdam. Proszę, Debren. Ten jeden raz. Bo chyba coś sobie zrobię. Ja... tak mi jakoś...

Musnął ustami jej czoło. Raz. Był boso, więc wsunął się w ubranie pod pierzynę, ułożył głowę Neleyki w zgięciu ramienia, drugą dłonią sięgnął miejsca, gdzie szyja łączyła się z potylicą.

– Jesteś zbyt piękna, by cię miłować po pijanemu.

Była wróżką, miała dodatni WZ i chyba wyczuła, na co się zanosi. Nie dał jej jednak wiele czasu.

Usnęła, nim drżące usta ułożyły się do protestu.

\*\*\*

– Co tu się dzieje?! – Neleyka musiała niemal krzyczeć, bo w bramie znów kłócono się o miejsce w kolejce, a że przekupek nie brakowało w ciżbie stłoczonych kobiet, ciasne podwórko aż dudniło od wrzasków. Debren pokazał halabardnikowi, by zepchnął tęgawą blondynkę na lewo, i szybko podniósł się z taboretu. Chuda czarnula z rozczarowaniem i chyba gniewem cofnęła pod spódnicę bosą stopkę. Za jej plecami kiwał się przyszczaty drab w rzeźnickim fartuchu. Był podпиты i zdejmował cizmę, więc tylko ścisk kolejki chronił go od upadku.

– Sama widzisz! – Magun przetarł mokre czoło. – Nic się nie dało zrobić, pół grodu się zważyło! Ledwie kogut piąć począł! Nawiasem mówiąc, zdeptali nieboraka! I potem



jeszcze dwóch pacholków miejskich, nim Putih jakowyś porządek zaprowadził! Twardy masz sen!

Pryszcateru mimo wszystko udało się paść na pysk. Któryś z podwórkowych kundelków, schrypniętych już od dwuklepsydrowego szczekania, podskoczył, uniósł nogę Lokatorzy domu posyłali w dół klątwy, ktoś bardziej zdesperowany opróżniał z okna nocnik, nie patrząc, czy trafia w stojących w kolejce. Dom był mały i dwie setki przepychających się Kopciuszków zupełnie sparaliżowały wszelki ruch. Nie byłoby tak źle, gdyby nie fakt, że kandydaci, którzy przeszli już selekcję, nie mogli opuścić podwórza z powodu zakorkowanej bramy.

– Spokojny sen uczciwej dziewicy! Wielkie dzięki, Debren! Co mam robić?! Nie pytam o kobiece potrzeby! O tłum pytam!

Odetchnął.

– Bierz drugi przymiar! – wcisnęła jej dostarczoną przez Putiha ramkę z deseczek. – Tam masz stołki! Siadaj i mierz! Jakbyś mogła, to męskie nogi! Tobie łatwiej! Z niektórych chłopaków gładsze są! Aha, po rękawice posłałem na zamek! Jak się szczególnie brudny Kopciuszek trafi, to go odstaw na bok, niech poczeka! Cholernie się tu u was grzybica szerzy, uważaj! Masz ładne paznokcie!

– Dzięki! Ale bez rękawic też mogę! Praczka jestem, zaszczepiłam się! Toż z onuc i gaci głównie żyję! Debren?

– Tak?

– Dzięki za to w nocy! Słodki jesteś!

Potem nie rozmawiali. Nie dało się, choć ledwie dwa sążnie oddzielały ich stanowiska. Gusianiec oszalał. Wieść wyciekła z zamku tuż przed świtem i wolno, lecz niepowstrzymanie rozlewała się po mieście. Wieść o niebywalej, niepowtarzalnej okazji zostania kochanką, oficjalną nałożnicą, a może nawet żoną księcia. Albo kochankiem, nałożnikiem i współmężem. Niedaleko Debrena przysiadła na własnym stołeczku jakaś

doskonale poinformowana babulina, która najmniej trzykrotnie przekroczyła granicę wieku wyznaczoną niewiastom przez statystyków, ale która zdawała się wiedzieć więcej niż spowiednik Igona, jego zupacy i szef Urzędu Ochrony Tronu do kupy wzięci. Magun chcąc nie chcąc łowił uchem to, co plotła, więc dowiedział się między innymi, że księżę rozważa poważnie możliwość ochrzczenia się w sekcie, tolerującej chłopofilstwo i inne dewiacje. Debren nigdy o takowej nie słyszał, ale gusiańczenie płci męskiej ochoczo dołączali do tłumu podnieconych kobiet.

Do dziewiątej podwórze było pełne. Zamkowi halabardnicy nie panowali nad ludzkim żywiołem.

– Nie używać pał! – wykrzykiwał raz po raz zlany potem dziesiętnik. – Kultury używać! Perswazji, głąby! Pani wasza gdzieś tu być może! Nie po mordzie! Juriff! W żywot ją kop!

– Dziewica jestem! – darła się jakaś pieguska. – Przodem nas macie puszczać! A w dodatku przy nadziei zem jest!

– Inwalida wojenny! Obu nóg katapulta drakleńska mnie pozbawiła! Odsuńcie się, ludzie! Przepuście!

– Grubla daję za miejsce!

Debren zostawił przymiar Neleyce, zaczął oglądać nogi już sprawdzonych, te długie na damską stopę. Szło powoli. Stopą długości wczesnowiecznej stopy damskiej dysponowały głównie staruszki, młodziutki dziewczęta i głodzeni od kołyski nędzarze. Co rusz musiał przerywać, cucić omdlałą z duchoty i kolejkowego wysiłku kandydatkę. Albo kandydata. Niektóre staruszki wymyślały mu od ostatnich, jedna stłukła go kosturem. Jakaś rezolutna panna opuściła mu na nogę sakiewkę z łapówką. W miedziakach, ciężką jak cholera. Innej łapownicze ukryta pod spódnicą gęś wpiła się w najgorsze z możliwych miejsc i Debren musiał zrobić przerwę, przenieść się do mieszkanka wróżki, ratować rozhisteryzowaną pannę i jeszcze bardziej przerażonego ptaka. Wracając, zderzył się z gońcem.

– Rę... rękawice – wysapał zmęczony pacholik. – Jeno... karteluszków nie... pogubcie, bo nie... pamiętam, które czyje.

I poobijał Debrenowi drugą nogę, wysypując z worka pół kopy rękawic. Niemal wyłącznie rycerskich, blaszanych. Dwa czy trzy skrawki pokrytego bazgrołami papieru zawirowały w powietrzu, znikły pod stopami napierającego tłumu. Magun zaklął, krzywiąc się, uniósł pierwszy z brzegu kawał żelastwa.

– Neleyka? – Wróżka rzuciła mu przelotne spojrzenie, pokręciła przecząco głową. Wzruszył ramionami, wepchnął rękawicę w rękę gońca.

– Zabieraj to z powrotem! I zmykaj! Następna! Babciu, do was krzyczę! Tak, tak, do was! Nie, nie chcę postronka! Nogę poka... A niech to diabli! Kto ją tu z kozą wpuścił?! Dziesiątniku!

Tłum gęstniał. Kozą uciekła. Z dachu jakiś siedmiolatek rzucał w maguna podwędzonym matce grochem. Neleyka wyklócała się z halabardnikiem, który gdzieś wyszukał kuszę i upierał się, by gówniarza zestrzelić.

Pracowali. W pocie czoła.

\*\*\*

Było już ciemno i pusto, gdy wkroczyli na podwórze. Tłum rozszedł się, halabardnicy wraz z nim. Moment został dobrze wybrany. Debren wciąż był na podwórzu. Zbierał stołki.

– Tyle roboty – rzucił z daleka najstarszy, którego Neleyka nazywała po prostu Juriff. – I cała sprawa na nic. Wybaczcie, panie uczony. Wcześniej byśmy przyszli, ale nam siostra trzy razy z tremy mdlała. No i przebić się nie szło. Dawajcie ją, młodziaki. Tu, na stołek. Trza formalności dopełnić.

Lobka i Musza posadzili przyniesioną dziewczynę na zydlu. Była blada. I młodziutka, choć o pół głowy wyższa od wróżki.

– Na dziś skończyłem – mruknął Debren, chowając do szkatuły zgubiony przez Kopciuszka sprośniak. – Jutro przyjdźcie. Łeb mi pęka od czarów, mógłbym coś zafałszować.

Spokojnie, przebadamy wszystkich. Co jej jest? Chora? Żle wygląda.

– Babska słabość – wzruszył ramionami Juriff. – Nie zwracajcie uwagi. Musza, nie gap się. Przytrzymaj małą, bo na gębę padnie, urodę se popsuje. A ty, uczony, lepiej...

Debren zignorował go. Klęknął przed dziewczyną, ostrożnie sięgnął po jej stopę. Mała cuchnęła siwuchą, podłą, za to mocną. Głównie z ust, lecz nie tylko. Znieczulano ją chyba nie całkiem dobrowolnie, sporo gorzałki trafiło na sukienkę. Ale nie cała. Dziewczyna była pijana. Mocno. Kiedy zdejmował jej cizemkę, tylko krzyknęła. Trzeźwiejsza zawyłaby z bólu. Stopie brakowało wszystkich palców i kawałka pięty. Rany były świeże: wciąż pachniały pieczonym mięsem. Nie krwawiły. Ktoś nie pożałował pochodni.

– O Boże... – Neleyka skryła twarz w dłoniach, zachwiała się, musiała usiąść na schodkach ganku. – Boże miłosierny...

– Do wesela się zagoi – wzruszył ramionami Lobka.

– Co jej się...? – Debren nie dokończył. Zrozumiał. Łatwo było. Łydkę aż po kolano umazano tłuszczem. Dobrym, kielbasianym, pachnącym wędzonką. Cukier, drogi i podatny na odpadanie, bielił się niżej, pokrywając wierzch stopy. Trzymał się nieźle podkładu z owczego łąjna. Było też trochę słomy. Niewiele: bucik był stary, dziecięcy, a dziewczyna, nawet po amputacji, miała dużą stopę.

– Gdzie... – musiał przełknąć ślinę – gdzie druga... cizma?

– Noga się nie... – Musza urwał. – Eee... znaczy... ciepło dziś. A Ludminka pazury rżnęła, by się Igonowi ładniejszą widzieć. No i jak się jej ręka omskła, to nikt na buty nie...

– Ten tutaj – rzucił zimno szczerbaty – ranę chroni.

Debren ujął nogę w kostce, zaczął zakładać blokadę.

– Bydlaki... – Neleyka nadal siedziała z twarzą w dłoniach, słyhać ją jednak było doskonale. – Wy nędzne skurwysyny... Rodzoną siostrę... Bydlaki... Machrusie, to wszystko moja...

– Licz się ze słowami, wróżko. Do książeńcych szwagrów

mówisz. Ludmina gładka, miła i wszelkie wymienione warunki wypełnia. Nóżka, na co świadectwo trzech medyków mamy, przed wypadkiem równo stopę damską mierzyła. Drugą ma większą, ale to dlatego, że nam się matula ciut puszczała i Luda ma dwóch różnych ojców. Bukiet zapachów: idealny. W buciku wino z Bomblogne, bo ciżmę wodoszczelną znaleźlim.

Debren ujął dziewczynę pod kolana, podniósł.

– Ej, a ty co? Dokąd? Kareta tu nie wjedzie, na ulicę nieś.

– Do łóżka – rzucił przez zęby magun. – Neleyka, wrzątek, ale migiem. Trzeba to przemyć. Może jeszcze nic...

Lobka skoczył, zastąpił drogę. Dłoń wsparł o czekan.

– Zdurniałeś? – dobiegł z tyłu głos szczerbatego. – Całą naszą przyszłość zmyjesz! Łeb ci do tego wrzątku wsadzę!

– Maścią też smarowaliście, kretyni?

– Co, dziury w całym szukasz? – Juriff podszedł do schodów, poklepał po włosach skuloną na stopniu wróżkę. – Nie radzę. Nie jesteś niezastąpiony. Mistrz Vorys mocno poobijany po tym wybuchu kamienia filo... eee... gicznego, czy co tam produkuje, ale żyw przecie. Neleyka – pogładził głowę kobiety – też nam życzliwa będzie. Tak że uważaj.

– Ty wszarzu – wycharczała.

– A jakby życzliwa nie była, to się jej drugie oczko wyjmie – ciągnął z uśmiechem – i potem dobrze przechędoży. Za gwałt można beknąć, ale ślepa sprawców nie wskaże. A za jedno oko do lochu nie posyłają. Za oboje owszem, ale za jedno grzywna tylko. A cóż dla szwagrów Igona grzywna? Jak splunięcie. Aż się zastanawiam, czy na sprzeciw czekać, czy od razu rozkoszy na Neleyi Neleyewnej nie zaznać.

Podniosła się. Chwiejnie. Nie zatrzymał jej, kiedy zniknęła za drzwiami. Źle zrobił, ale tego Debren nie mógł mu wytknąć. Stał z półprzytomną Ludmina na rękach i na zimno rozważał kolejne możliwości. Parę ich było.

– Po dobroci załatwmy. – Juriff chyba coś wyczuł. Albo też

nie miał rycerskich kompleksów. – Vorys się stawiał, no i co? I wypadek miał. Jak to alchemik, któren z niebezpiecznymi substancjami esk... eks... krementuje. Tfu, do diabła, za samo to słowo w mordę mu się należało... A jak Igonowi dobrze życzysz, to szybko zaświadczenie podpisz, że to nasza Ludmina mu przeznaczona. Bo tamte pięć dziewczyn i otrok, coście ich wstępnie wytypowali i na zamek posłali do końcowych testów... Cóż, drogi u nas marne, a woźnicę znaleźli cuchnącego gorzalką. Więc nie dziwota, że karetka do fosy wleciała. Wiem przypadkiem, iż z sześciorga pasażerów żadne nie przeżyło. Głowy potrzaskane, że dwoje się na jakowyś nożyk nadziało. Jatka. Nie patrz tak. Nie nasza robota. Nie było czasu oferty przyjąć. Swoją sprawę mamy. Oлда musiała do konkurencji iść. Ale co tam. Przebranzawiamy się, w arystokraty idziem, to niech się konkurenty cieszą. Widzisz więc: jak nie Ludminka, to już żadna. Kto miał nogę właściwą, to już dzisiaj przyszedł. Znaczy, że jak naszą siostrę ukochaną odprawisz, to Igon już po kres żywota Miłowania nie zazna. Ładnie tak chłopakowi czynić? Sześć ciepłych trupów oferować? A jak z tej rozpaczy weźmie i skorzysta z którego? Ponoć na maskaradzie pierwszy raz w życiu twardości w portkach doznał. To se wystaw, jaki pies na tę jedyną. Jak nie trupofilii może się dopuścić. I pomstę bożą ściągnie na cały naród. Tego chcesz?

Debren ugiął kolana, posadził dziewczynę na ziemi. Musiał. Za plecami Lobki mignęła mu słomiana czupryna wróżki. I coś jeszcze jaśniejszego. Też wysoko.

– Jestem czarodziejem! – rzucił ostrzegawczo. – Lepiej...

Spóźnił się. Neleyka też się spóźniła. Dębowa kijanka pozostała w górze za długo. Zamiast świstu rozległ się okrzyk.

– To moja wina! – krzyknęła. – Nie mieszaj się, Debren! Odejdź! Nie kocham cię! Nic mi nie jesteś winien!

Dopiero teraz zaatakowała. Lobka zdążył się odwrócić, wyciągnąć broń. Ale uderzyła dobrze, mocno. Zaskoczyła go

tym, omal nie osiągnęła celu. Cios poszedł na głowę i był na tyle silny, że odepchnął zastawę czekana pod samą skroń. Żeleźce musnęło skórę, po ganku trysnęło krwią. Lobka zachwiał się. Nim odzyskał równowagę, dostał z drugiej strony, w szczękę. Też przez zastawę, lecz już mniej udaną. Runął na deski.

Najstarszy z Juriffów błysnął radośnie resztką zębów.

– Podudkamy sobie, bracia! – zawołał, wyciągając miecz.

Musza, nie czekając instrukcji, zamachnął się toporkiem na Debrena. Magun wyszarpnął różdżkę i skacząc w bok, posłał gangarina. Nie za mocnego, niestety. Pięćset sondowań ludzkich stóp, żadnego posiłku, upał – to wszystko go wyczerpało. Mocy miał tyle, co kot napłakał. Ale starczyłoby. Gdyby trafił.

Potknął się o Ludminę i spudłował. Zakłęcie poszło w górę, z dachu runął jakiś gołąb. Topór zagwizdał mu przed twarzą.

– Poniechajcie go! – krzyczała Neleyka. – Mnie bierzcie!

Juriff próbował. Brać ją żywą. Dlatego tak marnie mu szło. Kijanka tłukła po ostrzu miecza jak kij-samobij z najnowocześniejszej pralni, wróżka miotała się, kopała, pluła. Była za szybka, zbyt wściekła, zdesperowana. Piękna w swej furii. To ją ratowało. Szczerbaty był mężczyzną, chciał ją poskromić.

Muszy też nie szło. Drugi gangarin, już całkiem słaby, otarł się o jego błędnik. Cudów nie działał, ale od tej pory topór mógł służyć jego właścicielowi jedynie do odzyskiwania traconej raz po raz równowagi. Musza nie przewracał się i ciał na tyle celnie, by utrzymywać Debrena w ciągłym ruchu, lecz z drugiej strony nie był w stanie zrobić magunowi najmniejszej krzywdy. Nie sposób powiedzieć, który z nich pierwszy znalazłby okazję do decydującego ciosu. Debrenowi udało się chwycić jeden ze stołków, miał więc czym ogłuszyć obezwładnionego czarem wroga. Tyle że czarować nie miał czym.

– Nie kocham go! Nikim on dla mnie! – wrzeszczała Neleyka, cofając się po zewnętrznych schodach na pięterko, z którego przerażona sąsiadka spieszenie ewakuowała garnki i zachwyconą widowiskiem dzieciarnię. – Innego miłuję! Od dziecka! Na zabój! Nikomu innemu się nie dam! Słyszysz, Musza? Mam tu pierwszorzędną cnotę! Twoją może być! Ostaw go, chłopofilu chędożony! Wypierdku! Obeszczającu! Samobijcu!

Podziałało.

Topornik odwrócił się i zygzakując dość rozpaczliwie z powodu urazu błędnika, pognął ku schodom.

Debren podniósł różdżkę. I posłał czar, wygarniając z mózgu ostatnie pokłady swej magunowej energii. Tyle że... w Lobkę, którego czekan już mknął ku opróżnionej z magii głowie.

Błysnęło, huknęło. Błyskawica była słabiutka, bardziej dymna niż ogniowa. A Lobka wciąż przygluszony i wściekły po trafieniu kijanką. Więc choć ze łba mu zaiskrzyło, na dobrą sprawę w ogóle nie odczuł magunowego uderzenia. Tyle że sam też chybił. Czekan otarł się tylko o ramię Debrena. A potem wytrącił mu z ręki stołek. Błysnął w górze. Z tyłu, pod kolanami maguna, poruszyło się coś miękkiego, woniejącego siwuchą, łajnem owcy, kielbasą i ekskluzywnym winem z Bomblogne. Debren potknął się, runął na plecy.

– Który to Debren Dumayczyk? – zahuczał młody, dźwięczny niczym dzwon, melodyjny głos. – Magun i czarokrążca? Hej ty, z czekanem! Nie na niego aby się zamierzasz?

Lobka obejrzał się i zamarł w bezruchu. Niewiele ryzykował. Mniej, niż ignorując intruza. No i był ciekaw.

W bramie stał wysoki, smukły mężczyzna. W ręku miał miecz, za pasem dobrze skrojonego kaftana samotną rękawicę, blaszaną, od zbroi, a na twarzy kocią maskę.

– Czego tu? – warknął Juriff. – Jeszcze jeden tyłkodajca do



Igona? Zbłądziłeś. Do zamku na prawo.

– Opuść czekan – zignorował go kołowaty. – Bo jak maguna usiecesz, z tobą będę musiał zastępczo walczyć.

Lobka splunął, wziął szerszy zamach. Debren zamknął oczy.

– Czekaj! – Juriff odwrócił się, odskoczył dalej od wróżki. – Czekaj, Lobka! Co żeś powiedział, kocurze?

– Żem tu na walkę śmiertelną przyszedł – rzucił dumnie zamaskowany. – Z tobą, Debren. Nie gap się tak głupio. Posyłanie rękawicy jest nad wyraz jednoznaczne. Zwłaszcza gdy się ma powody – zerknął wymownie ku wróżce. – Rozumiem je. I szanuję. Dlatego przyszedł. Czego, jak wnioskuję z twej miny, chyba się jednak nie spodziewałeś. I słusznie, bo nie jest przyjęte, już nawet tu, na zacofanym Zachodzie, by z każdym... To nie wczesnowiecze. Ale, jeśli dobrze pacholika zrozumiał, z panią Neleyką się w kwestii rękawicy skonsultowałeś. A ona w prawie jest... Walczmy więc. Wolno czarować. Gdzie twój miecz?

– Eee... Nie używam – wystękał magun. – Nie mam. Nigdy...

– Aha, naga magia? No cóż, to mówi wszystko. Ale zrób mi przysługę i weź do ręki miecz tego oto dobrego człeka – wskazał Juriffa. – Jak już czarem powalisz, dobrze byłoby dobić mnie czymś konkretnym. Co stał, to stał.

– Nie!!! – Od krzyku Neleyki zadrżały błony w oknach.

– Nie lękaj się – skłonił się kot. – Wynik jest z góry... – Ach – przerwał. – Rozumiem. Moja obecność tutaj... Wybacz. Od dwudziestu lat schodzimy sobie z drogi. W grodzie, teraz na tych balach... Alem musiał przyjść. Wyzwanie rzecz święta. Pociesz się, że to ostatni raz. I że trupa mego wnet ujrzysz. Debren, stawaj. Gdzie masz różdżkę? A, czekaj – wyjął spod kaftana biały pantofel, taki jak ten przechowywany w szkatułce, tyle że lewy. Ucałował, postawił na stole, obok szkatułki. – Na sercu – wyjaśnił. – Mógłby ci cios utrudnić.

– Marnie szermujecie? – podchwycił okazję Lobka. – To

może ja go...? Za grubla, taniutko. Co mi tam. I tak miałem...

– Trzy turnieje fechtunku wygrałem, chamie. Spróbuj jeno, to ja cię darmo... No, na bok. Debren, podnieś zadek. Nie upokarzaj mnie, walcząc na leżąco. Bez ostentacji, proszę.

– Nie!!! – wróżka zbiegła po schodach, omal nie przewracając Juriffa. – Nie możecie walczyć!!! Ja go kocham!!!

– Te kobiety – uśmiechnął się melancholijnie kot. – Dopiero co klęła się, że nie kocha. Ale zazdroszczę ci i tak.

– A, srał to pies – zdenerwował się Juriff. – Młodziaki! Obu utłuc! – Chwycił wróżkę za włosy, przytrzymał. – A ja ją idę wyobrać. Jak skończycie, przyjdźcie. Żywą wam ostawię.

Musza ruszył na kota. Wiszący nad magunem czekając drgnął.

– Nie!!! Stójcie, durnie! To wasz szwagier! Igon!

Lobka zdążył zatrzymać cios. Musza cofnął się.

– O czym ty...? – zaskoczony kot mrugał powiekami, to unosząc, to opuszczając klingę. – Oni... Była ich...?

– Była? – oburzył się Juriff, skacząc ku siedzącej w trawie Ludminie. – Jest! I będzie! Nawet kuleć za mocno nie powinna! Dobry szewc... Patrz, jaka to zdrowa dziewczucha! Rzepa! – Rąbnął siostrę w plecy, od czego ta oczywiście upadła. Zakłopotany, zaczął ją podnosić. – No, dawaj to! Poniuchaj! Twoja wymarzona! Wiejska kiełbasa, czyste gówno prosto od owcy!

Oszołomiony kot zdarł maskę, podszedł na miękkich nogach. Pochylił się, powąchał. I wstał. Powoli. Miał łzy w oczach.

– To nie ona – powiedział cicho. – Moja..., brzydsza była. Caluśka we wrzodach, bidula. Ale i tak bym... Głuptas. A ze mnie kretyń ostatni. Sam dekret pisałem, tą ręką... Żadnych owiec w stolicy, bo z biedą się kojarzą, z ziemią jałową, górską... Inwestorów odstrasza, a u nas prawie czarnoziem, najtłustsze woły wykarmi. Jedna owczarnia w mieście, za

moją osobistą zgodą, bom się nad dajkowymi bękarciętami ulitował. Kretyn, cholera. Pół tuzina razy obok przebiegłem.

– Biegi ćwiczycie? – zdziwił się Juriff. – W Dajkowym Zaułku?

– UOTr handlarza sprośnościami dokładnie wypytał, ale zdzierzyć nie szło... Sam musiałem, osobiście...

– Pół tuzina razy? – w głosie wróżki zabrzmiało coś dziwnie zbliżonego do współczucia. I zazdrości.

– Masz rację – rzucił z goryczą Igon. – Śmiej się. Głupiec. Na pamięć wasz raport znam. Z miejsca powinienem, jak tyko Putih... Alem wolał z rozpaczyny chłać, łbem durnym o ścianę... Korona, psiamać, do naprawy, pogięta cała... – Przejechał dłonią po czole, faktycznie podrapanym. – O świcie mnie dopiero oświeciło. Pognałem do dajkowego. Za późno. Żyły sobie... Neleyko – zwrócił się ku osłupiałej wróżce – ta suknia młynarzowej, coś ją Zanie na bal pożyczyla, nie ucierpiała. Złote serduszko miała Zaneczka. Zadbala o przyjaciółkę, zdjęła szatę. Choć tak jej spieszo było... Szelek nawet nie zdjęła. Wiesz, tych, co pod spódnicą, co na nich z balu kielbasy wynosiła, jadło... – Teraz już płakał z dłonią wspartą o pantofel Zany – Kopciuszka. Owrzodzonej od franczy dajki ulicznej. – Boże, tyle lat. Głodna, bita, biedna... A ja... kawior, kurwa! Kurwy po sto grubli za noc! I z żadną, nigdy... A ona tuż obok! Bydlę! Zabij mnie, Debren!

– Nie! – Neleyka podbiegła do maguna, zamierzyła się kijanką. Debren odskoczył. Lobka też. – Ubiję!

– Ty? – Książę nie patrzył, klęczał przy stole, całował sprośniak. Brudny. Ale godny całowania. Debren nie miał co do tego wątpliwości. – A wiesz, może to i lepiej... Pół włości ci w testamencie... Za połowę oczu to mało, ale siostrę mam, chorowitą ostatnio... Co i raz rzyga. Nie mogłem więcej. I tak się Rada piekli. No, a jak mnie trupem położysz, to ci nikt nie wytknie, żeś nieprawnie władzę wzięła. Po trupach się godzi. Tak, Neleyko. Dobra myśl. Daj jej miecz – rozkazał Juriffowi.

Szczerbaty, mocno zgłupiały, usłuchał. Neleyka, jeszcze bardziej oszołomiona, nie zamknęła palców na rękojeści. Miecz spadł, wbił się w ziemię. – Weź pomstę.

Debren skoczył. Musza w końcu przegrał z błędnikiem, rzygał właśnie jak Ollda, choć z innych powodów. Juriff był bez broni. I nie skończył wyciągać wniosków. Igon mało widział przez łzy, wróżka ślaniała się na nogach. Nie mógł czekać.

– Neleyka, w łeb szczerbatego! – krzyknął, łapiąc w biegu miecz i waląc rękojeścią w górę i w prawo. Prosto w głowę Lobki. Trzasnęło. Głośno. Lobka padł.

Neleyka, na pół ślepa od łez, machnęła kijanką jak przy praniu watowanego kaftana. Juriffem rzuciło aż w kąt podwórza, na rzygającego brata. Musza, mający problemy z równowagą, ale nie z rozważą, trafnie ocenił sytuację. I czmychnął.

– Poszaleliście?! – Igon poderwał się, z mieczem w dłoni przyskoczył do Debrena. – Od tyłu atakować?! Nie godzi się!

– Milcz, kretynie – warknął magun i na wszelki wypadek kopnął leżącego w głowę. – Pół księstwa jej zapisałeś? I po śmierć przyszedłeś? No to byś, do diabła, wnet znalazł. Od tyłu właśnie, skoroś fehmistrz. Neleyka, nie rycz. Podejdz lepiej, kozo uparta.

Nie drgnęła; stała i się trzęsła, wpatrzona zza łez w równie zażawionego księcia.

– Przecież go miłujesz. Zawsze go... Też ci ten czar zadali. A jak dalej nienawidzisz, to też podejdz, daj się powąchać. To mu dopiero serce połamie.

Igon upuścił miecz, popatrywał oszołomionym, pełnym strachu i nadziei spojrzeniem od stojącego obok Debrena do stojącej daleko wróżki.

– Zbliżcie się, cokolwiek was łączy. Po dwudziestu latach chyba by wypadało. Co, Igon, jeszcześ nie pojał? Sprośny bucik mało kosztuje. I wygodny dla kogoś, kto pierze. Oraz na

reumatyzm. Ale ja też zawałem, cholera. Mydło w podszewę od dołu szło, nie z góry, od nogi często mytej. Powinienem już wtedy... Ale mi nie przyszło do łba, że baba może być tak dumna. Dumna – poprawił się cicho, niechętnie. – Jest dumna, Igon. Głoduje, a na bal sama nigdy... Choć wróżkę z urzędu zapraszano. A ona nie wiedziała, że właśnie jej... Zanę posyłała, bo Zana bezrobotna, biedna. A sama po nocach suknie od ropy ze wrzodów prała. Nie chodziłaś, prawda? Igon po resztkę zapachu w pantoflu całkiem ogłupiał; gdybyś w sali z nim była, dawno by... No ruszże tyłek, durniu! Nie widzisz, że pod wiatr stoi? Łapże ją, bo zaraz padnie i prócz oka rozbity nos będziesz musiał do listy swych grzechów dopi...

Nie dokończył. Patrzył, jak bieżą ku sobie, jak księżę porywa wróżkę na ręce, niesie ku schodom, całuje, śmieje się, płacze, przyjmuje jeszcze głodniejsze, jeszcze bardziej bezładne pocałunki Neleyki.

Nawet nie zamknęli drzwi. Zebrał siły, zatrzasnął je za nimi telekinezą. Huknęły radośnie. Debren też się uśmiechnął, choć było mu trochę żal. Czuł zazdrość. Jakby wiedział, że drzwi nie otworzą się przez następne siedem nocy. I dni. Chociaż nie mógł wiedzieć. Nie doczekał ich otwarcia. Ollde mdliło, była zła i nadal była księżącą siostrą, choć już bez szans na dziedziczenie. Swoją udział w hucznym weselisku jej brata Debren ograniczył do przysłania listu z życzeniami. W liście nie było rachunku. Były dwie miedziane skopejki za ekspresowe pranie onuc.

Ostatnie, jakie zarobiła w ten sposób Neleyka. Zła wróżka z grodu Gusianiec.

# Księga druga

## Grzywna i groszy siedem

Drzwi były dębowe, okute żelazem. Solidne, choć bez przesady – miały wpuszczać możliwie często, a nie chronić przed rzezimieszkami. Czuć je było tanim mazidłem do zawiasów, rdzą, mokrym drewnem i sikami jakiegoś klienta, zbyt pijanego, by dowlec się w krzaki przy palisadzie.

Magią na pewno nie.

Debren powtórzył to sobie w duchu raz jeszcze, choć z trochę mniejszą stanowczością, a potem spróbował wstać. W głowie szumiało mu jak po uczciwej kwarcie marimalskiego słodkiego, ale z myśleniem nie było aż tak źle, więc na tej pierwszej próbie poprzestał.

– Twardy masz łeb, złodzieju – powiedział ktoś, kto właśnie postawił mu stopę między łopatkami. – Myślę sobie: wyjdę, mózg z kołatki zetrę, bo się kto porządny po ćmie upaprze. A tu proszę... Widać ci stryczek pisany, co i słusznym się zdaje, bo cóż to za kara, ot tak, szast-prast, od drzwi burdelowych ducha wyzionać? Lekka śmierć, a niejeden rzekłby, że i piękna.

Dziewczyna. Głos miała młody, trochę schrypnięty. Może od tej paskudnej trzydniowej siapawicy, ale może i nie. Nie zamknęła drzwi i po deskach ganku dmuchało gorącym i wonią skisłego piwa, a wiadomo, że gdzie mocno palą i szciodrze leją do kufli, o chrapliwe głosy nietrudno. W dodatku nie sprawiała wrażenia wystraszonej, a stopę bardziej opierała mu o kark, niż nią gniotła. Gdyby nie ból w łokciu...

– Pewnikiem tak sobie leżysz i dumasz: „A co mi tam, to jeno dziewucha, dech złapię, wstanę i takiego w rzyć kopniaka dam, że w locie staropanieństwa doczeka”. Zgadłam, he?

Oprócz łokcia bolał go nos, choć to czoło wzięło na siebie pierwszy impet atakujących znienacka drzwi. Krew chyba nie pociekła i to była jedyna rzecz krzepiąca w sytuacji, w jakiej się znajdował.

– Nie zgadłaś – wymamrotał. Trudno mówić wyraźnie, nie odrywając policzka od desek i uważając, by nie wbić sobie weń drzazgi. A głowy bez pozwolenia wołał nie podnosić.

– Nie? Myślałam, że się gniewasz. – Prawie widział błysk wyszczerzonych zębów.

– A za co? Na pęcherz nie ma mocnych. Zgaduję, że biegłaś za stodołę. Nadmiar piwa do kolacji, za szybko pchnięte drzwi...

– Źle zgadujesz. – Teraz na pewno się nie uśmiechała, a ucisk na kręgosłup dość gwałtownie wzrósł. – To gród, kmiecie jeden, tu się za stodoły nie biega. A wiesz czemu?

Stała z prawej, a on leżał na ganku prawym policzkiem do dołu. Niedobrze. To znaczyło konieczność zadania ciosu bolącym łokciem, w dodatku na oślep.

– Bo „Różowy Królik” to porządny zamtuz i każda z was dostała służbowy nocnik? – spróbował.

– Nie, obwiesiu. Bo w grodzie ma być ład, kultura i moralność. Za świecenie zadkiem płacisz grzywnę i groszy siedem, a za paskudzenie w miejscu publicznym sąd grodzki...

– Mogę wstać?

Pomyślała chwilę. Potem coś zimnego dotknęło szyi Debrena.

– Jak zechcę, to cię tym do podłogi przygwożdżę. A jak będziesz kręcił, to zechcę. Więc nim zaczniesz wstawać, udziel mi z łaski swojej paru szczerych odpowiedzi. Twoje imię?

– Moje imię nic ci nie powie. Nie jestem stąd. – To coś zimnego, przylegające bokiem do jego szyi, cofnęło się

i ukłuło. – Debren. Debren z Dumayki.

– Masz rację – przyznała. – Nie powiedziało. Czego szukasz w Vijuće?

– To długa historia. A na leżąco źle się gada. Gdybyś pozwoliła...

– Posłuchaj, Debren. – Cofnęła ostrze. – Zimno jest, mnie marzną nogi, ty cały marzniesz, boś się tu chyba rynsztokiem czołgał. Nie przeciągajmy tego. Co cię sprowadza w środku deszczowej nocy do „Różowego Królika”? Tylko nie mów, że szukasz kobiecego ciepła i grzanego piwa. Tutaj, widzisz, kończy się cywilizowany świat. Nie mówię o „Króliku”, tylko o Vijuće. A na końcu świata nic nie ma za darmo. Najeżdżają nas tu rok w rok, wały niszczą, handel psują, ludzi w niewolę...

– Nie przeciągajmy, jak słusznie zauważyłaś. Rozumiem, w czym rzecz. Drogo tu u was wojna kosztuje.

Przydeptała go mocniej czymś twardym, co brał za obcas, ale co było chyba bosą piętą. Nie miał pewności. Peleryna z krowiej skóry, ściągnięta z jakiegoś ludzkiego szkieletu w górze rzeki, była sztywna jak deska. Co, nawiasem mówiąc, nie uchroniło jej poprzedniego właściciela przed kummońską strzałą, którą Debren znalazł między kręgami kościotrupa.

– Nie masz sakiewki – stwierdziła chłodno. – A za te łachy, co je nosisz na sobie, Mama Dunne nawet do swojej kozy cię nie dopuści, o dziewczkach nie wspominając. Jesteś tak goły, Dumayczyku, że na twoim miejscu zaczęłabym się poważnie rozglądać za grzywną i siedmioma groszami. Bo tu u nas, widzisz, za świecenie...

– Już mówiłaś – przerwał grzecznym tonem.

– A... psiakrew, faktycznie. Powtarzam się, wybacz. To przez te złodziejskie ceny. Mama Dunne na piwo żałuje, dla personelu ma tylko gorzałkę. A to zdradzieckie świństwo, trudno wymierzyć.

Późno, bo późno, ale Debren przypomniał sobie, że zna



stosowne do okoliczności zakłęcie. Było prościutkie, nieme. Wygrał je swego czasu od pewnego handlarza win z Bomblogne; spisane ukradkiem na kawałku pergaminu stanowić miało dodatek do puli i dlatego kupiec wycenił je bardzo konkretnie – na półtora dukata irbijskiego. Jak każda cena, i ta była względna. Właściciel dał pewnie dużo więcej za umiejętność oceniania ilości samogonu, którym nieuczciwi kontrahenci zaprawiali szlachetne trunki z marimalskich winnic. Debrenowi w zupełności wystarczało własne podniebienie i na jarmarku nie zapłaciłby za coś takiego złamanego grosza. Teraz jednak sztuczka mogła się przydać.

Wypowiedział w myślach formułę. I zaklął. Już nie w myślach.

– Co tam mamrociesz? – zaciekawiała się dziewczyna. – Ejże, nie pozwoliłam ci...

Odskoczyła. Miętko, po kociemu. Teraz miał już pewność, że jest boso. Noga, przyciskająca przez pelerynę jego plecy, zjechała na kark. Podbicie stopy miała miękkie, jak ktoś, kto przeszedł przez życie w butach. Było też zaskakująco ciepłe.

Nie była na pewno prostą wiejską dziewczuchą ani nawet typową dla wielkomijskich domów uciech półsierotą z podgrodzia. Klęcząc na skraju pomostu, Debren przede wszystkim próbował zwymiotować cokolwiek, miał jednak dość siły, by odnotować to spostrzeżenie.

– Masz szczęście, że nie na schody, kmiotku. Bo sprzątać po tobie ani mi się śni.

Mdłości przeszły szybko. Żołądek był pusty, to pomaga. Przede wszystkim jednak poratował się zastrzykiem adrenaliny. To coś, ostre i zimne, wciąż wisiało nad jego plecami.

– Wybacz, księżniczko – wymamrotał. – Pirrend to już nie ta modra rzeka, co niegdyś... Przekąsi człowiek rakiem, na pozór zdrowym, wodą popije... I tyle z tego pożytku.

– Coś powiedział? – głos dziewczyny stwardniał i ochłódł.

– Jeśli cię uraziłem, to wybacz jeszcze raz. Cofam tę krzywdzącą opinię. W porównaniu w rzekami na wschodzie...

– Zamknij się. – Przez chwilę było cicho, choć nie do końca. O zadaszenie ganku postukiwały krople deszczu. Było też nieprzyjemnie. I też nie do końca. Miało to jakiś związek z tą dziwną dziewczyną, roztaczającą wokół siebie aurę kogoś, kto doskonale wie, jak wykorzystywać zimne i ostre przedmioty. Należało się jej obawiać i Debren w pełni podporządkował się temu instynktownemu nakazowi. Ale było coś jeszcze. Nie potrafił tego nazwać.

– Wstaniesz teraz i wejdiesz do środka. Chcę widzieć twoją twarz, kmiotku. I lepiej, żeby była to szczerą twarz.

Trąciła go ostrzem w pośladek. Dźwignął się, a potem, idąc ku drzwiom, próbował dyskretnie ocenić, co oprócz miecza może mu przeciwstawić. Jej kocią zręczność i talent do ustawiania się w odpowiednim miejscu docenił od razu. Wyglądało to niby naturalnie, a przecież wciąż pozostawała niewidoczna jak jego własne ucho.

W połowie drogi zadziałał nagle nieszczęsny półtoradukatowy czar. Dopiero teraz Debrenowi zaświtało, że to prawdopodobnie on wywołał mdłości. Z wrażenia potknął się o coś, co leżało tuż przed progiem. Stłukł sobie palec, z trudem złapał równowagę.

– Możesz stanąć przy kominku i ogrzać tyłek – usłyszał suchy głos.

Izba nie była wielka jak na karczmę, ale też „Różowy Królik” nigdy chyba nie miał być karczmą. Oba wspierające strop słupy zdawały się zajmować pół zastawionego stołami wnętrza i o wiele bardziej pasowałyby do jakiejś potężnej fortyfikacji, był to jednak wybór w pełni świadomy i przemyślany. Stawiający budynek cieśla – raczej on sam, bez pomocy snycerza – usunął z przesadnie masywnych pni nadmiar drewna, nadając podporom ludzkie kształty. Kształty nie były niczym osłonięte, raczej na odwrót. Prawy

przedstawiał cycatą babę, lewy, od którego drwał, zgodnie z zamówieniem, nie odrąbał jednej solidnej gałęzi – wpatzonego w nią chłopca. Cieśla jak to cieśla, miał trochę przyciężką rękę, więc trudno było dociec, czy głupawo uśmiechnięty osobnik wpatruje się w drugi słup, czy bardziej w gałąź. Wystroju dopełniało parę dużych nisz ściennych pokrytych barwnymi freskami. Przedstawiały mężczyzn i kobiety. Wiele osób i jeszcze więcej Najwymyślniejszych póz i pozycji.

– Nie gap się – warknął dziewczęcy głos i coś mało delikatnie dźgnęło go w plecy. – Tu za gapienie się trzeba płacić. Te świństwa wliczone są w cenę jadła i napojów. Możesz się odwrócić, kmiotku.

Jeszcze przez chwilę sycił dłonie ciepłem płonącego w kominku ognia, a oczy widokiem malowidła z kąpiącymi się wieśniaczkami. Potem powoli odwrócił się na bosej pięcie. I pogratulował sobie powściągliwości.

Dziewczyna była o wiele za duża na skuteczny cios łokciem, nawet zdrowym. Ostatnimi czasy spotykało się sporo takiej dorodnej, strzelającej pod powalę młodzieży, co czarodzieje pospołu z władcami tłumaczyli wzrostem dobrobytu, kapłani bożą łaską, a cynicy militarnymi sukcesami Draklenów przed piętnastu-dwudziestu laty. Wciąż jednak chłopcy górowali wzrostem nad dziewczętami i takie jak ta, mierzące przeszło sążeń pannice, spotykało się rzadko. Może i nie była wyższa od Debrena, ale niższa nie była na pewno. I to na bosaka. Poza tym, choć niby szczupła i mająca do pokazania kształty ciekawsze od dam znad kominka, rozrosła się nie tylko w górę. Ani płócienna koszula nad kolana, ani nałożona na ten nocny strój skórzana tunika, modna wśród zacieźnych knechtów, nie były w stanie ukryć przed światem mocnych łydek i zaokrągleń bicepsów. Bez wątpienia była silna.

Była też ładna na swój sposób.

W dłoni, dość niedbale, trzymała nie miecz, jak sądził, ale

zdjęty znad paleniska rożen.

– Na wstępie chcę ci przypomnieć, że pozory lubią mylić – powiedziała, śmiało patrząc mu w twarz.

Oprócz ognia w kominku przy drzwiach paliły się jeszcze dwie żywiczne szczapy, lecz światła z tego wiele nic było i nie umiał określić barwy jej oczu. Włosy miała ciemne, na pewno nie odziedziczone po jakimś drakleńskim zagończyku i nie dość szybkiej w nogach matce. Ich koloru również nie potrafił jednak odgadnąć. Widział tylko, że są wilgotne, choć z ganku pod deszcz nie schodziła, a dach nad gankiem aż tak bardzo nie przeciekał.

– Świadomie używam słowa „przypomnieć”, kmiotku, bo teraz widzę, żeś żaden kmiotek. Bywałeś w świecie.

– Bywałem. – Wolał czekać i słuchać, niż mówić. Ochryply, niosący zapach gorzałki głos dziewczyny podobał mu się. Chociaż nie pracowała tu na pewno jako śpiewaczka.

– To dobrze. Podróże wzbogacają wyobraźnię i uczą pokory. Człek bywały nie pomyśli: „Plwać na gówniarę, pijana jest, skoczę, za kudły złapię, nim się obejrzy, a jak się szarpać będzie, to za karę jeszcze wychędożę porządnie”. Człek bywały wie, że pijana baba z brudnym rożnem może być gorsza niż wilkołak, bo sama nie wie, gdzie uderzy.

– Nie jesteś aż tak pijana, księżniczko – posłał jej lekki uśmiech, choć wygrany w kości czar zawiódł go srodze. Zero wina, sto procent domieszki w poddanym badaniu trunku; do rzyci z takimi testami. A choćby napomknąć, ile owego trunku w siebie wlała, to już nie łaska?! – I skakać na ciebie nie zamierzam. Niezależnie od tego, jak pewnie stoisz na nogach.

Coś załśniło złowrogo. Może oczy, może lepiący się od tłuszczu pręt różna.

– Już drugi raz mnie tak nazwałeś – powiedziała pozornie obojętnym tonem. – Jeśli zrobisz to po raz trzeci, nie podając powodu, może cię spotkać duża krzywda. Ja, widzisz, mieczem chłopca na pół przeciąć potrafię. Nie z góry na dół, co

prawda, jeno w poprzek, ale to też wystarczy, nie uważasz?

– Wybacz, księ... – ugryzł się w język. Dziewczyna nawet nie drgnęła. – To taka językowa maniera, trudno nad tym zapanować. Nie ma nic wspólnego z kpina i wytykaniem komukolwiek niskiego stanu, ale miałaś prawo poczuć się urażona, więc raz jeszcze przepraszam. – Odczekał chwilę. – Nie bierz tego za złośliwość, lecz to, co trzymasz w ręku, to nie miecz, tylko...

– Wystaw sobie, że wiem – przerwała mu gniewnie. – I że różnem tak samo do grobu cię poślę, jeśli gadać z sensem nie zaczniesz. Czego tu szukasz, Debrenie z Dumayki? Szczerze, bez krętactw.

Słuczony drzwiami nos działał coraz lepiej, najwyraźniej blokada była tylko chwilowa albo kupieckie zakłęcie nałożyło się jakoś na poprzednie. Czuł wyraźnie nie tyle zapach, co brak zapachu kobiecego ciała. W połączeniu z silną wonią najtańszego z szarych mydeł, mięty i odrobiny aromatu wędzonki, oznaczać to mogło tylko jedno: że dziewczyna trafiła tu wprost z kąpieli. Mikstura z miętowych wyłoczyn przyprawionych sadzą z komina uchodziła za znakomity środek do mycia głów. Odstraszała nietoperze, które, jak wiadomo, lubią wplątywać się w ludzkie włosy.

– Głównie książek – powiedział z lekkim roztargnieniem. Próbował dowiedzieć się o ciemnowłosej czegoś więcej poza tym, że przesadnie lubi czystość i boi się nietoperzy.

– He? – Przez chwilę była zbyt zdziwiona, by okazywać gniew. – Powiedziałaś: książek? – Potwierdził skinieniem. – Woda w Pirrendzie jest chyba brudniejsza, niż władze przyznają, boś do reszty zgłupiał. Czy to – wymierzyła różnem w słupobabę – to ci wygląda na bibliotekę?! Wiesz w ogóle, co to takiego biblioteka?!

– Słyszałem, że macie tu parę ksiąg. Nie tyle co w bibliotece, ale za to cennych. Moich.

Zrobiła krok przed siebie. Mogła teraz łatwiej przebić go

rożnem, lecz chodziło jej chyba tylko o lepsze oświetlenie. Tak czy siak, stała bliżej i pachniała wyraźniej. Gorzałką przetrawioną jakiś czas temu. I inną, świeżą, wylaną dopiero co z gąsiora.

– Twoje księgi? A kimże ty jesteś, gołodupcu, żeby mówić o swoich księgach? Poetą z pijaństwa wracającym? Poborcą podatków, którego zbój Yenoszczyk dopadł? Domokrażcą z tych, co to Księgę Świętą w wersji obrazkowej prostaczkom sprzedają? Nie, wróc. Prostaczków pobożnych nie brakuje, najgłupszy na tym handlu by aż tak nie zbiedniał. No więc kim jesteś, Debren?

Wolałby, by zamilkła. Mieszanka zapachów z jej ust – a teraz, gdy czar zadziałał z pełną mocą, sięgał węchem znacznie głębiej – zbyt mocno drażniła zmysły, maskując resztę. Ale nie dlatego jej powiedział.

– Magunem.

Najpierw zbladła, co dostrzegł mimo podłego oświetlenia. Potem poczerwieniała. Chyba. Teoretycznie mogło to być posinienie albo i trupia zieleń. Rożen nadal skierowany był w glinianą podłogę, nieco przed prawą, cofniętą stopą, Debren jednak nie łudził się. Od chwili, gdy oberwał znienacka drzwiami, ani razu nie był tak bliski śmierci.

– Czarokrażca – powiedziała cicho, przez zęby, do samego końca wahając się między wypowiedzeniem tego słowa a pogardliwym splunięciem. Milczała wystarczająco długo i Debren zdążył nazwać to coś, co tłumila wieczerza z dużą ilością cebuli, samogonu i wędzonych ryb. – Badacz magii i układacz nowych zaklęć. Patrzcie, patrzcie... Cóż za zaszczyt dla naszych niskich progów. Nie dość, że czarodziej, to jeszcze magun.

– Nie tak niskich. – Usiadł na obmurówce paleniska, zaczął rozcierać stłuczoną, zabłoconą stopę. – Mało sobie palca nie złamałem. Pirrend aż tak wylewa?

Nie pchnęła go czworokątnym prętem, który był krzywy,

tępy, ale wystarczająco zabójczy, by wyjść plecami, choćby przez kręgosłup. Prawie wiedział, że nie pchnie. Prawie.

– Nie o próg się potknąłeś, panie czarnoksiężniku. – Jej głos uspokoił się, ochłódł. – To deska, wcześniej zawieszona na kołatce. Z napisem: „Nieczynne aż powiem. Idźta gdzie indziej. MD”. MD znaczy Mama Dunne. Ciekawe, że taki uczony pan dwóch zdań nie umie przeczytać, względnie treści przeczytanej zrozumieć.

– Próbowałem. Ciemno tam jednak, jak w...

– Widzę, żeście próbowali, wielmożny panie. Macie plamę inkaustu na czole, coś jakby bukwa „o”, choć może to guz. Złamaliście tę deskę waszym uczonym czerepem. Myślę, że życie wam ocaliła. Jakby tak który ćwiek trafił, o kołatce nie wspominając...

– Zawsze tak gości przyjmujesz... księżniczko?

Zaryzykował. I nie przeliczył się. Czubek różna drgnął tylko o cal, po czym znieruchomiał.

– Bez dwóch zdań mistrz magii pełną gębą – powiedziała przez zęby. – Bezczelny i arogancki. Co z tego, że w jednych portkach i śmierdzącej kapocie? Od razu widać, kto zacz. Proszą: nie włącz, a on włązi. Proszą: waż słowa, a on nie waży. Cały magik czarokleta, nic dodać, nic ująć.

– Nie lubisz czarowników, księżniczko – stwierdził z lekkim uśmiechem.

– Wyczytaliście to z moich myśli, panie Debren?

– Nie czytam ludziom w myślach. To trudne i niegrzeczne. A w twoim wypadku całkiem zbędne. Księżniczko – dokończył z premedytacją.

– Uważaj – mruknęła. – Widywałam magów na wojnie. I tych normalnych, co różne użyteczne zaklęcia bojowe rzucali, i magunów, którzy skanowali magię nieprzyjaciela, ostrzegali, co się kroi, i nosy wysoko nosili, wodzom doradzając. Wszyscy oni ginęli dokładnie tak samo jak zwykli śmiertelnicy. Czasem tylko bardziej zdziwieni, że miecz zdążył

przed czarem. Zasada trzech razy nadal obowiązuje. Jako kmiotek nie wyczerpałeś limitu, ale jako mistrz magii... już tak. Wytlumacz się z tego albo wyczaruj sobie migiem zbroję.

– Za stary jestem, by szybko zmienić nawyki. – Bez pośpiechu zdjął skórzaną pelerynę, rzucił w kąt, nastawił nagie plecy na ciepło ognia, uśmiechnął się błogo. – Uch, ależ miło. Nie masz pojęcia, jak przemarzłem przez te trzy dni. Ząb mi na ząb nie trafia.

– Ja czekam, wielmożny.

– Ja też czekam, kruszyno. Na twoje imię. Czy choćby wzmiankę na temat profesji, stanu... Nie wiem, jak się do ciebie zwracać. Więc na wszelki wypadek mierzę wysoko.

– Na początek przestań kpić – warknęła. – Byli już tacy, co podśmiewali się z mojego wzrostu. I też im ząb na ząb nie trafia. Z braku zębów.

– Nie kpię. Wbrew powszechnemu mniemaniu nie każdy z nas jest aroganckim chamem. Dlatego mam do ciebie prośbę, dobra niewiasto. Wyświadcz mi przysługę i usiądź na tym zydlu, zamiast przymierzać się do kopnięcia nim we mnie. Bo widzisz, grzeczność nakazuje mi stać, gdy dama stoi obok, a ja nóg nie czuję.

Przysunęła stółek nogą, jeszcze niezdecydowana.

– Nie jestem dobrą niewiastą. Ani siostrą, że uprzedzę. Ani zabcią, kaczuszką, serdeńkiem, dziureczką słodką, panienką, ślicznotką... – urwała, widząc sztuczną, wystudiowaną powagę Debrena. Usiadła z rozmachem, aż zydel stęknął. – Jestem Lenda Branggo, z podwójnym „g”. Ale nie nazywajcie mnie tak.

– Nie będę. Dzięki, Lenda.

Siedzieli jakiś czas. Blisko. Między ich bose stopy weszłyby jeszcze jedna, ale nie więcej. Za daleko na dobre kopnięcie, na sztych różnem – w sam raz.

– Przysuń się bliżej ognia – powiedział cicho. – Przecież widzę, że ci zimno.



– I co jeszcze widzicie, wielmożny? – Nie poruszyła się.

– Nie nazywaj mnie tak. Wystarczy Debren. A widzę, żeś tu przygnała prosto z balii. Nie wytarłaś się dobrze i jest ci zimno. Głównie dlatego... – urwał.

– Nie krępuj się, Debren. Strasznie mnie ciekawi, ile jest prawdy w tym, co się o wiedzących mówi. Że tacy bystrzy.

– Masz gorączkę – uśmiechnął się lekko, ostrożnie. – Nic groźnego, po prostu... No, jesteś kobietą. Wiesz, o czym mówię.

– Wyobraź sobie, że wiem. – Chyba się nie obraziła. – I nawet wiem, skąd ty wiesz. Nienawidzę tego i zawsze wściekła łązę, jak mnie to nachodzi. Łatwo poznać. Szlag mnie trafia, że tatko nie postarał się lepiej i nie spłodził syna. Wam to dobrze. – Oparła pręt o stół, założyła nogę na nogę, schyliła się lekko, sięgnęła dłonią do stopy. – Cholerna Dunne, drzazg tu wszędzie... Nie bój się, Debren, to już z górki. Jeszcze ta noc, a potem miesiąc spokoju. Już mi złość mija, krzywdy ci nie zrobię. O ile, rzecz jasna, w uczciwych zamiarach tu przyszedłeś.

– W uczciwych. Nie jestem medykiem, ale trochę się na tym znam. Jeśli pozwolisz...

– Obejdzcie się. Paznokcie mam dłuższe, a i oczy niegorsze. Wydłubię sobie sama.

– Ja nie o tym – powiedział, choć to właśnie na mocno odsłoniętą nogę dziewczyny się gapił. – Ciebie coś boli, Lenda. Jakaś źle gojąca się rana, trochę ropy chyba... Gorzałka z ziołami dobra rzecz na źle gojące się rany, ale...

Zastygła z pochyloną głową, łypiąc ponuro oczami spod smolistoczarnej grzywki.

– Kim ty jesteś? – zapytała głuchym głosem. – Kto cię przysłał?

– Już mówiłem: magunem. I nikt mnie nie przysyłał. W ogóle nie wybierałem się do Vijuki; nocą mieliśmy pod murami przepłynąć.

– Na południe, na Żółte Pola? – zmrużyła nieładnie oczy. – Jak daleko? Bo chyba nie do samego ujścia Pirrendu?

– I owszem. Do samego morza, a potem za morze. Dostałem robotę na galerze. Nie pogańskiej, nie patrz tak. Genza ciągle jeszcze parę kolonii nad Mrocznym Morzem trzyma. Koń mi okulał w górze rzeki, więc przesiadłem się na flisacką tratwę. Miało być szybko i tanio, choć retman nie krył, że i nie całkiem legalnie. Podobno macie tu embargo na spław drewna.

– Ja od polityki stronie. – Mówiła powoli, bacznie mu się przyglądając. – Zamtuzy powinny być apolityczne, nie uważasz? Ale z drugiej strony... Za przemytników nagrodę w ratuszu dają. Czemu miałabym na ciebie nie donieść, he?

– Bo dobra z ciebie dziewczyna. Bo ja też apolityczny jestem. Bo płynąłem tratwą, by dostać pracę i na chleb zarobić, bo tak jak tobie ani mi rodzaj pracy szczególnie nie odpowiada, ani chleb słodko smakować nie będzie I na koniec: bo jestem magunem. Co oznacza, że moja przyjaźń dużo bardziej się od nieprzyjaźni opłaca.

– Do pierwszych kurów jeszcze trochę – zerknęła na zawieszoną nad szynkwasem klepsydrę. – Ratusz zamknięty, pośpiechu nie ma. Mów dalej, Debren.

– Historia jest krótka i prozaiczna: flisacy wzięli zapłatę za przejazd, ale uznali, że to mało, więc w nocy opadli mnie śpiącego, sznur z kamieniem na szyję zarzucili i w wodę zepchnęli. Mój dobytek popłynął na południe rzeką, a ja gonię go pieszo. Trzeci dzień.

– Dużo tego było? Bogate z ciebie panisko?

– Ubrania, różdżka, parę groszy w srebrze. No i księgi. To o nie głównie chodzi.

– Zgaduję, że nie gnasz tak zaciekle za Królewną i siedmioma zbereźnymi krasnoludami Flintusa ani niczym podobnym. – Powróciła do wyciągania drzazgi z nogi. – Jaki pan, takie księgi. Twoje są pewnie o czarach. Czyli słono

kosztują.

– Widzę, że znasz się na literaturze. Tylko tej fachowej, którą Mama Dunne w ramach kursów doskonalenia zawodowego wam czyta, czy tak w ogóle?

– W ogóle. A odpowiadając na twoje określone pytanie: nie, nie pracuję tu w klasycznej dla długonogich dziewczek roli. Trochę za długie mam te nogi, tylko klientów bym straszyla. Oficjalnie jestem odźwierną. Znam się na tym, jak chyba zauważyłeś. – Debren zaprzestał rozcierania guza, względnie buki „o”, poślinionym palcem i uśmiechnął się fałszywie. – Widzisz, tutejsi mieszczanie zacofani są, nie szanują niewiast. Lubią zacząć pochędożkę od paru szturchańców i na paru skończyć, a to towar psuje i ceny zbija.

– Światły Wschód znalazł na to receptę – zauważył Debren.

– Dobry wykidajło z tęgą pałą czyni cuda.

– I tu tak było, póki się Kościół nie wtrącił. Nowy biskup jak nastał, lat temu ze trzy, z miejsca zapowiedział, że ład boży ma być i z relatywizmem moralnym to on raz-dwa skończy. No i zakazał chłopów w zamtuzach zatrudniać, że niby męskie kurewstwo to szatański wymysł i walczyć z tym trzeba bardziej niż z poganami. Moim zdaniem przesadził, bo jak chłopom dobrze się we własnej kompanii gorzałkę żłapie, poluje i mieczami rąbie, do czego bab nie dopuszczają, to pewnie i w łóżku sami sobie nieźle radzą. Ale sądzić się z przewielebnym nie będę, bo na dobre to nam, białogłowom, poszło. Raz, że niektórzy z braku laku ku żonom się na powrót zwrócili, a dwa, że sporo posad się zwolniło. Bo władza, jak to władza, durna jest i ślepa, więc wprawdzie tu i ówdzie gładcy chłopaczkowie dalej po cichu tyłka dają, ale za to wszystkich stajennych, parobków, wykidajłów i szynkwaśnych na bruk posłano. Dziewki posiniaczone chodziły, klienci się rozbestwili. I tak dostałam pracę. W samą porę, bo wojenna rana jeszcze mi się nie zagoiła, a pieniądze wyschły. Miałam krzepę, wprawę, no i nosiłam spódnice, więc mnie Mama

Dunne przygarnęła. Płaci słabo, ale nie narzekam. Łażnię w piwnicy za to tu mają.

– Rozumiem. – Z pewnym wysiłkiem oderwał wzrok od jej kolana, podniósł wyżej, popatrzył na pierwszą w życiu osobę, która przy wyborze posady kierowała się bliskością łaźni czy chociażby żartowała w tak oryginalny sposób. – Te blizny to po strzale? – Zmrużyła gniewnie oczy i naciągnęła niżej koszulę. – Wybacz, nie moja sprawa.

– Zgadza się. Moje blizny, rany i babskie krwawienia ciebie nijak nie dotyczą. Jesteś magunem, twoja nieprzyjaźń się nie opłaca, więc docień mój gest, idź do stajni i prześpij się tam do rana. Sam i tylko na sianie, ale za to gratis. I bez duszy na ramieniu. Zdecydowałam, że nie odprowadzę cię do ratusza. Do stajni idzie się prosto i w lewo, trafisz i bez posługiwania się magią. Dobrej nocy. Debren.

– Dobranoc, księżniczko.

– I jeszcze dwie sprawy. Po pierwsze nie czaruj, póki tu jesteś. Choćby miały to być całkiem niewinne czary, A po drugie: jak cię rano koguty obudzą, otrzep słomę i idź swoją drogą. Nie życzę ci źle, ale my tu ostatnio nie lubimy czarokrąźców. Podrzucę ci kawałek chleba, może jakieś chodaki... Niejedno klienci zostawiają, zdziwiłbyś się. Ale nie zachodź mówić: „Do widzenia”. Ostatni raz się widzimy. Bez urazy. I nie wychodź z tej stajni przed wschodem słońca. Przysięgnij.

– Nie wyjdę.

\*\*\*

Koni w stajni nie było, za to siana sporo. Budynek sąsiedował z mieszkalnym, więc Debren wspiał się po drabinie na wyżkę, po omacku, bez czarowania wyszukał kawałek cieplejszej ściany i zaczął mościć zaciszne gniazdo. Nie jako pierwszy chyba: najpierw trafił stopą na gąsiorek, pusty, ale wyraźnie jeszcze pachnący ziołowym likierem,

słodkim paskudztwem, z niezrozumiałych powodów cieszącym się wśród mieszczańskich dziewcząt opinią wykwintnego napoju prawdziwych światowców, a potem, już po zawieszeniu na krokwi przemoczonych spodni – także na dziurawą derkę pod siodło. Była stara, niewiele warta, ale ktoś ją wyprał przed przyniesieniem tutaj. Teraz pachniała myszami, kobiecym potem i przynajmniej trzema mężczyznami. Debren owinał się nią, zagrzebał w słomie i błyskawicznie zasnął.

Nie był pewien, co go obudziło. Dach stajni, nie dość że wciąż obstukiwany palcami deszczu, kryty był glinianą dachówką i trzeba by się zdrowo naczarować, by ustalić, gdzie wisi księżyc i jak wiele czasu minęło, odkąd widział słabą poświatę nad narożnikiem ostrokołu. W każdym razie było jeszcze całkiem ciemno. Spał krótko. Za krótko, by słabe posapywanie mogło go wyrwać ze snu.

Leżał bez ruchu. Wsłuchiwał się. Bardziej w aurę tego miejsca, nieme szepty wibrujące w ciemności niż w poskrzypywanie desek i stłumione pojękiwanie gdzieś w dole. Pojawiło się coś, czego przedtem nie było.

– Oooch... miły mój... oooch, tak... tak. – Głos był raczej kobiecy niż dziewczęcy. – Rozpalasz mnie. Płonę cała.

Debren już wiedział. Prawie. Żeby zyskać całkowitą pewność, musiałby się odezwać, ale nie chciał tego robić. Wyczuwał obecność trzeciej osoby. Dziwną, bardzo nietypową.

No i obiecał Lendzie nie czarować.

– Na Machrusa... jak ty to... oooch. Coś ty zażył? Matko... jakby kto wrzątkiem...

Deska skrzypiała, teraz jakby wolniej. Jakby... bojaźliwie... Nie, bzdura. Debren powtarzał sobie, że powinien się skoncentrować i albo zasnąć, albo zabrać się do rzeczy jak na fachowca przystało. Ale był zbyt zmęczony i bolała go głowa. Trochę od czarów, trochę od drzwi.

– Ja nic, aby śledzia na wieczerzę czosnkiem przegryzłem.

Deska jak deska, ale on jest przestraszony, ocenił magun. I bardzo młody.

– Pani Dunne... to chyba... Mnie też się ciepło zrobiło. Co to...?

– Ooooch, mój ty słodziutki. Dorzucę ci jeszcze pięć... nie, cztery... tylko rób tak dalej. – Przez chwilę było cicho, jeśliby pominąć skrzyp drewna. – Jak mówiłeś? Śledzie i czos... Oooo...!

Debren machnął ręką na zasady, pomógł sobie zaklęciem i zasnął.

\*\*\*

Twarz była okrągła, nalana. Rozdęta jak czerwony spocony księżyc i jak księżyc upstrzona krostami. Przykryta od góry snopem na elektryzowanych włosów niczym tarcza srebrnego globu, nad którym przemyka garść komet. Widział oczy, szeroko rozwarte, czarne, płonące, i usta rozchylone bezwiednie. Lśniące śliną. Usta kogoś głodnego, skręcającego się z głodu. Śliny było mnóstwo, przelewała się przez szerokie wargi ospowatej gęby, przez rzadkie, pojedyncze włosy wyrastające z cofniętego podbródka. Kapała... na głowę. Jego głowę. Ozdobioną guzem, względnie bukwą „o”.

Jasny szlag – dach przeciekał. Dokładnie nad nim, choć deszcz ustał, a przed zagrzebaniem się w sianie Debren upewnił się, że te akurat dachówki są całe i leżą jak powinny.

Podniósł się, by przesunąć derkę. I usłyszał krzyk.

Kobieta. Gdzieś za ścianą... Chyba. A może kot? Wiatr?

Słuchał. Szczekania psa, daleko, może nawet na podgrodziu. Śpiewu jakiejś wesołej kompanii pijackiej, dużo bliżej, bo wyławiał nawet pluśnięcia tych, co padali w kałuże, i rechot pozostałych. Dźwięku piszczałki strażniczej na wałach. Chrobotu myszy.

Krzyk się nie powtórzył. Sięgnął po spodnie i wzdrygnął się

od lodowatej wilgoci. Mógł pójść nago, ostatecznie to zamtuż, dookoła palisada na półtora chłopca... Ale Lenda.

Położył się po chwili wahania. Nie, nie chciał spotkać tej wyrosniętej pannicy, nie nago, osłonięty jedynie własnymi, skrzyżowanymi wstydliwie dłońmi. Nie ona krzyknęła. Ciekawa sprawa, koty podejrzewa, wiatr, a tego jest pewien – że nie ona. Do niej by...

Dość. To nie Lenda Branggo z podwójnym „g”. A bieganie po Vijuce i świecenie wiadomo czym kosztuje grzywnę i groszy siedem.

Zanim ponownie zapadł w sen, przypomniał sobie o obietnicy. Ciekawe.

\*\*\*

Przyszły rano, między wschodem słońca a pierwszymi kogucimi pieniami. Na tyle wcześnie, by zaskoczyć go we śnie i na tyle późno, by nie szukać po ciemku. Mądrze, ale też nie głupiec nimi dowodził.

– Ksemi, stań tu i mierz w prześwit. – Kiedy szeptała, jej głos nie brzmiał tak szorstko. – Szczapa, jak to trzymasz, durna babo? Kogo chcesz dźgać, szczura? Grotem do góry. Tfymajfie fę folelną dwabinę...

Tym razem była w butach. Do pół łydki, kawaleryjskich, ale bez ostróg. Z prawego sterczała kościana rękojeść noża. Drugi nóż trzymała w zębach. Opinające zgrabne nogi spodnie, ta sama co poprzednio tunika, wzbogacona medalionem koła popłatnego, w rękach pałka jak u draba z dzielnicy portowej, włosy ściągnięte do tyłu, mocno za głowę związane.

Było szaro. Wciąż nie rozpoznawał barwy jej oczu. Rozczarowanie i błysk desperacji rozpoznał.

– Tak myślałam. – Teraz, gdy napotkała jego przytomne, trochę kpiące, a trochę ostrzegawcze spojrzenie, plany uległy zmianie i nóż z ust powędrował do lewej dłoni. – Tylko uczciwi śpią twardo. I pijacy. Trzeba było cię porządnie

ugościć. Mój błąd.

– Witaj, Lenda. I wy, szanowna pani kucharko.

Pyzata niewiasta o poklejonych ciastem włosach omal nie odpadła od lewej drabiny. Przeżegnała się szybko i nawet udało jej się nie zgubić ściskanego w garści pogrzebacza, widać było jednak, że sama na wyżkę nie wejdzie. Za to przez ostatni szczebel prawej drabiny przelazły szybko aż dwie. Młodziutka, wystraszona, oburącz ściskająca tasak, w taniej lnianej sukieneczynie, i chuda, mała, trzy razy starsza, o urodzie, fryzurze oraz czystości wysłużonej miotły. Ta była ubrana w nieco znoszoną zieloną suknię z adamaszku, wciąż wartą tyle co dobry wół, a w charakterze dodatku do niej dźwigała krótką kolczugę i toporek.

Cała trójka zatrzymała się tuż przy drabinach, dobre dwa sążnie od zagrzebanego w słomie czarodzieja.

– Nie wiem, w czym rzecz. – Debren usiadł, zagarnął więcej słomy na brzuch i biodra. – Ale zostańcie tam, gdzie stoicie, póki sobie tego nie wyjaśnimy.

– Kupą – syknęła ta o urodzie miotły. Debren szybko złożył palce, wymierzył wprost między małe blade oczy. Kobieta cofnęła się, omal nie przekroczyła ostatniej belki, za którą było dziesięć stóp pustki, twarde klepisko, a może i Szczapa ze zwróconym już prawidłowo grotem.

To je trochę otrzeźwiło. Całą trójkę. Kucharka już wcześniej na dobre i złe przyrosła do drabiny.

– Nie szukam zwady. – Święta prawda, szukał brzegu derki i sposobu owinięcia się nią tak, by wypadło to godnie i mało żałośnie. Przekłete baby. – Może trochę zabarłóżyłem, wybaczcie, ale już sobie idę. Nie chcę kłopotów.

– Daj tu tę kuszę, Ksemi – rzuciła przez ramię nieładnie uśmiechnięta Lenda. – A ty, Debren, nie strasz. My tu same niewiasty, ale nie z tych strachliwych. Większych od ciebie chwatów się w „Różowym Króliku” na łopatki rozkłada, ostatnie soki z nich wyciska i półżywych za wrota ekspediuje.



– Wierzę – zmusił się do równie nieprzyjemnego uśmiechu. – Ale kuszę zostawcie na dole. Bo krew się poleje. Babska. I nie mówię o twoich ciężkich dniach, księżniczko.

– Dudkaj się – warknęła. – Ksemi!

Znowu zademonstrowała szybkość i kocie wyczucie przestrzeni. Za plecami obu pozostałych, gdzie praktycznie nie było miejsca, w dodatku wpychając w biegu kord między zęby i nie tnąc ani policzków, ani warkocza tej z tasakiem, dopadła wolnej drabiny. Ksemi, może nie tak szybka, za to reagująca na pierwsze zawołanie, już tam była, już podawała zza belki myśliwską lekką kuszę.

Zabrakło im dwóch stóp. Debren uderzył odruchowo, gangarinem, w dodatku mocno. Na szczęście mało precyzyjnie i na szczęście ta miotłopodobna potknęła się, klapnęła tyłkiem na belki. Ktoś pisnął; „Łój!”, czyjeś nogi zadudniły o szczeble, szcęknęła zapadka kuszy, a potem, niedaleko, ale już za ścianą, rozległ się przeraźliwy kwik.

– O Machru! Zabili! Na śmierć zabili! – zapiszczał histerycznie cienki, kobiecy głos na dole. – Ksemi zabili Matko Bożyca! Matko Dunne!

– Kupą – wymamrotała wiedźma w kolczudze. Zaczęła się podnosić, po czym usiadła z powrotem i wytrzeszczając przerażone oczy, zwymiotowała wprost na zielony adamaszek swej spódnicy. Debren, korzystając z chaosu, przeturlał się na bok, wyrwał derkę spod pośladków, przerzucił na wierzch. Młodziutka, blada jak jej gieżło, zamknęła oczy i z rozpaczliwym jękiem machnęła tasakiem w stronę maguna. Tasak zawirował, minął Debrena, uderzył w kalenicę, odłupał wielką drzazgę, strzaskał dwie dachówki i spadł na podłogę.

Coś zakrztusiło się kwikiem, plasnęło w błoto, ucichło,

– Nic... nic mi nie...

– Żyjesz, Ksemi?! – Znów histeria, dla odmiany radosna. – Żyjesz!

– O kuwwa wats... – Splunięcie: złością i resztkami strachu. I trzymanym w ustach nożem. – Dosyć! Cisza, powiadam! Zamknij dziób, Szczapa, i zobacz, kogo tak... Na połamane członki Machrusa, mam nadzieję, że to żaden z tych zboczonych gówniarzy, podpatrywaczy zasmarkanych...

Debren gorączkowo zmagał się z derką, bezskutecznie próbując zawiązać ją sobie wokół bioder.

– O matko... – Szczapa już nie krzyczała. Stała chyba w otwartych drzwiach, bo zrobiło się jaśniej. Choć może to dzięki dziurze w dachu. – Zabili. Chy... chyba całkiem.

– Toć żyję – stęknęła Ksemi.

– Maciore zabili, naszą Łaciatkę... Bełt z niej sterczy. Taka dobra świnią, Bożycu miły... Ani zipnie. Kałuża cała we krwi.

Zrobiło się cicho. Zielona dyszała ciężko, dziewczeczka z warkoczem wciąż nie otwierała oczu. Kucharka znikła.

– Wyjdźcie – powiedziała półgłosem Lenda. – A ty, Debren, jeśli masz co chować pod tą szmatą, przestań wyżywać się na dzieciach i zwierzętach. To nie dla ciebie przeciwnik. Ze mną się zmierz, sam na sam. Uczciwie i bez czarowania. Tu i teraz.

– Z tobą, bez czarowania? – wykrzywił cierpko usta. – To chyba w łożu.

Słońce stało już wyżej, niż myślał. Udało mu się dostrzec, że pociemniała na twarzy.

– Stawaj, tchórze – syknęła.

– Goły, przeciw dziewce postury niedźwiedzia? Dzięki, nie skorzystam. Zawołaj lepiej swoją panią, czas chyba pogadać z kimś rozsądnym.

Przykucnęła, podniosła wypluty przed chwilą nóż. Mały, poręczny, z kościaną rękojeścią. Bardzo paskudny. Debren napiął mięśnie.

– Czekaj, Lenda. – Kobieta w kolczudze dźwignęła się chwiejnie, odrzuciła wiecheć słomy, którym przetarła sukienkę. – Czekaj. To naprawdę czarodziej.

– Zaraz tak go palnę, że odechce mu się raz na...

– Zawrzyj gębę, dziewczko głupia. Jak każę, to palniesz, ale nie teraz.

Debren, trochę zdziwiony, zerknął najpierw na Lendę, zaciskając usta w bladą kreseczkę, potem na tę drugą, której głos w końcu rozpoznał.

– Bo jeśli to nie ten, którego szukamy, to chyba pomoże nam znaleźć tamtego. – Wzięła się pod kościste boki, zadarła wyżej ostry, trochę ptasi nos. – Bez szemrania i wkładając w to cały swój magiczny kunszt. A wiecie czemu, panie Debren? Boście właśnie przelali tę obiecaną babską krew. Najdroższą, jaką mam w swoim żywym inwentarzu, może wyłączając Ksemi, która dziewictwo jeszcze nosi i z dobrego domu tu trafiła. Łaciatka to nie taka sobie zwykła świnka, to królowa wśród świń. Z Depholu była, sztuką tamtejszych magów od ryja aż po ogon uszlachetniona i droga jak cholera. Jesteście mi winni duże pieniądze, mistrzu Debren, i odpracujecie je teraz. Czy to jasne?

– Jasne – powiedział z powagą. – Jasne, Mamo Dunne.

\*\*\*

– Dobra jajecznicą – przetarł usta rękawem pikowanego kaftana, pozostawionego pod „Różowym Królikiem” przez jakiegoś roznamiętnionego kupca. – Żal, że jajek w niej tak mało. Dolej jeszcze tego grzanego, Ksemi. Zimno w tej waszej stajni.

Dziewczyna, wciąż trąc stłuczony o drabinę łokieć, skwapliwie sięgnęła po parujący dzban z przyprawionym korzeniami piwem. Bała się Debrena. Wszystkie się go bały i pewnie dlatego izba świeciła pustkami. Z drugiej strony – to był wciąż dom uciech. Mało ucieszny w tej chwili, lecz rządzący się swoimi prawami. A te mówią, że personel bez ważnych przyczyn nie wstaje z łoża przed południem.

– Wystarczy – rzuciła Lenda głosem zimniejszym niż stajnia. – Możesz odejść, Ksemi. I zabierz dzban. Pan

czarokrążca jest na służbie, a na służbie się nie pije.

Dziewczyna z wyraźną ulgą znikła za drzwiami kuchni. Dochodził stamtąd stukot naczyń i woń zacierki. Debren pomyślał, że personel czyni słusznie, nie spiesząc się na śniadanie.

– Tym piwem nawet dobry czarodziej nie dałby rady się upić – powiedział z wyrzutem. – Jeśli takim samym raczycie gości, to nie dziwi mnie ten zastój w interesie. Cienkusz, aż w brzuchu piszczy. Już wolałbym trochę twojej okowity. Apetycznie pachnie.

– Mojej okowity? – Lenda posłała mu kosę spojrzenie. Debren odwzajemnił się zdziwionym półuśmiechem, po czym popukał się lekko po nosie. – Dudkaj się. I przestań węszyć psią modą. Bo cię ktoś w końcu jak sobakę odruchowo potraktuje.

Siedziała wsparta łokciami, po męsku, i opuszką palca gładziła klingę spoczywającego na blacie miecza. Delikatnie. Miecz był ostry.

– Dunne nie chce się przyznać, ale wierzy w to, w co, jak twierdzi, nie wierzy.

– Że Bóg was pokarał? Za wszystkie wszeteczeństwa, jakie tu mają miejsce? – Starał się wykazać, że potrafi jeść zachłannie i mówić równocześnie. – Powiedziała przecież wyraźnie, że to wroga robota konkurencji. Dużo głupich plotek, odstraszających klientów, i parę mętnych faktów, które różnie można interpretować.

– Dunne nie użyła tak wyszukanych słów. To prosta baba, zaczynała od wypasu gęsi na grodzkich łąkach. A te fakty... – dotknęła kolistego medalionu. – Nigdy tego tutaj nie nosiłam, bo to chyba obraza boska. A teraz, widzisz, noszę. Żołądek masz mocny, Debren? To chodź. Pora spłacić dług.

Wetknęła miecz do pochwy i nie patrząc za siebie, ruszyła ku schodom. Dopiero teraz, oglądając ją jak przedtem Ksemi, magun zwrócił uwagę na jej specyficzny sposób chodzenia.

Stawiała stopy trochę szerzej, jak kawalerzysta po długiej jeździe w mało wygodnym siodle. I ciągnęła za sobą zapach też nieodparcie z wojskiem się kojarzący: gorzałki i zasypki do onuc, której jeźdźcy – fakt, że ukradkiem – niemowlęcą modą używali. Nie była tak czysta jak wtedy, nocą, ale też Debren dawno zrezygnował z podostrzania zmysłów magią i nie raziły go różne niemiłe dodatki do zapachu kobiecego ciała. A ten był miły. W ogóle nieporównywalny z godnym kozła bukietem, jaki roztaczała wokół siebie Mama Dunne, a i – choć w mniejszym stopniu – prawie każda z dziewczyn. Czystość wyszła z mody jakieś dwa wieki temu, gdy zaczęły się kłopoty z opalem.

Próbował nie myśleć zbyt wiele, jaka to dolegliwość, wymuszająca częste stosowanie wody, zasypek niemowlęcych i kawalerskiego kroku, mogła przytrafić się Lendzie Branggo z podwójnym „g”. I nawet udało mu się. Problem polegał na tym, że w miejscu takim jak „Różowy Królik” niepotrzebne były długotrwałe przemyślenia w tej kwestii, zaś wnioski narzucały się same, niezależnie od woli stawiającego sobie pytania. Przykre wnioski, zbyt słabo łagodzone świadomością, że comiesięczne kobiece dolegliwości w skrajnych przypadkach mogą dawać podobne objawy. Przykre było głównie to, że w ogóle zaprzętał sobie myśli osobą odźwiernej w podrzędnym zamtuzie. Coś niedobrego działało się najwyraźniej z jego głową. Cholerna kołatka na cholernych drzwiach.

– Powiedz, co o tym myślisz – odezwała się półgłosem Lenda, stając przed innymi drzwiami, jednymi spośród kilkorga ciągnących się szpalerem wzdłuż ciasnego korytarzyka. – Ale mów cicho, dobrze? Ona... Spowiednik się z nią nie dogadał, ale kto wie: może coś do niej dociera. A i bez tego...

Weszli do izdebki tak ciasnej, że umeblowanie – łóżko i zydel – wydawało się aż nazbyt wykwintne. Debren

podziękował losowi za zwykły, ludzki, w dodatku zakatarzony organ węchu. W izbie śmierdziało. Ropą z mięsa, które spłonęło, lecz wciąż żyło nieszczęściem, bólem i śmiercią, także balsamem, gorzalką i ziołowymi wywarami stosowanymi w polowych lazaretach. Tanimi. Mieszanką, której nienawidził.

– To Ruda. Tak ją wołali. – Głos Lendy był gładki i napięty jak pas do ostrzenia brzytwy. – Nie mówi dobrze po naszymu. Co nie ma znaczenia, bo od początku nie dało się z niej niczego wydobyć. Nawet porządnego krzyku. Aż dziw, że miała siłę przeżyć.

– W nocy krzyczała – powiedział Debren. Nie po to, by sprostować. Chciał przeczyścić w ten sposób zaschnięte gardło.

– Nie ona.

Kobieta – bo to chyba była kobieta – miała spaloną głowę i sporą część szyi, wyłamane paznokcie i czort wie ile obrażeń niżej, pod prześcieradłem, niegdyś białym, a teraz miejscami rudobrunatnym. Oddychała chrapliwie. Żyła. Nie wiadomo dlaczego.

– Boli ją – powiedział Debren.

– Teraz śpi.

– Odsuń się.

– Co chcesz...? – urwała. Odepchnięta pod drzwi patrzyła, jak czarokrążca kładzie dłonie na bezwłosej bryle smażonego mięsa, przykrywa powieki, spod których żar wytopił galki oczne, słuchała wymawianej półgłosem formuły.

Trwało to trochę dłużej niż dwadzieścia uderzeń serca. Potem magun wyprostował się, zawahał, naciągnął prześcieradło na upiorną mozaikę pęcherzy, sadzy i przeświecających spod spalonej skóry kości. Prześcieradło było krótkie i u dołu odsłoniło brudne, zdarte do krwi stopy o skurczonych w męce palcach. W połączeniu z urazami dłoni dowodziło to, że Rudej nie dana była łaska szybkiej utraty

przytomności, tak częściej przy uderzeniach skoncentrowanym żarem magicznego pochodzenia. Debren zerknął na podłogę i bez zdziwienia odnotował obecność wielu świeżych, wyżłobionych paznokciami i piętami rys w warstwie starego kurzu i w deskach.

– Już nie będzie boleć – mruknął.

– Zabiłeś ją – szepnęła.

– Błąd w sztuce – stwierdził wyczyszczonym z emocji głosem. – Za daleko posunięte znieczulenie. Powinienem był przerwać ćwierć pacierza wcześniej. Obudziłaby się jeszcze parę razy, powyła trochę, zmyła męką część ziemskich grzechów. Może nawet dożyłaby do wieczery. Cóż... Na moje szczęście nie była stąd. Nie ma rodziny, nikt mnie do sądu nie poda.

– Zapominasz o Dunne – przełknęła z wysiłkiem ślinę – Prawo... W świetle prawa pozbawiłeś ją cennej pracownicy. Ruda była ładna... przedtem. Byli tacy, co złotem za nią płacili.

Wyszli, starannie zamykając za sobą drzwi. Oboje spoceni. Ale też w izbie było ciepło.

– Jak to się stało?

– Jak? Ludzie mówią: kara boska. Grom z jasnego nieba. Boży ogień.

– Bez metafor. Widział kto ten grom? Słyszał?

– Wybaczcie, panie czarodzieju. – Wsparła się o ścianę, może by ulżyć miękkim kolanom, może dla przybrania niedbałej pozy dziewczyny nie tylko jak chłop dużej, ale jak chłop twardej, a może dlatego, że korytarzyk był ciasny i stojąc pośrodku, prawie się o siebie ocierali. – Konkretnie, bez spekulacji. Macie rację: żaden grom, bo huku nikt nie słyszał, pomijając ten, jaki padający mnich czyni, a rzecz się działa dobrze po zmierzchu, więc i jasne niebo nie.

– Mnich?

– A ty myślałeś, że dlaczego Mama Dunne byle gołodupca do takiej sprawy bierze? Mało to w Vijuce wróżbitów różnych,

czarodziejów od wiedzy posiwiałych, zaklinaczy? Ciebie akurat zatrudniać musiała? – Debren milczał. – Tani jesteś, fakt. Ale przede wszystkim nie stąd, przyjezdny. I ma cię w garści. Mocniej niż myślisz.

– To znaczy?

– Mówiłam ci już, że tu chłopom w zamtuzie grosza zarobić nie wolno. Jak wchodzisz, próg aby przekraczasz, zapłacić coś musisz, choćby oberżniętego miedziaka. Bo inaczej na urodzive dziewczki zerkniesz, na malowidła, atmosferą upojną odetchniesz. Krótko: korzyści zaczerpniesz. Nie płacąc. A to gorzej niż przestępstwo podatkowe, choć i to popełniasz. To jest, Debren, grzech. Kościołowi się sprzeciwiasz. A u nas Kościół Machrusowy mocny, twardy. Było nie było, przedmurze machrusańskiego świata. Jedno słowo Dunne, a spalą cię jak wiedźmę. Za czerpanie korzyści z nierządu mimo noszenia portek.

– Rozumiem. Będę milczał albo dymił. A ten mnich... Nawracał tu? Spowiadał?

Parsknęła przez nos. Ryzykownie, bo oprócz chrypy miała lekki katar. Ale dobrego obyczaju nie naruszyła.

– Co robił, to on wie, a i też Ruda oraz Machrus w niebiosach. Ja ustaliłam tylko, że dziewczynie opaliło głowę i kieckę przy dekolcie, a braciszкови głównie brzuch, bliżej dołu. Habitowi nie czyniąc szkody. Jak wpadłyśmy, wisiał przewieszony przez poręcz łoża. Habit, nie mnich.

– Ten ogień... daleko sięgnął? Coś się zapaliło?

Lenda rozłożyła dłonie. Na jakąś stopę z kawałkiem.

– Po mojemu tyle tego było. Braciszкови wypaliło włosów od pół uda, górą piersi nie sięgając. – W głosie nie miała rumieńca, za to na twarzy aż nadto. Debrenowi nie drgnęła powieka. – Widziałeś kiedyś takie cuda, mistrzu?

Zastanawiał się. Długo.

– Co się stało z mnichem? Przeżył?

– Nie. Od razu... To chyba serce. Gruby był, niemłody. –



Wahała się chwilę. – Wrzuciłyśmy go do rzeki. Cichaczem, chyba nikt nie widział, bo dwa dni minęły i cisza.

– Pięknie. – Odwrócił się, ruszył z powrotem ku schodom, nie sprawdzając, czy Lenda idzie za nim. – Widzę, że nie ja jeden tkwię po szyję w gnojówce.

– Wiesz, co to mogło być, Debren?

Zignorował pobrzmiwającą w głosie dziewczyny prośbę. Wciąż czuł stłuczony łokieć, guz na czole i troszeczkę upokorzenia. Troszeczkę – ostatecznie nie but na karku postawiła, a stopę, ciepłą jeszcze po kąpieli.

– Mówiłaś, że ludzie plotkują, boją się przychodzić. To znaczy...

– A znaczy, znaczy. Zaczęło się dużo wcześniej. Latem, przed żniwami. Wiesz, jak to jest na przednówku: ludzie pieniędzy nie mają, ceny trzeba spuścić, żeby klienta zwabić. Ruch miałyśmy spory. – Pokonali schody, ruszyli przez jadalnię czy może poczekalnię, płosząc jakieś senne kury. – Wojsko się na wyprawę karną zjeżdżało, w stepy iść mieli, jak co roku. Może jakowyś paskudnik się trafił, magik niedouk, nietrudno o takich wśród zaciężnych. A może ktoś z kurii się wściekł. – Byli już na ganku, mogła unieść rękę i wskazać. – Tamten dom widzisz? Znany kupiec winny w nim mieszka, często go biskupowi nawiedzają, a z piętra nasze pięterko widać. Lato gorące było, dziewczyny przy otwartych oknach pracowały, a zdarzało się, że i jaki nieokrzesany strzelec konny w środku dnia przez okno pęcherzowi ulgę dawał. Bo bez przerwy tu grzeszyli, dzień i noc; duże zaciągi w tym roku były. Mógł kto zobaczyć, boskiej kary wezwać. No i zaczęło się. Ruda i ten mnich pierwsi nie byli, tyle że przedtem nigdy aż tak... Coś dziwnego się tu dzieje. Dziewki gadają, że czyjś wzrok na sobie czują, ciepło się z nagła wokół robi, włosy dęba stają i w ogóle... Obecność czyjaś, powiadają, daje się wyczuć. Z początku to je Dunne za takie bajanie tylko grubym słowem i różgą traktowała, bo rzecz się działa głównie w łożu i pod

klientem rozochoconym, a dla porządnej ladaczniczki wstyd, hańba i poważny defekt podobnych emocji w trakcie roboty doznawać. Od smarkul i cnotek je wyzywała. Ale potem jedna z drugą razem z klientem goło na podwórze pierzchali, oboje ciężko przestraszeni, a w miasto wieść poszła, że w „Króliku” coś gorszego od francy i obicia mordy może się gościowi przytrafić. Ktoś puścił plotkę, że to od niejawniej klątwy biskupa, a sekretariat kurii niby nie potwierdza, ale i dementować nie chce. Mamie Dunne dano ponoć do zrozumienia, że głos zabiorą, jak się sytuacja wyjaśni, a do wyjaśnienia poważnej ilości światła potrzeba. W grę wchodzi ponoć setka talarów w świecach woskowych albo srebrze. Nie dziwota, że prawie się Dunne ucieszyła, jak jej jeden klient, z różdżkarstwa się utrzymujący, podpowiedział, że podobne efekty daje działalność nie tylko niebios, ale konkurencji. Albo perwersa w czapce niewidce. I że za mniejsze pieniądze da się może sprawę zbadać, a może i bez pieniędzy, drzwi jeno i okna dobrze zamykając na noc. Bo i po prawdzie częściej się takowe przykrości przytrafiały tam, gdzie każdemu wstęp wolny jest. W krzakach, w drewnutni...

– W drewnutni? – zdziwił się Debren.

– Nie patrz tak na mnie, niczego się tu nie robi, czego sobie klienci bardzo wyraźnie nie życzą. Jeden czeladnik katowski modę na drewnutnię ponoć wprowadził, mocno przy miłowaniu pieńkiem się wspomagając... No, mniejsza o szczegóły. W każdym razie pewna prawidłowość dała się tu zauważyć. Wychodziło na to, że czujność może mocno pomóc. To dlatego Dunne gania mnie jak wachmistrz rekruta, a tyś drzwiami po łbie oberwał. Pomyślałam, że to może ten przypalacz niewidzialny się zakrada. A jak nad ranem Ksemi z wrzaskiem się zerwała, że ją ognista łapa po kpie pomacała, tośmy wspólnie do wniosku doszły, że twoja to sprawa, no i poszłyśmy do stajni.

– To nie ja.

– Nie mówię przecie... Myślisz, że z tą karą boską to może być prawda? Dokąd my idziemy, Debren? Do stajni?

Pchnął drzwi z dziurą po żadnym babskiej krwi bełcie, wdrapał się na zasłaną słomą i sianem wyżkę. Lenda, marszcząc gęste, jaśniejsze od włosów brwi, przyglądała się nieufnie, jak wodzi dłońmi po ścianie. Nie skomentowała obmacywania odłamków strzaskanych tasakiem dachówek. Nerwy puściły jej dopiero, gdy podniósł derkę i wtulił w nią twarz, badając zapach.

– Widzę, że gustujesz w rudych – uśmiechnęła się brzydko.

– Uważaj tylko, by ci pchła w nos nie wpadła. Estrenka nie ma w zwyczaju wodą i mydłem ich płoszyć.

– Kto to jest Estrenka? – wytrzymał szydercze spojrzenie.

– Ta złodziejska wywłoka, która tak słodko ci pachnie. Myślałam, że czarodzieje mają lepszy gust. – Zrozumiała Jego milczące pytanie, dokończyła mniej chętnie: – Dorabia tu na boku, żeby się z firmą nie dzielić. Jak się Dunne dowie, to jej nogi z tego tłustego zadka powyrywa, ale póki co... Mnie za czujność płacą, ale za donoszenie już nie. Prawda jest jednak taka, że i mnie pośrednio na tej szmacie okradają ze dwa, trzy razy na tydzień. Musiałeś mieć słodkie sny, Debren.

Nie podjął zaczepki. Odłożył derkę, raz jeszcze przeciągnął dłonią po belkowaniu dachu. Potem zszedł na dół i zaczął, jedną po drugiej, obmacywać deski pustych końskich przegród. Lenda została na stryszku. Pewnie po to, by wymierzyć derce sprawiedliwość za pomocą miecza.

Skrzypnęły drzwi.

– To właśnie ten. – Dunne cofnęła farbowaną na dziwny odcień wrzosu głowę, przepuściła przodem ubranego w czerń mężczyznę. – Debren go wołają.

Czarno odziany przybysz miał pod pięćdziesiątkę, strój podróżny wymięty, ale buty przyzwoite. Chyba dopiero przed chwilą odrzucił na plecy głęboki kaptur. Stał, wyglądając przerzedzone włosy i wpatrując się chłodno w maguna.

– Koła nie widzę – warknął. – Nie wiecie, że nie godzi się czarów czynić bez znaku świętego na sercu?

– Medalik straciłem razem z resztą dobytku – powiedział wolno Debren. – Jeśli pytani nie kłamali, to powinien być gdzieś w skarbczyku Mamy Dunne. Pytani wspominali o czterech flisakach, którzy przehulali pod „Królikiem” księgi, siodło, różdżkę i parę innych drobiazgów. Moich chyba, bo zestaw nietypowy.

– To nic do rzeczy nie ma. – Mężczyzna cofnął i bez tego cofnięty podbródek naindyczył się. – Grzeszysz, człowieku. Kogo ty mi wpychasz, Dunne? Mało nas Bóg doświadczył?

Obaj czekali na wyjaśnienia. A Dunne bladła coraz wyraźniej. Mimo nowej sukni, bordowej, czystszej i jeszcze droższej w czasach świetności, nie wyglądała na właścicielkę dobrze prosperującego zamtuza. Z drugiej strony „Różowy Królik” prosperował coraz gorzej. Debren zadumał się nad tym. Potem zerknął na trzecią od bramy końską przegrodę. I znalazł odpowiedź.

– Darujcie, panie Su... – urwała, blednąc jeszcze bardziej. – Łaski się dopraszam. Mówiliście... nikt tutejszy. On nikomu... Darujcie – głos jej się załamał, zrobił piskliwy.

– Zgrzeszyłaś, Dunne. – Mężczyzna błysnął czarnymi jak węgle oczami. – Żyjesz w brudzie, ty i dziewczki twoje. Pana naszego obrażasz. I Pan cię moją ręką ukarze. Do lochu, ale już!

– Ja? – kobieta jęknęła, splotła błagalnie palce. – Dlaczego ja, masz tyle dziewczek, młodszych, ładniejszych... Ja już nie...

– W końcu coś mądrego – roześmiał się nerwowym śmiechem. – Już nie, Dunne, dobrze powiedziane. Za głowę ci płacę, durna babo, nie za zadek ruchliwy i gładkie plecy. Nie plecami zarabiasz na nasz wspólny chleb i nic się nie stanie, jak krwią spłyną. Co powiedziałem? Biegiem! I wina każ znieść na dół, do oczyszczalni, bo czuję, że nielekkie będzie grzechy z ciebie pędzić.

Dunne wypadła ze stajni. Biegiem i zalewając się łzami.

Debren czekał. Żołądek miał o połowę mniejszy.

– Są z natury nieczyste. – Czarnooki, przecierający ślinę z cofniętego podbródka, zaskoczył go spokojnym brzmieniem głosu. Póki się nie zagłądało w jego źrenice, przypominał wachmistrza, co to tępego rekruta przeraźliwie obsobaczy, a za rogiem namiotu już nie pamięta. Debren jednak zagłądał. – Bóg je, powiadają, z żebra człowieczego stworzył, ale zastanawiałeś się kiedyś, czarokrażco, którądy to żebro wyciągał? Bo blizny nie pozostały. – Zaśmiał się jeszcze raz, w ten sam zgrzytliwy i nieszczerzy sposób. – Światli mężowie badający Księgę dawno do tego doszli, ale to nie ten gatunek wiedzy, który się prostaczkom z ambony przekazuje.

– Dzięki – skłonił się lekko Debren. – Dzięki za podzielenie się wiedzą nieambonalną.

– Miałem na myśli, żeś nie prostak. Dwa razy się zastanowisz, nim coś głupiego uczynisz. Na przykład rozpowiadać zaczniesz, żeś mnie tu widział. Żeś mnie kiedykolwiek gdziekolwiek widział – poprawił się czarny. – Tacy jak ty, koła pod błahymi pretekstami nie noszący i po zamkach bez wstydu paradujący, miast swoje zrobić ukradkiem i do kościoła bieć, by duszę z grzechu oczyścić, nader łatwo źle kończą. O ile wielkiej przezorności nie okażą. Ty lata swoje już masz, więc wnioskuje, że język za zębami potrafisz trzymać. Dlatego zostawiam cię chwilowo ufając w twój rozsądek. Ze szlaku wracam, muszę rozejrzeć się, co słyhać. Ile głupie baby napsuły. Znajdź tę tykę Lendę i powiedz, że ma być na twoje usługi. Magun ponoć jesteś, fachowiec od tłumaczenia zjawisk wszelakich z czarami związanych. Wdarłeś się tu, jak twierdzi Dunne, bardziej złodziejską albo i gorszą modą, ale ja dam ci szansę i drabom miejskim ani biskupim nie wydam. Udowodnij, żeś profesjonalista, znajdź odpowiedź, kto lub co dziewczki mi tu psuje, a jeszcze zapłacę. Więc bierzcie się z Lendą do roboty.

Do wieczora chcę znać fakty albo zerwę z nią umowę. Dokładnie tak jej powtórz; zerwę umowę. Ona zrozumie.

Wyszedł, nie fatygując się zamykaniem drzwi. Debren oparł się o poczerńiałe deski zagrody, zakołysał, pogwizdując cicho. Ścianka skrzypiała trochę głośniejsz niż podłoga stryszku, a potem drabina.

– Co dalej, czarokrążco? – zapytała Lenda, siląc się na spokój.

– Podśłuchiwałaś, to wiesz. Jesteś na moje usługi. – Przestała się silić, splunęła wyzywająco, choć niezbyt obficie, na klepisko. – Bez obaw, nie o takich myślę.

– O jakich myślisz, toś właśnie powiedział. – Debren przestał się kołysać i zaczął się zastanawiać, co począć z oczami. – Mam nadzieję, że myślisz nie za bardzo intensywnie, bo nic z tego nie będzie. Nigdy.

– Lenda...

– Nie bierz tego do siebie, Debren. To dłuższa historia, Po prostu przyjmij do wiadomości i więcej nie poruszajmy tego tematu. Jeśli masz jakieś inne zachcianki...

Usiadł na odwróconym korycie, wskazał dziewczynie miejsce obok. Nie skorzystała, wybrała najniższy szczebel skośnie ustawionej drabiny.

– Na początek powiedz, z kim miałem wątpliwą przyjemność mówić. Co to za jeden?

– Suswok? Twój chlebodawca. Nieoficjalnie, ma się rozumieć. Chłop jest pełną gębą, aż nadto pełną, powiedziałabym, a tu u nas, jak wiesz, chłopom nie wolno czerpać korzyści z zamtużnego przemysłu. Więc oficjalnie nikt go tu nie zna.

– Chlebodawca? – skrzywił się Debren. – Chyba na kaszę przejdę. Lenda, nie zauważyłaś, że to szaleniec? Znałem jednego telepatę, który komuś takiemu w głowę zajrzał. Krew mu uszami poszła. Telepacie.

Lenda przyglądała mu się spojrzeniem bez wyrazu.

– Pan Suswok zasiada w Radzie Miejskiej i jest powszechnie szanowanym przedsiębiorcą budowlanym. Ten dom też zbudował, choć, jeśli wierzyć papierom, nie dla siebie. Ale ja nie bardzo wierzę. Nie pracuję tu długo, lecz zdążyłam zauważyć, że pan radca zjawia się zawsze jak duch i zawsze za dnia, gdy nie ma obcych. Albo w czapce niewidce, albo... – postukała obcasem w klepisko. – Ma kamienicę ze sto kroków stąd, choć to już inna ulica. A w Vijuće, musisz wiedzieć, mówi się o prastarych katakumbach od czasu, gdy książę Vij pierwszy pał pod gród wkopywał. Suswokowi majstrowie to tu, to tam fundamenty w mieście kładą. Kto, jak nie on, pierwszy by się o jakichś zapomnianych tunelach zwiędział?

– Czegoś nie rozumiem – podrapał się po zarośniętym policzku. – Teraz pada, ale Żółte Pola słyną ze słonecznej pogody. Miasto rzadko w błocie tonie. Po cóż sekretne przejścia utrzymywać, stemplami drogimi podpierać, łeb o belki drapać, skoro można wygodnie, butów nie brudząc... Czerpanie korzyści karalne jest, ale przecież jako klient może tu Suswok bez problemów i po trzy razy dziennie zaglądać.

– Gdzie ty oczy nosisz, Debren? Jeszcześ nie pojał? Toć to pieprznęty dewot, którego sam biskup przestał do pałacu zapraszać, bo mu przytyki do bezbożnego prowadzenia czynił. Łamie się w sobie, by tu nie zaglądać, pości, krzyżem po wszystkich świątyniach zalega, babom służebnym podłogi zmyć nie dając, a potem nie wytrzymuje i jak wpadnie... Mówię ci, gorzej się robi, niż gdyby czambuł Kummonów się zwałił. Żadnej dziewce nie przepuści. – Kawalkiem patyka zdrapała z obcasa kurze łajno. – Jurności też ma jak mały czambuł. Ale nie w tym rzecz. On je męczy, Debren. Śladów wyraźnych nie zostawia, żeby towaru nie psuć, bykowca ledwie raz czy dwa użył, po pijanemu, ale... Żebyś słyszał, jak krzyczą. Ma obok łaźni piwnicę, tę swoją oczyszczalnię. – Zastanawiała się chwilę czy by znowu nie splunąć, ale

zrezygnowała i przejęła ślinę. – Z grzechu tam dziewczki oczyszcza, to dlatego ściany grube, drzwi futrami obite, a i tak słyhać. Podobno diabły tym sposobem wypędza. Szczegółów nie znam. Nie chcą opowiadać, płaczą. – Wyrzuciła patyk. – Za moich czasów jedna się powiesiła, a jedna do rzeki, z baszty... To zwierzę, Debren. Uważaj na niego.

Przymknął oczy. Znów zaczęło padać, tuż za progiem duże krople wody pluskały o kałużę. Pachniało sianem i gotowaną kapustą.

– A ty? – zapytał cicho, nie unosząc powiek.

– Co ja? – mruknęła. – Żebro zadkiem wyciągnięte, w gównie z samej swej natury upaprane. Co może jedna baba w waszym świecie? Myślałam, by nożem sukinsyna pchnąć, i owszem. Ale to prawie pewna śmierć. To wielkie panisko, ten Suswok; na koniec świata musiałabym uciec, a i tam...

– Ja nie o tym – przerwał łagodnie. – Ciebie... nie próbował?

Poderwała głowę, parsknęła gniewnie. Nie była kłaczą na sprzedaż, ale gdyby była... Niejeden rycerz oddałby całą ludną wieś za taką. Debren nie miał wsi. I żałował.

– Ty chyba nadal nie wiesz, z kim mówisz, czarokrążco. Wyraźnie nie dotarło do ciebie, że nierządnicą nie jestem i być nie zamierzam. Zaś na takich jak Suswok mam to – trzasnęła dłonią w rękojeść miecza. – A jak na konia z rzędem uzbieram, to jeszcze raz kwestię dźgania nożem przemyślę.

– Lwica z ciebie – uśmiechnął się. – Spokojnie, żartowałem... Nie dokończyliśmy rozmowy, Lenda. Ta rudowłosa i mnich to świeża historia i z ukreconym łbem, bo mnich cichaczem w kummońskie stepy popłynął. Co się jeszcze stało wcześniej? Czemu tu aż tak pusto? W środku sezonu? Gdy wieczory długie, a spichrze i sakiewki pełne? Cóż takiego zaszło, że Mama Dunne tę deskę na drzwiach wywiesiła? „Idźta gdzie indziej, nieczynne aż powiem”? Nie mów mi tylko, że same plotki do tak desperackiego kroku



doświadczoną zamtużną popchnęły.

Podniosła się. Myślała chwilę, marszcząc czoło, po czym skinęła głową.

– Dunne mnie otruje, jeśli się dowie, ale co tam... Mam być na twoje usługi, to będę. Chodź. Tylko cicho. Gdyby kto pytał, po wino idziemy. Bo ci do czarów potrzebne.

Podwórze było puste, sień też. Dziewczyna minęła kuchnię, skrzyła, szarpnęła okute drzwiczki. Wąskie zawilgocone schodki opadały w dół stromo jak drabina.

– Psiakrew, nie ma pochodni. Czeka, zaraz coś... Ooo...

Kulka światła miała wielkość niemowlęcej główki. Zapłonęła łagodnym pomarańczem i powoli spłynęła dwa sążnie niżej, do rozwidlenia korytarza piwnicznego.

– Idź przodem – powiedział Debren. – Nie bój się, nie wpakuję ci tego na czoło. Zresztą to zimny ogień, niegroźny.

Milczała jakiś czas. Minęli jeden zakręt, potem drugi.

– Tu jest łaźnia – wskazała uchylone drzwi, zza których sączyło się światło dzienne. – Pod kuchnią i głównym piecem, więc prawie zawsze jest ciepła woda. Jak chcesz... potem... możesz skorzystać.

– Dzięki. Chętnie. To przez to okno mnie wczoraj wypatrzyłaś?

– Nie, skąd... Wracałam z łaźni i usłyszałam, że ktoś dziwnie cicho i miękko pod drzwi lezie, nie jak klient typowy. A okno łaźni na tyły wychodzi, na ogródki, kurniki. I mało co widać. Szczeniaki z sąsiedztwa ciągle przez płot łażą, podglądać próbują. Raz nawet młody Suswok, paskuda przyszczata, błonę naciął, lustro na kiju przez kratę z góry opuszczał. Wy wszyscy tacy, Debren?

Debren chrząknął. Przez chwilę oczyszczał kaftan z jakiejś pajęczyny.

– Brudno tu, hmm. O czym to...

– O niezdrowej ciekawości cudzej golizny. Stary Suswok tak wtedy młodego zlał, że aż ropa z dziobów po ścianach

pryskała. Żal było patrzeć. Chociaż to wredny gówniarz, kropka w kropkę tatuś. Przed tą historią nachodził dziewczyny, jak ojciec wyjeżdżał. Wąs mu się jeszcze nie sypnął, a o takie rzeczy się dopominał, że sama Dunne rumieńcem się oblewała. Wy wszyscy tacy, Debren? Zostaw w spokoju ten rękaw.

– Nie wiem, czy wszyscy. I nic nie poradzę, że chłopaki jak świat światem zawsze biegają nad rzekę, żeby dziewczęta w kąpieli podglądać. Masz więcej takich pytań?

– Nie złość się. To te drzwi.

Drzwi były zamknięte na klucz, ale klucz leżał schowany na belce nadproża. Lenda włożyła go do dziurki lekko promieniującego magią zamka i bez przesadnej dbałości o to, by Debren nie zrozumiał, wyszeptała odpowiednią formułę. Zamek ustąpił z nieprzyjemnym chrzęstem. Weszli, puszczając przodem kulę świetlną. Niepotrzebnie, bo jak w łaźni były tu pod stropem zaciągnięte błonami okienka. Debren bezwiednie zgasił kulę. Wpatrywał się z niedowierzaniem w stojące pośrodku ni to łoże, ni to obity miękką wykładziną stół, na którym leżała kredowo blada kobieta.

Pod niewielką chustą, osłaniającą piersi i brzuch, musiała być naga. Miała pomalowane paznokcie na rękach i nogach, parę bransolet, starannie ułożone włosy barwy miedzi. W słońcu musiały raz po raz połyskiwać złotawy mi iskrami, ale teraz wydawały się niemal czarne. Pewnie dlatego, że bladą z samej natury skórę skrupulatnie natarto śnieżnobiałym pudrem. Miał zamaskować plamy opadowe i tłuste konserwanty.

Kobieta, dwudziestoparoletnia, była martwa. Od dawna.

– To Estrenka?

– Co? Dlaczego Estrenka? – Lenda zamrugnęła rzęsami i dopiero teraz zwrócił uwagę, że są to gęste, długie rzęsy, nie brzydsze od tych, jakie miała leżąca na postumencie

dziewczyna. – Nie żartuj, Debren. Uneborga to najpiękniejsza kobieta, jaką oglądało to miasto, a ta stajenna dziewczka Estrenka ma wdzięk Łaciatki. Wzięli ją na dwie niedziele hajducy rzeczni, co z łupem od morza wrócili i nie wiem, czy jeszcze do nas zawita. Jak wytrzeźwieją i na oczy przejrzą, to kto wie, czy za burtę nie cisną. Nie, Debren. Ta tutaj to Uneborga. Tancerka. Zabawiała gości, tańcząc i stopniowo szaty zrzucając. I wierz mi: dobra w tym była. Czasem aż sama żałowałam, że mnie Bóg dziewczyną stworzył. Śliczna była, taka... no... Marnowała się tu u nas.

Debren zerknął do góry. Ze stropu, nieznacznie połyskując w pasemkach słabego światła, opadały roje drobin kurzu. Nie było przeciągu, który usprawiedliwiłby ten nagły ruch. Ale nie było też nikogo trzeciego. Po prostu wraz z Lenda zakłócili pole magiczne strzegące wnętrza przed intruzami.

Podszedł bliżej łoża, dotknął łokcia leżącej. Tak jak podejrzewał, zwłoki nie były ani za bardzo sztywne, ani za Bardzo zimne.

– A teraz? – Spojrzał z troską na Lendę, zastanawiając się, kiedy pęknie pancerz, za którym się kryła, i czy nie przyjdzie mu jej cucić. Ta druga dziewczyna na górze, poparzona, mimo wszystko tak nim nie wstrząsnęła. W tej piwnicy, w twardym dziwnym łożu i stojących obok lichtarzach było coś przejmującego, nieskończenie smutnego.

– Teraz? Teraz... się nie marnuje. – Przełknęła ślinę. – Jak widzisz.

– Chcesz powiedzieć... – nie dokończył. – Pięknie. Pięknie, Lenda.

– Co się na mnie gapisz? – Intuicja jej to chyba podszeptała, bo z oczami umykała, jak mogła. – Ja tu z gnijącą nogą trafiłam; obrzynać mi ją mieli. Żeby nie lichwa od Dunne, jej złoto na najlepszych medyków... Kontrakt mamy spisany. Uczciwy kontrakt. Firma nogę mi lewą od uda daje, ja firmie swoje usługi. Wycofać się mogę, ale wtedy nogę

„Różowemu Królikowi” ostawić muszę. O tym Suswok mówił.

– Koło na piersi nosisz. Wiesz, że to grzech – wskazał zwłoki.

– Już ci mówiłam, że dobrą niewiastą nie jestem. A z tego tutaj grzechu – ostrożnie dotknęła dłoni Uneborgi – wypowiadałam się. Dwanaście klepsydr klęczenia na grochu, postu po dwa dni przez sześć kolejnych niedziel, modlitw nie licząc. Ciekawam, ile by temu dał, który ją sobie zamówił.

– Kto?

– Kto spowiadał? – upewniła się. – Ano ten przypalony mnich, co Pirrendem do pogan spłynął, jeszcze po śmierci na bożą chwałę plugawców swymi trupimi jadam podtruwać. Dunne mi do niego iść kazala. Głupia nie jest, wie, jak się katu wywijać. O Unebordze my dwie jeno wiemy, no i balsamiarz, co ją sprawiał. Wielki pieniądz z tego będzie. Inaczej nie nadstawiałaby karku. Suswok sam by ją rozszarpał, gdyby wiedział. Z Unki może by skorzystał, jak już tu gotowa do użycia leży, ale Dunne dałaby gardło. Ja pewnie też.

Debren przysunął bliżej lichtarz, wyjął z woreczka krzesiwo, jednym uderzeniem, samą tylko iskrą, bez korzystania z hubki, przypalił świecę. Mógł czystą magią ale tak było łatwiej.

– Rzuć to, dziewczyno. – Też nie patrzył na Lendę. Dobre rady łatwo dawać. – To miejsce brudzi. Nie mogłaś poszukać innego lichwiarza?

– Nie zrozumiesz tego. Tutaj... tu mają łaźnię.

Przypalił pozostałe świece od pierwszej. Zasada minimalnego wysiłku, pierwsza, jaką wbija się do głowy smarkatemu kandydatowi na czarodzieja. Potem przychodzi tysiąc innych, więc wielu zapomina o tej pierwszej, lekceważy. On pamiętał i stosował. W pracy, ale i w życiu.

– Zostawmy to, masz swoje lata, wiesz, co robisz. Jak umarła Uneborga?

– Najgorzej jak mogła. Najpierw rano, w katedrze na kazaniu, o czystości była mowa. Często jest, ale nieczęsto tego samego dnia... No, krótko mówiąc, ksiądz tu do nas wpadł, grzeszników zgromił, co się też zdarza, a potem Unka tańczyć zaczęła i na oczach ludzi... Straszne to było, Debren. Jak ona krzyczała... Na początku nikt nie wiedział, w czym rzecz, dopiero jak jej się włosy palić zaczęły, to się to sprośne bydlę do drzwi hurmem rzuciło. Garniec z piwem chwyciłam, gasić chciałam, ale prawie mnie zdeptali.

– Włosy? To peruka? – zdziwił się Debren, ostrożnie dotykając bogactwa miękkiej miedzi, ze smakiem upiętej szpilek. Lenda zaczerwieniła się, pierwszy raz bez żadnych wątpliwości. Otworzyła usta, zamknęła, znów zaczęła otwierać. – A... rozumiem. No tak.

Znów nie patrzyli na siebie. A jednak spotkali się po przeciwnych stronach stołu dokładnie tam, gdzie kończył się tułów i zaczynały nogi Uneborgi. Lenda zaczęła obgryzać skórę przy kciuku. Debren dziwnie niezdecydowanie ustawiał lichtarz to tu, to tam.

– Gdyby to była kara boska – mruknął, odpowiadając na nieme zapytanie – to tak by pewnie wyglądała. Prosto i jasno, nie trzeba się gubić w domysłach i interpretacjach. Lenda, masz coś przeciwko... Widzisz, chciałbym...

– Jesteśmy profesjonalści, Debren, a nie płocze dziewice. Róbmy, za co nam płacą. Trzeba wyjaśnić, czy to jakiś łajdak uroki na firmę rzuca, czy sam Bóg bez niczyjej pomocy karze. Mam... eee... gdzieś przytrzymać?

– Jeśli możesz... Tu... dobrze. Trochę szerzej.

Raz czy dwa zetknęli się palcami, łokciami. W miejscach... dziwnych jak na takie spotkania. Debren miał nadzieję, że dziewczynę też oszałamia z lekka nowość tego doznania. I to, ta nadzieja, była jeszcze dziwniejsza. Niegodna ani maga, ani profesjonalisty, ani w ogóle kogokolwiek, kto nie zalał się w pestkę. Dziewka jak piec, wykidajło w zamtuzie.

Na szczęście miał robotę do wykonania.

– Psiakrew... Powiedziałbym, że ktoś jej to zrobił rozpalonym prętem. Ale to nie pręt.

– Wiem. Widziałam. To znaczy... nie widziałam. Ani pręta, ani kogoś. Najbliższy człowiek był o...

– Możesz tu trochę... O właśnie. Dzięki, A to co ma być?!

– Jakie „co”?

Stuknęli się głowami, odskoczyli szybko. Dziewczyna nadal była czerwona, ale nadrabiała półuśmiechem, jak na profesjonała przystało.

– W tej dziedzinie mocny nie jestem, ale to mi wygląda... Nie, to śmieszne. Mówiłaś, że tańczyła? I tak dobra była? Więc to chyba... Hmm... Są ponoć prawdziwi mistrzowie od renowacji...

– Chcesz rzec, że była dziewicą? – upewniła się Lenda. – Tom ci nie powiedziała? Wybacz, wydawało mi się, że mówiłam, jak młodszy Suswok w skórę od ojca wziął.

– Owszem. Ale o związku jego skóry z... hmm...

– Nachodził Unkę – powiedziała szybko. – Raz widział, jak tańczy, i potem spokoju już nie dał. Jemu tu przychodzić nie wolno, odkąd przyszcze mu się gęściej sypnęły, ale to przyszły dziedzic majątku i chyba Dunne ma to na względzie. Na miasto Uneborgę w różnych sprawach posyłała i tak jakoś dziwnie wychodziło, że się zawsze spotykali. Liściki przysyłał. Ona czytać nie umiała, więc inni jej czytali, stąd wiem, co gówniarz pisał. Bez szczegółów... Coraz mocniej nalegał, by z nim do łóżka poszła. Nie chciała, to zaczął ją przed starym obmawiać i dziewczyna karę za karą obrywała. I nie było na to rady, bo Suswok dawno zapowiedział, że jak mu która syna zbałamuci, to dzień urodzenia przeklnie. Ale ona nie dlatego wianka broniła. U siebie na wsi miała jednego takiego, kochała go, z nim chciała... Wiesz, jacy są chłopci. Ukochany na posag znaczny liczył, który tu sobie wytańczyć miała, ale też i zarzekał się, że tylko cnotliwą pannę weźmie, nieruszaną.

Więc i wyboru nie miała. Zresztą gdyby i miała... Nie była z tych. Taniec, mawiała, to jedno, a obmacywać się nikomu nie dam. Srebra na posag chciała zebrać i za mąż pójść za tego swojego.

– I kłopotów sobie niedostępnością narobiła – mruknął Debren, przedstawiając raz jeszcze lichtarz. – A przy okazji i nam też. Mamy, rzekłbym, zamkniętą drogę. Myślisz, że Mamie Dunne zależy na...?

– Nie pytaj mnie, mistrzu. Ty jesteś mężczyzną i na dodatek czarodziejem. A tak sobie myślę, że Uneborgi żadna kobieta na zabawkę sobie nie kupi, tylko chłop. Do... tfu... uciechy. Albo czarodziejskich ekskres... No tych... doświadczeń.

– Nie patrz tak na mnie.

– Ja nic nie mówię.

– Istnieje możliwość, że to czarodziej ją zamówił. Albo czarownica. Cele mogą być rozmaite. Także w przypadku czarodzieja. Albo czarownicy. Może cię zaskoczę, Lenda, ale niewiasty dobrze się bawią we własnym towarzystwie nie tylko pierze drąc, haftując i przy ciastkach z likierem plotkami się wymieniając.

– Nie gap się na mnie, jeno na nią. Ładniejsza jest i goła. A wiejska gęś nie jestem, swoje wiem. Nie zaskoczyłeś mnie, mistrzu, co najwyżej brak zrozumienia mogę ci zarzucić. Niewiasta może pójść pod pierzynę z drugą, rzadkie to, ale się zdarza. Z trupem jednak nie pójdzie. To wasza specjalność. Bez urazy, Debren, mówię ogólnie, o chłopach, nie o tobie.

– Dzięki. To co z tą przeszkodą ku poznaniu prawdy? Myślisz, że mogę...?

– Nie. – Przez chwilę było cicho. – Plwać na Dunnę i jej plany. Nie o nią mi idzie. Unka wycierpiała tak wiele nie po to, by teraz twymi palcami, prawda że delikatnymi... Nie myśl, mistrzu, że nie zauważyłam; dobrze się z nią obchodzisz, dzięki za to... Ale nie. To prośba. Nakazywać ci nie mogę.

– W porządku.

– Gniewasz się, he? No, nie mamroc pod nosem, powiedz prosto w oczy. Przecież ci tej trupiej nogi na kark nie spuszczę, choć cholernie śliskie są te balsamy i łatwo byłoby się wyłgać.

– Lenda, ja pracuję. Zakłęcie szepczę. Lepiej, byś nie słyszała, bo ci niechcący w pamięć zapadnie i jeszcze kiedyś powtórzysz. Po gorzałce, przez sen... I nieszczęście gotowe. Mały błąd i władzę w dłoni stracisz. O kurrr...

– Co? – Dziewczyna drgnęła, zapomniała się. Magun oberwał piętą Uneborgi po karku. Ale ani drgnął. Chyba nawet niczego nie poczuł. – Wybacz, to przez tę maź. Co się stało?

– Chyba już wiem, jak Suswok pokutę dziewczynom zadaje. – Ledwie go słyszała i to raczej nie dlatego, że uda Uneborgi ich oddzielały. – A to skurwiel! Że też mu Bóg drzwiami kościelnymi nie przypieprzy, jak ty mnie... Faktycznie, towar na pierwszy rzut oka nie popsuty, z zewnątrz nic nie widać. Ale na radosną atmosferę w łóżu to wasi klienci raczej liczyć nie mogli. A te metody kupowania... Lenda, medyka tu macie? Zamtuzowego? – Pokiwała głową. – Nie chodź do niego, w każdym razie z kobiecymi przypadłościami. Wiesz, czym ten szalbierz od bólu ją leczył? No, mniejsza, i tak się nie znasz... Tyle ci powiem, że dzieci to ta biduła już by nie urodziła. Cholera, napiłbym się. Piersiówki jakiejś nie masz?

– Za pijaczkę mnie bierzesz? – warknęła.

– Nie złość się.

– Może jeszcze zanucić ci, że mam, he? Wino, śpiew, a przed nosem... Ucieszny widok, co? Miłą pracę miewacie, panowie czarokrażcy.

– Złośliwa też nie bądź. Zakonserwowali ją dobrze, ale jeśli myślisz, że to przyjemność sobie stawy zakłębieniem rozmiękczać i w trupim zadku grzebać...

– W... Na Machrusowe kości, Debren! Gdzie ty, psiakrew, łapy wsadzasz?!

– Zamknij dziób, księżniczko. Już kończę. Sprawdzić coś



musiałem.

– Zboczony jesteś, wiesz? W życiu nie dam się do czarodziejskiego fachu namówić. Już do zakonu prędeż.

– Bez urazy, księżniczko, ale za stara jesteś. Na wiedźmę, nie na mniszkę. Rozewrzyj szerzej kolana, jeśli prosić można. Ma się rozumieć nie...

– Nic już lepiej nie mów – warknęła. – Może jestem za stara, ale jeszcze złośliwą dwuznaczność...

Urwała.

Debren spróbował się podnieść i z niedowierzaniem poczuł, że przytrzymują go obie: martwa Uneborga nogą, Lenda łokciem.

– Cofnij się, Długa. Ciekawy układ, wdzięczna ci jestem za naukę, ale już zapamiętała, gdzie kto ma być. Możesz przejść pod ścianę.

Debren spróbował jeszcze raz. Delikatnie. Wychodząc z założenia, że Lendę mogło po prostu sparaliżować zaskoczenie i obawa. Założenie okazało się błędne. Przygniotła go, teraz już na dobre, sobą i obiema cudnie smukłymi, lecz przecież nie nieważkimi nogami Uneborgi. Poczul zapach potu i dziwny, ni to miękki, ni twardy ucisk piersi.

– Wy chyba naprawdę... Ale dość tego dobrego. Z drogi, Lenda. Ogłuchłaś?

Debren, z unieruchomioną zuchwą i pustką w głowie, wyteżył słuch. Niemym zaklęciem, mocno, za to na krótko. Usłyszał czyjeś zbyt szybko bijące serce – nie swoje – i czyjś oddech przy drzwiach. Płacz kobiety za ścianami, oschły głos Suswoka, odgłos uderzenia, krzyk.

A zaraz potem głos Lendy:

– Po co ci ta kusza, Dunne? Co chcesz zrobić?

– Nie bój się, do ciebie nic nie mam. Cofnij się i do niczego się nie mieszaj, to nic ci się nie stanie.

Magun już wiedział. Prawie wszystko.

– Coś ty tam wetknęła w korytko, Dunne? To nie bełt. Chyba nie chcesz...

– Zejdź mi z drogi, głupia dziewczko. Bo mu to w biodro wpakuję. Poprawiać trza będzie, a hak na górze zostawiłam. Męczyć mu się przyjdzie jakieś parę pacierzy, z bólu zwijać. Tego chcesz? A tak w czoło poceluję, ani zipnie. Złości nie mam, panie Debren, jeśli mnie słyszycie. Po prostu widzieliście za dużo. Przykro mi, ale umrzeć musicie. No, kończmy. Do trzech liczę i spust zwalniam. Ostatni raz mówię, Długa, odsuń się!

– Nie, Dunne, proszę! Machrusie słodki, nie strzelaj! On ci nic...

– Śledzie – szepnął pospiesznie Debren. – Czosnek. Malwersacje. – I głośniej, dużo głośniej wrzasnął: – Puść mnie, sługo! A ty na kolana, miotło farbowana!

Podziałało, choć nie do końca. Lenda odskoczyła wprawdzie aż za łoże, ale pod zamtużną tylko trochę kolana zmiękły. Kuszę, teraz wymierzoną w pierś maguna, wciąż trzymała dość pewnie.

– Raz. – Usta wyraźnie jej drżały, może dlatego, że ktoś niedawno rozbił je pięścią. – Raz...

– Srebrna kula? Na mnie? Ty tłumoku niedouczony, za wampira mnie bierzesz? Nie wiesz, że ludzkie rany po srebrze w oczach się goją, bo to metal czysty, przez Boga umiłowany? Zdrowy będę, zanim ty zdechniesz. Chociaż, z drugiej strony, zdychać będziesz długo. Ja zniewag nie darowuję. A Lendzie, niewolnicy mojej, eliksirem otumanionej, żywą cię wziąć niniejszym przykazuję.

Dunne rzuciła szybkie, trwożliwe spojrzenie w lewo, na Lendę. Debren nie zaryzykował. Miał tylko nadzieję, że niedouczona, ale znająca się na ludziach burdelmama nie dostrzegła na twarzy dziewczyny wyrazu zdziwienia.

– Łzesz – powiedziała niepewnie. – Ona... W garści ją trzymam. A ciebie trafię dobrze i nożem szybko dorżnę.

Srebro nie srebro, od dziury we łbie się kopyta wyciąga.

– Jesteś głupsza, niż myślałem. Słusznie ci Suswok gębę obił. – Oprócz poranionych ust miała też podbite oko (lewe niestety, zbędne przy celowaniu), trochę mniej włosów i opuchnięte ucho. – Nawet jak trafisz, to co zyskasz? Lenda ma cię w garści mocniej niż ty ją. A obojga nas nie zastrzelisz. Nawet srebrną kulą.

– Łajno ma, nie mnie! To? – Dunne wskazała zwłoki Uneborgi. – Powiem, że to ona, nie ja, tak przyjaciółkę sprawiła. Albo i więcej niż przyjaciółkę. Kto wie, co tam we dwie czyniły, w izbie się zaszywając? Ani chybi nie uczciwego, jak to mąż z niewiastą. Wszetecznice zbereżne, tfu! Suswok wie, że żadna z chłopami do łóżka chodzić nie chciała, wie dobrze! Komu uwierzy, myślicie? Tej obleśnicy, z drugą się liżącej, czy mnie, któram się uczciwie, po bożemu kurwiła, a teraz mu zamtuz prowadzę?

Wyszczrzyła triumfalnie zęby, trochę uczciwą pracą przerzedzone. Uniosła kuszę, oparła o ramię. Broń była lekka, sportowa, nawet po załadowaniu bełtem nie bardzo na wojnie przeciw kolczugom przydatna. Ale magun stal blisko i nie miał kolczugi.

– Dobrze, żeś do tego dobrnęła – uśmiechnął się zimno. – Bo w kwestii nekrofilii masz rację: Suswok pewności by nie miał.

Coś zawibrowało w powietrzu; Debren miał nadzieję, że nie od zgrzytania zębów dziewczyny.

– Ale jest coś dużo gorszego – dodał. – Za grzeszne chuci Suswok tłucze, rozpalone igły w różne mało widoczne miejsca wbija, lecz przecie nie zabija. Co innego, gdyby go kto... ale niech lepiej Lenda dokończy. Tylko krótko, bo spieszy mi się. Trzy słowa, Lenda. Dunne zrozumie. I grzecznie się za drzwi wyniesie.

– Śledzie – powiedziała Lenda z mętym uśmiechem. – I czosnek, Dunne. A do tego mar... marwel... cholera, wszędzie

ta cudzoziemszczyzna, jakby własnych słów nie było. Złodziejstwo po naszymu. Mówi ci to coś, stara ruro? Widzę, że mówi. I co tak charczesz jako ta rura właśnie?

Debren chciał powiedzieć, że to nie ona, choć byłaby to półprawda, bo i Dunne włosy zaczęły stawać dęba. Ale było to nic w porównaniu z czymś, co wibrowało w powietrzu. Gęstym nagle od kurzu i elektryczności.

– Na ziemię! – wrzasnął. Za późno: mlasnęło, na chwilę zrobiło się ciemno, bo podmuch ciepła zbił płomień z połowy świecy, a pozostałe przydusił. Po kamieniach sklepienia rozlała się biała, rozchwiana plama poświaty. Zaśmierdziało magią i czymś kwaśnym, paskudnym.

– Aaaa!!! – zawyła Dunne. I zwolniła spust. Debren, już na kolanach, zdążył dostrzec, jak ciało Lendy łamie się od nagłego ciosu, wali za łóżko z bezwładnością, od której zwinął mu się żołądek, serce zamarło.

– Przestań! Dość tego, tu są ludzie! Przestań! – Dopiero brak tchu uświadomił mu, że to on krzyczy. On, magun. Zawodowiec. Dunne tylko piszczała jak rozdeptywany szczur, wciśnięta w kąt, z bezużyteczną kuszą w rękę.

Było gorąco. Przerażliwie gorąco, choć tylko chwilami, jakby kto ruchomym ogniskiem po twarzy człowiekowi przejeżdżał. Piękne miedzianorude włosy Uneborgi sterczały w górę, rwały ku plamie na stropie, unosiły głowę zmarłej.

– Lenda?! – Nic, cisza i przerażony tupot szczurzych łap gdzieś wewnątrz ścian. – Księżniczko, nic ci...?!

Dostał kurzem po oczach, zacisnął powieki. Zaraz potem ciałem go promieniem, sparzyło, poczuł swąd nadpalonych rzęs i brwi. Ktoś pokrzykiwał na górze i bliżej, w piwnicach, nad wszystkim jednak górował skowyt Dunne.

– Kara boża, kara boża... Ja tylko doglądam, Machrusie słodki, mnie nie! Neeee!

Lenda jęczała. Krztusiła się.

– Skończ to, gnoju! – Debren sunął dookoła postumentu na

klęczkach, mrugając załzawionymi oczami i gorączkowo szukając najwłaściwszych zakłęb. „Pierwsza Zasada, kursancie Debren? Minimum wysiłku? To po coś tę żabę uprzednio głuszył? Gołą myślą, z trzech kroków?! Rozciąć miałeś, młodzieńcze, jeno rozciąć. Że cierpi? Poczekaj, aż tobie blokadę zdejmą, smarkaczu głupi, zobaczysz, coś ze swoim mózgiem zrobił i co to znaczy cierpieć. No, zmykaj, póki jeszcze chodzić możesz. Zgłoś się do mistrza aptekarza i powiedz, jakiś numer wykrecił. Kursant Trapenakis, ponieważ skalpelem w ścianę trafił i narzędzie złamał, przestanie symulować twórczą pracę i odprowadzi kolegę. A wy do zajęć, kursanci, do zajęć. Stojąc i głupawo zęby szczerząc, nawet jarmarczными kuglarzami nie zostaniecie. Idź już, Debren. I na przyszłość nie zapominaj o Pierwszej Zasadzie”.

Uneborga siedziała już na łożu, podobna do lalki pociąganej za zamocowany w głowie sznurek. Chusta zsunęła się do końca, odsłoniła piersi. Piękne były. Cała była piękna, nawet teraz. Wściekłość, pęczniejąca w nim wraz z każdym uderzeniem serca i odkładana na później, eksplodowała nagle z całą siłą.

– Sam chciałeś – krzyknął. Zwłoki, szarpnięte gwałtownym przyływem mocy, wywinęły w powietrzu powolnego kozła. Dunne szarpnęła stanik, rozerwała suknię, odsłaniając żebra i przywiedłą pierś. Zerwanym z szyi medalikiem koła popłatnego, oburącz trzymanym, osłoniła się od złego. Magun zaczął skandować zakłęb, nie zwracając uwagi na zwijające się od żaru pajęczyny, chustę, która zaczęła się tlić i pęcznienie topiących się w oczach świec. Szedł na kolanach za łoże, do Lendy. Łamiąc Pierwszą Zasadę. Po raz pierwszy, odkąd opuścił mury Akademii.

– Co się tu...?! – Ktoś zatrzymał się gwałtownie w progu jak zdzielony obuchem. Ktoś w czarnym kaftanie i z kołem na piersi, kto mimo to winien był sądowi grodzkiemu miasta

Vijuka grzywnę i groszy siedem. Bo kaftan, podkasany i zawinięty za pas, był wszystkim, co radca Suswok miał na sobie. Chyba oderwano go od czegoś przyjemnego. Debren nie miał pewności. Cień, który wyłowił kątem oka, a który sterczał z cienia gospodarza jak kikut gałęzi ze słupa w izbie na górze, mógł być po prostu cieniem narzędzia, które tamten ścisnął w rękę. Czegoś metalowego.

Ciało Uneborgi, kołysząc piersiami i podskakując lekko, przywarło pośladkami do sklepienia. Poświata sącząca się z kamieni zmieniła barwę, poczerwieniała. Debren skandował zakłęcie, zadzierając głowę i patrząc w rozedrganą karykaturę ludzkiej twarzy. Rozpływała się, łamała na nierównościach, ale nie na tyle, by skryć archipelag śladów jak po ospie, czerń i szaleństwo oczu, błysk śliny. Coś raz i drugi kapnęło na dymiącą chustę, zaskwierzało. Dunne umilkła z braku tchu.

– Bezbożne świny – wycharczał Suswok. Chwycił za tkwiący przy pasie sztylet, przy okazji uwalniając połę kaftana i nieświadomie zakrywając nagość. – Pod moim dachem... Ja was... Co z tym truchłem robisz, bydlaku?! Żebyś oślepl!

– Zabij – pisnęła Dunne. – Szybko, nim co powie! Kark przetrąć.

Debren zaklął. W duchu. Kończył zakłęcie, nie mógł na głos. I oglądać się za siebie też nie wolno było, nie teraz.

Mała trąba powietrzna przemknęła przez piwniczkę. Spryskała czymś lepkiem, uderzyła gorącem. Jasny jak błyskawica płomień przeszył Uneborgę, wszedł między pośladkami, wyprysnął ustami i przez nozdrza. Oczy, których Debren nigdy przedtem nie oglądał i więcej oglądać nie miał, zalśniły brązem spod umalowanych powiek i pękły. Lewe eksplodowało z ohydny mlaśnięciem, prawe rozlało się, spłynęło po czole, wsiąkło we włosy barwy krwi. Resztką mocy ugodziła w nogę łoża, tę najbliższą maguna. Rzucił się odruchowo w bok. Noga pękła z trzaskiem.

Sztylet, warcząc, przemknął tuż obok niego. Łoże osiadło,

zadymiło. Strop pluł tysiącem kleistych kropel, Uneboga miotła się jak na wozie pędzącym po przeraźliwie nierównym bruku. Debren zacisnął zęby i skoczył szczupakiem ku wezłowi, gdzie ugrzęzło ostrze. Po topieniu przez flisaków, pirrendzkim raku, trzech dniach marznięcia i przede wszystkim tym ostatnim zakłęciu czuł się słaby jak dziecko. Potrzebował bronii. I szczęścia.

Przez pył w oczach chybił za pierwszym razem, w dodatku pozbawione nogi łoże kolebnięło się, próbowało go zrzucić. Kątem oka dostrzegł czerń nad sobą. Cisnął gangarinem, prawą dłonią spod lewej pachy, aż rykoszet zadudnił po żebrach, sięgnął czaszki. Suswok rąbnął wielkimi szczypcami, parę kropel krwi zmieszanej z moczem prysnęło z ich zębatej szczęki, trafiło Debrena w twarz. Narzędzie, wymierzone w dłoń maguna, uderzyło w rękojeść sztyletu, zamiast kości złamało głęboko tkwiącą klingę.

Gangarin chybił celu. Albo przechył łoża zrobił swoje. Suswok, unikając pięty czarodzieja, poleciał gdzieś w prawo, na ciało Lendy. Debren, kopnąwszy się w drugą stopę, rozkrzyżował rozpaczliwie ramiona. Jego błędnik szalał. Miał wrażenie, że piwnica przechyliła się o ćwierć obrotu i to, co było posadzką, stało się ścianą. I nieodparte chciało się sprawdzić w roli stropu. Spadał.

A z innej strony spadała Mama Dunne. Z wzniesionym nad rozczochraną głową nożem. Nie mógł jej powstrzymać, za bardzo pogubił się w kierunkach. Rewers, szybko, odwrócić to choler...

Trzask. Ohydny trzask kręgów szyjnych pięćdziesięcioletniej kobiety, której o połowę młodsza, ale i – przy całej swej cudnej figurze – o połowę cięższa dziewczyna wali się na kark tym, co ma najmasywniejszego. Biodrami. Z wysokości co najmniej dwunastu stóp.

Tylko ciało zawodowej tancerki mogło wykonać taki obrót w trwającym mgnienie oka locie. Od magii aż furczało, ale

Debren i tak nigdy później nie umiał rozrysować działających na zwłoki sił i wyjaśnić, co się właściwie stało.

To, że rewers zadziałał, rozumiał. Wszystko trwało po prostu krócej, niż sądził, a zaklęcie, które należało anulować, musiało być żałośnie słabe. Po Suswoku spłynęło jak woda po maśle. Mógł zdruzgotać Debrenowi głowę, miał czas. Zerwał się pierwszy, jego ud nie przygniatały dwa kobiece trupy.

Zamiast tego zawył jak wilk. Debren z niedowierzaniem patrzył w sklepienie i nagle wyostrzony obraz czerwonej krostowatej twarzy. I w szczeliny pęknięć, rozbiegających się ni to po kamieniach, ni to po obrazie.

– Coś mu zrobił, skurwielu?! Jaja ci oberznę! Nie, wyszarpię! Kęs po kęsie! – Trzasnął siadającego czarodzieja w nos, powalił. Potem zaczął się odwracać. – Te szczypce już niejedno wycie z gardła...

Stęknął. Debren rozpaczliwym wysiłkiem oswobodził lewą nogę spod cudnej piersi Uneborgi, wierzgnął w prawo, za jednym zamachem nadwerężając staw biodra i kolana. Stopa trafiła w wypięte w skłonie pośladki. Trochę z boku. Na szczęście.

Bo środkiem wylazło nagle lepkie od kału i krwi ostrze.

Coś plasnęło cicho o posadzkę. Coś, co miecz Lendy odciął od ciała, nim wszedł w dół brzucha po tamtej stronie Suswok charczał. I wciąż klęczał. Silny był.

Dom zadygotał. Cały dom, nie tylko piwnica. Całym domem i wszystkim w środku szarpnęło, gdzieś na górze strzelało szkło w nielicznych reprezentacyjnych oknach. Nadproże pękło z hukiem, w mroku pisnął miażdżony szczur. Debren, sam siebie zaskakując szybkością, wykorzystał okazję, zwinął się, uwolnił drugą nogę. Przetoczył się przez krawędź łoża, spadł na podłogę.

– Pod łóżko! Na brzuch i pod łóżko, Lenda!

Rąbnął czołem klęczącego nad nią Suswoka, przewrócił. Chwycił dziewczynę za łokieć, potem za włosy, zaczął ciągnąć.



Ciężka była. Ale pełzli. Nie dalby rady, nie w takiej pozycji, ale pełzli. Bo mu pomagała, bo ciągle jeszcze,...

– Żyjesz? – Złamane łóżko nie chciało wpuścić pod spód obojga równocześnie, więc najpierw wepchnął Lendę. Sam wpelźł do połowy. I tak utknęli. – Nie umieraj, księżniczko, nie rób mi tego! Zaraz pieprznie i będę cię mógł...

Pieprznęło.

\*\*\*

Niebo było czyste, bezchmurne. Pirrend przelewał się dostojnie między belkami pomostu, obmywał miękko smukłe podbrzusze pięćdziesięciostopowej łodzi z mocno zadartym, nie bojącym się morskiej fali dziobem. Krzyczały mewy, zmyłone widokiem sieci i beczek przetaczanych na pokład, wypatrujące rybich odpadków. Krzyczał wąsaty dziesiętnik, dogląający załadunku pocisków do katapulty. Terkotały kości leniuchujących na rufie łuczników, jakiś skacowany żeglarz oddawał rzece pożegnalną, ostatnią wieczerzę. Debren stał oparty brzuchem o barierkę, żuł wykałaczkę i próbował skomponować mało fatygujące zaklęcie, skuteczne na dziurawy tyłek.

Nie usłyszał jej. Było za głośno, jak to w porcie. Wyczuł. Nie myła się od wczoraj, a pot przemieszany z lnem jej sukienki, choć zwietrzały i przyprawiony kurzem, miał całe tygodnie. Ale to Debren odnotował później, odwracał się z całkowitą pewnością, że to ona. Ciekawe. Nie, nie ciekawe. Smutne.

– Jesteś jeszcze – przywołała na twarz nijaki uśmiech, była blada. To nic nie znaczyło, nie oglądał jej przedtem w świetle słonecznym. I nie znał tak naprawdę koloru jej oczu. Trochę niebieskich, odrobinę zielonych, maźniętych złotem. Jak rzeka za jego plecami.

– Problemy z załadunkiem. Głównie pijanej załogi. Cieszę się, że cię widzę, Lenda.

– To ty oko swym widokiem cieszysz – mruknęła,

przesuwając nieco roztargnionym spojrzeniem po sylwetce czarodzieja. – W końcu widać, żeś pan. Kaftan srebrem haftowany, czyściutki, pachnidłem skropiony...

– I zacerowany bardzo dyskretnie. Dzięki. Oddajecie w lepszym stanie, niż był, gdy mnie flisacy do rzeki ciskali. Ale z tymi pachnidłami toś przedobrzyła. Babskie, słodkie... Wszyscy się na mnie dziwnie patrzą.

– Prostaczka jestem, daruj. A dziękuj Ksemi, ona prała i cerowała. Ja mieczem lepiej robię niż igłą, dopiero by się z ciebie śmiali. A skoro o tym mowa... – Sięgnęła pod lewą pachę, podała Debrenowi podłużny przedmiot zawinięty w płócienny worek. – To dla ciebie. Między pogaństwo jedziesz, a sama różdżka to mało. Weź, Debren. Podostrzyłam, z braku brzytwy od biedy się i ogolisz. Prosty jak darczyńca, ale solidny.

Powoli odwinął nadgryzione przez myszy płótno. Miecz miał nieskomplikowaną rękojeść, wybite wschodnimi runami znaki manufaktury, z Wysp Anvash chyba, bo z drugiej strony Lwa z Morza wytłoczono. Rzadka broń w tych stronach i choćby przez to cenna. Przede wszystkim jednak znakomicie dobrana do właściciela. Nie za wielka, nie za mała, łatwo wyskakująca z pochwy i łatwa do skrycia pod opończę, wygodna w podróży: w sam raz dla kogoś, kto raz konno, raz tratwą flisacką podróżuje.

– Dzięki, Lenda. Dzięki, ale go nie wezmę. Ja, widzisz, mieczy nie używam. Z nożem można różne rzeczy robić, z siekierą, nawet sulicą niekoniecznie ludzi trzeba kłuć, tylko dziki na szynki dla rodziny przykładowo. A miecz to miecz. Ma myślące istoty życia pozbawiać.

– Nie pieprz, mistrzu. Przez kummońskie stopy płyniecie. Jak was, odpukać, dopadną...

– Księżniczko, ja jestem magun, nie wojak. Rzemieślnik, apolityczny fachowiec, co granic nie zna i w klientach nie przebiera. Póki z różdżką za pasem chodzę, nader rzadko do

mnie z łuków szyją, a siec na plastry w ręcznym boju nikt jeszcze, odpukać, nie próbował. Miecz to dla mnie same kłopoty. Nawet bić się dobrze nie umiem. I nie lubię.

Owinął broń workiem, ale nie oddawał jeszcze. Miejsce pod prawą pachą Lenda też miała zajęte. A w tej chwili nie wyglądała ani na silną, ani na zręczną.

– Łesz. Nie chcesz brać, bo myślisz, że ze mnie ostatni gołodupiec.

– Nie myślę – uśmiechnął się z wysiłkiem. – Patrz, tam przy żurawiu draby miejskie sterczą, tylko patrz, kogo by tu mandatem ukarać. I żaden do nas nie pędzi, by grzywnę i groszy siedem skasować.

Lenda parsknęła, przez nos, jak to ona, i tym razem musiała szybko głowę schylić, rękawem się poratować.

– Nie, księżniczko, nie z litości przyjęcia daru odmawiam. Nie wyciągam pochopnych wniosków z faktu, żeś tu przyszła w sukieneczynie, w której świętej pamięci Dunne karierę pewnie na grodzkich łęgach zaczynała. Bo ciepło się zrobiło i pewnie nad rzeką chcesz pospacerować, oczy złotem liści nacieszyć, resztkami lata odetchnąć. Strój pastreczki do tego jak znalazł. Jak się pobrudzi, podrze, to i nie żal. A bosa nogi wystarczy przy studni splukać, nie to co ubłocone cizemki z delikatnej skórki.

– Kpisz sobie ze mnie? – Przez chwilę była dawną sobą, złościącą ze zmrużonymi oczami.

– Nie kpię. Mówię tylko, że „Różowy Królik” stoi jak stał, dziewczęta poweselały, do wydajniejszej pracy są gotowe, a ty Dunne zastępujesz. Z mieczem czy bez, z głodu nie umrzesz, a i ubrać się w coś ładnego chyba będziesz mogła. Więc nie lituję się nad tobą. Nie patrzę z góry. Rzeczowo tłumaczę, dlaczego broni nie chcę.

– Nie, to nie – wyrwała mu pochwę z garści. I prawie cisnęła w twarz zawiniątkiem spod prawej pachy. – Wsadź sobie. Pod zadek.

Worek odpadł, odsłonił frędzlistą, obszytą aksamitem poduszkę. Łucznicy, rzucający oczyma a to w kubek z kośćmi, a to na łydki Lendy, zgodnie wyszczerzyli zęby. Magun, trochę zmieszany, zaczął miętosić podarunek w dłoniach. Dziewczyna oklapła, wraz z gniewem uszły z niej pozory niefrasobliwości. Jej oczy zrobiły się szarawe smutne.

– Pewnie masz rację, porządę trochę – mruknęła. – Wdowa po Suswoku trzy razy mdlała i dwa razy włosy sobie rwała, jak jej z jurystą nieboszczyka tłumaczyliśmy, że „Królika” dziedziczy i co konkretnie dziedziczy. Bogobojna z niej kobieta. Mieszać się w ten brudny proceder nie chce, więc wolną rękę mieć będę. Zresztą teraz męża oplakuje. No i syna.

Debren czekał, ale i ona chyba czekała.

– A... co z nim?

– Myślałam, że nie zapytasz – wyznała. – Żyw będzie. Znaleźli go przy kominku, nieprzytomnego. Dobrze, że się nie spalił, zadek mu tylko przypiekło. Cała komnata w okrucieństwach szkła była; niektóre tak w boazerię powbijają, że wydłubać nie idzie. A chłopaka oślepiło. Zawsze pryszczaty był, ale teraz to aż żal patrzeć: cała gęba w dziurach, istne rzeszoto. Paskudna ta twoja magia, Debren.

– To nie ja, ja tylko przyspieszyłem... To trochę skomplikowane, więc tyle ci powiem, że nie przeze mnie kulę rozerwało, a już na pewno nie przeze mnie akurat chłopakowi prosto w twarz. O oślepianiu stary Suswok krzyczał, zakłęcie zakłócił... Białej magii ktoś do produkcji tego cholerstwa użył, a ta dziwacznymi prawami się rządzi, nieobliczalna bywa jak wszystko, co o humanistyczne nauki zahacza. Zresztą... Wiesz, dziewczyno, ile kosztuje dobra kryształowa kula? Ja w życiu własnej nie miałem, choć pełny trzos się zdarzał. Stary Suswok pękniętą musiał kupić, a że bez pozwolenia, to dodatkowo na czarnym rynku. Te są najgorsze, bez żadnej gwarancji. Gówniany zasięg, gówniana rozdzielczość, jakies

mętne, na kolanie spisane instrukcje obsługi. W dodatku łośpie taka energię jak piechur piwo, więc różne mędrki w ogień ją wsadzają. I jak się zdarzy wsteczne przebicie...

– To od tego zginęły? – zapytała cicho, dziwnie pokornie. – Una i Ruda? A parę innych przypiekło, wystraszyło? Od kuli magicznej? Kawalka szkła?

– Od głupoty ludzkiej. I żądy. Ten smarkacz, młody Suswok... Daruj, Lenda, ale nie trzeba go było spod łaźni gonić. Obejrzałby kawalek dziewczęcego tyłka w naturze, jak Bóg przykazał... Mógłby... No, mniejsza. Wszyscy tu zawinili, ta twoja cnotliwa Uneborga też. Są sposoby, żeby wilk syty był i owca nieruszana... Wiesz, o czym mówię.

– Wolę nie wiedzieć, mistrzu. I ze świntuszeniem cię nie kojarzyć. Czyli, upraszczając, wszystko znowu przez te cholerne baby?

– Nie upraszczaj, tego nie powiedziałem. Najbardziej stary Suswok oczywiście zawinił. Nie da się wody z ogniem w jednym garnku pomieścić, a już na pewno nie w ludzkiej głowie. Para z tego powstaje, a tę trzeba wypuszczać, bo jak nie, to tak pieprznąć potrafi... Chłopak od małego z ojcem „Różowego Królika” wizytował, naoglądał się różności, choć tylko o naukę prowadzenia interesów chodziło. A jak mu się wąs sypnął, to chodzić przestał, bo akurat wtedy stary zabronił. Ale pamięć przecież została i świadomość tego, jakie skarby ma o sięgnięcie ręką, a sięgnąć nie może. No a potem spotkał Uneborgę. I zakochał się. Że mu drzwi do zamtuza zatraskują, to chłopak jeszcze jakoś ścierpi, ale jak drzwi do ukochanej...

– Ładna mi miłość. Najpierw zabił, potem oczy wyłupił.

– Miłość jak cholera, Lenda, uwierz mi. Taka moc przez kulę przeszła... Kula przenosi obraz, to wszystko. Doświadczony mag, a i to specjalista od telezofii, może w drugą stronę sygnały świetlne posyłać, nawet dość mocne. Mówi się, że w Sovro z dźwiękiem eksperymentują, ale czego

to o Sovro nie mówią... A tu poszedł żar, uczucie spolaryzowane i płyny organiczne w prawie nieodmiennej postaci. Aż się boję pisać o tym do „Róźdzki”, bo mnie konfratry wyśmieją. Coś niezwykłego musiało być w tej kuli, to pewne, ale i tak główną siłą sprawczą uczucie odegrało.

– Chuć, Debren – trwała przy swoim. – Chuć, nie żadna miłość. On połowę naszych dziewczek ciepłem pomacał po goliźnie. A Rudą spalił długo po tym, jak ta jego niby ukochana nogi wyciągnęła. Rzucił się na wszystko, co kieckę nosi. A dokładniej: właśnie zdjęło. Czy podkasało choćby.

– Nie ma miłości bez chuci – powiedział, nawijając na palec frędzle poduszki. – Choć nie twierdzę, że miłując jedną kobietę nie można z inną... Ale on nie próbował chyba. On szukał, Lenda. Po amatorsku, ukradkiem, kiedy starego w pobliżu nie było i nikt nie patrzył. Gołej Uneborgi, niech ci będzie; nie o motylach i gwiazdach z nią gawędzić zamierzał, tylko... Ale jednak Uneborgi, nie jakiejś innej. A że kulę miał kiepską, a wiedzę jeszcze gorszą, to polował według barwy włosów.

– He?

– Obie zabite były rude. Dunne coś rudawego w farbie do włosów miała i sam byłem świadkiem, jak... no, mniejsza z tym. No i Estrenka. Strasznie dużo włosów w stajni zostawiła, różnych, a wszystkie marchewkowe. Więc jak zaczynał szukać, to tam się przede wszystkim gapił. Bo też łatwiej mu było. Musisz wiedzieć, że są duże problemy z zajrzeniem do izby, w której się wcześniej nie było. Im lepiej znasz i pamiętasz miejsce, które chcesz w kuli ujrzeć, tym łatwiej cel osiągnąć. A do stajni młody Suswok wstęp wolny miał, w przeciwieństwie do komnat w zamtuzie, zwłaszcza tych na górze, gdzie dziewczyny pracują. Poza tym zamtuz to zamtuz, inaczej się go buduje niż zwykły dom. Dobry majster i materiałów przeciwkulowych użyje, i zakłębieniem ściany zabezpieczy. Coś takiego w piwnicy mieliście, gdzie Una

leżała, choć tam raczej o ochronę skarbczyka szło czy składu cennych win. Tak czy siak, póki drzwi zamknięte były, młody Suswok nie miał szansy do środka zajrzeć. Chociaż pewnie próbował. Warsztat Estrenki tak często oglądał, że spory kawał dachu osuszył, ścianę ogrzał... Trwały ślad zostawił. To dlatego przyśniła mi się jego twarz.

– Twarz? Skąd wiesz, że jego? Przecież go na oczy nie widziałeś?

– Ale potem zobaczyłem ojca. I przypomniałem sobie, że dwa razy o pryszczach juniora wspomniałaś. A ta gęba ze snu mocno nakrapiana była.

– Taki bystry jesteś? Już wtedy wiedziałeś?

– Nie. Szczerze mówiąc, Lenda, magia to tylko magia. Zawsze pozostawia ślady, a ja głównie odszukiwaniem takich śladów się trudnię. Dobry w tym jestem, nie chwając się. A tam, u was, działy się rzeczy dziwne. Nie rozumiałem ich, nie umiałem wyjaśnić. Więc pomyślałem sobie... Nie śmiej się, ale pomyślałem, że może Dunne i inni mają trochę racji. Że to... kara boska.

– A nie? – zapytała z powagą. – Pewien jesteś?

– Nie jestem. Kapłani mówią, że niezbadane są wyroki boskie. Wszystko da się uzasadnić, z takiego założenia wychodząc. Wszystko. Ale tak sobie myślę, że gdyby Bóg chciał przykładowo Uneborgę ukarać... To nie pryszczaty szczeniak bez doświadczenia, tylko Bóg, na wszystkim się znający, więc i na babskiej anatomii... No więc nie sądzę, by się pomylił i trafił ogniem akurat w cewkę moczową.

Milczeli potem długo, stojąc przy balustradzie łokieć w łokieć i spoglądając w dal, na szeroko rozlaną rzekę. Delikatny, ciepły jeszcze wietrzyk przynosił na przystań żółte i czerwone liście, włókna babiego lata i smród miejskich rynsztoków. Żuraw skrzypiał, dziesiętnik kłął coraz plugawiej. Lenda wsparła stopę o dolną belkę barierki, zaczęła ją otrzepywać dłonią.

– Tyłek mocno dokucza? – zapytała z nieoczekiwaną szorstkością. – Ile ci kawałków szklanej kuli cyrulik wydłubał? Trzy?

– Trzy. Dzięki za pamięć. I za poduszkę też dzięki. Nic to, że załoga powód do uciechy mieć będzie.

– Przeżyjesz – wzruszyła niedbale ramionami. – A na drugi raz nie bądź głupi. Sam się pierwszy pod łóżko chowaj, a dopiero potem, jak czas i miejsce jeszcze będzie, dziewczkę wpuszczaj. Zwłaszcza...

– Zamknij się. I daj spokój tym paprochom, kurzym łajnem przyklepionym. Bez ostentacji, jeśli łaska. Zrozumiałem.

– Dudkaj się – mruknęła apatycznie, stawiając z pokotem na ziemi najbrudniejszą w całym porcie nogę. – Słowa „ostentacja” nie znam, ale tak czy tak: dudkaj się. Moje nogi, zrobię z nimi, co zechcę.

– Twoje – zgodził się. I patrząc na drugi brzeg, dodał) – Za ładne pod strzały. Nie lepiej...?

– Wystarczy, Debren. Patrz, trap ściągają. Zaraz w siną dal poześlujesz, więc oszczędź mi dobrych rad i wymuszonych komplementów. Lepiej wypijmy strzemiennego To nie koń wprawdzie, ale każda okazja dobra, żeby chlapnąć. No, co się gapisz? Pokaż, żeś światowiec bywały i odwróć łaskawie głowę. Gdzie pracuję, to pracuję, ale do świecenia cyckami nie przywykłam.

Odwrócił głowę. Tyle mógł dla niej zrobić. Chociaż chyba bardziej robił to dla siebie. Potem, patrząc w niebieskie oczy, podniósł do ust blaszaną płaską buteleczkę ze śladem kulistego wgniecenia.

– Uuch... Mocne draństwo. – Oddał dziewczynie piersiówkę. – I naczynie mocne. Wiesz, myślałem wtedy...

– Pijackie szczęście, – Łyknęła więcej niż on, ale prawie się nie skrzywiła. – I kula srebrna, miękka. Cholera, zagrzała się gorzałka... Wybacz, że byle czym cię zęgam, Wszystko u mnie takie byle, byle. Masz, trzymaj.



– Kula? Dlaczego mi ją dajesz?

– Ciebie miała trafić, więc tobie się należy. Będziesz miał pamiątkę z Vijuki. Jak ci zaświta fantazja, by tu jeszcze kiedy zawitać, to zawsze wyjąć możesz, popatrzeć i przypomnieć sobie, że tu do magunów strzelają. A poza tym to srebro, z pół talara warte. Przepić możesz. Dobrze się zabawisz.

Obróciła się trochę za szybko. Na rzece nie działo się nic, co by tak szybki obrót uzasadniało. Rybacy rzucali sieci, to wszystko.

– Lenda...

– Idź już, zaraz cumy zwolnią.

– Lenda, ja... – To, co chciał powiedzieć, nie miało sensu, więc powiedział coś, co go być może miało: – Do widzenia, księżniczko.

– Żegnaj, Debren. Bywaj zdrow i żegnaj.

# Księga trzecia

## Smoczy pazur

– Jak gwizdziesz, ćwoku jeden?! – darł się, stojąc na relingu, ciemnowłosy człowiek w pasiastym kaftanie i butach za kolana. – Na dziewczki w porcie możesz tak w gwizdek dmuchać, i to jakimś zafajdanym yougońskim najlepiej, bo w Viplanie byle łajza cię kamieniem zdzieli, ni prawa, ni dobrego obyczaju nie łamiąc! Nie wiesz, jak się admirała wita?!

– Co on tak gębę drze? – zainteresował się pomocnik bosmana, manewrujący bosakiem przy trapie. Bosman machnął tylko owłosioną łapą. Dzielił uwagę między drewnianą, żelazem okutą piszczałkę, którą przyciskał do ust, i drewnianą, żelazem okutą kuszę, przyciśniętą stopą do pokładu. Pokład był śliski, a krótka kanałowa fala – zdradziecka. Ktoś, kto ułożył broń dyskretnie za nadburciem, mógł jej tam nie znaleźć, gdy zajdzie potrzeba.

– Pewnie ze strachu – rzucił półgłosem marynarz, przytrzymujący deskę trapu z drugiej strony. – Widzisz te portki cudaczne? Myślisz, że od czego takie rozdęte górą? Dobrze, że od zawietrznej podeszli, bo coś mi się widzi, że by nas uraczył wonią mała...

– Cicho.

Zamilkli wszyscy z bosmanem na czele. Bosman z widoczną ulgą wetknął piszczałkę za pas, obok kordu i bata. Chyba trochę lepiej od reszty znał dialekt z Genzy i chyba świtało mu, że coś robi nie tak. Pozostali, chowając języki za zębami, okazali świeżej daty respekt stojącemu przy maszcie

mężczyźnie w haftowanym srebrem, zielonym stroju.

Elegant w pasiastym kaftanie puścił się wanty. Nie patrząc w dół, na kipiące między kadłubami morze, od niechcienia przemaszerował po desce i zeskoczył na pokład galery. Stał przed odzianym w zieleń, zerknął na wiadro przy jego nogach.

– Kapitan „Azami...”, „Arami...” Psiakrew!, te wasze illeńskie nazwy... Wybacz, że całość pominię!

– Nie.

– Nie wybaczysz? – Okolona krótką brodą twarz wydłużyła się nieco. – Ha, tegom nie oczekiwał. Uprzedzano mnie, że ta łajba to żeglująca trumna, a jej załoga...

– Nie jestem kapitanem „Aramizanopolisańczyka”, to jeno rzec chciałem.

Ciemnowłosy poprawił wielki beret z jeszcze większym piórem, rozejrzał się po pokładzie. Stał pewnie, z łatwością utrzymując równowagę, z lewą dłonią na rękojeści miecza i prawym kciukiem dość arogancko zatkniętym za sprzączkę pasa.

– Piękne, zaiste, powitanie. Bosman odgwizdał mi sygnał przeznaczony dla drugiego zastępcy szypra barki śmieciarki, kapitan wyjść na pokład nie raczył, a ten, co raczył, z wiadrem mnie przy trapie wita. Jeśli kubel zimnej wody chcieliście mi, panie, na głowę wylać, to szkoda waszej fatygi. Aluzję pojąłem.

– Źle zaczęliśmy, admirale... – uśmiechnął się zielony. Słabo się uśmiechał. Twarz też miał zielonkawą.

– Cóż, więc może wrócę na karawelę, ryzykując potknięcie na trapie i rozsmarowanie pomiędzy burtami, piruet ucieszny wykonam i raz jeszcze spróbujemy? Co wy na to, panie bosman? Widać, że artystyczna z was dusza i dać w tę waszą rurkę pasjami lubicie...

– Jestem Debren z Dumayki, czarodziej okrętowy. – W połowie skłonu, który miał wypaść bardzo dworsko, choć bez zdejmowania mycki z głowy, złośliwa fala kanałowa dała

o sobie znać i Debren musiał przytrzymać umykające od nogi wiadro. – Cieszę się, że was widzę, panie. Darujcie, że nie rozpoznaję, ale w cesarskiej flocie od niedawna...

– Vensuelli. – Przybysz oszczędnie skinął głową. – Wiceadmirał Floty Wschodniego Oceanu Jego Cesarskiej Mości. Witajcie, mistrzu Debren. Chciałbym rzec, że rad was widzieć, jak i wy mnie, ale służbowo tu jestem i łąć pod banderą majestatu nie zamierzam. I nie mówcie – gestem dłoni wstrzymał otwierającego usta czarodzieja – nie mówcie, że ta szmata na maszcie to nie bandera Bikopuliss. Zdążyłem zauważyć, wystawcie sobie. Czasu miałem sporo, boście w dryf stawali, bez przesady, kwadrans, jeśli nie dwie szóstnice. Galerą, kurwa mać!!! – wydarł się nagle. – Gdzie jest ten zasrany flisak, kapitanem się mieniący?! Tak go w rzyć kopnę, że Anvash minie i w Wolkanię pieprznie!!!

– Przestań hałasować, Vens – zahuczał czyjś basowy głos z pokładu karaweli. – Lepiej każ drugi trap położyć, korabie bliżej przyciągnąć albo co. Ja się na linoskoczka nie najmowałem, po tej listewce przechodzić ani myślę. Nie dość, że wąska, to i cieniuśka; jeszcze pode mną pęknie.

– Nikt cię nie prosi! – już spokojniej odkrzyknął Vensuelli. – Zostańcie na „Jaskółce”, panowie! I panie też! Luwanec, wydać liny, bosaki precz, odejdźcie na kabel przed tę krypę. Za przylądkiem się szepimy, na spokojniejszych wodach.

Załoga karaweli, nieliczna, ale w widoczny sposób sprawna, błyskawicznie uporała się z manewrem odejścia. Debren, znękany nudnościami, nie miał nawet czasu przyjrzeć się dokładnie zalegającym pokład ładunkom. Były osłonięte ni to płótnem żaglowym, ni to starymi namiotami wojskowymi, nieforemne jakieś i nie kojarzące się z niczym, co widział na Międzymorzu. Ale cóż, to już nie było ciepłe, łagodne zazwyczaj Międzymorze. Dwa tygodnie temu wyszli na Kariatyk, Ocean Wschodni, do niedawna jeszcze zwany po prostu Oceanem z braku innych. Woda wyglądała tu inaczej,

inne statki pływały, więc i metody frachtowania miały prawo się różnić.

– No dobrze, panie czarodzieju. – Obserwacja udanego Manewru wprawiła wiceadmirała w lepszy humor. – Prowadź do swego kapitana. Pijany pewnikiem, zgadłem?

– Nie zgadliście, panie Vensuelli. Kapitana fala za burtę zmyła. Sześć dni temu mniej więcej.

– Co? – Vensuelli przystanął, wykonawszy jeden tylko krok w stronę kasztelu rufowego. – Fala? Kapitana? Kpicie, mistrzu? To co to za fala musiała być? Względnie kapitan? Pierwsze słyszę. Chłopiec okrętowy... bywa; pijany majtek, kucharz... No, ci za burtą często lądują, co nie dziwota. Ale kapitan?! – Debren wzruszył bezradnie ramionami. – No, nic. A pierwszy oficer gdzie?

– Przy kapitanie. Mniej więcej.

Ciemne oczy admirała przyglądały mu się przez chwilę uważnie.

– Aż się boję zapytać o nawigatora – powiedział wolno Vensuelli.

– I słusznie się boicie, panie admirale. Choć zarazem trochę niepotrzebnie, bo „Aramizanopolisańczyk” załogę dostał szczupłą, więc pierwszy oficer był zarazem nawigatorem. Za jeden żołd, co chyba legło u źródeł naszych kłopotów.

– A ile żołdów, waszym zdaniem, ma brać półgłówek na służbie za burtę wypadający?

Debren zastanawiał się. Trochę nad odpowiedzią, bardziej nad wyczarowaniem z dostępnych na pokładzie produktów leku przeciw chorobie morskiej.

– Macie pewnie rację, panie Vensuelli, Ale on tak nie myślał. Był rozgoryczony, bo za jeden żołd czy dwa cesarska flota tak czy siak od pół roku mu zalegała.

– Nie tłumaczcie go, czarodzieju. Jeden zaległy żołd to dokładnie tyle samo, co dwa zaległe żołdy, czyli zero. Nauka, która ów paradoks objaśnia, nazywa się matematyką. Wam,

odczytywaczom formuł tajemnych, to może i do niczego niepotrzebne, ale nawigator ma psi obowiązek rachunki znać. To jak to było z tym waszym rozgoryczonym?

– Wejdźmy do kajuty. Tu wiatr w uszach gwizdże.

Vensuelli zerknął dookoła. Trzej marynarze układali trap przy burcie, udając, że nie podsłuchują. Pozostali, w liczbie pięciu, podsłuchiwali, niczego nie udając. Bosman poprawiał jeden z węzłów na swym bykowcu tuż obok, a sternik kombinował, jak linką unieruchomić koło i podejść bliżej.

– Wiatr? Bez wiatru dawno od smrodu byście pomarli. Czym wy, szlag by to, galerników karmicie? No, mniejsza... Chodźmy na rufę, Debren, nie przeszkadzajmy tym dobrym ludziom w odpoczynku. Od rufy dmucha, więc pewnie przez czas jakiś okrętu nie przewróci. A jak przewróci, to też może nikt nie spadnie z pokładu, bo przykleić się do tego paskudztwa żadna sztuka, postać jeno chwilę wystarczy, co owe zuchy właśnie czynią. Chodźcie, mistrzu. Zawiewa to z tej, to z tamtej, może od dołu zawieje, żagle na maszt wciągnie, kto wie? Mistrzu Debren, nie zapomnieliście aby czegoś? Wasz kubełek...

Kajuta kapitańska zajmowała tylną część nadbudówki rufowej. W przedniej, mniejszej, mieszkali w czasach świetności oficerowie w liczbie kilku. Potem portowi włóczędzy, muchy, dobrze żyjące z tego, co włóczędzy po sobie zostawiali – a zostawiać nie chadzali daleko, do sąsiedniej kabiny zaledwie – pająki żyjące z much, no i gryzonie. Teraz zadomowiły się tu małże i ślimaki. Większość okienek nie miała ani błon, ani szkła. Było mokro, zimno i paskudnie.

– Widzę, że nie tylko oficerów wymiotło. – Vensuelli pomacał ostrożnie jakąś samotną skrzynkę, na której nieśmiało zaczynały kiełkować wodorosty. – Meble też. Stół pod mapy gdzie? – Końcem pochwy zmiotł drzemiącego na wieku małża, podłożył sobie beret, usiadł. – Nie wiesz? Tak i myślałem. Ale mapy jakieś macie?

– Mieliśmy. Zachodniego Międzymorza. Nawigator jak oka strzegł, bo stara była, zabytkowa. Jeszcze za Starego Cesarstwa kreślona.

– Kpisz, Debren? To usiądź, nie stercz tak. Żartować wolę, jak towarzystwo siedzi.

Debren rozejrzył się bezradnie po pustym pomieszczeniu. Westchnął, obrócił wiaderko, usiadł, rozstawiając szeroko kolana.

– Przykro mi, admirale. Nie zdradzę chyba wielkiej tajemnicy, mówiąc, że flota cesarska robi bokami. Nie ma Czym pływać, nie ma kto pływać i nie bardzo jest dokąd. To znaczy – poprawił się – dotychczas nie było. Bo teraz jak się dowiaduję z miłym zdziwieniem, Jego Cesarska Mość ustanowił nową eskadrę na oceanie.

– Flotę, Debren, flotę. Gra słów, wiem, ale będę wdzięczny za trzymanie się oficjalnego nazewnictwa. Widzisz, mistrzu, w Bikopuliss forma już dawno treść pokonała, a cesarscy urzędnicy nie to widzą, co jest, tylko co napisane mają, że być powinno. Cesarz Stanorius między triumfami własnoręcznie regulamin morski spisał. I stoi tam jak wół, że admirał niczym mniejszym od floty dowodzić nie może, a jak przypadkiem podowodzi, to pensja mu się za to nie należy, bo dla takiego wielkiego pana dyshonor by to był.

– Mało życiowy jakby ów regulamin. Nie uchybiając Stanoriusowi, słusznie Wielkiemu.

– Mało życiowy? Widać, że Bikopulijczyków nie znasz. Co drugi cesarz na marmurowy pomnik u wdzięcznej ludności zasłużył, z tego braku życiowości korzystając. W blasku chwały światłego reformatora.

– Przyznaję, że nie rozumiem.

– Ty, czarodziej? Patrzcie, państwo, co to się porobiło, Pierwszy, co nieomylnością człowiekowi przed nosem nie wymachuje. Że o wiaderku nie wspomnę. Ha, zacznam widzieć was w innym świetle, mistrzu Debren. A co do

Bikopoliss, to sprawa jest prosta jak maszt. Otóż już dziad Stanoriusa stwierdził publicznie, że dobrze się w państwie nie dzieje i trzeba dużo poprawić. Przy czym źle się dzieje z winy poprzedników, którzy błędy i wypaczenia czynili, księżycową gospodarę prowadząc. Kraj potrzebuje więc reform, dobrego władcy i wzrostu. I tak się przyjęło, że każdy kolejny cesarz dupa jest, jeśli nie reformuje czego się da i wzrostu ewidentnego nie wykazuje. Wiesz, Debren, ile Stanorius legionów miał? Dwa! Wschodni i Zachodni, z dwoma wicemarszałkami na czele, bo jedynym marszałkiem, pensji zresztą łaskawie nie biorącym i na biednych ją oddającym, był sam cesarz. Dwa legiony plus jedna flota i trzy samodzielne eskadry. I wystarczyło. Okręty bikopulskie co chciały, to na Międzymorzu czyniły, legioniści w Zuli stacjonowali jak za Starego Cesarstwa, w Dekturanie, na Bliskim Zachodzie. Prowincji siedemnaście było, a jak jeden ambicją chory centurion pogranicznik, nudą widać otumaniony, podjął się ku chwale cesarza całe państwo dookoła pieszo obejść i tym sposobem do *Księgi Gupissa* trafić, to w drodze wyłysiał, ośmiorga potomstwa się dorobił i tak nogi nadwerężył, że go w uznaniu zasług do kawalerii przenieśli. Takie to państwo było! potem Stanorius zmarł i barbarzyńcy Zulę odbili przy błogosławieństwie ówczesnego Ojca Ojców, nawiasem mówiąc. I co następca tronu zrobił? Edykt wydał i z szesnastu już teraz prowincji osiemnaście uczynił! Ciach piórem i oto macie, ludkowie dobrzy, dwie nowe jednostki administracyjne. Z kupą intratnych urzędów, z czego na prowincji się cieszą, i bandą pełnomocników cesarza do spraw wdrażania, co dwór i stolicę raduje. Potem jeszcze, pod koniec życia, najjaśniejszy pan armię zreformował, z trzech okręgów wojskowych cztery robiąc, co jako wielki sukces roztrąbiono. Ale się rozmyślił i zaraz z czterech dwa uczynił, bo mu eksperci wyliczyli, że gotowość bojowa od tego wzrośnie, no i go żołnierze, zaiste z podziwu godną szybkością, na



włóczych w kawałkach z pałacu wynieśli. Nie muszę chyba dodawać, że następny cesarz, eks-dziesięćnik hoplitów, zaczął rządy od pięciu okręgów i podwyżki dla kadry oficerskiej. I tak poszło. Dzisiaj Bikopuliss to już nie, jak niegdyś, miasto i świat, ale miasto i trochę dalej, niż z baszty widać. Ale prowincji ma czterdzieści i dziewięć, a armii, samodzielnych legionów, flot i eskadr tyle, że się generałowie dawno w schematach organizacyjnych pogubili. Za to w tabelach płac biegli są jak nikt. Mocno patrzą na ręce jeden drugiemu, ani złamanego grosza nie wydebisz u skarbnika ponad to, co ci z etatu należy. – Admirał przerwał, wyjął zza pasa sztylet i ująwszy za ostrze, zaczął się przyglądać szczurowi wystawiającemu pysk z jakiejś dziury. Szczur popatrzył mu w oczy, popatrzył na Debrena, pomyślał chwilę i wylazł cały. Nie spiesząc się, podreptał wzdłuż ściany. – Kota tu przypadkiem nie macie, mistrzu?

– Był, ale coś go zeżarło. Nie mam pewności: szczury czy załoga.

Vensuelli zamachnął się, cisnął sztyletem. Ostrze wbiło się w deskę przepierzenia trochę nad grzbietem gryzonia, rozłupało ją, znikło jak cała reszta noża. Szczur pisnął i odskoczywszy na dwie stopy, zatrzymał się przy jakiejś dziurze – nie tej, którą wszedł – sprawdził, czy admirał nie wyciąga następnego noża. Uspokojony, wrócił do obwąchiwania desek pokładu.

– Widzisz go – wyszczerzył zęby Vensuelli. – Urodzony Bikopulijczyk. Kostucha mu nad uchem sierpem wywija, a ten udaje, że nic złego się nie dzieje. Resztki dawnej świetności eksploatuje i aktualnej rzeczywistości nie chce do wiadomości przyjąć. A tak przez ciekawość, co on tak węszy? Kocich niedogryzków szuka?

– Robaków. Mało co na okręcie do zjedzenia zostało, więc się szczury pierwszej na myszy przerzuciły, a ostatnio, dzięcioła modą, na robaki. Dlatego, jeśli łaska, nie polujcie dla sportu

na szczury. Co innego, gdyby do garnka... to z żalem czasem czynimy, ale dla zabawy lepiej nie. One, widzicie, pożyteczne są.

– Wybacz, Debren, zapomniałem, żeś magik. Pewnie, jak wielu z nich, o tych tam, no... dziurach eko... elokogicznych chcesz prawić, co? Że niby wszystkie żywe stworzenia kooperatywę tworzą, ku dobru wspólnemu się w zamkniętym kręgu zżerając?

– Nie, admirale. Jeśli już, to o dziurach okrętowych, które tutejsze robaki z dużym sukcesem czynią. Pewnie w ramach kooperatywy z rybami, ku którym nas z całym „Aramizanopolisańczykiem” w końcu poślą. Galera spróchniała jest, a teraz jeszcze do sera coraz bardziej podobna. Pewności nie mam, ale myślę, że szczury co większe robale wyżerając, życie nam przedłużają.

Vensuelli wstał, ruszył ku drzwiom. Zmienił jednak zamiar, podszedł do ściany, kopnął. Poprawił drugi raz, powiększył wielką jak głowa dziurę. Odgarnął garść muszelek i sięgnął po sztylet wbity w podłogę sąsiedniej kajuty.

– Napiłbym się, panie Debren. Na wszystkim już pływałem, na wolkańskim kajaku nawet, ale takim paskudztwem jeszcze nigdy. Że też to gówna na morze wypuścili. Uprzedzano mnie, że prosto z pochylni toto nie będzie, ale niech mnie szlag trafi, jeśli to nie jest najstarsza galera znanego świata. Nie w rejestrach flot jej szukać, a w Księdze Gupissa. Chyba w mordę kogoś strzełę, jak się zaraz nie napiję. Czarodzieju, he?

– Myślę... Kapitan chyba już przeciw temu nic mieć nie będzie. W skrzynce coś pewnie trzymał.

Spod szmaty leżącej przed progiem i przyklejonej do pokładu brudem, co tłumaczyło jej obecność, Debren wyjął wymyślny płaski klucz. Klucz był magiczny, ale większość magii wywietrzała, ledwo dawała się wyczuć. Może dlatego zamek kuferka ustąpił już po dwóch pacierzach szarpania się

ze zgrzytającymi zapadkami. A może dlatego ustąpił dopiero po dwóch.

– Co my tu mamy? – zainteresował się radośnie Vensuelli, oglądając pod światło szklany butlogąsior. – Naczynko jakby z wyspy Prycos, z samiutkiego południa Wolnego Świata. Nie ma słodszych win, mówię ci, Debren. Ciekawe, który rocznik? Ja, mistrzu, na winach jak mało kto... – parsknął czerwonymi kroplami. – Tfu, zaraza! Szlag by go, szypra dusigrosza; żeby go tak raki powoli obgryzały.

– Woda? – Debren pokiwał współczująco głową. Klęczał przy skrzyni, drapiąc się w zadumie po zarośniętej brodzie. – Tu też morze zawitało. Cholera. Cholerne tajne służby cesarskie. A mówiłem, żeby najpierw przestudiować rozkazy, a dopiero potem sejfik do liny wiązać i za rufą ciągnąć. Ale nie, oni lepiej wiedzą, swoje metody mam, tysiąc lat doskonałe. No, to teraz się mogą... Nie, przesadziłem. – Strzepnął z palców rozłazący się papier. – Nawet do podtarcia się to już niezdatne.

– Zwracam kapitanowi część honoru. – Admirał usiadł na wiaderku, łyknął z butlogąsiora. – Patrząc na stan dokumentów, widzę, że dobrze korek wsadził. A i ten kwas, gębę krzywiący, podłego pochodzenia nie jest. Z Prycos, wyspy słonecznej pochodzi, ma prawo do markowego naczynia. Tyle że rocznik fatalny. Założysz się, Debren, że datę zbioru podam? O pięć dukatów?

– Nie zakładajcie się z magikami, panie Vensuelli. Niektórzy, jak uczciwsze sposoby zawiodą, i w myślach czytać wam mogą. Wielka jest moc... Nie, cholera – cisnął ze złością płat czegoś szarego, spleśniałego, rozłazącego się w dłoniach. – Nie da się tego odczytać.

– To nie ludzki mózg, co, Debren? A o trzy dukaty?

– Chyba że mi skredytujecie. Wtedy i – zastanowił się – i o pół tuzi... nie, o pięć.

– Procent jaki?

– Niech będzie zwykły, bankierski – uśmiechnął się chytrze Debren,

– Takiś pewny swego? No to proszę, zakładamy się. Papieru tu pewnie... dobra, widzę, że nie macie, Nawigator przy sobie nosił jak mapę, prawda? Zrobmy więc tak: jak na „Jaskółkę” wrócimy, spiszcie się odpowiedzi na kartce, każdy na swojej, i porównamy, kto był bliżej. A żebyś wiedział, co oceniasz, proszę, łyknij sobie. Jak się dobrze wczuć, to nawet niezłe to wino.

Zakład był poważny, więc jakiś czas milczeli i wymieniali się butlogasiorami. Debren trochę posmutniał. Przypomniał mu się ograny w kości handlarz marimalskiego bomblogna, zakłęcie, które zagarnął wówczas z pulą, i okoliczności, w jakich pierwszy i ostatni raz je zastosował. Dużo czasu upłynęło, mnóstwo wody w Pirrendzie...

– No, już lepiej. Mogę raportu wysłuchać, w apopleksję nie popadając. Nie wiem, Debren, czy patent oficerski masz, bo widać, żeś cudzoziemiec, a zagranicznych magów w Bikopuliss nie szanują... Ale rządzisz tu chyba, więc raportuj. Nie wstawaj, obejdzcie się.

Debren schylił się, końcem różdżki przyciągnął owalną skorupę dostrzeżoną za skrzynią. Rozłupał muszlę, palcem zagarnął trochę solnego nalotu z wieka skrzyni. Natarł ostrygę, rozdzielił na dwoje, podał połowę admirałowi. Zakąsili.

– Pobłądziliśmy zaraz za Kariatydami, jak się pewnie domyślacie. Nawigator powiedział, że za takie pieniądze to on może dwie posady ciągnąć i jako pierwszy oficer się udzielać, ale doksztalcać się to już nie zamierza. No i słowa dotrzymał. Trzy dni w kółko pływaliśmy, a potem w Burzliwą nas wprowadził. Sztorm się trafił, jak to w owej zatoce, w brzeg mało nie rąbnęliśmy, nie wiadomo nawet czyj, a potem... no... zmyło obu dowódców.

– Co chcieliście tym wymownym „no” dać do zrozumienia?

– Konkretnie nic, bo spałem... no, rzygałem wtedy. A niekonkretnie, to dziwnie przemyślnie morskie bożki nam zgubę zadać próbowały. Po wojskowemu bardzo, w wybrane cele mierząc. Fala, wystawcie sobie, kapitana zmyła, nawigatora, który pierwszym oficerem wówczas będąc, teoretycznie spać powinien, wybijacza rytmu i mesowego. Obaj wymienieni ponadprzeciętnym zaufaniem dowódcy się cieszyli.

– Może – powiedział powoli Vensuelli – może z żalu po utracie ukochanego pana w odmęt się rzucili?

– Wybijacz wzorowym machrusaninem był. Walenie w bęben przypowieściami religijnymi i modlitwami urozmaicał, zwłaszcza o dobrą kondycję galerników Pana prosząc. Nie, admirale, ten życia by sobie nie odebrał.

– To wszystko poszlaki, Debren. – Błysk w brązowych oczach mówił co innego. – Masz jeszcze jakieś? Bo na podstawie tych nie wypada powiesić więcej jak jednego, dwóch... Pod zarzutem zaniedbań. Jakaś luźna lina, śliski pokład, nadburcie nienormatywnej wysokości...

– Jak skończyłem wiecie co, to w swojej kajucie zastałem bosmana i sternika. Tłumaczyli się, że posprzątać chcieli, co wolałem na wiarę przyjąć. Miotłę istotnie ze sobą przynieśli, wody w kubie... Mało, ale za to święcona była. A miotła złamana, oba kawałki uczciwie zastrugane, co i cieślę w mętym świetle stawia. Ciemno było, jak to po północy, więc nie pytałem, skąd dziury dwie w pierzynie. Ciasno tu, łatwo miotłą o hamak zawadzić.

– Na gnaty Machrusa... Wiesz, co mówisz? Toż to otwarty bunt!

– Uspokójcie się, panie admirale. Strategowi rozwaga i zimna krew przystoi.

– Czemu ich w ropuchy z miejsca nie pozamieniałeś? Żartuję, Debren, nie bierz mnie za prostaka... Ale przypieprzyć jakoś tą swoją różdżką chyba mogłeś, co?

– Ten okręt i tak ledwo żegluje. A z żabą za sterem i drugą, komendy odgwizdującą, daleko byśmy nie dopłynęli. Postraszyłem ich tylko.

Vensuelli chlapnął z butlogąsiora, przegryzł resztkę ostrygi. Posmutniał.

– Chyba nie dla mnie admirałski patent. Wiesz, Debren, we mnie taktyk krótkowzroczny siedzi i nogami wierzga. Dusza się rwie, żeby tych suchych synów pod kilem poprzeciągać, wybatożyć solidnie i na rejach rządkiem rozwiesić. Wiem, że nie powinienem, ale ręce świerzbią.

– Teraz ty tu dowodzisz. Chyba.

– Chyba?!

– Widzieliście, panie, ile z tajnych rozkazów zostało. Po coś nas tu przysłali, ale po co, tego nie wiem. Nawet nie wiem, czy dokładnie tu; kapitan raz czy dwa niechcący napomknął o Kanale i tylko dlatego na was trafiliśmy. A że cesarską banderę na powitanie podnieśliście, kazałem okręt zatrzymać.

Vensuelli wstał, wyrzwał przez powybijane okna galerii. Kiedy się odwrócił, miał na ustach nie bardzo ładny uśmiech.

– Tak sobie myślę i coś mi się nie zgadza. Sześć dni, mówicie? W Burzliwej Zatoce, mówicie? Jak znam życie, a znam, to bosman, sternik i cieśla sami się za to sprzątanie nie wzięli. W takich razach cała załoga staje murem, cała, podkreślam. Bo ci, co do muru się dopasować nie chcą, za burtę idą i toną, jak to w zwyczaju cegieł. To raz. A dwa, że jakoś wierzyć mi się nie chce, by negocjacje z pokładowym magiem od wody święconej i osikowego kołka zaczynać. Zwłaszcza płynąc po oceanie i bez oficerów. Marynarze najmądrzejsi nie są, lecz głupi też nie. Wiedzą, że drogę trzeba znaleźć, pościg ominąć, burzę. Czarodziej to skarb, nikt go, ot tak sobie, nie uśmierci.

– Ja w magii morskiej najlepszy nie jestem – wyznał spokojnie Debren.

– Zapytam wprost: widziałeś, że szykują bunt?

– Owszem. Macie rację, admirale. Przyszli do mnie jak tylko zrobiliśmy zwrot na północ. Zaraz za cieśniną Kariatydzką.

Vensuelli, nie spiesząc się, wyjął miecz. W lewej ręce, nie wiadomo kiedy, pojawił się nóż. Uśmiechnięty krzywo, admirał patrzył to na Debrena, to na przeżarte grzybem, lecz wciąż spełniające swą rolę drzwi.

– No to jesteśmy w domu. W twoim, nie da się ukryć. Ty tu karty rozdałeś, czarodzieju, i nimi musimy grać. Ale wygrać toś jeszcze nie wygrał.

– Wyciągasz błędne wnioski. – Debren nie poruszył się, twardo siedział na skrzynce.

– A ty przeceniasz swoje siły. Chyba wiem, jak to ma wyglądać. Wiatr od oceanu; „Jaskółka”, mimo rozpaczliwego halsowania, zepchnięta zostaje w głąb Kanału, a wy, mając wiosła, robicie w tył zwrot i znikacie. Zgrabnie, ale dwóch rzeczy nie uwzględniłeś.

– Nie chcę ci przerywać, ale...

– To nie przerywaj. Słuchaj, bo jeszcze nie jest za późno. Po pierwsze, mnie nie łatwo zabić. – Zamłynkował mieczem, poruszając przedramieniem i niczym więcej. – Różni próbowali, czarodzieje też, i teraz poprzetręcane łapy zaklęciami sobie kurują, w brody plując. Po drugie „Jaskółka” nie przez romantyczną fantazję to miano nosi. Wiatr nie wiatr, czary nie czary, zawsze potrafiła zjawić się tam, gdzie chciałem, i zdrowo przysrać. A już w tym rejsie to pojęcia nie masz, Debren, jak zdrowo. Prawdziwie smoczy pazur ci ukaże, jak mnie nie posłuchasz.

– Przecież słucham.

Vensuelli roześmiał się, kręcąc głową, spojrział w okno, jakby biorąc krążące wokół kasztelu rybitwy za świadków, jaki to z czarodzieja wesolek. I rzucił.

Debren zastygł. Potem, powoli i ostrożnie, obrócił głowę na tyle tylko, by wyłowić kątem lewego oka błysk stali. Tym

razem przepierzenie wytrzymało. Belka ramy drzwiowej, spróchniała wprawdzie, była jednak gruba i solidna.

Admirał pozostał przy oknie. Miecz trzymał nisko, co dobrze wróżyło, sugerowało, że strategia, być może, weźmie górę nad taktyką. Z drugiej strony galera, nie dość że stara, była jeszcze nieduża. Co oznaczało niedużą kajutę kapitańską i bardzo niewielki dystans między zatkniętą za pas różdżką a mieczem.

– Czarem odbileś, przyznaj się – mruknął Vensuelli.

– A myślałeś, że jak? – równie cicho odpowiedział Debren. Głaskał różdżkę, ale nie wyjmował.

– Lewą ręką rzucałem. A i tak byś dostał, gdybyś wstał. – Patrzyli sobie w oczy, mrużąc powieki. – Mógłbyś tyłek ruszyć, przyjacielu. Dziwnie tak jakoś bić się z kimś, kto kuferka dosiada.

– To się nie bij. Albo, jeśli wola, siądź, o tam, na wiadrze. Szanse się wyrównają.

– Chciałem cię jeno ranić, ale jak mnie kpinami rozzłościsz... Co robimy? Bijemy się czy negocjujemy?

– Ja zawsze negocjuję, jak długo można.

– Czekać na odsiecz? – Vensuelli wymownie spojrział na drzwi. – Cóż, czekajmy. Ciekawe, kto pierwszy swoich doczeka. Bo ja, widzisz, ludzi nauczyłem, że jak na obcy pokład wchodzi i za długo znaku życia nie daje, to abordażować mają. Trochę im zejdzie, ale kręcą się pewnie tuż-tuż, a to znaczy, że ta twoja banda dwa razy pomyśli, nim się nam tu w dialog wmiesza.

– To nie jest moja banda, admirale. Nie dałeś mi dokończyć, wołając rzuty nożem poćwiczyć, ale teraz dokończę. Choćby przyszło mi admirałami floty o pokład rzucać. – Vensuelli skrzywił się szyderczo, skrzyżował ramiona, wsparł się o międzyokienny filarek. – Powiedziałem, że kandydaci na buntowników u mnie byli. Nie zdążyłem dopowiedzieć, że wybijałem im to z głów, jak mogłem. I że do kapitana



poszedłem, z ciężkim sercem, bo donosicielstwem się brzydę. I że kapitan za drzwi mnie wywalił, prowokatorem nazywając i każąc odszczekać wszystkie te potwarze, jakie na dobrych patriotów i zacnych marynarzy rzucam.

– Powiedzmy – zaczął powoli Vensuelli – powiedzmy, że wygodnie mi będzie w to uwierzyć. Powiedzmy, że jak owi marynarze z twojej opowieści bardziej maga, niż jego trupa potrzebują. Jedno mi tylko wyjaśnij, bym mięśni twarzy nie nadwerężył, robiąc dobrą minę do złej gry. Jakim cudem mianowicie te sześć dni buntu przeżyłeś? Można nie spać dwie noce, trzy... Ale sześć? Nie da się.

– Nie da – potwierdził Debren. – I nawet nie próbowałem. Ostatecznie skąd mogłem wiedzieć, że akurat dzisiaj was spotkamy? Że w ogóle spotkamy? Nie jestem wróżbitą.

– No to jak?

– To proste, kiedy się ma angaż na pokładowego czarodzieja. Wyjaśniłem im, że nie ma sensu zakradać się nocą i podrzynać mi gardło. Bo przed snem zawsze patrzę w zwierciadło, wymawiam magiczną formułę i widzę, co się do świtu zdarzy.

– I co, nie próbowali ci tego zwierciadła niby przypadkiem stłuc?

– Próbowali. Skutecznie. Dlatego, wybaczcie, zarośnięty chodzę. Wszystkie lustra na okręcie szlag trafił.

– Wy też wybaczcie, że się powtarzam. Ale jak, do cholery, udało się wam przeżyć?

– To wiadro, panie Vensuelli. Nie temu służy, coście myśleli. W wiadrze z wodą jak w zwierciadle można...

– Zaraz, zaraz... Coś ty przedtem powiedział, Debren? Nie teraz; przedtem. Że... że nie jesteś...

– Admirale, wy nie jesteście prostym, niepiśmiennym marynarzem. Coście sobie myśleli? Ja się przy tym cholernym wiadrze ogolić nie umiem, a co dopiero mówić o przepowiadaniu przyszłości.

\*\*\*

Karawela „Jaskółka” była krótsza od „Aramizanopolisańczyka”. Trochę nadrabiała większą szerokością, podpatrzoną na kupieckich statkach, ale nie zmieniało to faktu, że wypierała o połowę mniej wody. Kasztele za to – i dziobowy, i rufowy – miała równie obszerne, jeśli nie większe. Ten z tyłu, sam w sobie wysoki, przyozdobiono jeszcze drewnianymi blankami. Dopiero z bliska, drapiąc się po stromych i wąskich schodkach, Debren pomyślał, że nie o urodę chodziło. Nadbudówka, choć gęsto zdobiona, pomalowana na zieleń i błękit oraz lśniąca czystymi szybami galerii, jeszcze gęściej upstrzona była dziobami po grotach strzał i bełtów. Niektóre dziury, przebite na wylot i załatane, były naprawdę duże. Docenił to, gdy dotarł na odkryty pomost i mógł oszacować grubość tych niby ozdobnych zębów upodabniających okręt do pływającego zamku. Niejeden zamek pozazdrościłby „Jaskółce” ochrony dawanej strzelcom.

– Luwanec, zmień sternika – polecił Vensuelli wygolonemu na zero młodzieńcowi z kolczykiem w lewym i dziurą po strzale w prawym uchu. Młodzieniec, uśmiechnięty uprzejmie, szedł jako ostatni z trójki, oficjalnie po to, by w razie czego przytrzymać spadającego ze schodni czarokrążcę. – Pani Zelgan tutaj? Cóż za radosna niespodzianka. Czy nie zechciałabyś równie radosnej kucharzowi uczynić, w kambuzie go odwiedzając? Ucieszy się.

Admirał wyszczerzył zęby i wykonał półukłon, ale do beretu nie sięgnął. Debren ocenił, że za jego uprzejmością kryje się uprzejmość i nic więcej. Co trochę dziwiło, aczkolwiek bez przesady. Ubrana w strój pazia, raczej polowy niż reprezentacyjny, choć przesadnie biżuterią uzupełniony, stojąca obok sternika kobieta prezentowała miłą dla oka figurę. Twarz, okolona jasnymi włosami, zebranymi pod toczek, była już tylko ładna. Coś powstrzymywało przed

użyciem słowa „miła” przy jej opisie, chociaż Debren zdawał sobie sprawę, że jakiś czas temu przestał być obiektywnym sędzią w takich kwestiach. Lenda Branggo... No cóż, takim jak teraz, niby życzliwym uśmiezkim, ubrana na niebiesko i fioletowo blondyneczka akurat mocno Lendę przypominała.

– Nie wątpię – powiedziała, nie siląc się na uprzejmy ton. – Zdążyłam zauważyć, jak bliscy sobie jesteście w myślach i uczynkach. Jeden i drugi z ręką do podtrzymywania się pcha, gdy po trapie chadzam. Zadziwiająco często ręka pomocna w tyłek mnie przy tym trafia. Słodkimi ciasteczkami tyś mnie pierwszy częstował, ale ciasteczka kucharz piekł. Z kolei ta dowcipna za pierwszym razem i nużąc na dłuższą metę prośba o moczenie pióra w moim kałamarzu chyba w twojej się głowie...

– Pani Zelgan!

– Panie Vensuelli? – zatrzepotała rzęsami, udając zdziwienie.

– Mocno nalegam, byś się udała do kambuza. Albo gdzie indziej. Spacer dobrze ci zrobi. Człowiek, dużo chodząc, sadło zrzuca. Przez co mniej narażony bywa na klepanie, nieumyślne nawiasem mówiąc, w części ciała nadmiernie rozrośnięte.

Blondynka ani nie pobladła, ani nie oblała się rumieńcem.

– Pewnie wiesz, co mówisz, Vens. Spacerować musisz dużo, bo tak patrzę na ciebie swoim wyczulonym niewieścim okiem i wiesz, co widzę? W żadnym miejscu, żadnym podkreślam, nadmiernie rozrośnięty nie jesteś.

Vensuelli, choć nie blondynka, najpierw bledszy się zrobił, głównie w okolicy zaciśniętych wściekle warg, a potem ciemniejszy – już na całej twarzy.

– Gościa przyprowadziłeś, admirale? – wybawił go z kłopotu nieduży, w gustowne czernie odziany mężczyzna, stojący przy rufowym żurawiku. Miał pod pięćdziesiątkę, nos czerwony i jakby rozdeptany, oczy małe, jasne, na pozór

senne. Na piersi czy raczej na półeczce utworzonej przez spory, a teraz dumnie wypięty brzuch, wisiał ogromny medalion z Machrusem Wybawicielem rozpiętym na kole. Debren nie widział od dawna tyle złota w jednym litym kawałku. Złoty był także łańcuch, górskimi kryształami zdobiony, oraz sygnet z przybrudzoną lakiem pieczęcią. – Radzi poznamy.

– To Debren, zapomniałem skąd, czarodziej pokładowy owej idącej obok galery, której nazwy nigdy nie próbowałem zapamiętywać, o całość języka się bojąc. Mistrz Debren galere tu przyprowadził po tym, jak oficerów i wartościową część załogi, nazwijmy to tak, sztorm zmył. Deklaruje chęć uczciwej współpracy i gotowość podporządkowania się rozkazom Jego Cesarskiej Mości. Mistrzu Debren, witamy w kompanii. Pozwól, że ci przedstawię mój, hmm, sztab. Ten oto mąż srogi, posturą beczkę piwa przypominający, a i miły zapach, dla beczek typowy, wokół siebie roztaczający, to imć rotmistrz Zbrhl. Musiałeś słyszeć, wielka to gwiazda na rynku niezależnych ekspertów wojskowych.

– Obiło mi się o uszy – skłamał Debren. – Czołem, rotmistrzu.

– Ja o tobie nie słyszałem – zahuczał najemnik, zdmuchując z płowych wąsisk piwną pianę i grzecznie salutując cynowym kuflem. Jego głos też skojarzenia z beczką nasuwał; był niski, dudniący. – Nic to, mistrzu. Jak w bój pójdziem, prawda sama na wierzch wypłynie. Jak gównu z przerebła, dajmy na to.

– Mało celna paralela – wtrąciła się pani Zelgan. – Przerębel tę szczególną cechę ma, że nie wszystko, co pływające z natury, a doń wrzucone, z powrotem wraca.

– Sraliście kiedy w lodową dziurę, paniusiu? A ja owszem, i to niejednym razem. Jak pod wielkim księciem Sovro zimową porą, kiedy to Wydrzanke nad Zberezina oblegaliśmy. Gród umocniony był silnie, załoga bitna i szczerze opłacona, więc

nie szło nam i jeden akademik uczony, księcia doradca, umyślił, by broni niekodeksowych popróbować. Żmutawilce wodę prosto z rzeki brali, wiadra z murów spuszczać, tośmy wyżej trochę w Zberezynie przereźbli nakuli, no i pod osłoną pawężników, ku chwale ojczyzny jedni, a za srebrne grube drudzy, z kiszek walili, aż huczało. Ciężki bój to był, powiadam wam, ludzi siła legło. Bo to i Żmutawilce gęsto strzelali, a pawężnik nie zawsze jak trzeba uważał, zatykaniem nosa zajęty, i mróz okrutny, i z amunicją niekodeksową krucho, bo racje skąpe. Na tę okoliczność mennica książęca specjalny Order Podpaski czy jakiś taki bić zaczęła i...

– Darujcie sobie te wojackie gadki – przerwał czarny z łańcuchem, chyba oczekiwaniem na prezentację zniecierpliwiony. – Mało to kogo interesuje, sami ceniący pokój i dialog ludzie się tu zebrawi.

– I skończcie z tą paniusią – dorzuciła Zelgan. – Tudzież nadużywaniem słów powszechnie za plugawe uważanych. Damy tu są. I pacholeta.

Tych ostatnich Debren doliczył się trojga. Przy bezanmaszcie, jeszcze w kasztelu osadzonym, choć już blisko jego przedniej ściany, stały małe składane zydelki, a na nich, w grzecznym szeregu i z grzecznymi minami, siedziało dwóch chłopców i dziewczyna. Wszyscy w jednakowych różowych żakiecikach z białymi żabocikami, białych pończochach, z tych grubo tkanych, męskich, portki zastępujących, i bordowych ciżemkach. Wszyscy z zeszytanicami na kolanach, piórami gęsimi w dłoniach i przenośnymi, nierozlewnymi kałamarzami przy paskach. Wszyscy czarnowłosi, ciemnoocy, smagli. Czternastoletni, na oko sądząc. I urodziwi.

– No proszę – uśmiechnął się złośliwie Vensuelli. – Tyleśmy słyszeli próśb i apeli, by nowoczesność zaakceptować i niewiastę na równi z chłopem traktować. Tyle prychania, gdy się usłużna dłoń w nienowoczesnym odruchu ku pomocy wyciągnęła albo kto o radę kulinarną dla podtrzymania

dyskusji prosił. I, okazuje się, damę gościmy. Oraz pacholeta, grubszego słowa niezwykajne. Które teraz, wbrew deklaracjom solennym, nie jak powietrze, narzędzia ślepe i mebel żywy mają być traktowane, już nie chodzącą maszyną do pisania są, ale istotami wrażliwymi? Dobrze, żeście się zjawili, panie Debren. Pomoc medyczna nam się przyda, bo komuś tu zdrowo jaźń rozłupało.

– Jak już o twoich uczniach mowa – zadudnił Zbrhl – to mogłabyś którego po coś do picia posłać. Siedzą i bez pożytku w stołki...

– Rotmistrzu!

– ...wrastają. Coście taka nerwowa, paniusiu? Pacholeta wrzaskami straszycie.

– A to jest Venderk opp Gremk – zdusił konflikt Vensuelli, wskazując płaskonosego w czerni i złocie. – Światowej sławy jurysta w prawie międzynarodowym wielce biegły, a i w innych takż. Aktualnie, jak my wszyscy, w służbie cesarskiej. Choć, jak i my, nie Bikopulijczyk.

– Wielcem rad poznać – jeszcze raz zełgał Debren, skłaniając się dwornie, ale płytko. – Darujcie, że o wspólnych znajomych nie zagaduję, ale jakoś...

– A ja, wystaw sobie, o tobie słyszałem. – Jurysta wyżej zadarł nos, wypychając tym samym brzuch. – I nawet twarz twoja znajomą jakby mi się wydaje. Chociaż rytników marnych w Lelonii Mniejszej mają, bardzo im się na listach gończych udałaś. Albo opat z Gańca grosza pożalował snycerzowi, co też może być. Ponoć z torbami monastyr puściłaś.

– Nie wziąłem ani denara więcej nad to, co w umowie stało – stwierdził chłodno Debren. – Wręcz przeciwnie. To opat mocno nie dopłacił. Aż dziw, że mu na porządną drukarnię brakowało. Ale nie mówmy o tym. Damy czekają.

Pani Zelgan posłała mu leciutkie dygnięcie i równie dyskretny uśmiech. Ustawiała się bardziej wdzięcznie,

oczekując, że uwaga zebranych skieruje się teraz na nią. Pospieszyła się.

– Miana tego oto rycerza – wskazał palcem Vensuelli – nie wymieniam, bo i nie znam. Panem Błękitnym go nazywamy, nie od koloru oczu, którego też nam poznać nie pozwolił, a od owej szarfy na zbroi. Pan Błękitny śluby złożył z osobą księżnej Pompadryny, władczyni Dracji, związane, więc daruj, że nie odpowie.

Debren skłonił się niepewnie czemuś, co przy prawej burcie stało, a co dotąd za pełną zbroję płytową brał, dla wywietrzenia na pokład wywleczoną. Zbroja, czarna i miejscami rdzawa, za-chrzęściła i schyliła o pół cala staroświecki hełm przyozdobiony mordą zębatej żaby. Względnie smoka – wykuto go dawno, gdy kowalstwo artystyczne jeszcze w tych stronach raczkowało.

– Tego zucha przy sterze znasz – ciągnął admirał. – To Luwanec, moja lewa ręka. Ta od tarczy, miarkujesz. Zbrojnymi na „Jaskółce” dowodzi, kiedy ich w rejs bierzemy. Teraz, gdy z naukową misją płyniemy, przemianowałem go na sekretarza wyprawy. Przy sterze stoi, bo o poufnych sprawach w takim, jak tu widzisz, towarzystwie rozmawiać będziemy, nie większym. Prości marynarze, a i pana Zbrhła rębacze, o wszystkim nie muszą wiedzieć. Pacholęta u pani Zelgan terminujące też, nawiasem mówiąc, lepiej by...

– Zapamiętaj w końcu – przerwała – że to moje narzędzia pracy, jak ten zbój Luwanec twoje. Ręczę za ich lojalność. Zamknijmy ten temat i przedstaw mnie wreszcie.

– Przedłużałem, jak długo mogłem, lepszy okres waszego żywota, panie Debren, ale cóż, sami widzicie. To jest Lelicja Zelgan, relacjonatorka. Korespondentka wojenna i kronikarka polityczna, akredytowana przy paru dworach...

– Parunastu!

– ...głównie tych podrzędnych. A ci tam to jej pisarczykowie. Hmm.

– Daruj sobie te chrząkania, Vens. Mistrzu Debren, miło mi was poznać. Opowiecie mi o tej straszliwej burzy, która oficerów pochłonięła? Może przy obiedzie? Chyba czas już na obiad, admirale? Ci nieszczęśnicy na galerze tak ciężko wiosłami pracują, że aż zgłodniałam. Okaż trochę machrusańskiego miłosierdzia i popędź kucharza. Chodźcie, mistrzu. Oprowadzę was po karaweli, pogawędzimy i wspólnie trochę sadła zrzucimy z części ciała nadmiernie rozrośniętych. Mam nadzieję, że posiadacie takowe. Chociaż jedną, co, Debren?

\*\*\*

– Admirał proszą – potrząsnął hamakiem knecht. Był bez zbroi, jak i pozostałych dwudziestu czterech podwładnych rotmistrza Zbrhla, i źle się z tym czuł. Cała gromadka, zamknięta w ładowni wraz z wierzchowcem rycerza Błękitnego, rżnęła w karty, klęła i wypatrywała przez furty kogoś, kogo można by zdzielić w łeb, zabijając monotonię rejsu, o zdzielonym nie wspominając. Zabroniono im wychodzić na pokład. Mimo pstrokacizny cywilnych ubrań i pustki przy pasach, już w liczbie od dwóch w górę wyglądali na tych, kim byli: żołdaków, dających się wozić po morzu tylko po to, by jak najszybciej przeskoczyć burzę, dokonując abordażu względnie desantu.

Debren ziewnął, wygramolił się spod pledu, wskoczył w buty. Dwie schodnie, dzielące go od kajuty kapitańskiej – tak ją tu nazywano – pokonał szybko. Lek przeciw chorobie morskiej, popity piwem z prywatnego zapasu rotmistrza, zadziałał znakomicie. Obiad był smaczny, wymiana uprzejmości z panią Zelgan mało dokuczliwa, a drzemka w sam raz, ani za krótka, ani za długa. Dawno nie czuł się tak dobrze.

W kajucie, ciasnej, ale ze smakiem urządzonej, czekali na niego w większym gronie. Zbrhl w kącie przy stojaku s bronią,



z kuflem na udzie, Venderk opp Gremk dostojnie, w należącym do dowódcy fotelu, oraz Zelgan i Vensuelli na brzegu koi, wsparci łokciami o stół z mapami.

– Niedobrze, Debren, problem mamy – wskazał mu zydel admirał. – Wiatr się zmienił, ze wschodu wieje. Nie osłoni nas Brechta, kołysać będzie dalej. Nie wiem, czy Poradzimy sobie z przeładunkiem na otwartym morzu.

– A musimy na otwartym? – usiadł, zerknął na mapę.

– Pan Gremk twierdzi, że musimy.

– Dobro wojenne pod osłoną z pieczęciami zostając, frachtem jest – stwierdził jurysta z uczoną miną. – Ale odkryte broń czyni, niezależnie od stopnia gotowości. Canicus w swych *Interpretacyach y polemykach* powołuje się wprawdzie na precedens księcia Bulby Irbijskiego, który miał w zwyczaju pociski do swych onagerów za flotą z tyłu kupieckimi statkami wozić, sprytnie zakazy obchodząc, ale nas to nie urządza. Anvashowie cięci na Bulbę są i mogą dawnych ustaleń nie uszanować, jeśli z jego imieniem je skojarzą. Poza tym książę piromanem znanym był, innych pocisków jak zapalające nie używał i łatwo mu było celnikom się wykpić. „Kul lanych na pokładzie nie mam, kamieni takóž, a gliniaków z olejem palnym dužo, bom Południowiec jest i łatwo marzną, więc żegnam panów. Niczego nie wiozę, czym te oto onagery załadować by można”. Nie było się czego przyczepić. A u nas jest. Nawet jak bełty czasowo na galereę przełożymy, to chcący kontroler znajdzie, co mu potrzebne.

– O czym on...? – zaczął Debren, ale admirał uciszył go machnięciem ręki.

– A jakim to sposobem? – Vensuelli zmarszczył brwi.

– Sposób na wszystko się znajdzie. W procesie miasta Dangizy przeciw królowi Lelonii reprezentujący powoda wykazał możliwość, prawda że hipotetyczną, uczynienia bełtów z rej masztowych i tym sposobem ostrzelania grodu. Katapulta nie onager i bez amunicji kulowej się obejdzie.

Sprawa mocno skomplikowana była, ale ostatecznie Lelonia zapłaciła ładny grosz, a o to przecież szło.

– Rejami strzelać?! Co za głąb to wydumał?!

– Cóż, nie chwałac się... Miałem przyjemność reprezentować Dangizę i mój to był pomysł. Nie rozumiecie go, widzę, ale to pomysłu gorszym nie czyni, wręcz przeciwnie. Dobre prawo, mili zebrani, to takie, które jeno doświadczony jurysta pojąć potrafi. Na takim, a nie innym, ład społeczny się opiera. A i, nie ukrywam, dobrobyt palestry.

– Wybaczcie – chrząknął Debren – ale nie wiem, o czym mowa. Co ma nieboszczyk Bulba do Dangizy, na drugim końcu świata leżącej, a Półwysep Brechtoński do interpretatora Canicusa, Papugą zwanego?

– Nic – zapewnił Zbrhl i łyknął z kufla.

– Nic – westchnął Vensuelli. – Darujcie, panie mecenas, ciekawe i pouczające rzeczy nam tu prawicie, ale celnicy, kontrole i traktaty mniej mnie teraz obchodzą. Wysp Drackich jeno patrzeć zza horyzontu, a pogoda kiepska. Jeśli się do tej pory żaden patrolowiec nie trafił, to już raczej się nie trafi. Galera spóźniła się i ma to tę dobrą stronę właśnie, że Kanał opustoszał. Ludźmi się zbytnio przejmować nie musimy, martwy sezon nastał, tu, w każdym razie, między Dużą i Małą Brechtą. Za to siłami natury, i owszem, martwić się powinniśmy. Na mój żeglarski nos lepiej nie będzie, jeśli już, to gorzej, choć sztormu nie wróżę. A wy, mistrzu?

– Nie mam zwyczaju z admirałami w polemiki wchodzić.

– Patrzcie go, mądralę... Już się z Venderkiem spiknął. Czarodziej jesteś, nie prawnik, mów jasno i uczciwie.

– Wasze zdanie podzielam. Nie przez konformizm, ale z braku własnego. Z przepowiadania pogody zawsze słaby byłem, a już morskiej...

– Co?! I ty jesteś pokładowym czarodziejem? Na pogodzie się nie znając?! Jasna cholera, powiedz jeszcze, że czarować tylko z książki umiesz, a tę zgubiłeś! Znam ja takich

wydrwigroszy!

– Zna, zna – podchwyciła ochoczo Lelicja Zelgan – takich jeno mustruje, głupim skąpstwem wiedziony. I potem płacze.

– Zamknij się, Zelgan. To wojenna narada. Jeśli już musisz tu być, to przynajmniej siedź cicho i nie przeszkadzaj. Relacjonatorka jesteś, więc milcz i zapamiętuj, by potem dobrze relacjonować. Debren, wyglądzają fale umiesz?

– No cóż... Olejem w dużej ilości...

– Olejem to i ja umiem. Czarami, pytam. To karawela wojenna, a nie baryłkowiec z Wolkanii, my tu oleju w dużych ilościach nie wozimy. A gdyby nawet, to użyteczniejsze rzeczy można z olejni robić, niż do morza go lać. Przykładowo placki smażyć. Albo wojsku do twierdzy sprzedać na ukrop.

– Przy jakim stanie morza trzeba by te fale uspokajać? – zapytał rzeczowo Debren.

– Przez pokład tu szedłeś, widziałeś chyba?

– Znam ten problem od strony teoretycznej i wiem, co można, czarem jakiej mocy i przy jakim stanie morza, ale praktycznie... cóż, stany morza nie bardzo...

– Nie zwracaj mi głowy szczegółami technicznymi Mam na pokładzie cztery katapulty. Mają się znaleźć na galerze razem z obsługą i pociskami. Wiesz, jak to zrobić?

– Katapulty?

– Tak, Debren, katapulty. Jeśli nie wiesz, co to słowo oznacza, to tam na półce stoi *Ballistyka, albo o myotaniu y ciskaniu ciał wszelakich, mężobójczych głównie* sławnego mistrza Ciołka. Przystuduj w wolnej chwili, ciekawe. A na razie zakarbuy sobie, że owe katapulty dalekosiężne są, duże więc i ciężkie. Po szesnaście cetnarów ważą.

– Jaki wysięg mają wasze podnośniki rejowe?

– No, wreszcie z sensem gadać zaczynasz. W tym sęk. Za mały. W porcie jakoś sobie poradziliśmy, choć wszystko trzeszczało, ale w ruchu... To galera, pies by ją kąsał; jak nie wiosłują, z tyłu zostaje, a jak wiosłują, to podejść blisko się

nie da. Szczepić się przy takiej fali i wietrze to ryzyko jak cholera, więc tylko szalupa zostaje. Załadować się da, ale czy potem na galerę podniesiemy... nie wiem. Bez magii chyba się nie obejdzie. Widziałem tę waszą łajbę z bliska. Nie dam nawet głowy, czy od już ustawionej katapulty pokład nie pęknie i machina okrętu na wylot nie przebije, na dno za sobą pociągając. – Podrapał się z troską po brodzie. – I jak, mistrzu? Dasz radę ze dwie... jedną klepsydrę ciszy wyczarować? Byśmy burta w burtę stanąć mogli? Co? Choć trzy kwadransy...

– Nie jestem cudotwórcą – mruknął Debren.

– No to leżycie – powiedziała Zelgan. Odrobinę mściwie.

– Co tam – trzasnął kuflem o parapet rotmistrz Zbrhl – Pójdziemy na białą broń, raz kozie śmierć. Stawkę podwoicie, to pójdziemy.

– Kontrakt nie przewiduje... – zaczął opp Gremk, ale Debren nie pozwolił mu dokończyć.

– Magunem jestem – powiedział, podnosząc się z zydła. – I po swojemu to zrobię, jak magun. Rzecz jest do zrobienia. Musicie mi tylko zaufać.

\*\*\*

– Tnij!

Vensuelli, jak trzy razy przedtem, zamknął oczy, by nie oglądać katastrofy. I jak przedtem, ani na stopę nie zszedł z kursu. Debren ubezpieczał go, ale nie interweniował. Nie musiał. Podobnie jak niepotrzebnie marnował moc i zaklęcia na rotmistrza Zbrhla, który bez niczyjej pomocy wybijał kliny wielkim młotem dokładnie wtedy, gdy należało, i na Luwaneca, z równą precyzją posługującego się mieczem. Prawdę mówiąc, najtrudniej mu było samemu wychwycić tę długą na dwa-trzy uderzenia serca chwilę, gdy trzeba było wydać rozkaz i zdecydować, czy to już tym razem, czy przy następnej próbie.

Miecz Luwaneca zagwizdał krótko, gładko ściał linę. Odrobinę wcześniej marynarze z „Jaskółki” puścili dwie inne liny, podtrzymujące zapasową rejkę. Młot rotmistrza był w połowie drogi do klina, a bosman, cieśla i siedmiu obszarpańców z załogi „Aramizanopolisańczyka” w połowie decyzji wypuszczenia sieci i rozpierzchnięcia się w panice. Debren machnął dłonią i wymamrotał zaklęcie.

Bawole kiszki, skrecone za pośrednictwem kołowrotu, drgnęły gwałtownie; połączone z nimi ramiona runęły do przodu, szarpiąc cięciwą. Cięciwa grzmotnęła koniec rejki; rejka, wsparta drugim końcem o maszt, oddała i pchnięta odrzutem katapulta pomknęła w poprzek zalanego oliwą pokładu.

Młot Zbrhła sięgnął klina. Zadarty pod dużym kątem pomost z dwóch zbitych gwoździami trapów runął w dół, trafił końcem w prześwit wyrąbany w nadburciu galery. Karawela, zgodnie z wyczuwanym przez Debrena rytmem, wspinała się właśnie na fale, sunęła pod pełnymi żaglami, pchana wiatrem od rufy. Katapulta wpadła na pomost, przemknęła przez furtę abordażową, przechyliła się ku rufie, jak cały okręt, choć pod stopą-krzyżulcem miała już tylko gnące się deski i wodę. Wiatr wstrzymał w połowie przechył, resztę załatwił Debren magią. Aż mu w uszach zahuczało, ale wyliczenie było dobre: „Aramizanopolisańczyk”, dłuższy, stojący w dryfie i w zupełnie innym rytmie rozkołysany, też dziobem w górę poszedł, a że przód miał tam, gdzie „Jaskółka” rufę, pomost zaczął przechylać się dla odmiany w drugą stronę. Katapulta, zanim zaczęła padać na lewy bok, przejechała przez wyłom w nadburciu.

– Bij!

Wraz z okrzykiem Debren posłał kolejną szczyptę czaru. Po raz pierwszy. Utrata trapu teraz, gdy ostatnia machina wpadła na pokład galery, zachręściła o piasek, szarpnęła siecią i znieruchomiła, przewróciwszy zaledwie połowę

bikopulskich żeglarzy, nie byłaby już wielką klęską. Zbrhl zdekoncentrował się troszeczkę i młynkujący młot mógł – nie musiał, ale mógł – trafić w drugi klin ciut za późno. Przełożona przez blok lina nie poderwałaby wówczas trapu przeciwwagą z upchanego w sieć balastu i pomost zderzyłby się albo z nadburciem galery, albo, co gorsza, jej kasztelem rufowym.

Ponaglony czarem młot uderzył. Pomost zawadził wprawdzie o jakąś belkę i wywalił w boku „Aramizanopolisańczyka” następną, długą na trzy stopy szczerbę, ale trap stał już, mierząc końcem w zachmurzone niebo.

– „...czar rzucił, aż powietrze od elektryczności zawirowało – dyktowała na kasztelu Lelicja Zelgan – niebo błyskawice przecięły, długie na mil trzy z ćwiercią, a piana ocean pokryła. Zadrżeli marynarze; admirał, ster dzierżący, za medalik święty się chwycił, w Panu otuchy szukając”.

– Gdzie ty oczy masz, paniusiu? – Zbrhl odstawił miot i sięgnął po kufel. – Po jajcach się drapie, bo przedtem nie mógł, a spocił się z emocji. Jako my wszyscy. Uff, ależ mi w gardle zaschło.

– „...i prawili potem niektórzy, jako skrzydła anielskie pomiędzy żaglami widzieli, co i, zdaniem zastrzegających sobie anonimowość ekspertów, wielce wiarygodnym się wydaje, bo magia, bożą siłą nie wsparta, niczym jest”. Kropka. Sprawdźcie ortografię, zwłaszcza ty, Niebrzym. Zeszytnice piaskiem posypać, bo wilgotno, inkaust wolno schnie. Ha, piękny wstęp do relacji mamy, trzy bite akapity. Dzięki, Debren. Tylko tak dalej. Zobaczą te matoly z cechu, że i białogłowa potrafi. Pokażemy im smoczy pazur agresywnego relacjonatorstwa.

\*\*\*

– W coraz mniejszym gronie się spotykamy – zauważył

Debren, wierząc się na zydlu. Choć stół na mapy zajmował sporą część kajuty kapitańskiej, było pod nim dziwnie ciasno i już drugi raz poczuł na swojej stopie jakąś cudzą. – Czyżby rotmistrza piwo w końcu powaliło?

– Jeszcze takiego nie nawarzyli, które by Zbrhłowi dało radę. – Vensuelli przycisnął kubkiem brzeg pożółkłego pergaminu, zdmuchnął kurz. – O poufnych rzeczach mowa będzie, a on, niczego nie ujmując, z kondotierstwa żyje. Pod tyłoma sztandarami już służył, że mu się mylą i przed każdą bitwą na karteluszkę sobie zapisuje, kogo tłuc, a komu lojalność okazywać.

– Brutalny prostak – wydeła mocno uszminkowane wargi Lelicia Zelgan. – Nie cierpię ludzi, którzy dany nam przez Stwórcę język, cud niepojęty, klątwami zaśmiecają. Wiem, że to nie jego wina, a społeczeństw, które zbyt długo męskich tylko rządów zaznawały, niewiast, a więc i ich delikatności, do głosu nie dopuszczając, ale...

– To nie zjazd bab wyzwolonych, Zelgan. Wiem, że to nie twoja wina, że ci się myli, boś od relacji z takowych zaczynała, tudzież opisywania, co się w Eileff nosi, ale muszę ci przypomnieć, że to wojenna narada.

Relacjonatorka zrobiła obrażoną minkę i odsunęła się trochę dalej.

– A właśnie – powiedział Debren. – Jak to w końcu z naszą ekspedycją jest? Wspominaliście coś o naukowym charakterze wyprawy, teraz o wojnie mówicie.

– Jedno się z drugim wiąże – rzucił z głębi fotela Gremk. Siedział w nim rozwalony po pańsku, sącząc marimalskie z kryształowego kielicha. – Bez nauki nie byłoby postępu, a bez postępu wojen. Ojciec Ojców od dawna tę prawdę oczywistą światu głosi, do redukcji świeckich uczelni nawołując.

– Ekspedycja naukową jest i basta – stwierdził dobitnie Vensuelli. – Jej celem jest odkrywanie nowych lądów

i otwieranie dróg ku nim, głównie poprzez map kreślenie, A wam, panie Gremk, przypominam, że nie kto inny jak metropolita Zuli, Ojciec Ojców Benemacht XII na wieść o odkryciu Nowego Świata i pogan łagodnych, do nawracania zdatnych, raczył pastorałem o stolik grzmotnąć z okrzykiem radosnym: „Tegom czekał!” Drzazgi z owego stolika cenną relikwią są, po dwa talary sprzedawaną.

– Zaraz – Debren przesunął się razem ze stołkiem. – Nic nie rozumiem. Kanałem ku północnemu Viplanowi się płynie, do różnych krajów, ale samych znanych, znak koła od wieków czczących. Można na wschód, ku Wolkanii odbić, tylko po co? Gór lodowych nałapać? Bieguna szukać? To zadupie, ale naszego świata, znanego, którego odkrywać nie trzeba, bo dawno odkryty. I co to za ekspedycja geograficzna bez kapelana? Kto nowy ląd skropi, w imię Machrusa w posiadanie obejmie, pierwszych dzikusów nawracać zacznie? A może mamy popa na pokładzie, co? Przez ścianę mojej kajuty słyhać jakieś mamrotanie niewyraźne, modlitwę jakby... Vensuelli?

– To nie kapłan – stwierdził oględnie admirał. Widać było, że nie chce o tym mówić. – Nie potrzebujemy fachowca od pokropku, bo nasz cel poświęcony już został.

– A jaki to cel? Legendarnej Kariatynii szukamy? Tu, w Kanale Anvaskim, przez Marimalczyków Gardzielą zwanym? Gdzie od statków, łodzi i pomyleńców, chcących wpływ cieśninę pokonać, gęsto jak od kaszy w krupniku? Co tu można naukowo badać? Zwyczajnie ryb chyba, o ile rybacy z Brehty ostatniej nie wyłowili.

– Tu masz cel – dziabnął palcem w mapę Vensuelli.

– Cycek tej syreny? – zdziwił się magun. – Imponujący, faktycznie. Mieli fantazję ci dawni kartografowie, oj, mieli... U ludzkiej baby trudno o takie wdzięki, a cóż dopiero u panny wodnej, która ssakiem nie będąc...

– Debren, bo się zaczerwienię – ostrzegła zmysłowym



głosem Lelicja Zelgan. Przeciągnęła się przy tym jak rozbudzona kotka, napinając kaftanik i dowodząc, że ma pod nim znacznie więcej niż prawdziwa syrena z krwi i ości, choć nie aż tyle, co ta mapę zdobiąca.

– Oślepieś, mistrzu, czy co? Patrz, gdzie pokazuję! Tu, na wyspę. Mała jest, ale chyba widać, nie? O tu, na wschód od Archipelagu Drackiego.

– Mały Czyrak? – odczytał z mapy Debren. – A cóż to za nazwa? Tfu, i to w Marimalu, z elegancji słynącym...

– To nie Marimal – stwierdził Venderk opp Gremk.

– Nie? Myślałem, że Archipelag i obie Brechty, południowy i północny półwysep, księstwo Dracji tworzą. A ta lennem Marimalu jest, do Eileff daninę posyła.

– Status księstwa Dracji dyskusyjny jest, ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że wyspa Mały Czyrak, wbrew pozorom, nie przynależy do Archipelagu, a tym samym nie jest włością księżnej Pompadryny Cnotliwej.

– Ach tak? Więc to już Anvash?

– Nie, panie Debren. To nie Anvash. Uprzedzając następne pytania wyjaśniam, że także nie depholska kolonia ani owoc mocarstwowych zapędów nieboszczyka Bulby. Chyba nie wyobrażacie sobie, by jakikolwiek kraj mógł tu, w Gardzieli, pod samym nosem Anvashu i Marimalu wbić w ziemię swą chorągiew i choćby kawałek mielizny utrzymać? Nie, w ludzkiej mocy to nie jest.

– Aha – domyślił się Debren. – Już wiem. To klasztor. Kościół rękę na wyspie położył. Pewnie bezpośrednio Zula, skoro królom nie podlega...

– Nie rękę, mistrzu. Pazur. Smok ową wyspą rządzi.

\*\*\*

– Smok nie smok, kij mu w bok – błysnął zębami Zbrhl i podrzucił długą na osiem, a grubą na ćwierć stopy belkę, zakończoną paskudnym zmechanizowanym grotem. – Nie

frasuj się, Debren, i bez twoich czarów pokrakę położymy. Technika niewyobrażalnie naprzód poszła od czasów, gdy Helwim Zdobywca, ku Anvashowi płynąc, zahaczył o te wyspy i w ramach manewrów bestię ubić próbował. Kusz jeszcze nawet tu, na Północy, nie znali; ponoć taranami chcieli Ziejacza ubić.

– Ziejacza?

– Tak się smok nazywa. Nie wiadomo, czy on sam, czy cały gatunek. Vensuelli mówi, że zdania fachowców podzielone są. – Rotmistrz ułożył wielki bełt w korytku katapulty, poklepał jak ulubionego psa. – Ech, istne cudo aż się człowiekowi oczy świecą. Wehrleńska robota, z manufaktur Ruppa. Słyszałeś chyba: „Rrrup – i trup”. Najnowsza generacja, broń rozumna, bracie. Ten bełt, głowica konkretnie, sam się na smoka naprowadza. Starczy machineę z grubsza nakierować. Wiedzą Wehrlenowie, jak oręż robić, to im trzeba, psubratom, oddać. Nie powiem ci, ile taki pocisk kosztuje, bo ta wasza galera śliska jakaś, jeszcze byś z wrażenia przez ten wyłom w nadburciu wyleciał. Hej, Henza, a palnij w łeb tego durnia! Ile razy mam mówić, że do napinania katapulty tam jest, a nie od grzebania brudnymi paluchami przy broni?! Urwie mu łapę albo, co gorsza, głowicę głupek uszkodzi! To delikatna rzecz, nie dla ćwoków kołowrotem kręcących!

– Nie słyszałem o tej Helwima wyprawie.

– Bo się nią nie chełpił. Nie było czym. Smok jego drakleńskim zbójom manto sprawił, tarany połamał, a drakkarów połowę spalił, względnie ciężko uszkodził.

– A od tego czasu co się działo? To już będzie ze czterysta lat. Widział kto tego całego Ziejacza?

– Ja tam szczegółów nie znam, Vensa pytaj. Coś wspominał o jakichś śmiałkach, rycerzach błędnych, najemnych czarownikach, co się tu łodziami zapuszczali, ale że żaden nie powrócił i nic nowego do wiedzy taktycznej nie wniósł, tom się i nimi nie interesował. A admirał też się zbytnio nie

rozwoził. Co musiałem wiedzieć, usłyszałem, a reszta, zdaje się, nie dla mnie.

– Taa... – Magun, wsparty o reling, patrzył czas jakiś na rosnący w oczach szary kopczyk lądu. Wyspa Mały Czyrak była coraz bliżej i szarość morskiego horyzontu powolutku przechodziła w zieleń. Może łąk, a może drzew. – Nie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? Nie domyślasz się?

– Nie słyszałeś? – Zbrhl podniósł jakąś klapkę w połowie długości grotu, zajrzał do środka, zamruczał usatysfakcjonowany. – Ku chwale Machrusa, a w drugim rzędzie i cesarza, obrońcy wiary, pogańskiego rodowodu bydlę utłuc mamy. Zadanie proste jest jako ten belt. A jego magią prostowano.

– Co cesarza, władającego resztkami cesarstwa gdzieś na drugim końcu kontynentu, obchodzi jakiś wschodniowiplański smok? Panie Zbrhl, Bikopuliss nawet w czasach największego rozkwitu nie wysłało na te wody ani jednego okrętu. Ba, ani jednego statku kupieckiego. Żeby nie księgozbiory, odziedziczone po Starym Cesarstwie Zuli, w ogóle nie wiedzieliby, że istnieje coś takiego jak Gardziel. Nie myślisz...?

– Mistrzu Debren, ja od myślenia nie jestem, tylko od wojaczki. Płacą, pokazują, kogo łać, to leją. Zbędnych pytań nie zadaję i za to mnie, między innymi, cenią. Wy to co innego, magunem jesteście, człowiek z was świata ciekawy. Zapytajcie Vensa.

– Nie złości się, że tak mu nazwisko zdrabniasz? Admirał on przecie. A i nazwisko samo... Czy Coloman Vensuelli, odkrywca Nowego Świata, i on...?

– Nie poprzez prawe łóżce, więc wolę nie pytać. A admirał z niego taki, jak ze mnie marszałek. Rok temu jeszcze kaperstwem się parał. Z listem irbijskim anvaskie statki łupił, a z anvaskim irbijskie. Taki z niego był kaper. W końcu obie strony się połapały i na Międzymorze musiał czmychać. Tam

się w handel nieopatrznie wdał, a że za uczciwy na to jest, długów narobił i z rozpaczy na służbę do Bikopuliss wstąpił. Cesarstwo ma na pieńku z resztą Viplanu, na cały kontynent z góry patrzy, więc go wzięli i nawet awansowali. Ale u nich byle barką admirał dowodzi, nie bierz sobie do serca jego rangi. Załatwimy smoka, żołdu przez parę miesięcy nie powącha, to machnie ręką na Bikopulijczyków i na swoje wróci, znów kapitanem Vensuellim zostanie. I dobrze zrobi. Od myślenia tu nie jestem, ale wam powiem, że ktoś tu Vensuellego do wiatru wystawia, a nas razem z nim. No, nic: co ma być, to będzie... Rzućcie okiem na tę wehrleńską robotę i sprawdźcie, czy magia nie zwietrzała.

\*\*\*

– Rzucaj kotwicę! – Głos Vensuellego odbił się od szarych skał, powrócił zgrzytliwy jakiś, nieprzyjemny. – Żagiel, Luwanec! Dobrze... Dobrze, chłopcy. Po dwa skojce dla każdego za przejście między tymi kłami. Ha, nie dziwi mnie, że dziewiczy to ład. Jedna jedyna zatoka, a wejście ciasne jako właśnie...

– Ważcie słowa – rzuciła ostrzegawczo Zelgan. – Ta historyczna chwila. Chyba nie chcecie, by z kronik was wydrapali, jak w końcu ludzie przestaną język plugawić i trzeba będzie wszelkie klątwy pod karą z ksiąg usunąć?

– Pisać to? – zapytał nieśmiało jeden z jej różowo-białych pomocników.

– Do słowa „ład”, dalej nie. A w ogóle to obecnych, mnie wyłączając, nie cytujcie, chyba że powiem. To ostatni błogosławieństwa koła nie znający zakątek Viplanu, legendarna kraina. Ale widzę, że tu obecni rangi dzisiejszego wydarzenia nie rozumieją, powagi i namaszczenia nie zachowują. Nie warto ich błahych i powierzchownych uwag dla potomnych spisywać.

– Ty na rufie, przysnąłeś?! Rzucaj sondę, gamoni, albo ja

ciebie rzucę! Nie widzisz, że nas obraca? A jak tam płycizna jest?

– Nie podoba mi się to – powiedział cicho Debren. Nikt nie zwrócił uwagi; ci, co nie byli zajęci pracą, zadzierali głowy, gapiąc się na otaczające zatoczkę wzgórze.

– Piszcie: „Wśród skał czarnych, korab śmiałków okalających, trawy dziwnie bujne w szczelinach rosły, ku wodzie na stóp trzy zwisając. Wyżej zaś, pod samym niebem zda się, kędy orły krążyły, drzewa wichrami pogięte konary rozpościerały, listowiem o chmury ołowiane drapiąc”.

– To mewy – zauważył Venderk opp Gremk. – A skały faktycznie wysokie, ze dwa tuziny stóp będzie. Cholera. Niedobrze.

„Jaskółka” znieruchomiała. Otaczające wyspę rafy i łańcuchy mielizn zatrzymywały fale, woda w zatoczce była prawie nieruchoma i ciemna jak w studni. Było w niej też coś złego. Debren wyczuwał to, nawet nie wychylając się za blanki kasztelu.

– „Z tyłu śmiałkowie galerę widzieli, wiosłami wolno robiącą, pomiędzy rozbryzgami lawirującą, które podwodne skały zdradzały. Bezdenna głębia pod galerą tak jej załogantów przerażała, że z daleka bladymi twarzami świecili...”

– Bredzisz, Zelgan – błysnął zębami admirał. – Albo skały, albo bezdenna głębia, decyduj się na coś, bo i ciebie z kronik wydrapią.

– Cztery sążnie! – wołał marynarz z sondą. – Trzy sążnie cztery stopy! Trzy i pół!

– Tamta półka będzie dobra – wskazał ramieniem Venderk opp Gremk. – Powyżej granicy przyływu jest, nikt nie poda w wątpliwość, że do lądu stałego należy. I piasek jest. Mało, ale odcisk stopy zostanie. Podpłynmy tam, admirale.

– Trzy sążnie i stopa!

– Nie łaż wokół rufy, gamoniu – rzucił Vensuelli, nie

oglądając się do tyłu. – Nie żartujcie, mistrzu Gremk, to karawela, nie szalupa.

– „Z przodu wyspa się rozciągała, nieduża zda się, aliści górzysta, pełna urwisk złowrogich, jarów i kotłów skalnych. Las ją porastał wiekowy, mroczny, splątany jak fryzura, co ją dwa lata temu wstecz królowa Esmeria na zjeździe w...”

– Dwa sążnie stóp cztery!

– Admirale, moglibyśmy dwa słowa...?

– Nie teraz, Debren. Luwanec, dawać tego konia!

Coś stuknęło głucho o burtę. Szalupa. Sześciu marynarzy i sternik stanowiło zbyt słaby zaprzęg, by pomóc karaweli przy wchodzeniu do zatoki, ale teraz, na spokojnej jak w stawie wodzie, mogli oddać wielkie usługi.

– Dwa sążnie i dwie stopy!

– „...zza dzikich chaszczy widoczny dach jakby, do dachu zamkowej wieży podobny. A więc potwierdziły się legendy. Wykrzyknik. A więc zaprawdę, ludzie nie tylko zawitali tu niegdyś, nie tylko na czubek wzgórza się wspięli, poprzez leśne zawały, gołoborza i pokrzywy dziwnie wybujale, ale i forteczkę wznieśli. Mała ona być musiała. Pogańska jeszcze, być może, co tłumaczy nikczemne rozmiary. Wiadomo, że wszystko, co pogaństwem trąci, także nikczemnością trącić musi. Bez światła wiary...”

Okryty anonimowym, pozbawionym herbów rzędem Wierzchowiec Błękitnego dał się podprowadzić do burty, opasać linami. Był otumaniony wywarem ze słodu i piwa, dobrze zaprawionego magią. Nie powinien sprawiać kłopotów. Tak jak i jego pan, stojący obok ze zwiniętym na drzewcu proporcem i bez słowa pozwalający owijać sznury wokół pancerza. Rycerz w zbroi był zbyt ciężki, by samemu do szalupy schodzić.

– Stanowczo nalegam, by podepchać okręt do owej półki skalnej – wypiął brzuch opp Gremk. – Bo z łodzi konia tam wprowadzić się nie da, a i marynarz Lobryk może się nie

wgramolić. Nie zapominajcie, admirale, że na drewnianej nodze chodzi. Teraz już całkiem krzywo, bo pijany.

– Dwa... nie, sążeń i pięć, i ciut!

– Admirale, nie chcę przeszkadzać, ale...

– Nie teraz, Debren. Panie Gremk, czy aby nie przesadzacie? O tam, na wprost dzioba, śliczna łacha się złoci, nic tylko łodzią lądować... Z dołu może i trochę wyżej woda czasem podejdzie, ale może i nie, bo przecie przyływ mamy. I koń łatwo z szalupy wylezie, i ludzie... Po cholereę okręt narażać, pod kamienne urwiska go pchać? A jak tam pod wodą paskudztwa jakieś? Głazy ostre? Albo prądy? A jak smok Ziejacz nie zdechł ze starości, tylko na to akurat urwisko wylazł, stare kości wygrzewać? Głupio będziecie wyglądali, jak wam na głowę nasra.

– Półtora sążnia!

– „Z imieniem Pańskim na ustach i wiarą w sercach podróżni korab opuszczali, w łodzi schodząc”.

Debren przeszedł na tyły kasztelu, wychylił się za blanki i patrzył na nieruchomą wodę zatoki. Miała barwę inkaustu, którym pacholeta pani Zelgan zapamiętałe pokrywały zszyte lnianą nicią arkusze papieru. Sto sążni dalej, za płaskimi cyplami, obejmującymi krąg zatoki, i spienionym pasem raf, galera kołysała się na zupełnie innej wodzie. Szarobłękitnej.

– Powinni zejść na ląd w jednym miejscu – tłumaczył cierpliwie jurysta. – I nie na plażę piaszczystą. Kulawiec Lobryk utknie na tej waszej ślicznej łasze jak nic. Patrzcie, ledwo w szalupie siedzi. Za dużo wina dostał, względnie łeb ma słaby, co na jedno wychodzi.

– Sążeń!

Debren patrzył. Czuł zapach mułu. Starego, cuchnącego rozkładem, zimnego. I właściwie nic więcej. Nie podobało mu się to. Woda nie woda, coś powinien...

– To mój okręt i narażać go bez potrzeby nie zamierzam. Zrobimy szybko, co do nas należy i wynosimy się stąd.

– Panie Vensuelli, ze wszystkich, co pretensje do „Jaskółki” zgłaszają, wyście są na ostatnim miejscu, za cesarzem, admiralicją anvaską, królem Irbii, gildią kupiecką z...

– Już dobrze, Venderk, wystarczy. Niech będzie po twojemu, ale jak dziurę w burcie wybijemy, to wiedz, że do jej zatkania jednego wielce uczonego tyłka użyję.

– Cztery sto... nie, trzy sto... nie, dwie... stopy.

– Przestań łaźić i bawić się tą sondą, gamoniu jeden! I zdecyduj się wre... – admirał urwał nagle. – Co?! Coś ty powiedział?! Ile?!

– Jedna – wymamrotał poblady marynarz, – Jedna stopa. W minusie.

Nagle zrobiło się cicho. Nie wiadomo dlaczego. Oprócz Vensuellego, który w trzech susach dopadł tylnego nadburcia, co najwyżej sternik szalupy mógł dostrzec, co się dzieje. Pozostali stali, siedzieli i pracowali w miejscach, skąd nie dało się spojrzeć za rufę. Ale umilkli i zastygli w bezruchu wszyscy. Łącznie z koniem, który przednimi nogami wisiał już nad pokładem, podwieszony do windy kotwicznej. Słyszać było tylko szelest spływającej wody i terkot krabów, leniwie podążających jej śladem.

– Ccco... – Vensuelli z wysiłkiem przełknął ślinę. – Na Machrusa słodkiego! Co to jest?!

Wciąż nikt nie próbował zmienić swej pozycji. Marynarz z linką sondy w rękę gapił się z rozdziawioną gębą na ołowiany ciężarek, połyskujący wśród muszli i wodorostów.

– Nie wyczuwam magii – powiedział cicho Debren. – Admirale! Do brzegu. Możliwie szybko.

– Wie... – zająknął się marynarz. – Wieloryb!

– Szalupa! Pchać! – krzyknął Vensuelli, po czym zniżył głos niemal do szeptu. – Debren, co to do cholery jest? Spod tego mułu i zielska... Patrz! To chyba deski!

Debren skoczył ku lewej burcie, wycelował różdżką w szalupę i wyskandował zaklęcie. Wiosła, zawieszona



niepewnie nad nieruchomą czernią wody, grzmotnęły w nią raz, drugi, trzeci... Karawela drgnęła, zaczęła płynąć bokiem. W ślimaczym tempie, ale i tak nieprawdopodobnym, wzięwszy pod uwagę ogrom jej masy w porównaniu z siłą czterech par ludzkich rąk. Czterech – dwóch wioślarzy, tych z przedniej ławki, czar, nie wiedzieć czemu, ściał natychmiast z nóg.

– Wąż morski! – pisnął trwożliwie marynarz. Puścił koniec sondy i z małpią zwinnością czmychnął w górę po wantach. Załomotały deski pokładu. Debren obejrzał się, dostrzegł Venderka opp Gremka, walącego się na kolana i łapiącego za święty medalion. Od dzioba biegł Luwanec z bosakiem w rękę. Relacjonatorka Zelgan ewidentnie straciła zdolność relacjonowania i, blada jak płótno, schowała się za maszt. Na galerze rotmistrz Zbrhl odstawił szybko kufel i skoczył ku najbliższej katapulcie. Podłużny czarny kształt, który wynurzył się za rufą, ociekał wodą, zgrzytał odnóżami łączących po nim krabów... i nie atakował.

– Nie strzelać! – zawołał magun w stronę „Aramizanopolisańczyka”, składając dłonie w tubę. – Spokój, drodzy państwo. Bez paniki. Admirale, odbojnice na prawą burzę.

– Co? A tak... Luwanec, już nie trzeba! Zabezpieczyć sterburzę! Boże, aż się woda gotuje. Wiosła zaraz połamią. W życiu nie widzia... Jasny gwint! Pękło! Uwierzysz, Debren?! Wiosło w wodzie złamał! A niech cię... Chyba już wiem, czemu cię na galerę wzięli.

– ...astrze...ić to? – pohukiwał z oddali Zbrhl. – Mo...ę gadzinę rą...

– Nie trzeba! – wrzasnął Debren, rozglądając się na wszystkie strony. – To wrak! Nie żaden wąż morski! Zatopiony okręt! Nie strzelajcie!

– To drakkar – stwierdził ponuro Vensuelli. – A ściślej mówiąc: dno drakkara. Na pół stopy skorupiakami obrośnięte. Nie podoba mi się to.

– Chy... chyba lepiej, że nie wąż. – Zelgan wciąż była biała jak pończochy jej pisarczyków. Chociaż te, prawdę mówiąc, po nurkowaniu za beczkami, szalupami, zwojami lin i innymi tego typu osłonami, przeciw potworom morskim skutecznymi, za białe uchodzić już nie mogły. – O Machru, jak ja nie cierpię gadziny wszelakiej.

– Wąż byłby lepszy – stwierdził Debren.

– Wąż by nas zjadł – powiedział ponuro opp Gremk. – Nie grzesz, czarodzieju. Pan modlitw naszych wysłuchał, nieszczęście odwrócił, ale jak będziesz dalej takie bzdury głosił...

– Nie wiem – podrapał się po brodzie Vensuelli. – Może i dobrze Debren mówi. Zwierzę morskie z tej odległości Zbrhl by bez trudu ustrzelił. Ma te bełty inteligentne, czy jak im tam, no i nie na darmo Zbrhl Gasimucha go przezywają. To od tego, że muchę z katapulty trafić potrafi.

– A ja słyszałam, że to od oddechu. Jak chuchnie, w locie zdychają i na ziemię się sypią.

– I to być może. Tylko że tu nie maszkarę morską mamy, a okręt dawno temu zatopiony. Nie wnika, jakim cudem ta skorupa na wierzch wypłynęła. Ważne, że drogę na morze nam odcięła.

Miał jeszcze resztki nadziei w głosie, ale chyba szybko się ich wyzbył. Szalupa, nową załogą obsadzona, bezskutecznie bryzgała wiosłami, próbując czarny kadłub z przesmyku albo wypchnąć, albo wyciągnąć. Debren, tym razem ostrożnie szafując energią z różdżki, pomagał z pokładu „Jaskółki”, efekt był jednak żaden. Drakkar, cofnąwszy się o kilkanaście stóp, utknął na dobre, a pierwszy marynarz, który podpierany drągami bosaków, wgramolił się na obrośnięty kadłub, wyładował w wodzie po dwóch uderzeniach toporkiem. Nie

było jak wybić dziury w utwardzonych naroślą deskach; kolejni śmiałkowie na czworakach wpełzali na brzuch okrętu, bez powodzenia walili już to siekierą, już to młotem w gwóźdź i nieodmiennie ześlizgiwali się po pierwszym nieostrożnym ruchu.

– Klepsydry przelecą, zanim linę o coś zaczepią – zauważył opp Gremk. – A i wtedy nie wiadomo, czy to coś da się odholować.

– Podwoję obsadę szalupy – warknął Vensuelli. – To drakleńska długa łódź jeno była, znam ten typ, klasyka szkutnictwa. Na czterdzieści wiosła z reguły, a śmigała na tych czterdziestu, że ho, ho. Nie ma cudów; jak dwunastu tęgich zuchów do szalupy wsadzę, a Luwanec posteruje, to pójdzie. Lekka jest jak na okręt. Między rzekami takie, działami wodnymi, przeciągali. W prastarych czasach z północy, z Draklenu przez całe Sovro żegluga szła na południe, do Pirrendu, a potem morzem do Bikopuliss. Ponoć taką metodą jarl Ragersuun o mało co Viplan opłynął. Do zamknięcia pętli wokół kontynentu pół dnia drogi mu brakło, bo po drodze łupił, ile wlezie, drakkar przeciążył i jak opijać sukces tuż przed domem zaczęli, to na mieliznę z nadmiaru zanurzenia wpadli.

– Mit to – oświadczyła Zelgan. – Ów jarl Ragersuun albo Regersuum to postać fikcyjna, a ponadto poganin. Chyba nie myślisz, że ktoś, kto z wiary jedynie słusznej sił nie czerpał, mógł takiego czynu heroicznego dokonać. No nie, następny w wodę zleciał. Niezdarni coś ci twoi marynarze, Vensuelli.

– Za ciężcy może na te obślizgłe belki? – błysnął oczami. – Może kogoś lżejszego trzeba tam posłać? Babę jakąś, przykładowo? Pacholąt kilkoro?

Zelgan, niepewna, na ile Vensuelli żartuje, wycofała się do pisarczyków i zaczęła dyktować coś po cichu, a więc raczej nie z myślą o wykreowaniu mitu o kolejnym bohaterskim żeglarzu. Debren odwrócił się, wycelował różdżką, odnowił

czar przytępiający wrodzoną ognistość rycerskiego konia. Zwierzę, choć wciąż oplecione siatką i linami, mogło narobić szkód. Na pokładzie nie było już prawie nikogo, kto mógłby je w razie czego powstrzymać.

– Mistrz opp Gremk ma rację – przyznał niechętnie. – Przed odpływem nie zdążymy. Z mojej winy trochę. Przedobrzyłem z formułą maga Stachanusa, za dużo sił z tej pierwszej obsady wycisnąłem... Patrz, żaden ręką nie ruszy. Siedzą przy dzbanie z piwem i nie wiedzą, jak się do trunku zabrać. Pani Zelgan, nie zechciałabyś litości niewieściej okazać i w miski biedakom nalać?

– Zajętam! A pijaństwo do grzechu wiecie!

– Za to przy samym brzegu stoimy – przypomniał o sobie prawnik. – Z czego skorzystać radzę. Pamiętaj, Vensuelli, że umowę z cesarzem mamy.

– No to windą kotwiczną – myślał na głos admirał. – Niech no tylko zahaczenie solidne uczynią. Cumy o tamtą skałę zaczepimy, bo kotwicę zwlec by mogło, i wtedy się cholernika wytaszczy z przesmyku. Chyba... – poderwał głowę. – Debren, czy on nie jest aby...?

– Chyba nie. – Czarodziej zerknął z troską za burtę. – Nie ten wrak. To bardzo stary okręt, admirał, musi mieć kilkaset lat. Ówczesna magia... No cóż, nie wszystko o niej wiemy, a choć prymitywna, wiele niespodzianek kryła. Ale nie, statek zaczarowany nie jest. Co mi się nie podoba.

– Wolałbyś zaczarowany?

– Magia to finezyjna materia. Cuda tworzy, lecz delikatne one bywają, łatwe do zniszczenia, gdy się wie, gdzie uderzyć. Jest jak twoja karawela, admirał. Śmiga po falach, ogromne ładunki dźwiga, burzy się nie boi. A w dniu jedną małą dziurkę wystarczy zrobić... i po okręcie. Przy halsowaniu jeden zły ruch sterem... i też nie ma „Jaskółki”. Linę ładunek mocującą przeciąć...

– Wystarczy, zrozumiałem. Do czego zmierzasz?

– Zaczarowane okręty widma spotyka się w przyrodzie, to nic nowego. Latającego Depholca każde dziecko zna, stara to opowieść. W romantycznym okresie magii modne było przyozdabianie mórz takimi ni to ciałami materialnymi, ni to zjawami. Służyły jako symbol, przestroga, chociaż, po prawdzie, to co niektórzy czarodzieje, ambitni przesadnie, wieczny pomnik swej chwały chcieli w ten sposób zbudować. Lepszy od marmurowego, bo przemieszczający się. Ale naga magia wieczna być nie może. Połowa okrętów widm swych twórców nie przeżyła, a drugą połowę trałowce, przez armatorów i kompanie kupieckie opłacane, albo na dno posłały, albo, jak się nie dało, a daleką północ odholowały, gdzie w fiordach głazami zawalonych czy wmrózone w pola lodowe szkód żegludze nie czynią. Choć niektóre i w ludniejszych stronach się spotyka.

– Prawda – skinął głową Venderk opp Gremk. – Bronilem kiedyś interesów pewnego barona z hrabstwa Drumplex we wschodnim Anvashu. Gmina rybacka pozwała go o szkody, które wrak zaklętego korabia jakoby we wsi czyni. Dzieci, mówili, z dwojgiem głów im się rodzą, przez co ani jedna matka połogu nie przeżywa. Domagali się odholowania z polderu tego, co ze statku zostało, ale to cholerstwo miało ze sto lat, jeszcze dziadek barona na wysypisko swoje je wpuścił, no i koszty pozbycia się resztek byłyby ogromne. Ciężka była sprawa, bo i organizacje się humanitarne wtrącały, i relacjonatorzy obsmarowywali, aż inkaust pryskał. Alem wygrał. Matki na świadków wzywać zacząłem, he, he... A że z tych, co mutanty rodziły, żadna żywa nie wyszła, pozew z braku dowodów legł.

– Nie wiem, Venderk, czym ty się chełpisz – splunął za burtę Vensuelli.

– Skutecznością, a czym niby?

– Niemolarne to było! – pisnął jakiś łamany mutacją, młodzieńczy głos.

– Mówi się „niemoralne”, Niebrzym – skarciła ucznia Zelgan. – A raczej język za zębami trzymaj. Pan opp Gremk autorytetem moralnym jest i opinię niepokalaną ma jak każdy jurysta. Czekaj no, dam ci ja dzisiaj za pyskowanie starszym.

– Chciałbym kiedy zobaczyć to dawanie – mruknął Vensuelli. – Coś mi się widzi... cholera, zgubiłem wątek. To co z tym drakkarem, Debren, mówisz? Zaczarowany nie jest? To czemu wypłynął na wierzch jak zdechły wieloryb i drogę nam zagroził?

Debren nie zdążył odpowiedzieć. Z urwiska, zbyt górami zaokrąglonego, by nad sam okręt podejść się dało, ale też dla wzroku niedostępnego w wyższych partiach, potoczyło się parę drobnych kamieni. Większość z głuchym chlupnięciem wpadła w wodę, parę zaterkotało o deski pokładu. Jeden brzdąknął, odbił się od naramiennika rycerza Błękitnego. Rycerz nie poruszył się; z niezmaconym spokojem i zwiniętą chorągwią w opancerzonej dłoni tkwił obok środkowego masztu niczym przypałacowy gwardzista.

– Tam coś jest! – krzyknęła z przestachem Neruela, pisareczka pani Zelgan.

Przez chwilę było cicho. Pomijając chrobot muszelek pod kolanami ociekającego wodą żeglarza, ze świdrem na plecach gramolącego się na drakkar. Debren zerknął na galerę, skąd ćwierć setki par oczu obserwować mogło cały okoliczny brzeg. Nie dostrzegł oznak niepokoju, ale okręt zniosło z pozycji. Posłany na dno Zatoki Burzliwej wybijacz rytmu był fachowcem mimo lekkiego religijnego obłądu; potrafił pokierować prędkością okrętu. Jego następca nie bardzo sobie radził, co na otwartym morzu nie miało wielkiego znaczenia, lecz tu, gdzie labirynt raf i mielizn czynił z oceanu prawdziwą rzekę z prądami i wirami, znaczenie już miało.

Mimo wszystko, dzięki wciągniętych na nadbudówki katapultom, Zbrhl wciąż miał zatoczkę pod obstrzałem. Galerę obróciło, wybijacz klócił się ze sternikiem, a wiosła

zderzały się ze sobą, lecz rotmistrza w widoczny sposób to nie wzruszało. Stał na kasztelu rufowym, połyskując z dala kuflem, i pilnował, by knechci obracali drągami ustawioną tu katapultę. Przynajmniej ta jedna pozostać miała w pełnej gotowości, niezależnie od tego, co pozbawieni oficerów Bikopulijczycy zrobią ze swym okrętem.

– Niemożliwe – odezwał się w końcu Vensuelli prawie pewnym głosem. – Mam w bocianim... – coś stuknęło – gnieździe... – coś załopotowało między żaglami. – O, psiakrew!

Debren zdążył odnotować, że bosonogi majtek, który grzmotnął o toń zatoczki i zniknął, wywołując zadziwiająco wielką falę, ani nie krzyczał, ani niczym nie machał.

– Miałeś – szepnął pobladłymi ustami opp Gremk.

O sto pięćdziesiąt sążni dalej Zbrhl odstawił kufel. Marynarz z drakkara zjechał na brzuchu do wody, oberwał po łbie nieco wolniejszym świdrem, zachłysnął się. Zelgan przykucnęła za kolumną steru, któryś z pisarczyków chwycił składany stołek, przykrył nim głowę.

– ...ie wida... – darł się pod wiatr rotmistrz. – A już na ...no nie ...oka!

– A pies was, jurystów, trącał! – zgrzytnął zębami Vensuelli. – Dalej, gamonie, do magazynu z bronią, duchem mi tu pawęże dawać i kusz parę!

Prawnik wyciągnął zza pazuchy flakonik misternie zdobiony, odkorkował, łyknął. Zajechało marimalskim destylatem, przez tamtejszych kawalerzystów cenionym i przez to koniakową albo koniakiem zwanym. Debren miał to za paskudztwo, ale wiedział, że moc swoją posiada.

– Wstrzymaj ich – wycharczał Venderk opp Gremk, trochę załzawiony, ale już odważniejszy. – Spieprzysz wszystko, głupcze! Żadnego wojskowego oręza, tylko to, co cywile noszą, do samoobrony jeno.

– W rzyć se wetknij samoobronę! Hełm mi tu dawać!

– Odstaw stołek, Culio – pisnęła zza kolumnienki Zelgan –

za pióro się łap! Piszcie! „Grad skał, od kamienic większych, słońce mnogością swą ćmiących...”.

– To parę garści żwiru aby – potrząsał admirałskim ramieniem Gremk. – Słyszałeś Zbrhla. Nikogo tam nie ma w górze. Wiatr dmuchnął, może świstak przemknął, trochę hałasu się zrobiło, a głupi majtek w portki się sfajdał i wypadł z bocianiego gniazda. Cofnij rozkaz, do diabła, bo ja ci admirałski patent cofnę, a wtedy wiesz, co będzie.

– Świnia jesteś, Venderk.

– Prawnik jestem. Zleceń klienta się trzymam. Mam cię przed wierzycielami i katem bronić, jak cesarzowi dobrze służyć będziesz, a jak nie, to pomóc sprawiedliwości ludzkiej i boskiej, by cię dopadła. No widzisz? Od razu trzeba było...

Vensuelli, ponury jak cmentarna noc, gestem wstrzymał biedzących się z ryglem majtków.

– Debren, co tak jako kołek sterczysz? Wyczaruj mi jaki hełm cywilny, samoobronny, jeśli nic lepszego do roboty nie masz. A ty, Zelgan, przestań jazgotać, pozerko jedna. Przecież oni tego za cholere zapisać nie zdążą, choćby im się pióra z pośpiechu zapaliły.

– Głupiś, Vensuelli. Co trzecie słowo jeno każdy zapisuje, skrótami niekiedy, to i nadają bez trudu. To się nowoczesna organizacja pracy nazywa, prostaku jeden. – Relacjonatorka stała już zamiast za sterem się kryć; otrzepywała toczkiem nogawki. – Piszcie, uczniowie: „Rozkład dyscypliny i braki w wyszkoleniu, wiadome czynniki obciążające, do owego nieszczęsnego wypadku przywiodły...”

– Ona ma rację – ciągnął opp Gremk. – Spójrz na tego prostaka w zardzewiałej zbroi. Znam ja ich, rycerzy błędnych, manią owładniętych. Krzesiwa to taki nie wymyśli; większość przyłbic w miejscu publicznym nie podnosi, żeby uciechy głupawym wyrazem twarzy nie wywołać. Ale smoka, wierz mi, to błędny rycerz na pół mili jak pies sukę wywęszy. A ten tutaj to i na milę pewnikiem.



– Gadanie.

– Nie, Vensuelli. Nie przez przypadek tego akurat rycerza na dworze księżnej Pompadryny Cnotliwej mi polecono. On, widzisz, choć anonimowy, ze szlchetnego rodu rycerzy smokobijców się wywodzi.

– Smokobójców – poprawiła Zelgan.

– Wiem, co mówię; w moim fachu precyzja słowa więcej niż w waszym waży, miła pani. Smokobijcy to są, bo jak dotąd każda głowa rodu, potomstwa napłodziwszy, na Mały Czyrak płynęła i tu, po heroicznej walce, od smoczego pazura padała.

– Dzięki, Venderk. Na duchu mnie podniosłeś jak cholera.

– Bez sarkazmu, admirale. Mówię tylko, że pan Błękitny na smokach się zna i smoka z daleka wyczuje. Póki sterczy niczym strach na wróble, jesteśmy bezpieczni.

Przy przesmyku zdesperowany Luwanec, ostatni suchy w załodze, z dwoma czekanami w rękach drapał się na drakkar. Galera, odwrócona rufą, dryfowała między mieliznami. Było cicho i spokojnie. Zza szarych chmur raz po raz wychylała się rozmyta tarcza słońca.

– Będziemy musieli tu nocować – stwierdził Debren.

Zelgan, obsmarowująca dowództwo wyprawy na użytek potomności, urwała w pół słowa. Prawnik przełknął ślinę, brzuch mu się trochę zapadł. Vensuelli, poświstując cichutko przez zęby, patrzył ponad dziobem na las. Dziwnie cichy, dziwnie mroczny. Koń rycerza Błękitnego parsknął, nerwowo zastrzygł uszami.

– Przykro mi.

\*\*\*

– Przykro mi, waleczny rycerzu – powiedział Venderk opp Gremk, nie siląc się na udawanie zmartwionego. – Proces lądowania w myśl *Kodeksu morskiego y oceanicznego* do żeglugi się jeszcze zalicza. Prawo mówi: „Ode burty na odległość, jaką bom okrętowy zakreśli lubo insze urządzenie,

magiczne takó¿, chyba ¿e pode ¿urawiem portowym cumowaó i rozładunek czynió; wtenczas odpowiedzialnoó na cech dokerski spada”. Widzisz tu ¿uraw jakió, o porcie nie mówiąc? Przez tę przyłbicę pewno maó co widaó, wiéc ci pomogę: nie ma tu niczego takiego. Co znaczy, ¿eó pod wóadzå kapitana, w danym przypadku admirała, póki na wysię¿ bomu nie odejdiesz. I jakby ci się krzywda jakaó w drodze stała, to nie kto inny, jak rzeczony admirał oczami ówieció będzie i złotem przede wszystkim. Odszkodowanie za takiego znamienitego szlachcica zrujnowaóby go do reszty, nie czyñ wiéc wstrętów i pozwól fachowcom teren zbadaó.

Zbroja zaszczekała, poruszyła rękå, ale szybko dała za wygranå, óluby milczenia stawiały jå w dyskusji z zawodowym jurystå na z góry straconej pozycji. Dwuręczny miecz, tradycyjna broń zabójców smoków, te¿ niewiele by pomógł. Vensuelli, widząc, jak zaciekły opór stawia blokujåcy wyjócie wrak, przeformowaó szyki i óciågnåł na „Jaskółkę” caókiem pokaźny oddział desantowy. Wprawdzie Zbrhl, jego knechci i wyznaczeni na zbrojnych majtkowie z obu zaóóg nie mieli na sobie ani kawałka blachy, a w rękach óciskali niegodne wojaka, czysto cywilne przedmioty samoobronne, byó ich jednak trochę za du¿o na siły jednego człowieka.

– Tak – powiedziaó bez przekonania Vensuelli – prawda to. I dlatego pierwszy na brzeg wyjdzie ten moczymorda Saskou... – Opp Gremk góóóno zassaó powietrze. – To znaczy, chciaóem rzec, Kulawiec Lobryk. Saskour z Eileff drugi pójdzie. I dopiero za nim, konno, pan rycerz Błękitny. No ju¿, podsadźcie kuternogę na trap.

Urwisko byó mocno nachylone, wiéc choó doóem tylko belki odbijacze oddzielały poszycie karaweli od obmywanych wodå góazów, z furty aborda¿owej trzeba byó przerzució trap, który ledwo sięgnåł brzegu. Pomost miaó wprawdzie poręcz z jednej strony, ale Lobryka akurat w drugå znosió, pewno z winy źle dopasowanej protezy. Z winy pociågu do alkoholu

nawet nie próbował chwytać rozpiętej na kołkach linki i Debren zdrowo się spocił, asekurując go zdalnie aż na koniec trapu.

– Stop! – wrzasnął mu nagle przy uchu prawnik. – Gdzie z tym kulasem się pchasz? Jak mówione było?!

Lobryk potknął się, wyskoczył w górę, machnął nogami jak marionetka, niemal szpagat w powietrzu wykonał. Debren, kompletnie zaskoczony, zdjął czar. Drewniana noga, ciągnięta z tyłu, nagle znalazła się z przodu, dziabnęła w piasek. Druga, prawdziwa, grzotnęła piętą idącego tuż za Lobrykiem Saskoure'a z Eileff. W wyjątkowo wrażliwe miejsce.

– „Na oczach świadków... – Zelgan podskoczyła z wrażenia, zaczęła machać rękami. – Na oczach świadków... na oczach...”

Proteza przebiła cienki dywan piasku, wpadła w jakąś szczelinę skalną, utknęła pod kątem. Nogi Lobryka rozjechały się w kolejnym szpagacie, tym razem prawdziwym, z podparciem. Debren pchnął plecy Kulawca, ale spóźnił się, bo ten szarpnął się do tyłu, a upadający na twarz Saskoure wpakował się magunowi w linię czaru.

– Nie tak! – tupnął ze złości Venderk. – Durnie! Łby wam porozbijam!

Zakotłowało się, ktoś podbił wyrzuconą do przodu rękę Debrena, ktoś zdzielił go w czoło cepem, niechcący wprawdzie i cywilnym, ale z cholernie twardego drewna. Zanim ponownie wycelował, było już za późno.

Lobryk oderwał się od swej sztucznej nogi, przekoziółkował tyłem po urwisku i załomotał o burtę okrętu gdzieś daleko w dole, tuż nad linią wodną. Saskoure, wciąż obejmując oburącz wrażliwe miejsce, dostał w kark czarem Debrena i pomknął w dół trzy razy szybciej. Zawadził skronią o wbitą w skały protezę, gruchnął czołem o ziemię i znieruchomiał.

– Czary! – krzyknął któryś z marynarzy „Aramizanopolisańczyka”. – Zły znak!

Krzyczał po illeńsku, w urzędowym języku Cesarstwa

Bikopuliss, ale Debren nie miał cienia złudzeń. Nie zrozumiał go chyba tylko rumak Błękitnego, a i to nie było wcale pewne. Panika zawisła w powietrzu.

I pozostała tam. Wbrew temu, czego oczekiwał.

– Morda... – zaczął Vensuelli.

– ...w kubel! – dokończył Zbrhl.

Gromada zbrojnych zastygła w bezruchu, tylko oczy biegały nerwowo to w tę, to w tę, wypatrując wyskakującego zza skał smoka. Albo czegoś równie paskudnego. Debrenowi przemknęło przez myśl, że gdyby mieli rację, mieliby ją pewnie ostatni raz w życiu. Kamienna półka, przy której stała „Jaskółka”, stanowiła coś w rodzaju zakończenia płytkiego wąwozu, zakręcającego jak rogal. I zupełnie niewidocznego z pokładu galery.

– Nie wyczuwam magii – zerknął z ukosa na opp Gremka.

– Spokojnie, dobrzy ludzie. To wino, nic więcej. Byli pijani.

Coś się poruszyło. Coś różowo-białego, ze sporym dodatkiem brudu. A teraz także rumieńca. Neruela, pisareczka. Wyciągnęła skądś kawałek płótna i skoczyła przez gromadę ku furcie abordażowej.

– Może żywi jeszcze! Pomóc trzeba!

Debren otwierał usta. Nie zdążył. Venderk opp Gremk miał bliżej do trapu. Skoczył z chyżością zaskakującą u światowej sławy jurysty, zagroził przejście.

– Stać! Dokąd, smarkulo?! Won, bo pasa zdejmę!

– Neruela! Z powrotem do zeszytnicy, ale już! Jak mam dyktować, na miłość boską, kiedy mi czeladnicy gonitwy urządzają? Poczekaj, dam ci ja za te wybryki.

Dziewczyna powiodła dookoła spłoszonym spojrzeniem. Potem zaczerwieniła się jeszcze mocniej, schyliła głowę i podreptała z powrotem. Magun dotknął opuszkami palców jej łokcia.

– Nie trzeba – mruknął. – Dobrze chciałaś, ale oni nie żyją. Dzięki.

Posłała mu zdziwione spojrzenie. Potem popatrzyła na panią Zelgan i prawie biegiem dopadła stołka, chwyciła kartki, uniosła pióro.

– I co dalej, mistrzu Gremk? – uśmiechnął się złośliwie Vensuelli. – Mistrzu Debren! Jakieś błyskotliwe sugestie?

Prawnik powoli, mocno trzymając się liny, przeszedł na koniec trapu. Bez wielkich skrupułów dotarł po plecach Saskoure'a do miejsca, gdzie krawędź desek wyznaczała granicę lądu. Przytrzymując się prawą ręką, lewą złapał za włosy trupa, uniósł głowę, podciągnął jak mógł wysoko. I rąbnął nią o ziemię, aż pacnęło.

– „Śmierć bohaterskich żeglarzy przepoiła głębokim żalem ich towarzyszy. Do Pana odeszli pionierzy bohaterscy z Jego imieniem na ustach”. „Jego” dużą runą, Culio! Ile razy mam przypominać?! Chcesz, żeby ci ręce grzeszne powykrecało?

– Wszystkich obecnych na świadków wzywam! – zawołał opp Gremk. – Kto na koło święte przysięgając, potwierdzić nie może, że Saskoure z Eileff, Marimalczyk, ziemię tę przed śmiercią dotknąć i ucałować zdążył, niech tu podejdzie i przyjrzy się.

Paru marynarzy, druhów zabitego, zaszemrało, popatrzyło po sobie. Jeden, trochę się ociągając, wyszedł przed gromadę. Debren poznał sternika, który kierował szalupą, gdy spychano „Jaskółkę” do brzegu. Vensuelli stał ze skrzyżowanymi ramionami i nieodgadnioną miną.

– To się posuńcie, wielmożny panie – burknął sternik.

– Posuńcie się?! Wleźć tu chcesz? Ha, pięknie! Ślepy nam się trafił, macać musi! Słyszycie, panie admirale, kto waszą szalupą steruje? Niewidomy! Nic sugerować nie zamierzam, bo to nie moja kompetencja, ale na waszym miejscu, obym tego bezczelnego chłystka za burtę wywalił. Zakład, że mustrując się na wasz okręt, słowem o swym kalectwie nie wspomniał. Oszustwo uczynił, a za to kara minimalna to niezwłoczne rozwiązanie umowy o pracę. Zostawmy go tu

smokowi, niech się łajdakiem zadławi.

Marynarz zbladł, gruchnął na kolana, przeżegnał się drżącą dłonią.

– Machrusie Święty... Co też wy, panie?! Toć... toć ja... Oczy mam jak ten sokół! Dobrze widzę, przysięgam!

– Tak? Dowód, jeśli łaska. Co tu widzisz? – Palec z sygnetem dźgnął skrwawioną głowę trupa. Sternik zmarszczył brwi, myślał długo. Względnie słuchał podpowiedzi kompanów, szepczących na wyścigi i zagłuszających się nawzajem.

– Ja tu widzę... widzę tu... he? Aha, Saskoure'a widzę, rzycią ku górze leżącego i ziemię bockającego. – Palec uniósł się, pokazał protezę. – I kulasa nieboszczyka Kulasa widzę. W ziemię się wbił.

Debren przysunął się do admirała, zniżył głos do szeptu.

– Co ten wieprz wyczynia? Każ mu zleźć z tego nieszczęśnika albo ja,..

– Nie mieszaj się – syknął jeszcze ciszej Vensuelli. – Bo z roboty wylecisz. Chcesz tu zostać? Sam na sam ze smokiem? Jeśli ze starości nie zdechł, to przynajmniej nudzić się nie będziesz, ale po mojemu dawno łapy wyciągnął. Debren, tu statek raz na ćwierć wieku zawija, A jak się w rodzie Błękitnych mało jurny chłop trafi, to i rzadziej. Więc zamknij gębę.

Debren zamknął gębę. Nie skomentował, gdy opp Gremk najpierw zwłoki z trapu zepchnąć próbował, a potem, gdy noga zaboląła, bosakami ściągnąć kazał. Nie próbował pomagać. Nawet wtedy, gdy podrapane od haków ciało wymknęło się ciągnącym je na statek marynarzom i z ohydnyim plaśnięciem zaklinowało się między skałami a burtą „Jaskółki”.

– „Herosów, co życie na ołtarzu wiary i nauki złożyli, z czią i honorami...” Przestań natychmiast, Neruela! Jak mi choć jedna łza na zeszytnicę kapnie, to dam ci ja.. Wstyd mi

czynisz, dziewczko!

Venderk opp Gremk ostrożnie wrócił na pokład. Wyglądał na zadowolonego.

– Mam nadzieję, że los tych pijanych głupków nie zniechęcił was, panie rycerzu, do wypełnienia ślubów? – Z lekkim niepokojem podniósł głowę, patrząc w przyłbicę spoglądającego z wysokości siodła Błękitnego. – Wypadek to był jeno. Debren, mistrz wielce w czarowaniu biegły, potwierdzi wam, że magii w tym nijakiej nie było. Prawda, Debren? No, co tak spode łba łypiesz? Potwierdź, że mam rację. Debren, mówię do ciebie.

Magun milczał. Patrzył prawnikowi w oczy i przeżuwał coś w ustach. Może tylko ślinę.

– Nie trzeba – powiedział szybko Vensuelli. – Widzicie, panie Venderk, że pan Błękitny niestrachliwy. Na trap wjeżdża, więc odsuńcie się.

Opp Gremk odstąpił, ale spojrzenia z maguna nie spuścił. Nawet gdy podkute kopyta zastukały o pomost, a deski zaskrzypiały ostrzegawczo.

– A teraz – wycedził – na odwrót: milcz i nie mieszaj się. Jak jedno choćby zakłęcie tu padnie... Rozumiemy się?

Debren nie drgnął. Nie musiał przytakiwać. Rozumieli się.

Bez pomocy magii jeździec mógł zwalić się z trapu wraz z koniem. Trap mógł pęknąć. Pomost, osadzony na nierównej skale, mógł się przechylić. Od wstrząsów, jakie wywoływał ciężki niczym buhaj wierzchowiec, mogły posypać się z góry kamienie. Smok, który mógł nie zdechnąć ze starości, mógł wyłonić się zza zakrętu i urządzić jatkę. Istniało wiele możliwości. W teorii.

Żadna nie zaistniała w praktyce, Błękitny spokojnie przejechał na brzeg, zatrzymał konia i oszczędnym młynkiem rozwinął zrolowany wokół drzewca proporzec. W szarawym świetle popołudnia zalśniły róż, błękit i złoto jakiegoś wielce skomplikowanego herbu.

– „...w prawej górnej zaś ćwierci, Północną Brechtę symbolizującej, herb księżnej pani, ryby dwie z rodu dorszowego ma wyhaftowane, mieczem przekłute, a od góry słońcem opromienione, który to znak podkreślić ma...”

– Nie tu! – zawołał trochę niezadowolony Gremk. – Tego miejsca z morza nie widać. Doradzam tamten wzgórek, szlachetny rycerzu. Ostrożnie tylko! Nie spadnijcie, zanim... znaczy... rzec chciałem: uważajcie.

Rycerz zatoczył w milczeniu koniem i zmroził wszystkich patrzących, kierując rumaka na wąziutką ścieżkę, na którą ostrożna mama kozica nie wpuściłaby swych młodych. Miejsce, ku któremu zmierzał, było jak wymarzone do zatykania sztandarów, słupów-kołonosów i innych tego typu symbolicznych przedmiotów, ponieważ garb nad wąwozem był najwyższym na wybrzeżu miejscem, a zatoka jedynym gościnnym tego wybrzeża kawałkiem, ale Debren nigdy nie zaryzykowałyby wjeżdżania tam konno. Nawet gdyby koń był przedniej krwi, ułożony przez dobrego tresera i otumaniony magią.

– Pięć szelągów, że zleci, zanim porporzec zatknie – rzucił hasło któryś z knechtów. Rozpętał prawdziwą burzę zakładów. Kamienny czy może raczej blaszany spokój rycerza zrobił wrażenie, więc większość obstawiała, że skręci kark dopiero w drodze powrotnej. Zakładano się też o to, czy runie do wody, czy w wąwóz, ktoś postawił na ścieżkę po niewidocznej stronie wzgórza i szczęśliwy finał, a ktoś zaryzykował trzy przeciw pięciu na interwencję smoka Ziejacza, w którego istnienie raczej powątpiewano.

– No, Venderk, teraz toś przegiał – mruknął Vensuelli. – Dureń to, ale każda głupota ma swoją granicę. A ja ci ją mogę palcem wskazać. O, ten uskok pod jodełką, bo to jodełka chyba. Zaraz pan rycerz w portki blaszane popuści, trochę rdzy do pancerza dodając, i z konia zlezie. Na oczach tłumu świadków. Stopę na Małym Czyraku postawi; nie żadne



wygodne do interpretowania i jurydycznego przepychania kopyto swego konia, ale własną chędożoną stopę. I szlag ci linię argumentacji weźmie.

Opp Gremk uśmiechnął się. Niewyraźnie. I trochę bladą twarzą.

– Nie bój się, zadka z kulbaki nie ruszy. Wiem na pewno. Ja się na przypadek nie zdaję jak ty, młokosie. Przy wszystkich tytułach, jakie ma, to gołodupiec. Konia od sponsora dostał, od stadniny pewnej z Bliskiego Zachodu. Darmo dali i tresurę opłacili, a także ładny grosz dla wdowy obiecali, a on ślubował na koło święte i honor rycerski, że się konno ze smokiem będzie potykał.

– Zaskoczę was, mecenasie – skrzywił się nieładnie Debren. – Ale, wystawcie sobie, żeby szwindle i interpretacje z umowami czynić, nie trzeba od razu do cechu jurystów należeć. Smoka, póki co, ani widu, ani słyhu. Rycerz pomyśli, z konia zlezie, rzyć ocali, a honoru i kontraktu nie naruszy.

– N-nie zrobi tego – zająknął się Gremk. – To prostoduszny głupek. Człowiek niezłomnych zasad. Nie taka podstępna gnida jak waćpan. O kurr...

Rycerz zsiadł z konia.

Wśród hazardzistów na pokładzie zawrzało. Jedni zaczęli obstawiać na nowo, inni wyklócać o to, czy i w jakim stopniu obowiązują poprzednie warunki. Zbrhl, przez cały czas rozglądający się bacznie dookoła, nie tylko po sąsiedztwie wąwozu, ale nawet przeciwległym brzegu zatoczki, grzmotnął w reling obuchem topora. Topór był cywilny, rzeźniczy, ale raczej z rzeźni oprawiającej woły niż wyspecjalizowanej w drobiu. Od razu zrobiło się ciszej.

Rycerz, podpierając się mieczem, wciągnął za uzdę konia na szczyt wzgórza, wyjął proporzec z tulei przy siodle i machnąwszy nim parę razy jak gołębiarz, zatknął w ziemię.

– Z torbami puszcę – warczał pod nosem opp Gremk. – Zamek zasrańcowi zlicytuję, obrońcami ginących gatunków

poszczuję, już ja go...

– Co tam mamrociesz, mistrzu? Ślina jakoś wam strzyka, czyście aby nie chorzy?

– Modłę się, admirale – powiedział głośno, przywołując chłodny uśmiech. – Za pomyślny wynik starcia tego zakutego zucha z Ziejaczem.

– To znaczy... jaki? – Vensuelli uniósł ironicznie brew.

– Pomyślny.

Majtek stawiający trzy przeciw pięciu klepał się radośnie w uda. Rycerz dosiadł konia, wsparł miecz o naramiennik i zniknął za garbem górki. Nie było słyhać łoskotu, więc chyba znalazł ścieżkę.

– A mowa?! – zgubił udawany spokój opp Gremk. – Kto mowę wygłosi, ty pało do żabiej rzyci przyczepiona?!

– Smok to był – sprostowała Zelgan. – Piszcie: „Smoczy łeb, hełm jego zdobiący, za górą ową strzelistą przepadł i tylko pobożne pienia czas jakiś ciszę złowrogą mąciły. Potem i one w szum kniei wsiąkły, a po rycerzu błędnym ślad wszelaki na wieki wieków a... to znaczy zaginał”.

– Nie za szybko go paniusia skreśliła? Mieczysko ma niegorsze, konia też. Nie wiedzieć, kto komu przy...

– Panie Zbrhl! Prosiłam!

– ...przytnie uszy, rzec chciałem. Może się zdarzyć, że rycerz ze smokiem wygra.

– Ze smokami to już różni wygrywali – odcięła się. – Ale nie z Venderkiem, przez tajne służby cesarskie wspieranym. Zapomnijcie lepiej, panowie, o tym nierzetelnym szlachcicu. Jak znam niektórych z tu obecnych, to domu on już nie obaczy.

Venderk opp Gremk nie skomentował. Ale i nie zdementował.

– No to swoje zrobiliśmy – stwierdził bez radości Vensuelli.

– A teraz pójdziemy gromadą na skraj lasu, zetniemy parę sosenek i mały częstokolik się w wąwozie ustawi. Jak mawia

rotmistrz; „Smok nie smok, kij mu w bok”. Nie ma lepszego sposobu na te głupie gadziny jak fortyfikacja polowa. Przejdziesz się z nami, Debren? Na robakach drzewnych, prawileś, znasz się jak mało kto, to nam zdrowe sztuki wskażesz, żeby się chłopcy opukiwaniem nie zmachali. No, co tak sterczysz? Chodźże.

– Admirale, pozwól na słowo. W cztery oczy, w kajucie. To ważne.

\*\*\*

– Przeczucia? – parsknął Vensuelli. – Przeczucia to baby miewają, głównie jak chłop się do karczmy wybiera. Ty, magun, stary wyjadacz, w takie głupoty wierzysz?

– Mroczne wizje bab nader często się sprawdzają, Vens. Nawet jak mąż do chałupy cały i zdrowy wróci, to często bez portek, a bez grosza zawsze. Instynkt to nie głupota. To wnioski z dawnych, zapomnianych już przemyśleń, które tkwią gdzieś w podświadomości i niekiedy ratują nas, gdy myśl za rozwojem wydarzeń nie nadąza.

– Bez urazy, mistrzu, ale Vens to ja jestem dla przyjaciół. A moja myśl, za twoją nie nadążając... założmy, że jest za czym... no więc ona instynkt uruchamia. Ten zaś mówi: „Nie kombinuj, człeku, zdaj się na doświadczenia przodków, pali zaostrzonych w ziemię nawtykaj i śpij spokojnie”. Plan obrony mam w najmniejszym szczególe rozpracowany, chociaż, między nami mówiąc, ja w tego ich Ziejacza nie wierzę. Może wielce wykształcony nie jestem, jeśli dyplomami szkół mierzyć, ale ta półka z książkami, ta nad tobą, nie do zadawania szyku mi służy. Same uczone rozprawy tam stoją, niektóre nawet kupione, bo prostak nie jestem, wiem, że za wiedzę warto zapłacić, jak w przyzowym danego tytułu brakuje. Mam tam *Gady, płazy i smoki*, mam *Sztuką łowiecką z elementami kłusownictwa tudzież wnykarstwa* w drugim obiegu wydaną, *O skutecznym twierdz czynieniu*.

Tom trzeci. *Budowle ziemno-wodne*, nawet *Zielone wzgórza Yougonii* mam, choć to beletrystyka i nauki polowań na smoki bym z niej nie zalecał. Znam się trochę, krótko mówiąc. Wiem, co smok może, a czego nie, i zaręczam ci, że w obronie silniejsi będziemy nie tylko od staruszka Ziejacza, ale choćby całej jego rodziny.

– W Lelonii, pod Starohuckiem, grodem stołecznym, jest duży i ładny cmentarz takich, co podobnie gadali. Nad wyraz duży, biorąc pod uwagę, jak mało tamtejszy smok grabarzom pozostawiał i jak niewiele miejsca pod trumnę było trzeba.

– Nie rozśmieszaj mnie, Debren. Dawno się rzecz działa, technika lelońska jaka jest, każdy wie, a w dodatku, jak się tłumaczyli tamtejsi kronikarze, nie w braku wojaków dzielnych leżał problem, a w braku pieniędzy i durnocie urzędników. W *Sztuce łowieckiej* jest o tym cały rozdział, w charakterze przykładu negatywnego. A to rotę łuczników na smoka posłano, bełty od kusz zamiast strzał dając, którymi całkiem strzelać się nie dało, za to smokowi, szutnikowi znanemu, za pałeczki do bufetu posłużyły; a to w nocnym ataku chorągiew zaciężna z Lelonii Większej pobłądziła, bo jej mapy gówniane dali, całkiem innego grodu, i się ze strażą królewską do świtu cięła; a to jakiś kwatermistrz, ścierwo sprzedajne, fury z prowiantem do smoczej groty kierował, zamiast do wojsk ją oblegających, z czego głód w obozie nastąpił i oblężenie zdjęto... Nie, Debren, śmiać się z tego można albo zębami zgrzytać, jeśli kto Lelończyk, ale przykład to żaden. Tu jest światły Wschód, nie dziki Zachód.

– A konkretnie?

– Konkretnie to ufortyfikuje się wąwóz, a za palami, chytrze i naukowo ustawionymi, wilczy dół się po cichu wykopie. Mamy też sidła. Karawelę od brzegu cofnę, a trap dwoma pniami długimi zastąpię. Podklinuje się, to leżeć będą jak wmurowane, a jak smok spróbuje na okręt przeleźć, to wystarczy liny szarpnąć i się gadzinie most pod brzuchem

rozjedzie. W wodę bestia runie i utonie, bo opancerzona i od płynu cięższa. To ostateczność, bo wolałbym ciało zachować. Zęby, skóra... Kupa złota z takiej bestii jest, jak się wie, gdzie trofea sprzedawać. A jak od plaży zaatakuję, frontalnie, po rycersku, to go z katapulty kropniemy. „Rupp i trup”, cudów nie ma. Są też truciki, bełty specjalne do kusz, wody święconej do pomp baryłek parę... Smok, jeśli żyje, to już jakby martwy był. Chyba że z lasu łba nie wychyli.

– Taa... Wzięłeś pod uwagę, że w nocy ciemno będzie?

– Ognie rozpalimy. A ty weź pod uwagę, że smok, co dziecko każde wie, to stwór zmiennocieplny Nocą ledwo się rusza.

– No to nie przyjdzie tu. Nie zarobisz na skórze i zębach.

– Nie udawaj kmiotka, Debren. Ja wiem i ty wiesz, że nie o tę wyrosniętą jaszczurkę idzie gra. Da się dorobić na boku, to dobrze, ale jak odpłynę stąd, nawet śladu smoczego pazura nie oglądając, to też na swoje wyjdę.

Magun nalał sobie marimalskiego z karafki. Pił powoli, ciesząc się smakiem.

– Przeceniasz mnie, admirale – powiedział, patrząc w pucharek. – Lobryk i Saskoure zginęli, bo nagle uaktywniło się zaklęcie hipnotyzujące. Chyba nie całkiem tak, jak zaplanowano, ale to inna kwestia. Rycerz zlaźł z konia i przeżył, co wyraźnie nie podoba się Venderkowi. Zauważyłem to. I zwróciłem uwagę na bardzo nieszablonowy skład tej ekspedycji. Też nietypowej. Parę rzeczy mnie zastanawia. Ale rozczaruję cię; nie wiem, o co się tu gra.

– Nie? To i dobrze. Mniej wiesz, dłużej żyjesz.

Debren odstawił pucharek, popatrzył admirałowi z powagą w oczy.

– Tak bywa w polityce. Ale na bezludnych wyspach, którymi smoki rządzą, bywa też inaczej. Tam, zdarza się, ignorancja może zabić.

– Wróćmy do twoich przeczuć. Domyślam się, że nie po to

o nich mówisz, by straszyć. Coś chcesz zaproponować, prawda?

– Owszem. Wyprawę w głąb wyspy. Na to wzgórze z wieżą, konkretnie.

Admirał zakorkował karafkę i demonstracyjnie schował ją do kufra.

– Tak będzie lepiej – podsumował. – Upileś się, widzę.

– Popatrz na to jak dowódca. Wyobraź sobie, że to nie łowy, a wojna. Bo wbrew temu, co sugeruje tytuł twojej uczonej księgi, smok ma z gadami i płazami tyle wspólnego, co człowiek z małpą albo niedźwiedziem.

– Chcesz powiedzieć, że smok ma łeb na karku i nie tylko do noszenia zębów go używa? Zgoda, całkiem zmyślne z nich jaszczurki. Ale jednak zwierzęta.

– O niewiadomym rodowodzie. Niewątpliwie, przynajmniej ich część, magią zmutowana. I obdarzona, też tylko część, umiejętnością rzucania czarów.

– Bez urazy, Debren, ale takie bajki wyśmiewałem, jak tylko mleczone zęby zacząłem gubić. Do czarowania mowa potrzebna, palce zręczne, narzędzia i rozum przede wszystkim. Jako magik powinieneś to wiedzieć.

– Bez urazy, Vensuelli, ale wiem, co jest potrzebne do posługiwania się prostymi formułami. Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, ilu tak zwanych czarodziejów to analfabeci, dwa słowa znający, z których mniej sprośne to: „kurwa”; nieudacznicy z kamieniołomów wywaleni, bo młota obsłużyć nie umieli; gołodupcy, którzy różdżki nawet na obrazku nie widzieli, i przygłupy, co do trzech na palcach liczyć muszą. I wszyscy oni, dają ci słowo, czarują. Jest całe mnóstwo prostych zaklęć, które byle oferma opanuje.

– Tak – uśmiechnął się trochę gorzko Vensuelli. – Pod warunkiem, że ma taki drobiazg jak zdolności magiczne.

– To akurat nie zostało do końca zbadane. Zdaniem wielu ekspertów...

– Zostaw tę teorię, mistrzu, wróć na ziemię. Co właściwie próbujesz mi powiedzieć?

Debren patrzył czas jakiś w okno, na drakkar. Brzuch wraku przykryto siecią, a trzech uwiązani do niej marynarze postukiwali rażno siekierami, ale postępy były mizerne. Trwał odpływ i widać było, że wrak osiadł na skałach, nim uda się zaczepić liny.

– Zwykle smoki bronią swego terytorium. Jednego zjedzą, innego przepłoszą. Jak to zwierzęta. Częściej płoszą.

– I?

– Pierwszy raz słyszę, żeby smok pułapki zastawiał ludziom szansy ucieczki nie dawał.

– No więc to pewnie nie smok.

– Jak nie smok, to kto? A jak smok, to co to za smok? Bo na pewno nie taki, który w twoje sidła i wilcze doły wpadnie. Vensuelli, zwróciłeś uwagę, jak długo tu stoimy? A to mała wyspa. Jak myślisz, dlaczego Ziejacz nie atakuje teraz, za dnia, kiedy jest najsilniejszy?

– Szczerze? Bo zdechło mu się. Dawno temu, ze starości. A może z głodu. Jak słusznie zauważyłeś, to mała wyspa. Pustelników wykarmiłaby sporo, rybaków też, ale smoka mogła nie wykarmić. Coś o wieży mówiłeś...

– Zgadza się. Musi mieć ze czterysta lat, bo po Helwimie, nawet jeśli kto tu zawitał i przeżył, to na pewno nie tak długo na Czyraku siedział, by budowle kamienne stawiać. Czyli co najmniej cztery wieki. I stoi. Chętnie bym ją obejrzał z bliska.

– Wiesz, jak cię słucham, to wierzyć zaczynam, że do czarów faktycznie wielkiego rozumu nie trzeba. Starożytności zwiedzać ci się zachciało? Może na murach wydrapywać: „Tum był. Debren”? To do nas, do Bootalyi jedź, do Starego Cesarstwa kolebki. Na każdym akwedukcie czy amfiteatrze znajdziesz takowe napisy, o głębi przeżyć świadczące. Ruiny mamy bardziej zabytkowe, a przewodnicy, mimo wszystko, ze skóry całkiem cię nie obedrą. Smok zaś obedrze cię

niechybnie.

– Przecież tu nie ma smoka – rzucił z goryczą Debren.

Vensuelli tarmosił krótką brodę, krzywił się, patrząc na drakkar, i walczył z myślami. W końcu zaprzestał.

– Nie puszcę cię samego do lasu. Smoka ta wyspa nie wykarmi, ale wilka... Przecież ty nawet miecza nie nosisz. Nie, Debren, nie komplikuj sprawy. Możesz się z nami przejść, pomóc drzewa ścinać. To wszystko, co możesz.

\*\*\*

Zelgan miała rację. Wyspa była górzysta, pełna urwisk złowrogich, jarów i kotłów skalnych. Las ją porastał wiekowy, mroczny, splątany. Na ile podobny do lansowanej dwa lata wcześniej fryzury królowej Esmerii – Debren nie wiedział. Wiedział tylko, że wśród prostego ludu coś takiego nazwano by kołtunem.

Ekipa drwali, choć liczna, błyskawicznie rozplynęła się w gąszczu. Po pierwsze dlatego, że wiatrołomy z potężnych drzew, przetykane dziurami i oplecione siecią zadziwiająco mocnych pnączy, były w ewidentny sposób niedostępne dla stworzenia większego od kozy. Po drugie, z braku odpowiednich drzew w strefie przybrzeżnej, gdzie albo coś urosło wielkie, albo zostało za młodu wyrwane z korzeniami przez sztormowe wiatry. I po trzecie – bo jak już znajdowało się prostą, nie za dużą sosnę, okazywało się, że wyrosła w miejscu, skąd nie da się jej wywlec.

– Póki ich słyszać, nic złego się nie dzieje – uprzedził zastrzeżenia Debrena Vensuelli. – Zresztą knechci czuwają. Prawda, rotmistrzu?

– Bez obaw – Zbrhl oparł kuszę o korzeń dębu, przykucnął i zaczął zbierać jagody. – Żaden smok nie podejdzie do nas znienacka. A gdyby zaatakował, zawsze zdążymy bliżej brzegu odskoczyć. Do tamtych choinek aby.

– I co, wleziemy na te choinki, by odsieczy czekać? Po sześć



stóp mają, mogą nie wystarczyć.

– Coście tacy zgryźliwi, mistrzu Debren? Do choinek katapulta ogniem mierzonym, płaskotorowo donosi, o tym myślałem. W róg dmuchnę, chłopaki bełt wystrzelą i po smoku. Te ruppy same się na gadzinę naprowadzają. Wystarczy z grubsza kierunek nadać. Ech, technika...

– W ten róg? Co to do niego jagody sypiecie?

– Bez obaw. Jakby co, zdążę i przełknąć, i zadać. Ja, nie chwaląc się, kwartę na cztery łyki biorę. A jak dobre piwo, nasze morvackie albo wehrleńskie, to i na trzy.

Debren wzruszył ramionami i zawrócił w stronę brzegu. Szedł na przelaj, powoli. Nie dało się szybko. Pokrzywione wiatrami drzewa, kiedy już padły, tworzyły prawdziwe zasieki, które autora dzieła *O skutecznym twierdź czynieniu* wprawilyby pewnie w lekkie kompleksy. Może to właśnie niedostępność puszczy odstraszyła panią Zelgan i jej różowobiałą gromadkę. A może niedostępność pewnego maguna, tępego jak kloc i nie potrafiącego zrozumieć mowy stóp pod stołem. W innych okolicznościach Debren gryzłby się tym problemem. Lelicja Zelgan nie należała do kobiet, które ignoruje się ot tak, po prostu. Z co najmniej kilku względów jej przyjaźń opłacała się bardziej od nieprzyjaźni.

Całkiem jak przyjaźń maguna.

Gdzieś to już kiedyś...

Nie chciał myśleć o Lendzie Branggo, przez dwa „g”. Nie chciał macać się po kaftanie i sprawdzać, czy spłaszczona bryłka srebra wciąż wisi na piersi. Ale oczywiście przegrał i z myślami, i z dłonią.

Ktoś taki jak pani Zelgan mógłby się, być może, okazać skutecznym lekiem na tę chorobę. Skuteczniejszym niż czas wspomagany zdrowym rozsądkiem.

Z nieco gorzką ulgą pomyślał, że tu i teraz może liczyć na jeszcze inne, bezdyskusyjnie skuteczne lekarstwo. Wielkie, porośnięte łuską i ziejące ogniem.

Nie podobała mu się ta wyspa. Coś złego wisiało w powietrzu. Chociaż akurat powietrze pojaśniało, zmiękło od złotego blasku zachodzącego słońca. Kiedy ostatni raz widział Lendę, też zachodziło słońce.

Przeciał plażę, przeskakując nad gromadką żółtawych skorup, porzuconych zapewne przez jakieś ślimaki olbrzymy. Daleko z prawej mignęła mu ludzka sylwetka, ale gdy spojrzał, były tam tylko powykręcane konary uschniętego drzewa i kępa listowia. Debren, trochę zdziwiony, przyglądał się im przez chwilę, ale niczego więcej nie wypatrzył.

No, nic. Ktokolwiek to był, poruszał się na dwóch nogach i w niczym nie przypominał smoka. Pewnie jakiś majtek obibok, przedkładający spacer nad machanie siekierą.

Skręcił w lewo i zobaczył ślad. Coś wyszło z morza i popęzło w głąb lądu. Względnie na odwrót. Płytkie, na pół zasypane wgłębienie ciągnęło się mniej więcej ku ślimaczemu cmentarzysku. Między kamieniami czerniły się resztki zdechłego kraba. Debren uznał go za ofiarę zbyt obfitej uczyty i zrezygnował z bliższych oględzin wyłobienia. Nawet jeśli nie krabom i ślimakom zawdzięczało swoje istnienie, nie mogło mieć nic wspólnego z Ziejaczem. Smoki z gromady pirozaurów nie przepadały za wodą.

Trochę ryzykowną ścieżką wzdłuż skał, omijając wąwóz, wrócił na okręt. Pokład świecił pustką; wszyscy, którzy nie poszli po drewno, kopali w wąwozie wilcze doły i otwory pod pale. Ktoś siedział w bocianim gnieździe, machając brudnymi piętami i pogwizdując. Na galerze, która uciekła przed odpływem daleko w morze, widać było tylko jednego czuwającego przy katapulcie żołnierza.

Przy drzwiach do lewej części nadbudówki rufowej stały trzy składane stołki. Dwa były zajęte, choć tylko do chwili, gdy magun zeskoczył z trapu. Kiedy tylko został zauważony, Niebrzym i Neruela poderwali się na nogi. Miny mieli takie, że Debren obejrzał się mimo woli, sprawdził, czy nie lezie za

nim Ziejacz na owiniętych szmatami łapach. Oczywiście nie laźł.

– Co, pióra czyścicie? – zagadnął. – A mistrzyni wasza gdzie?

– Ona... jej tu nie ma – dziewczyna zarumieniła się, opuściła oczy.

– To widzę. A gdzie jest?

– My nie wiemy – bąknął chłopak i jako z natury odważniejszy, oczu nie opuścił, tylko zezować zaczął to na brzeg, to na zatoczkę.

– Drzwi zza waszych pleców za to nie widzę – powiedział powoli Debren. – Chybaście się rękawami skleili. Chyba trudno byłoby między wami przejść i zerknąć, czy pani Zelgan w kajucie nie ma. Chyba nie powinno się tego czynić. Mam rację?

Odsunęli się od siebie. Na dwa palce, góra marimalski cal. I na dwa cale od drzwi.

– Chyba tak – szepnęła Neruela.

– Zgaduję, że niewłaściwe byłoby także szukanie Culia.

Teraz już także Niebrzym gapił się na czubki swoich cizem. Debren starał się nie zastanawiać, czy to, co czuje, bliższe jest uldze czy rozczarowaniu. Starał się także nie dopuszczać do świadomości docierających zza ścian odgłosów. Z tym było już gorzej. Mimo kilku warstw drewna, solidnej, typowo wojskowej konstrukcji okrętu. Podostrzony magią słuch robił swoje. A Lelicja Zelgan bynajmniej nie ułatwiała sprawy.

– Umówmy się: wy nie widzieliście, że tu byłem, a ja nie widziałem, jak bohatercko drzwi bronicie.

Pokiwali skwapliwie głowami. Odetchnęli. Chłopak, jako z natury odważniejszy, odważył się nawet zadać pytanie.

– A... wy, wielmożny panie, też do siebie idziecie? Jak nasza pani?

– Też. Ale nie po to samo, co wasza pani. I nie idę. Bo mnie tu nie ma.

\*\*\*

Zszedł na dół, na najniższy pokład, już pod linię wodną. Było ciemno, spod nóg pierzchały myszy. Wyczarował małe zimne światełko i zaczął sprawdzać kolejne drzwi. Było ich sześćcioro, bardzo dużo jak na okręt wojenny, nawet nowoczesny. Solidna konstrukcja wskazywała na uniwersalny charakter pomieszczeń, do których broniły dostępu. Można było ulokować tu pasażerów trzeciej klasy, co w czasach zastoju pomagało armatorowi przetrwać, można było, już w dobrych czasach, zamykać tu jeńców dla okupu wziętych albo łupy mniej cenne. Albo mocne trunki – te niezależnie od koniunktury, bo wilka morskiego suszy zawsze. Zamki były oczywiście odpowiednio mocne i skomplikowane, lecz tylko jeden zabezpieczono zakłębieniem. Debren nabiedził się nad jego dezaktywacją jakieś trzy pacierze.

W środku był najwyżej łaszt przestrzeni. I przeraźliwy smród. Wiadro, do połowy wypełnione fekaliami i wymiocinami, wielka miska z resztkami kaszy i skwarków, leżący obok szczur ze złamanym karkiem i krótka koja z siennikiem.

– Zabij mnie lepiej – powiedziała cicho skulona w kącie posiania dziewczyna. Miała związane nadgarstki, nocną koszulę i ślady szczurzych zębów na gołych nogach. Ciemne, opuchnięte, pełne znużenia oczy i włosy jak królowa Esmeria dwa lata wcześniej. Włosy też były ciemne.

– Lepiej cię stąd zabiorę.

Wyjął nóż. Wcisnęła się głębiej w kąt, ale chyba traktowała serio swą prośbę, bo poza tą odruchową reakcją nie natknął się na żaden opór. Ujął jej dłonie. Były zimne, o wiele za zimne. Szybko, zanedbując ostrożności, przeciął sznury, tak jakby miało to sens i dało się w ten sposób naprawić zło wyrządzone przez głupca, który zaciskał pętle. Przez jakiś czas trzymał w dłoniach na pół martwe lodowate palce. Potem

zauważył zwężenie źrenic dziewczyny. Uśmiechnął się.

– Zaczyna boleć – powiedział. – To dobrze.

– Szatański wypierdek. – Zaczęła obracać ustami, ale wyraźnie brakowało w nich śliny, więc go nie opluła. – Dosięgnie cię jeszcze boska sprawiedliwość, czarodzieju plugawy.

– Skąd... A tak, światło. Jestem Debren z Dumayki. Profesję odgadłaś. Sadystą nie jestem. W twoim bólu cieszy mnie tylko to, że możesz go jeszcze odczuwać. To znaczy, że dłonie nie są stracone. Jeśli pozwolisz, znieczulę ci je teraz częściowo łagodnym zaklęciem.

– W zamian za co? – wychrypiała. Kasza stała tu od dawna i kiedyś była krupnikiem. Żadnego dzbanka nigdzie nie było. Dziewczyna była odwodniona. – Mam nogi rozłożyć? Już wam moja cnota niepotrzebna?

– Nie ma żadnych „nas”, jestem tylko ja. Kto cię tu zamknął? I dlaczego?

– Nie wierzę ci. – Zawahała się. – Opp Gremk. Ta czarna świnią. Nie udawaj, że go nie znasz. Aaach...

– Boli, co? To jeszcze nic, poczekaj co będzie dalej. Więc jak, wyrażasz zgodę na zabieg?

Chwilę zmagala się ze sobą, w końcu skinęła niechętnie.

– Imć Venderka znam, ale dopiero od niedawna. Przyjaźni nie zawarliśmy i nie zanoszą na nią. Mord sobie też nie obiliśmy, z drugiej strony. Co, zdaje się, może ulec zmianie. – Zamknął oczy, zaczął szeptać formułę, delikatnie masując dłonie dziewczyny. – No i po strachu. Jakiś czas trochę poboli i władzy w nich mieć nie będziesz, ale powinno być dobrze. Wstaniesz sama? Pięknie. Chodź pomogę ci. Nóg pewnie nie chcesz pokazywać? Nie szkodzi. Szczur, jak widzę, rozkłada się już, więc jeśli do tej pory nie wdała się gangrena, nic ci nie będzie. Ostrożnie, kruszyno... Czekać, obejmę cię. Bez obaw, to nie wstęp do rozkładania czegokolwiek. Mogę o coś zapytać?

– Jestem Ronsoise. O kurr... Wybaczcie. Stopień. Słucham.

– Jakiego jesteś stanu, Ronsoise? Chodzi mi... Widzisz, muszę podtrzymywać ciebie, to światelko i na dodatek jeszcze własne nerwy na wodzy. Gdybym wiedział, że przynajmniej na język i słowa nie całkiem cenzuralne uważać nie muszę, byłoby mi lżej.

– Panna, stanu wolnego.

– Eee... No tak. Ale mnie chodziło o to, czy z chłopów jesteś? Uszu twoich grubym epitetem nie urażę?

– Eee... Nie, panie Debren, możecie bluzgać śmiało. Zwyczajnie. Tatko z matulą jak się w zamku kłócili, to aż się świece z zakłopotania topiły. O żarcie tak sobie do oczu skakali, o kulinarną sztukę.

– Aha. Tatko jako kucharz na zamku jakiegoś barona pracował?

– Nie. Jako baron.

Byli już przy drzwiach na pokład. Debren przyłożył palec do ust, wyjrzał ostrożnie. Przy lewej burcie stały trzy stołki, ale pisarczykowie zniknęli. Dobrze. Puścił talię baronówny, ujął ją za rękę. Stała już pewnie na nogach, świeże powietrze czyniło cuda. No cóż, dziewicza wyspa. Żadnych kuźni, farbiarni, miejskich rynsztoków... Spokój, cisza i sielanka.

I stukot kopyt. Niedaleko. Za zakrętem wąwozu, ale niedaleko.

– Cicho, szybko i żadnych pytań – syknął. Pobiegli Przez trap, potem półeczką wzdłuż urwiska, przez krzaki i na plażę. Dziewczyna o nic nie pytała. Nawet o trupy Lobryka i Saskoure'a, wciąż zaklinowane między burtą a brzegiem, trupy, po których łaziły już pierwsze kraby.

Dopiero gdy przeszli do marszu, zauważył, jaka jest blada. Nie wyrwała mu ręki, lecz zabrała ją szybko, gdy zwolnił uścisk i dał jej wybór.

– Czego od ciebie chciał opp Gremk? – Nie odpowiedziała.

– Mówiłaś coś o swojej... no, o wianku. Czy to...?

– Dlaczego wymykamy się ukradkiem, magiku? Dokąd mnie prowadzisz? – Starła się panować nad głosem. – Kto zabił tych ludzi? Smok?

Zatrzymał się, złapał ją za łokieć.

– Co wiesz o smoku, Ronsoise?

– Tyle, ile muszę – skrzywiła drżące usta. – Że połknie mój wianek. A potem mnie. Puść. Nie ucieknę ci. Wiem, że stąd nie ma ucieczki.

Chyba mówiła szczerze, bo kiedy odwrócił się i powlókł w poprzek plaży, prawie od razu podreptała za nim.

Było cicho. Słyszał tylko stukot pojedynczej siekiery. Potem przestał słyszeć szelest lekkich kroków za sobą. I dobrze. Chyba najlepiej, jak mogło być. „Mniej wiesz, dłużej żyjesz”. Święte słowa, Vensuelli. Ty bydlaku. Teraz trzeba po prostu pójść dalej, jak gdyby nigdy nic. Zapomnieć. Może nawet uwierzyć, że stał się cud. Że po paru dniach przy Małym Czyraku rzucił kotwicę inny statek, zszedł z niego książę z bajki i znalazł na brzegu całą i zdrową dziewczynę. Z wiankiem. Może nawet czystą i nie śmierdzącą. Że nie pozbawił jej tego wianka i nie oddał potem załodze na uciechę, tylko zabrał na kontynent, poślubił i żył z nią długo i szczęśliwie. Niby dlaczego nie? Taka wiara jest lepsza od gorzałki. Tańsza, praktyczna. Można by spróbować autohipnozy, to ponoć pomaga.

Nie spróbował. Zatrzymał się i odwrócił.

Ronsoise stała pośrodku piaszczystej łąchy, wpatrzona w płataninę wyrzuconych przez morze wodorostów i żółtych skorup. Nieduża, smągła, jeszcze pryszczata. Nie miała w sobie nic z Lendy Branggo. Jej postury, żołnierskiej tuniki, różna w garści. Ale była boso, w nocnej koszuli. I miała w oczach smutek.

– No chodź – powiedział z rezygnacją. – Smok nie smok, kij mu w bok. Jakoś sobie poradzimy. A po te ślimaki, jeśli co w muszlach zostało, wrócimy kiedy indziej.

Cofnęła się o pół kroku. Nie patrzyła na Debrena.

– Ślimaki?

Coś ścisnęło mu żołądek. Podszedł wolno, odgarnął wodorosty, kopnął jakiegoś nie dość szybkiego kraba. Krab odtoczył się. Miał w szczypcach strzępy brązowozielonego, mocno zgniętego mięsa ze strzępem włosów. Długich. A czaszka, jedyna, którą dało się rozpoznać bez grzebania w piachu, była niewielka. Kobieta. Ktoś lub coś zgruchotało jej potylicę. Sporego kawałka brakowało.

– Nie chcę tak – szepnęła Ronsoise. – Wujku...

Jest jeszcze mniejsza od tej tutaj, pomyślał. Smarkula. Ile lat toto może mieć? Tuzin? Biodra już ma, ale piersi... Jasny gwint. Cholera. Dżuma i syfilis.

– Będzie dobrze, kruszyno. Obiecuję.

– Wujku Debren... Lepiej pchnij mnie od razu. Zrób to, co z rękami. Ja... ja się tylko bólu trochę boję, a umierania to... to prawie...

– Głupstwa pleciesz. – Złapał ją za rękę, pociągnął ku zaroślom. – Nie chcę nawet słuchać takiego gadania. Ronsoise, za smarkata jeszcze jesteś, żeby się na tamten świat wybierać. I jesteś baronówna. Rycerska córka. Dziewczyna na schwał. Na polowania pewnie z ojcem chadzałaś, co?

– Ja?

– No nic, pies trącał polowania. – Przelazł na czworakach pod zwałonym cisem, przeciągnął dziewczynę. – Ale haftować pewnie umiesz? No widzisz. Więc nóż tak się z grubsza jak szydełko w kłębek wbija. Weź go. No nie becz, cholera. To tylko tak, na wszelki wypadek. Nie będziemy tu bójek urządzać, to las, a my zwady nie szukamy. Jakby co, schowamy się. W chowanego umiesz się bawić, prawda? Niedawne czasy... Czekaj, nie tędy, nie górą. Lepiej, by nas nie widziano.

Coś zaszeleściło z boku. Przywarli do mchu, do grubego dywanu gnijącego listowia. Leżeli, starając się stłumić oddech.



Dziewczyna ostrożnie wycierała oczy rękawem koszuli, próbowała rozmasować dłonie. Debren kłął się w duchu, ale nie miał odwagi odbierać jej noża. Bo wtedy, czuł to wyraźnie, musiałby nieść oboje. Ten kawałek stali z kościaną rączką, który ledwie mogła utrzymać w na pół bezwładnych palcach, był wszystkim, co miała. Z nim była kobietą. Przerażoną, zagubioną, ale próbującą coś zrobić ze swoim życiem. Odbierając nóż, zepchnąłby ją z powrotem do roli dziecka.

Szelest nie powtórzył się. Wstali i pobiegli dalej, Skokami, od drzewa do wykrotu, od wykrotu do skałki. Cały czas pod górę, ku wnętrzu wyspy. Było cicho, nikt już nie rąbał drzew. Debrena niepokoiła ta cisza. W każdej chwili oczekiwał zgiełku, szeroko rozlanej, dobrze dowodzonej obławy. Nie miał racji, las pozostawał cichy, nawet ptaki umilkły. Ale niepokoił się słusznie.

Za zagonem pokrzyw, przez które Ronsoise przeszła, jak na rycerską córkę przystało, cała w bąblach, lecz bez słowa skargi, leżała ścięta sosna. Trochę dalej, na wznak, jeden z zaciężnych Zbrhla. Bez połowy jelit, rozwleczonych po zaroślach, i połowy twarzy. Wbito mu ją w czaszkę z siłą, od której uszami wypłynęło coś więcej niż krew. Smród nie ściągnął jeszcze much.

– Machrusiku słodki...

– Cicho, Ronsoise. Nie patrz. – Sam musiał. Nie dało się po omacku ściągnąć z trupa sakwy z bełtami, nie brudząc rąk w rozchlapanych kiszkach. – Tam leży kusza. Weź ją.

Sam powinien był to zrobić, bo kusza była napięta, a dziewczyna miała ręce jak z drewna. Ale idąc po broń, oddalała się od drugich zwłok, które chyba przegapiła. Marynarz, ciśnięty w krzaki, nie miał głowy. Kubrak, rozpruty wzdłuż kręgosłupa aż po pas, odsłaniał ciało i lśniące świeżą czerwienią kręgi. Dłoń bezgłowego zaciśnięta była na stylisku siekiery. Czyste ostrze sugerowało, że żeglarz nie sprzedał życia zbyt drogo.

– To smok, prawda? Debren?

– Ludzie nie zabijają w taki sposób. Chodź. I nie bój się. Smok to magiczne zwierzę, a ja magię potrafię wyczuć z daleka.

Kłamał. Nie chciał, by bała się bardziej, niż znieść może psychika dwunastolatki. Odebrał jej kuszę i bez słowa komentarza przywiązał nóż do przegubu kawałkiem sznurka. Potem, ciszej i ostrożniej, poszli dalej.

Na wydeptanej przez kozy albo sarny ścieżce znaleźli następne zwłoki. Te miały i głowę, i nietknięty brzuch, ale coś wdusiło twarz marynarza w miękką próchnicza ziemię i kiedy krztusił się nią i własnym wyciem, wyszarpało lewą rękę oraz nogę od uda w dół. Tu muchy już dotarły. Debren rozejrzał się za bronią, lecz zamiast niej zauważył ślady. Głębokie ślady kogoś, kto sadi wielkimi susami. Oraz krople krwi. Drobne, ale rozsiane po wielu okolicznych paprociach.

Na ścieżce, nieco wyżej, pozostał także duży, trochę podobny do ptasiego odcisk. Niewyraźny, choć głęboki. Debren przyklęknął i długo mu się przyglądał.

– Mu... musi być wielgachny – zdobyła się na rzeczowość Ronsoise.

– Ciii.

Umilkła, ukucnęła błyskawicznie.

Dostrzegł go później. Nie tyle jego, nie ruch nawet – brak paru świetlnych czerwonych plamek, które przedtem były. To mogło być wszystko. Wiatr, który potrząsnął krzewami, zmieniając układ korytarzyków między listowiem, zamykając drogę paru promieniom chowającego się w ocean słońca. Jakaś chmura. Smok raczej nie. Smoki, nawet te leśne, nie chodzą bezszelestnie.

Nie wiedział, dlaczego upadł na lewy bok. Żaden podręcznik traktujący o polowaniach na smoki tego nie zalecał. Regulaminy rot strzeleckich też nie. Teraz zdążył dowiedzieć się, dlaczego.

Spust kuszy, długa żelazna dźwignia pod łóżem, chodził lekko. Tak powinno być, bo kusznik miał walczyć z wrogiem, a nie z własną bronią.

Poczuł szarpnięcie. Lekkie, bo ostatecznie broń była niewojskowa, nie korbą napinana, a zwyczajnie, ręką z przydeptu. Dokąd pomknął bełt, nie zdążył zauważyć. Może w niebo, może w ziemię. Nie miało to już znaczenia.

Bo las plunął ogniem. Kulą żaru, która pomknęła prosto między rozszerzone strachem oczy Debrena, ciągnąc za sobą płomienny ogon. Nie zdążył nawet krzyknąć, nie mówiąc o poszukaniu jakiegoś stosownego zaklęcia.

Coś przeraźliwie gorącego uderzyło go w głowę. I świat się skończył.

\*\*\*

Był rybą. Czuł się jak ryba w wodzie. Nie bał się smoków, ludzi, a przede wszystkim ognia. Czymże jest ogień dla ryby? Był rybą; wolną, swobodną, szczęśliwą w swym cudownie chłodnym żywiole. Któryż to głupiec nazwał wodę zimną? Kto określił mianem zimnej jego rybią krew? Nie były zimne, tak jak nie były też gorące. Były idealne. Takie, jakie być powinny. Był rybą i...

...topił się. Kaszel. Charkot z tchawicy. Smak błota w ustach, łzy w oczach. Usiadł szybciej, niż oprzytomniał.

– Wujku? – Jakiś smarkaty głos, mocno smarkaty, aż w nosie bulgotało. Nawet przez własne, wywołane krztuszeniem się łzy widział, że płakała wcześniej i dalej płacze. Kłęcząca obok z wielkim liściem łopianu w drżącej dłoni. Z liścia kapały brązowawe krople tego samego paskudztwa, które wypluwał właśnie z płuc.

Dość. Kręciło mu się w głowie, cała prawa strona tułowia była nienaturalnie sztywna, serce waliło jakimś dziwacznym, nieregularnym rytmem. Dość prostych metod i zdawania się na mądrość organizmu. Formuła Worpa, stare dobre zaklęcie

stosowane przy ratowaniu topielców, błyskawicznie oczyszczające płuca. Już.

Beknął. Tak, że dziewczyna odskoczyła, klapnęła pośladkami między paprocie. Przerażliwy odgłos. Ale od razu poczuł się lepiej. Chociaż, z drugiej strony, teraz, gdy przestał się dusić, ze zdumieniem zdał sobie sprawę, jak bardzo osłabł. Zwykle nieskomplikowane zakłęcie zakreśliło mu w głowie, zlało zimnym potem.

– Tfu, zgiń, przepadnij, siło nieczysta... Rodzicielko słodka, coś Wybawiciela nam powiła... – Modlitwa urwała się, Ronsoise musiała pociągnąć czerwonym od płaczu nosem. – To ty, wujku Debren? N-nnie ruszaj się. Ty?

– Odlóż tę kuszę – wycharczał. – Co ci jest, Ronsoise? Zgłupiałaś? Dlaczego we mnie mierzysz?

Nie odpowiedziała. Nie musiała. Lewy, krzywo obcięty „rękaw kaftana owinięty był wokół prawego ramienia Debrena, ale też krzywo i nieporadnie, a z prawego rękawa pozostał tylko okopcony mankiet. Zastanawiał się prawie pacierz. Długo. Ale też przypadek był niecodzienny.

Nie zastrzeliła go. Chociaż trzęsło się w niej wszystko łącznie z prawą dłonią ściskającą łożę blisko spustu. Bała się. Bardzo się bała, ale ani razu nie ułożyła dłoni tak, jak należy. Może krążenie nie wróciło w pełni, może nie potrafiła posługiwać się kuszą. Napięła ją jednak i załadowała. I błagała los, by pozwolił jej na tym poprzestać.

– Palilem się? – Debren ostrożnie pomacał prawy bok, potem pachę. Ręki nie dotknął. Nawet jego brzydziła mieszanina spalonego mięsa, krwi i łusek. Z miażdżącą przewagą łusek. – No tak. Chyba wiem, co sobie myślisz. Wujek Debren to nie żaden dobry wujaszek, tylko potwór. Jak mu tylko bok stanął w płomieniu, to zrzucił maskę i ukazał prawdziwe oblicze. A konkretnie: pokrycie. Okazał się jakimś cholernym dorszem. Chociaż nie, to nie jest podobne do łuski dorsza. Psiakrew. Nie wiem, do czego to jest podobne. Rybę

po smaku głównie poznają.

Dziewczyna milczała, cichutko pociągając przepelnionym nosem. Nie odkładała kuszy, ale i nie celowała w Debrena. Bełt, gdyby go wystrzelić, przemknąłby gdzieś tuż obok biodra maguna. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że tak było od początku.

– Kruszyno, wiesz, co to podświadomość?

– Jesteś potworem? – zapytała cicho. – Znaczy się... złym? Bo są... Niektóre nie są całkiem złe i... Ponoć niektóre są szlachetne i wtedy...

– Nie krzywdzą dzieci – dokończył łagodnie. – Nie, Ronsoise. Nie jestem potworem, ani z tych złych, ani z tych dobrych, które faktycznie też się trafiają. Po prostu znam wiele zaklęć. Byłem nieprzytomny – dotknął guza na czole. – Palilem się, to bolało, więc ta część mojego umysłu, która nazywa się podświadomością... Wiesz, to to coś, dzięki czemu śnimy... no więc ona coś zrobiła. Nie wiem, co.

– Rzuciła czar? – zapytała. W jej brązowych oczach oprócz łez zalśniła także nadzieja.

– Właśnie. Ryby nie muszą lękać się ognia. Ich system nerwowy... Nie, cholera, nie wiem – popatrzył z pretensją na łuskowate ramię. – Ale ten durny czar jakimś cudem działa. Prawie mnie nie boli. A sądząc po twoim opatrunku, powinno boleć jak diabli. – Milczeli przez chwilę, to patrząc sobie w twarz, to uciekając oczami w bok. – Jak to zakładałaś... Wtedy jeszcze nie...?

– No, trochę. To tak... nie od razu. Zaczęły ci jakby włoski z mięsa wyrastać. Nie wiedziałam, że to łuska.

– Ale potem już wiedziałaś. – Uśmiechnął się blade. – Dzięki, Ronsoise. Ja na twoim miejscu wyrzygałbym wszystko, a potem uciekł z krzykiem.

– Wyrzygałam. – Odłożyła kuszę. – Wcześniej. Jak czekałam, aż smok przyjdzie i nas... Wujku Debren czy on... czy smoki też bywają dobre? Też czasem litują się, jak ktoś...

no, jest dziewczyną i jeszcze nie ma za dużo lat?

Nie odpowiedział od razu. W zadumie wodził palcami po guzie na głowie. Guz pokryty był krwią. I łuską.

– Widocznie, kruszyno. Widocznie tak. Bo przecież nas nie zjadł, choć mógł. Ale na drugi raz masz uciekać, rozumiesz? Jak coś mi się stanie, masz mnie zostawić i uciekać tak szybko, jak nogi poniosą, ty zasmarkana bohaterko. No, dość tego dobrego. Pora w drogę.

– Dokąd, Debren?

– W górę, Ronsoise. Cały czas w górę. Nie wiem, co się dzieje na tej cholernej wyspie, ale mam zamiar się dowiedzieć.

\*\*\*

Trup był zwęglony, nie do rozpoznania. Wciąż kopało się z niego i tylko dlatego znaleźli go na dnie wąskiego jaru. Musiał zbiec ze ścieżki i tu doścignął go jęzor ognia. Nie miał chyba nic wspólnego z tropem, którym Debren podążał. Tamten człowiek – o ile to był człowiek – szedł, a czasami pełzał, ze wschodu na zachód. Ścieżka – o ile to była ścieżka – wiodła pod górę, na północ.

Wrócili na nią znad jaru. Nie było to mądre, ale tu, w głębi lasu, zaczął się już wieczór. A Ronsoise, córka barona z własnym zamkiem, coraz częściej gryzła wargi, trafiając bosą stopą na szyszkę czy kamień. Sam Debren też nie czuł się najlepiej, choć rybi czar trzymał zaskakująco dobrze i nic go w zasadzie nie bolało. W takim stanie, z zeszywniałą ręką i mocno uszczuplonym zapasem sił magicznych, nie miał szans dowlec się do wieży, idąc na przelaj. Nie przed zmrokiem, a po zmroku tym bardziej.

Szli więc wzdłuż wijącego się szlaku, który wprawdzie nie przypominał żadnego z ludzkich szlaków, wyłobionych stopami, kopytami i kołami wozów, ale jako wyjątkowo długi pas wolnej od przeszkód ziemi nieodparcie kojarzył się

z drogą.

Była to, nawet jak na górzystą wysepkę, droga wyjątkowo kręta. Debren, choć uważał, dostrzegł ludzi dopiero z odległości dwudziestu kroków. Zatrzymał się, rozejrzał, przeskanował ciche zarośla, napierające z obu stron na wąziutką ścieżkę. Dopiero potem przeszedł połowę z owych dwudziestu kroków.

– Ciemno się robi – powiedział cicho. – Na pozór przedni to pomysł uwiesić się nogami w górę jakiejś gałęzi i udawać nietoperza. Ale zapominacie, waćpanowie, że po zmroku nietoperz na łowy się udaje. Te, co bąki zbijają, nad ścieżką wisząc, nieuchronnie podejrzliwość przechodnia budzą.

– Przestań pieprzyć – wycharczał Zbrhl. Ciasno opleciony sprężystą siatką i zawieszony głową w dół dziesięć stóp nad ziemią, miał prawo i do charczenia, i do okazywania złości. – Ściągnij nas lepiej.

Debren przeniósł spojrzenie nieco wyżej, na koniec wygiętej w łuk gałęzi, dźwigającej linę z siecią na rotmistrzów wojsk zaciężnych. Zbrhl z toporem, rogiem i brzuchem pełnym piwa ważył niemało, ale nie dlatego gałąź poskrzypywała na granicy złamania. Wybrano ją na sprężynujący element pułapki nie uwzględniając najwyraźniej, że admirał Floty Wschodniego Oceanu Jego Cesarskiej Mości może wdrapać się na cis, przepelznąć po konarze do miejsca, gdzie linę zawiązano, i zastygnąć tu w bezruchu z dłońmi na węźle i tyłkiem dużo wyżej od głowy.

Vensuelli nie był dużo mniej purpurowy od rotmistrza. Głowę też miał nisko, a ułożył się na gałęzi wyjątkowo niewygodnie. Dostrzegał jednak więcej.

– Tak myślałem – warknął. – Przyszedłeś oczy nasycić, zdradziecki bydlaku?

– Vens, o czym ty...? – Unieruchomiony Zbrhl tylko kątem oka, zezując z całych sił, mógł widzieć postać maguna. – To Debren!

– To smok – splunął anemicznie Vensuelli. – Smoczy bękart dokładniej. Zrodzony z gadziego nasienia i jakiejś nieszczęsnej dziewczki skurwysyn, tatusiową łuską porośnięty. Dżuma i trąd, gdzie ja oczy miałem?

– Tam, gdzie teraz – stwierdził chłodno Debren. – W pustym łbie, dodatkowo chciwością przeżartym.

– Co za łuska? – zaniepokoił się Zbrhl. – Debren, ty masz łuskę? Kpicie sobie ze mnie, prawda? A może karacnę założyłeś? I ten dureń po ciemku nie poznał? Co?

– To rybia łuska, nie smocza! – krzyknęła Ronsoise.

– Kto tam z tobą jest? Zelganowa pisareczka? Czyś ty zgłupiał, czarokrąźco? Po smoczej wyspie samowtór z nią łazisz? Żeby czyny twoje bohaterskie na żywo opisywała?

– Zamknij się, Zbrhl – stęknął Vensuelli. Zawieszony na brzuchu miał chyba problemy z oddychaniem. – To jakaś obesrana dzikuska, prawie goła. Pani Zelgan ma lepszy gust.

– Sameś obesrany – odcięła się Ronsoise. – Chodź, Wujku. Zostawmy ich, tych... tych... wstręzcycieli.

– Kogo? – nie zrozumiał admirał.

– Bezbożników smokom dziewczki sprzedających, zbóju jeden! Wstręzcycieli i... tych tam, alfredów! Cnotą cudzą kupczących! Tfu! Daj mi tę kuszę, wujku. W zadek mu jakim kołkiem strzelę, w samiuśki środek. Zobacz, jak to jest, kiedy smok dziewczynie... Alfred zboczony!

– Alfons – poprawił Vensuelli. – I stręzcyciel. Debren, o czym ta niedouczona dziewczka gada? I kto to w ogóle Jest?

– Nie wiesz? Ciekawe. Twoim okrętem tu przyplęła. w zastępstwie kapłana do nawracania dzikich.

Vensuelli milczał dość długo.

– Ach tak... – mruknął w końcu.

– Ach tak – powtórzył szyderczo Debren. – W norze wielkości trumny, bez wody, we własnych odchodach. Dziecko. Ach tak, skurwysynu. Płakała, szczury ją żarły. Ręce tak sznurem ściśnięte, że nie wiem, czy kiedykolwiek łyżkę do



ust podniesie, połowy nie rozlewając. Ach tak, Vens. Przepraszam, Vensuelli. Vens dla przyjaciół jesteś. Poszukaj jakiegoś kołka, Ronsoise. Ale grubego. I żeby sęki miał.

– Vens, o czym on... – szarpnął się w sieci Zbrhl. – Łajno i kał! Przywiozłeś tu tę smarkulę?

Vensuelli milczał. Światła było w lesie tyle co kot napłakał, ale Debren widział, że jego twarz jest ciemniejsza niż przedtem. Ronsoise usiadła, zaczęła rozcierać podrapaną stopę. Kołka nie szukała.

– Przykleiłeś się, co? – powiedział ciszej Debren. – Nożem trzeba było, a i to z posrebrzaną rękojeścią albo przez grubą szmatę, dobrze zmoczoną. Kiedyś takie sieci zwykli kłusownicy robili, proste toto było, bez odrobiny czarów. Ale teraz, jak już kto się w to bawi, to lepszy sprzęt kupi. Za cholerę żadnego węzła nie rozplączesz, jak nie pachniesz tym, co pułapkę stawiał. A żeby się ofiara nożem nie uwolniła, to się całość w bezwonnym wywarze moczy, też na magii opartym. Ci, co z zewnątrz pomagają, też się przyklejają, ale tak jak ty to mógł tylko ostatni kretyn. No, powiedz coś wreszcie.

Vensuelli milczał.

– Ten dureń wyrzucił nóż – zabalgotał Zbrhl. – Coś w krzakach szeleściło, to rzucił. A potem, zamiast szukać, chciał węzeł rozsypać.

– Mielicie kuszę – przypomniał im Debren, drapiąc się ostrożnie po łuskach. Znieczulona rana nie tylko nie bolała, ale goiła się w oczach. Za to zaczęła swędzieć.

– Ta papuga Gremk zabrał. Na straży miał parszywiec stać, jak Vens na drzewo wlezie. No i jak to w krzakach zaczęło hałasować, to zwał razem z kuszą i bełtami. Pewnie go twój szanowny tatuś zeżarł. No i dobrze.

– Słuchaj, Zbrhl, nie będę dwa razy powtarzał: Mój ojciec nie jest smokiem.

– Nie złość się, Debren. Ja, bracie, nic do smoków nie mam.

A do półsmoków jeszcze mniej. Co się zaś twojej genealogii tyczy, to wiesz, jak to jest. Nie upilnujesz baby, a matka też kiedyś babą była, nawet jak teraz święta.

– Zostaw obu – poradziła Ronsoise. – Smok przyjdzie, pazurem z siatki wydlubie, głód zaspokoi. Nas może szukać nie będzie, a dobry uczynek spełni. To źli ludzie.

– To ile tych smoków w końcu jest? – wystękał rotmistrz. – Jeden był w umowie. Wielki i uczciwie, pyskiem w twarz walczący. A tu w krzakach jakiś smok kurdupel szeleści, smok czarodziej kołki w zadek chce wstrzeliwać i od alfredów wyzywa... Dość będzie, admirale. Wymawiam służbę z powodu oszukańczo sformułowanego kontraktu. Słyszysz, Vens?

Vensuelli milczał.

– Czyli bez pracy jesteś – powiedział powoli Debren. – Przyjmiesz nowe zlecenie?

– Ha. – Zbrhl też pomyślał chwilę. – Za ile?

– Za wyjęcie cię z tej łapki na dziki. Za życie, inaczej mówiąc.

– Mówię o srebrze. O miedziakach choćby. Ja, mistrzu, kondotier jestem. Nie mogę darmo służyć, bo mnie z cechu wypieprzą. I do piekła pójdę, bom przysięgał na koło popiątne, że praw cechowych nie złamię.

– Zbrhl, ja nie żartuję.

– Ja też nie. Chociaż denara dać musisz. Niech i oberżnięty będzie. Złamany. Ale pieniądz. Debren, najemnik z cechu usunięty to zwykły zbój. A ja mam rodzinę na utrzymaniu, o dobrym imieniu nie mówiąc.

– No to mamy kłopot – mruknął magun. – Chyba że...

– No? Gadaj, łajno i kał... O moje życie chodzi!

– Panie Vensuelli – zaczął oficjalnie Debren. – Pamiętasz nasz zakład? Założyliśmy się o pięć talarów. Widzę, że masz przy sobie sakiewkę. Pięciu talarów pewnie nie nosisz przy pasie, ale słyszałeś: rotmistrzowi byle miedziak wystarczy.

Chcę ci coś zaproponować. Daj mi najmniejszą monetę, a ja anuluję zakład. Bo go przegrasz, to pewne. Może być denar. Będiesz do przodu o cztery talary i pięćset trzydzieści dziewięć denarów. Aha, zapomniałem: ciebie też zdejmę.

Sieć poruszyła się. Zbrhl próbował zatrzeć ręce z zadowolenia.

– No to załatwione. Do roboty, mistrzu!

– Nie.

Dość długo było cicho. Nawet Ronsoise dała spokój nodze, podniosła głowę, zapatrzyła się rozszerzonymi oczyma w człowieka na gałęzi.

– Oszalał – stwierdził wreszcie Zbrhl. – Nie słuchaj go, Debren. Wlazł na drzewo i we łbie mu się pomieszało. Pewnie od rozrzedzonego powietrza. Tak bywa w górach.

Debren położył kuszę, wyjął różdżkę z pochwy.

– Możesz mówić pierwszy – odezwał się cicho Vensuelli. – Mieliśmy pisać na kartkach, ale chyba się nie da, więc mów. Najdokładniejsza data, jaką możesz podać. Zastanów się dobrze, bo jak ja podam swoją, to już nie będzie wolno poprawić. Kiedy to wino, twoim zdaniem do beczki lano?

– Tak – wychrypiał Zbrhl. – Choroba wysokościowa. Bez dwóch zdań.

– Czternaście lat – powiedział zimno Debren. – Ostatni zbiór. Rok później wyspa była już w rękach Wezyratu. Czteryście galer wokół Prycos, sześćdziesiąt tysięcy pogan na wyspie, ludność w pień wycięta albo w niewoli. Winnice obrońcy sami spalili, jak się do Prycopuliss cofali. To, co się teraz winem z Prycos nazywa... No cóż, pić się da. Ale trzydzieści wieków tradycji, krzyżowania gatunków, doświadczeń i magii poszło z dymem. Pewnie ku uciechu MarimalczykóW. Teraz słusznie mogą się chwalić najlepszymi winami świata.

– Skończyłeś?

– Nie. Rok był zimny, a od wiosny słuchy chodziły, że

sułtan z flotą już w drodze. Więc zbiór przyspieszono i wina kwaśne wyszły. Ojciec Ojców zaapelował do całego Wolnego Świata, by kupować jak najwięcej, po starych cenach albo i drożej, bo na obronę machrusaństwa każdy denar miał pójść. Ale jaki jest Viplan, obaj wiemy. Wdowy ostatni grosz oddawały, abstynenci przepłacali, by potem po cichu wylać, gminy składki czyniły, a podskarbach paru szybko podatki podniosło. A potem nie wiadomo, gdzie się całe to złoto podziało. Jeden statek stary z bronią na Prycos poszedł. I wiesz, co powiózł? Szarpie. Dla rannych. I piły chirurgiczne do amputacji. Teraz skończyłem.

– Trzyście lat, Debren. – Mówił cicho, jak przystało na kogoś, kto dusi się własną, spływającą do głowy krwią. – Oblężenie trwało rok, a między portem i starym miastem była taka mała winniczka. Zdążyliśmy zebrać, chociaż kobiety w kolczugach do pracy wychodziły. Co ich tam wyginęło... Ale warto było. Miasto czekało na ten zbiór, miało jakąś nadzieję. Wiesz, symbolika i takie tam. A na statku nie szarpie płynęły, tylko stare onuce z anvaskiego demobilu. Wyprane, nie myśl sobie. Piły zaś do drewna. Dar jakiegoś cechu drwali z Sovro. Na groty je później kowale przekuli. Część pił przerdzewiała, bo ta cholerna łajba przeciekała jak sito, a że Prycos blokowane już było, tośmy dwie niedziele wokół wyspy halsowali, nim się noc dostatecznie ciemna trafiła.

Debren stał nad kuszą z różdżką w dłoni. Nie pamiętał słów zaklęcia. Prawie nigdy go nie używał, ale przecież brał udział w jego ulepszaniu. Powinien był pamiętać.

Nikt się nie odezwał. Nikt nie wiedział, co powiedzieć. A Ronsoise, wciąż cuchnąca okrętowym karcerem, najwyraźniej nie wiedziała, co mówi.

– Uwolnij go, Debren. Wstręzcyciel jest i alfred, ale Prycopuliss bronił. I popłynął tam, kiedy wszystko, co żywe, na północ umykało. Uwolnij go, wujku. Mój brat też się z Wezyratem bił i już do domu nie wrócił. Niech chociaż pan

Vens wróci.

\*\*\*

To, co z zatoki wyglądało jak las, było w rzeczywistości pierścieniem drzew otaczających ścięty wierzchołek góry. Dom stał pośrodku otwartej, dość równej przestrzeni, porośniętej trawą i usianej kamieniami. Od zachodu musiało znajdować się urwisko, bo gdzieś tam tylko zza zębatej skalnej krawędzi wychylał się czubek dębu, sosny czy akacji. Wlewała się tamtędy wstęga światła, a wzrok sięgał hen, aż po horyzont, za który osuwało się purpurowe, rozdęte słońce. Pasemka granatu ledwie widoczne na tle przykrytego różową kopułą horyzontu musiały być wierzchołkami wzgórz na Archipelagu Drackim. Jasna plamka bliżej musiała być żaglowym okrętem wojennym. Z Anvashu lub Marimalu. Okręt był bardzo daleko i skoro dawało się go dostrzec, oznaczało, że jest duży. Księżna Pompadryna, formalna władczyni tych wód i lądów, takich nie miała.

– Dziwne – powiedział Zbrhl. – To nie wygląda na ruiny.

Stali w zaroślach i przyglądali się niedużemu budynkowi z kamienia oraz przytulonej do niego wieży.

– Łupkowy dach – wzruszył ramionami Vensuelli. – Jeśli fachowo położony, to wieki wytrzyma.

– Smok widać dba o swoje – pociągnęła nosem Ronsoise. – Pewnie grot i jaskiń tu nie ma, a ze smoków domatory są. Lubią dach mieć nade łbem.

Debren wręczył kuszę rotmistrzowi, ściągnął z pasa sakwę na bełty.

– Może i miałeś rację – odpowiedział na nieme pytanie. – Coś chyba ze smoka w sobie mam, bo i mnie pod dach ciągnie.

– Nie wylaż z krzaków! – Dziewczyna złapała go za rękę. Z pośpiechu za prawą. – Zobaczysz cię i znowu ogniem plunie!

– Puść go, panienczko – mruknął Zbrhl. – Mądrze

czarokrażca kombinuje. Widać, że grube te mury. W takiej chałupie można się długo bronić.

– A jak smok to samo pomyślał?

– Ronsoise – Debren uwolnił delikatnie rękę – nie bój się. Popatrz, jakie małe te drzwi. Żaden smok się przez nie nie przecisnie. I żaden smok nie będzie się chował przed czwórką ludzi. Jego tu nie ma. Poczekajcie, rozejrzę się i was przywołam.

Wyjął różdżkę. Zanim wyszedł z za pnia, posłał po słabej błyskawicy w każde z dwóch okien. Nic, żadnej reakcji. Wysunął się z za drzew i pobiegł, lekko schylony, ku najbliższej kupce kamieni. Przyklęknął pod jej osłoną, odczekał chwilę. Nic. Cisza. Ani śladu magii. Jak tam, na ścieżce. Gdzie bez magii, bez żadnego ostrzeżenia...

Zmusił się, by o tym nie myśleć. Przebiegł aż pod budynek, wskoczył w głęboką niszę drzwiową. Tu czuło się już wibracje. Słabe. Typowe dla porządnych drzwi, nad którymi popracowali wspólnie cieśla, kowal, ślusarz i czarodziej.

Był w trakcie badania zabezpieczeń, kiedy dostrzegł ich kątem oka. Biegli całą trójką. Nie chciał przerywać roboty, więc nie zaprotestował. Dopiero kiedy skończył i wyciągnął klucz, rzucił Zbrhlowi kosę spojrzenie.

– Miałeś czekać.

– Nie płacisz, to nie rozkazujesz. Trzeba było wygrać ten zakład.

– Albo zabrać mi sakiewkę. – Vensuelli, trzymając się blisko muru, pomacał mieczem wnętrze niszy okiennej. – Psiakrew, okute. No, tędy nie wejdziemy. Może kominem?

– A może drzwiami?

Debren puścił przodem kulę świetlną, posłuchał chwilę, wreszcie wszedł.

Jeśliby nie brać pod uwagę zbyt małych drzwi, budynek przypominał niedużą stodołę. Także w środku. Wnętrze okazało się nadspodziewanie obszerne. Jeden dom, jedno

pomieszczenie. Puste w tej chwili.

Zbrhl zarygłował szybko drzwi, Vensuelli skrzesał ogień, zapalił lojową lampkę, a potem, kolejno, wszystkie osadzone w ścianach łuczywa. Ronsoise otworzyła okiennice, wpuszczając dodatkowo resztki dziennego światła. Dopiero potem przeszli na środek, zaczęli się rozglądać.

Z prawej strony stało sześć prycz i jedno porządniejsze łóżko. Pierzyny i koce, które na nich zalegały, nie były ani czyste, ani pachnące, ale na pewno nie leżały tu od czasów Helwima Zdobywcy. To samo dało się powiedzieć o sznurach pełnych suszących się koszul, portek, onuc, o stole i miskach z resztkami jadła, popiele w palenisku i całej reszcie. Może z jednym wyjątkiem.

– O matulu – szepnęła dziewczyna. – Ależ on wielgachny.

Czaszka wisiała obok kominka. Na dwóch specjalnie w tym celu wkopanych słupach. Miała rozmiary świni, kły jak groty z manufaktury Ruppa i oczodoły, przez które przeleciałby talerz. Była wielgachna. I czarna ze starości.

– Nie rozumiem – pokręcił głową Vensuelli. – Smok nie trzymałby u siebie czegoś takiego. Nawet ludzie już... To znaczy jeśli chodzi o innych ludzi.

– Ale łby zabitych zwierząt nadal się trzyma. – Debren podszedł bliżej, zajrzał od dołu do wnętrza czaszki. – Taa... Ten smok mógł ziać ogniem. Ma niezbędny kanał kostny w podniebieniu i w ogóle pasuje do opisów pirozaura. Ciekawe.

– Mówiłem – przypomniał bez odrobiny satysfakcji Vensuelli. – Zdechło się Ziejaczowi. Nikt nie żyje wiecznie.

– Łeb ma poszczerbiony – zauważył Zbrhl. – O, i dwa zębiska wyłupane. Gęsto ktoś strzelać musiał, i to nie z ręcznej broni. Pewnie w końcu któryś pocisk w oko trafił i wlaż w środek głowy. Ciekawy musiał to być bój. Smok w miejscu pewnie nie stał, więc wystrzelić musieli z dziesięć razy więcej, niż tych szczerb na czaszce widać. Ogniem ział, to

i część machin pewnie poniszczył. Ha, że cztery baterie musiały strzelać. I że cztery rotacje kopijników je osłaniać. Kupa luda. Wierzyć się nie chce, że wieść w świat nie poszła.

– Może mniej – dobiegł z wnętrza smoczej paszczy głos Debrena. – Ktoś mu załatwił zastawkę kostną w przewodzie ogniowym. No, jak w trakcie ziania, to nie chciałbym być tym smokiem. Od środka się zapalił. Paskudna śmierć.

– Tam, w środku? Niby jak ktoś miałby tę wstawkę...?

– Czarami. Po mojemu, panie rotmistrzu, to była raczej jedna bateria machin i jedna rota. A przede wszystkim drużyna zaklinaczy bojowych. Oraz stary schorowany smok.

Coś zabrzęczało. Debren wyszedł spod czaszki i bez słowa popatrzył na Vensuellego. Admirał jeszcze raz pociągnął za żelazną obrożę. Zadzwoniło ze dwadzieścia stóp łańcucha, pierścienie w ścianach, te, przez które akurat przechodziły ogniwa, kłódki na pierścieniach. Vensuelli potarł obrożę palcem.

– Smar – powiedział cicho. – Nie tak dawno ktoś to nosił.

Ronsoise bez słowa wyjęła mu obręcz z rąk. Naciągając łańcuch, podeszła do paleniska z garnkami. Potem do kąta, gdzie stało wiadro i miotły. Do wielkich drewnianych dybów z leżanką, kajdanami podwieszanymi pod belkę stropową i zadziwiająco bogatą kolekcją otworów na nadgarstki, kostki stóp i szyje. Łańcuch sięgał też łóżka, prycz, kąta z bronią i narzędziami oraz szafki na żywność nie sięgał.

– Powiedział, że ma kogoś, kto zwabi smoka. – Vensuelli nie patrzył na Ronsoise. – Dziewicę z dobrego rodu, wydzieloną smoczej samicy od wielu tygodni karmioną, tak ponętą woń rozsiewającą, że żaden smok nie zdzierży i przybiegnie, choćby sto katapult wokół dziewczki stało. I że... że chora jest. Zimy nie doczeka. I sama się zgłosiła. Z patriotyzmu, dla dobra rodu, któremu księżna pani zasług nie zapomni, no i żeby zginąć za coś, a nie zdychać owrzodzona w przepoconym łóżku, w bólu i męce, bez



nijakiego sensu.

Ronsoise stała przed dybami. Patrzyła w górę, marszcząc brwi. Zbrhl zrejterował, zaszył się w kącie z narzędziami i bronią.

– Nie puściłbym cię za ostrokół. – Dopiero teraz Vensuelli spojrział na dziewczynę. – Powiedziałem mu to. Chora nie chora... Ja tak nie walczę. A ta nora pod pokładem... Venderk powiedział, że się o ciebie sam zatroszczy. Jedzenie nosił będzie, kubły na górę. Bo nie chce, by się kto z załogi zaraził, a jego magicy, co dziewczkę szykowali, uodpornili. A i dziewczka zapachami żołnierskimi nie nasiąknie, z załogą się stykając, co by mogło Ziejacza spłoszyć. Ronsoise..., wierzysz mi?

Dziewczyna wpatrywała się w parę najwyżej umieszczonych otworów.

– Wszystko pojmuję – powiedziała. – Ten łańcuch. Dlaczego sięga tam, gdzie sięga. Ale te tam dwie dziury... Debren! Trzynasty rok mi idzie, nie dzieckom. Po co to?

Debren miał twarz jak z kamienia.

– To się nazywa „kulawe antypody”. Antypody, bo niewiasta nogami ku górze wisi, a kulawe, ponieważ przy takim układzie ciała stawy stóp...

– Debren, ona ma trzynaście lat! – warknął Vensuelli.

Przez dłuższy czas nikt do nikogo nie mówił, nikt na nikogo nie patrzył. Ciężką duszącą ciszę przerwał Zbrhl.

– Jedno jest pewne – mruknął, szcękając jakimś rdzawym żelastwem. – Nie siedem sympatycznych krasnali tu mieszka. I nie siedmiu rycerzy z zakonu świętego Yurry, patrona tych, co na smoki polują.

– Zostaw ten potrzask – powiedział Debren. – Za jakąś kuszą się lepiej rozejrzyj. Kołowrót do napinania widzę, więc może i kusza...

– To nie potrzask.

Rotmistrz podszedł bliżej światła. W ręku trzymał coś, co kiedyś musiało być elementem ciężkiej przeciwpancernej

machiny miotającej, może nawet na lekkim podwoziu osadzonej, a teraz wyglądało jak łożo oberżniętej kuszy ze spustem i wsporniczkiem pod noszony osobno kołowrót, ale bez stalowego łuku, korytka na bełty i cięciwy. Zamiast tego urządzenie miało dwie pary połączonych sprężynami żelaznych szczęk. W obu, i tych większych, i tych wewnętrznych, małych, osadzono żółte zębiska jakiegoś dużego drapieźnika. Między zębami widać było sporo brązowych plam, włókna zaschniętej tkanki i ze dwa włosy.

– Aż się boję myśleć, do czego to służy.

Debren wyjął mu instrument z rąk, obejrzał. Potem popatrzył na admirala.

– Wiedziałeś? – zapytał. – Zbrhl, mógłbyś to napiąć? Admirale, czekam.

– Co miałem wiedzieć? Nie gap się tak. Ty, Ronsoise, do końca życia możesz. I pluj mi w gębę, jak się spotykać będziemy; twoje prawo, chociaż głupotą, a nie skurwysyństwem zgrzeszyłem. Ale ty, Debren, z góry na mnie nie patrz. W porządku, dałem się wciągnąć w mocno szemraną imprezę. W podżegactwo wojenne. Nie pytałem, chociaż powinienem, i dwaj moi ludzie łby sobie roztrzaskali, jakieś dziwaczne tańce na trapie odprawiając. Ale jak tu płynęliśmy, to żadnego człowieka krzywdzić nie zamierzałem. Może nawet parę osób chciałem uszczęśliwić. Bo ten cholerny smok, choć na wyspie żyje, ciągle wdowy i sieroty produkuje. A ty, czarodzieju? Galerą tu przyplynałeś. Galery, jak wiadomo, uroczymi miejscami są, pełnymi ludzi sobie wzajemnie życzliwych. Wioślarze łańcuchem się przypinają, by z ławki nie zlecieć, robaczywą kaszę żrą, bo lubią, a wiosłami co sił machają, bo zdrowo. Załoga baty nosi, żeby do taktu nimi strzelać, gdy bębny i inne instrumenty ku powszechnej uciechu melodie rzewne...

– Wystarczy – przerwał magun. – Masz rację. Nie jesteśmy rycerze bez skazy, ani ty, ani ja, ani Zbrhl, choć on

przynajmniej szczerzy jest, dobrego człowieka z bajki nie udaje. Świat jest paskudny. I ja nie patrzę na ciebie z góry. Jeżeli dziewczynę po swojej stronie częstokołu trzymać chciałeś, Venderkowi wierzyłeś i przyplynałeś tu na smoki polować, toś zwyczajny człowiek. Ani bardzo zły, ani przesadnie dobry. Jak większość. A pytam nie po to, by cię z góry opluć. Paru rzeczy po prostu nie rozumiem.

– Gotowe. – Rotmistrz zdjął kołowrót z łoża kuszoszczęki.

– Ostrożnie z tym. Jakiś dziwny mechanizm. Te pocięła w środku... Czort wie po co. Może kto z dubeltową kuszą eksperymentował? Tfu, paskudztwo.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał spokojnie Vensuelli.

– Co znaczył ten cyrk na brzegu? Po co cesarz flotę, choćby i dwuokrętową, na Kariatyk wysłał? Teraz, gdy własnych cieśnin nie ma jak bronić. I o jakim podżegactwie wojennym mówiłeś?

– To polityka – Vensuelli uśmiechnął się krzywo. – Świat, jak zauważyłeś, paskudny jest. Cesarstwo Zachodnie chyli się ku upadkowi, a wiesz dlaczego?

– Bo łajdacy nim rządzą. Głupi, co gorsza.

– To też – zgodził się Vensuelli. – Ale na dworze w Bikopuliss modna jest teza, że schizma tu zawiniła, że Ojciec Ojców krzyżyk na konkurencji postawił. Że lewokole z powierzchni ziemi zetrzeć już dawno w Zuli uradzono, jeszcze nim pierwsza wyprawa do Grobu Świętego ruszyła. Że Kościół cały Zachód pogaństwu woli oddać, niż ratować odstępców, co Pana chwala, w lewą stronę się żegnając. I na koniec, że siódma kołomyja do grobu Machrusa od początku w połowie drogi skończyć się miała, w Bikopuliss, bo tylko o skarby cesarskie chodziło.

– I co to ma wspólnego z Małym Czyrakiem?

– Kiedy się machruscy rycerze w końcu z miasta wynieśli, a lat dwadzieścia trzy tam ograniczony kontyngent wojsk sojuszniczych stacjonował, to jeno gołe mury zostały. Nigdy

się już stolica nie podźwignęła, choć dawne to czasy. Pamiętają tam ludzie tę pomoc bratnią, a co wspomną, to zębami zgrzytają.

– Więc z zemsty uradzili, by prawokolcom smoka Ziejacza utłuc, wielką atrakcją turystyczną?

– Nie, Debren. Widzisz, Bikopuliss jeszcze się trzyma. I kolonii ma trochę wzdłuż Międzymorza rozrzuconych. Ale to teraz wyspy w środku pogańskich włości. Wojska Wezyratu dawno cieśniny przeszły, na kontynent się wwały. Wszystkie podbite ziemie to niegdysiejsze cesarstwa prowincje, lewokolcy tam żyją. Nigdy nie obchodziły Wschodu; dla nich Viplan kończy się tam, dokąd granice Rzeszy Wehrleńskiej sięgają. No, może jeszcze Lelonię co niektórzy łaskawie w swym gronie widzą. Południowy zachód, Kotlańskie Góry, to już dla nich obcy świat. Tylko że ten świat z ich światem sąsiaduje, a po drodze ani morza nie ma, ani gór specjalnie wysokich, ani nawet rzeki jakiejś wielkiej. Więc coraz głośniej na Viplańskich dworach się mówi, że trzeba by z tym cholernym sułtanem coś zrobić. Zebrać wojska i runąć na południe, póki jeszcze nie dorznął cesarskich. Bo jak dorznie, to sam runie, tyle że na północ i wschód.

– Niedobre to wieści – westchnął Zbrhl. – Wojna z poganami, ideologiczna znaczy, to marny interes. Z Zuli listy pasterskie idą o pokój między Machrusa dziećmi, więc się rynek cholernie zawęża, a znowu na pogańskim froncie płacą nędznie, o bezinteresowne umieranie za wiarę apelują. Dziewek mało, klechów zatrzesienie. Tfu. Nie dla porządnego żołdaka to impreza. W dodatku w niewolę nie biorą, tylko rzną.

– A może – zapytał Debren – wyście tu jako werbownicy przyplłynęli? Ziejacza pod sztandary machruskie zaciągnąć? Było nie było, nasz smok. Pogan pewnie chętniej by żarł.

– Nie kpij, Debren. Cesarz wiedział, czym się takie braterskie pomoce kończą. Królowie alianci zawsze się pożrą

i do domu wróca, nic nie wskórawszy, za to spustoszeń takich narobią, dziewczek napsują, bydła uprowadzą, domostw napalą, że tylko siadać i płakać. Wstyd to mówić, ale ludzie na Południu coraz głośniej gadają, że lepiej już będzie pod but sułtański pójść i żyć w spokoju, niż ciągle z głodu i od miecza padać.

– Aha, rozumiem. Ziejacz miał w tajnych służbach pracować, buntowników i defetystów tępić. Smok jako filar Urzędu Ochrony Tronu. Niekonwencjonalne, ale i niegłupie.

– Nie, Debren. Po prostu za przewencyjną wyprawą na Południe najgłośniej gardłują w Marimalu i na Wyspach Anvash. Sprawy zaszły ponoć bardzo daleko; królewscy kwatermistrzowie bydło skupują, wozy... Statki zdrożały na całym wybrzeżu. Będzie wojna. Duża i krwawa. Więc cesarz obmyślił, by odsunąć tę jatkę od swoich włości. Dyskretnie. Stąd cywilny i czysto akademicki charakter naszej wyprawy. I najdalej jak się da. Także po to, by się nikt źródeł wojny w Bikopuliss nie doszukiwał. Więc wybrano drugi koniec kontynentu. Gardziel.

– Zaraz... Chcesz powiedzieć...

– Sto lat się Anvashe i Marimalczycy tłukli, zanim sporne obiekty z dymem poszły i chwastami zarosły, nim kompromis się utarł. Nastąpiła równowaga i pokój. Ustalono, co do kogo należy. Obie strony zachowały twarz. W strefie Gardzieli, Kanału Anvaskiego inaczej, każdy skrawek ziemi, każda osada ma swojego suwerena i ci, co wojnę przeżyli, pogodzili się z istniejącym stanem rzeczy. Każdy skrawek ziemi. Oprócz wyspy Mały Czyrak. Bezwartościowej, póki żyje smok i póki każdy, kto stopę na niej stawia, ginie razem ze świadkami.

– Vensuelli, przecież to terytorium Dracji. Co królów, i to takich królów, obchodzi gówniana wysepka w jakimś gównianym księstewku? Bez urazy, Ronsoise.

– Nic. Póki księżna Pompadryna, pełna kompleksów z powodu drugorzędności swego państewka i swojej płci, nie

roztrąbi triumfalnie, że po pięciu wiekach okupacji jej Waleczne hufce wyzwoliły ostatni skrawek państwa spod smoczej tyranii. Bo wtedy, poczciwy czarodzieju, zakotłuje się jak w burdelu, w który trafił taran. Szlag trafi traktaty pokojowe. W Dracji, skąd Helwim wypływał zdobywać Anvash, walczone przez sto lat o każdy kamień, więc i każdy kamień w umowach spisano. I tych pokojowych, i tych lennych, o spadkowych nie wspominając. Sytuacja prawna księstwa jest tak popieprzona, że nawet ten krętacz opp Gremk wyznał kiedyś, że we łbie mu się gotuje, jak o tym myśli. Jest pewien jednego: że gdy tylko sztandar Pompadryny nad tą ziemią załopoce, w Eileff i Tamburku królowie z radości na tronach podskoczą, bo każdy będzie święcie przekonany, że nowe lenno zyskał.

– Rozumiem. Stąd rycerz Błękitny. Ale... dlaczego konno? I co z Lobrykiem i Saskourem?

– Lobryk Anvashem był, a Saskoure marimalskiego króla poddanym. Lobryk pierwszy stopę na dziewiczym łądzie postawił. Ale drewnianą. Saskoure miał ziemię ucałować, ale z trapu nie złązić. Tak ich przeszkolono, a że pijacy obaj byli, to dla pewności hipnozą instruktąż pogłębiono. No i coś nie wyszło.

– Taniej by było beczek z winem pilnować.

– Nic nie rozumiesz. Oni mieli być pijani, tak to sobie Venderk umyślił. Rycerza spoić się nie dało, to go podwójną hipnozą uraczyli, a żona i dzieci w chłopstwo mieli zostać obróćeni, jakby coś nie tak zrobił. Z konia miał nie zsiadać. I mowę wygłosić, w której raz po raz odwołanie do cnoty Pompadryny Cnotliwej miał czynić, którą to cnotę wysoce sobie ceniąc, rycerz Błękitny pani swej pod stopy łąd przez się zdobyty rzuca. I teraz wystaw sobie, jak arbitraż międzynarodowy będzie wyglądał, gdy królowie ustalać zaczną, komu się prawnie Mały Czyrak należy. Przyślą swoich jurystów, przechery na cztery nogi kute, krętaczy od

sznurowadła giętszych. A ci zaraz gardłować złączą, z ochotą skrupulatną relacją sławnej pani Zelgan się posiłkując. A to, że noga Lobryka nieważna, bo z drewna. A to, że całowaniem to Ojciec Ojców obcą ziemię poddaną sobie czyni, a nie jakowyś majtek zasraniec. A to, że pijany odkrywca się nie liczy. A to, że liczy się, o ile pijany mniej od drugiego był. A to, że nie hołota lądy odkrywa i w imieniu swych władców w posiadanie obejmuje, tylko szlachcic, co pierwszy z łodzi na brzeg wylezie. A to, że szlachcic owszem, ale nie koń jego i że jaśnie wielmożny może do usranej śmierci po dziewiczych brzegach galopować, w niczym ich statusu nie zmieniając, chyba że się trochę wyteży i z kulbaki zlezie. A na koniec wywlecze się kwestię intencji pana Błękitnego, który jakowejś cnotliwej księżnej wyspę w hołdzie składał, podczas gdy Pompadryna, co każde dziecko wie, od dwunastego roku życia puszczała się z każdym, kto portki nosi, i mimo ostrożności trójki bastardów się dorobiła.

– Jasny gwint – powiedział Debren. – To się musi skończyć wojną. Od samego słuchania tych kręctw miecz uczciwemu człękowi do ręki wskakuje.

– Prawników – stwierdził z przekonaniem Zbrhl – powinno się w młodości wywałaszać. Bo jak się rozmnożą, to świat trafi szlag.

Nikt nie zaprotestował.

Vensuelli przeszedł w kąt, zważył w dłoni jakiś stary oszczep, odstawił na stojak. Schylił się i ze stołu, służącego najwyraźniej za warsztat, podniósł krótki drążek z drewnianą półkulą na końcu. Od dołu osadzony był w niej krzemień, niżej drugi, a jeszcze dalej podłużny, obejmujący kij woreczek, zawiązany na końcu.

– Widzieliście kiedyś coś takiego?

– Może to jakie kuchenne urządzenie? Jak myślicie, panienczko?

– Panie Zbrhl, ja jestem baronówna, nie kuchta. To białe to

chyba pęcherz? Nie, jelito raczej. Fúj, paskudztwo. Może to do nabijania kielbas, wujku Debren?

Debren rozmasował czoło.

– Nie. Guzów. – Popatrzyli na niego zdziwieni. – Czymś takim chyba po łbie dostałem.

– Myślałem, że smok cię ognistym charknięciem poczęstował. – Rotmistrz, nagle zainteresowany, sięgnął po drewniano-krzemienno-jelitowe cudo.

– Tak też myślałem. Ale tam, gdzie z kuszy strzeliłem, krew znaleźliśmy. – Ronsoise pokiwała skwapliwie główką. – A dalej ślady, ludzkie chyba. Pomyślałem, że człowiek szedł najpierw, a smok później, ale zdaje się, że to była jedna i ta sama osoba. Która nie zabiła nas, chociaż miała przeciw sobie nieprzytomnego mężczyznę i dziewczynkę z rozładowaną kuszą. Pytanie: dlaczego? Odpowiedź: bo trafiłem i raniłem mocno. Pytanie: jak mocno ranić i nie rozjuszyć smoka, strzelając bełtem z lekkiej kuszy? Odpowiedź: nie da się. Szlag by to... Dobrzy są. Ślady pazurów na ścieżce badałem. Magia w nich była, typowo smocza. Muszą mieć sztuczną łapę z prawdziwymi smoczymi pazurami i tymi ślady robią. A ta ognista strzałka, którą rotmistrz tak zaciekle obwąchuje, to prawdziwe cudo. W połowie w locie się spala, a gdy leci, to wygląda, wypisz, wymaluj, jak smocze charknięcie. Pęcherz czymś palnym napełniają. A krzesiwo samo iskrę daje, kiedy z kuszy wylatuje. Ależ ktoś łeb miał... I to bez czarowania.

– Ale po co? – zapytał Vensuelli. – Po co ktoś miałby...?

– Ktoś idzie – przerwała mu Ronsoise. Stała przy oknie, a oczy miała niewiele mniejsze niż to okno. – Machrusie słodki... Ktoś tu idzie. Po nas.

\*\*\*

– A ja wam mówię, że to Luwanec – szeptał Vensuelli, przepychając się z Ronsoise przy okienku. Debren odnotował mimochodem, że przy sąsiednim oknie z nikim o miejsce



walczyć nie było trzeba, a im ta wymuszona bliskość jakoś nie sprawia przykrości. – Zebrał ludzi i z odsieczą nam ciągnie.

Krzaki, różowe u góry, ale zupełnie już czarne niżej, gdzie nie sięgały resztki słońca, poruszyły się. Spłoszone ptaki wracały na swe gałęzie.

– Twój Luwanec albo z drakkarem dalej walczy, albo rozejrzał się, zobaczył, że dowódca nie patrzy i chlać poszedł.

– Głupiś, Zbrhl. To moja lewa ręka, ta od tarczy. Sam tu przyjdzie, jak będzie trzeba, ale przyjdzie. Nie wierzysz?

– Zbrhl wierzy – uprzedził rotmistrza Debren. – W intencje. Ale nie w obecność twego Luwaneca w owych zaroślach. Zaczniemy od tego, że lewa ręka nie ma pojęcia, go się przytrafiło prawej. Krasnoludki ciche są i dyskretne.

– Mówisz o tych siedmiu? – upewnił się Vensuelli, zerkając na prycze. – Ha, masz trochę racji, Podeszli nas jak duch pijanego; czort wie, ilu drwali tak oporządzili, jak tych, coście ich po drodze znaleźli. Ale ci, co uciec zdążyli...

– Nikt nie uciekł – mruknął Debren.

– Skąd możesz wiedzieć? Nigdy tak na wojnie nie jest, żeby wszystkich...

– To nie wojna, Vensuelli. To łowy. Zawodowcy, najlepsi w fachu, polują na nieszczęśników, nie mających pojęcia, co się dzieje. A raczej polowali. – Admirał otworzył usta, próbował coś powiedzieć. – Słyszałeś jeden krzyk? Jeden chociaż?

Vensuelli milczał dłuższą chwilę. Godził się z faktami.

– Nikt nie przyjdzie nas ratować? – pociągnęła nosem Ronsoise. – Wujku?

– Nie.

– Nie strasz jej – uśmiechnął się nieoczekiwanie Vensuelli. Musnął palcami ozdobną zapinkę do płaszcza lub opończy, teraz przypiętą do wykładanego kołnierza. – Wiesz, co to jest?

– Babska brosza. – Zbrhl to zerkał przez okno, to chował głowę, świadom, że nawet w najmniejsze okno da się

wpakować strzałę, miał więc okazję do rzucania szyderczych spojrzeń. – Miłujący inaczej też takie noszą. Nie pytałem o nią, Vens, bo wiem, że u was, jak tak człek miesiącami żegluje, niewiasty nie oglądając...

– Odszczekasz to później, morvacki pyskaczu. To magiczna zapinka, sygnał przesyłająca. Drugą taką relacjonatorce Zelgan dałem. O, tu się przekreca i kamień, co niebieski był, zielony się staje. Jak tylko zauważyłem, że coś dziwnego się dzieje, to przesłałem sygnał. Zelgan przykazane miała, żeby oczu z zapinki nie...

– Jedno pytanie – przerwał Debren. – Co z broszą zrobiła? Postawiła przy koi może?

– No coś ty? Zbyt ważna to sprawa. Przypięła sobie. Na piersi. A dlaczego pytasz?

– Hm... Jak by wam to... Ronsoise, tam drzwi są. Zerknij, czy do wieży prowadzą. No, idź, idź.

– Chyba wiem, po co ją odesłał – pochwalił się Zbrhl, gdy dziewczyna zniknęła za okutymi drzwiczkami. – Ale na szczęście pani relacjonatorka feminiczna mocno baba jest, nie samych chłopców... he, he... zatrudnia.

– O czym wy... – Vensuelli urwał. – O żeż kurwa! O żeż...

– Nie żadna kurwa, Vens, jeno niewiasta wyzwolona, a i zawodu wolnego. Zaś za to, o czym gadamy, pieniędzy nijakich nie bierze. Nie obrażaj więc damy. Nowoczesna jest i tyle. A okręt ciasny, zawsze luda pełen, z przepierzeniami jak pergamin. No to i nie dziwota, że jak się niepowtarzalna okazja trafiła i na ląd zeszliliśmy...

– O żeż...

– Daj już spokój. Lubi te rzeczy, jej sprawa. Ważne, że dama rozsądna. Dziewuszcze swojej, Neruelce, na pewno tę błyskotkę przypięć kazała na czas, kiedy... he, he... pisarczyków uczyła. No – zatarł dłonie – to górą nasza. Noc przetrzymamy, ten dom to zamek prawdziwy. A z rana moi knechci i twój Luwanec... Co tak patrzysz?

– Zbrhl – powiedział głucho Vensuelli – ona jest dużo nowocześniejsza, niż ci się wydaje.

– Że jak? Że co?

– Traktuje Neruelę na równi z chłopakami. Pod każdym względem. Żadnej dyskryminacji.

– O żeż...

– Nie krępujcie się, panie Zbrhl – rzuciła przyjaźnie Ronsoise, stając w drzwiach. – Mam trzynaście lat, nie jestem dzieckiem. – Przeszła przez izbę, omijając z dala dyby. – Czemu oni są tacy źli, Debren? Mów śmiało. Mam trzy...

– Bo jedna pani zdjęła z siebie ubranie w chwili, gdy akurat nie powinna była tego robić. W dodatku w nadmiernie liczonym, jak podejrzewamy, towarzystwie.

– Aha. – Podniosła ze stojaka oszczep, machnęła nim niezdarnie. – Możesz coś zrobić z moimi rękami? – Debren pokręcił lekko głową. – Trudno, może i takimi coś zwojuję. Tatko mawiał, że w bitewnym wirze każda dłoń się liczy, byle coś ostrego utrzymała. Ranny, dziewczka, pacholę nawet. Każda pomoc przeważać może.

– Odłóż to – rzucił opryskliwie Vensuelli. – My tu od walczenia jesteśmy, ty z tyłu masz stać. – Zbrhl odsunął się od okna i pokiwał aprobuszując głową. – Debren, patrzę na twoją rybią łapę i dochodzę do wniosku, że też nie powinienes się mieszać. Łuski ci odpadać zaczynają, a to pod spodem jak błona wygląda, nie skóra. Zamachniesz się mocniej i pęknie, a ty się wykrwawisz.

– Tatko Ronsoise ma rację. A my nie będziemy walczyć wręcz. Nie wyjdziemy z domu, a jak drzwi wyłamią, to się do wieży wycofamy.

Zbrhl chciał coś powiedzieć. Nie zdążył. Zagwizdało, zadudniło i w słupie dźwigającym smoczą czaszkę zawibrował bełt. Drugi wleciał przez sąsiednie okno, uderzył w ścianę, skrzesał iskrę i upadł na jedną z prycz.

– Hej, wy tam! – zawołał jakiś nieznajomy męski głos. – Ci,

co przeżyli, niech wyłażą!

Zbrhl, klnąc pod nosem, doskoczył z kuszą do okna. I zaklął już nie pod nosem.

– Łajno i kał! No i masz swoją odsiecz, Vens. A niech to...

– Panowie, wszelki opór jest bezcelowy! – Ten głos, wyćwiczony na salach sądowych, znali już wszyscy. – Nie strzelajcie! Bo nas ci dobrzy ludzie w słusznym i zrozumiałym odwecie uśmiercą!

\*\*\*

Jeńców było sześcioro. Najbliżej i nieco z boku stał Venderk opp Gremk, który wyglądał tak jak zwykle, jeśli pominąć pętlę na szyi. Pętla była dość luźna i też dość luźno zwiisał sznur łączący ją z dłonią strażnika. Strażnik, wyższy o pół głowy od więźnia, w drugiej ręce trzymał topór, co chyba tłumaczyło taki stan rzeczy. Nie krył się, Przynajmniej teraz, choć jego obszyty nieregularnymi frędzlami strój, upodabniający go do smukłego krzaka, sugerował, że na co dzień mężczyzna stara się nie rzucać w oczy.

Drugi krzakopodobny też się nie krył i też trzymał koniec liny. Na tej było aż pięć pętli, założonych na szyje Culia, Luwaneca, Zelgan, Nerueli i Niebrzyma, którym, w przeciwieństwie do jurysty, związane ręce. Światła było już za mało, by rozpoznać szczegóły, ale Debren bez trudu dostrzegł, jak niepewnie trzyma się na nogach lewa ręka i tarcza Vensuellego i jak wielki łomot owej tarczy sprawiono, nim udało się ją przywiązać do pozostałej czwórki.

– Tak jak mówiłem – stwierdził z gorzką satysfakcją Vensuelli. – Z łóżka ich wygarnęli. I to, cholera, z jednego chyba.

Debren nie zapytał, skąd ów wniosek. Culio, najwyższy, miał na sobie o wiele za krótkie rajtuzy Nerueli. I nic więcej. Zelgan różowy zakiecik któregoś z chłopaków, narzucony na dziwną, czarną chyba, falbaniastą i mocno prześwitującą

koszulę – i też nic poza tym. Neruela zdążyła okryć nagość kaftanem swej mistrzyni, a Niebrzym wskoczył w za ciasny żakiet dziewczyny i swoje chyba rajtuzy, ale wciągnięte tyłem do przodu.

– Poddajcie się! – zawołał ten, co wzywał do wyłażenia. Miał taki sam, nieforemny, zielono-brunatny kaptur jak pozostali, a ponieważ stał za łańcuszkiem jeńców, nic więcej nie dało się o nim powiedzieć. – Myśmy są zawodowcy i wy jesteście zawodowcy. Po co się mamy toporami szczerbić?

– Dobre pytanie! – krzyknął w okno Zbrhl, po czym błyskawicznie poderwał kuszę do ramienia. Jęknęła cięciwa. Człowiek trzymający opp Gremka nawet nie jęknął. Padł jak rażony młotem z bełtem sterczącym z piersi. – Nie po to kusze wymyślono.

Przez chwilę nic się nie działo. Wszyscy z niedowierzaniem gapili się na konającego i wierzgającego nogami nieszczęśnika. Być może niektórych, tak jak Debrena, dziwiło konsekwentne milczenie umierającego. Z taką raną powinien krzyżeć.

Pierwszy ochłonął ten, co przyprowadził na sznurze jeńców. Puścił sznur i schował się za Neruela. Venderk opp Gremk nawet nie drgnął.

– No nie... – przywódca krzaków ozdobnych sprawiał wrażenie urażonego, ale gniewu w jego głosie wiele nie było. – To ja tu z sercem na dłoni, a wy Czwórkę trach z bełta? To tak się negocjacje prowadzi? Rozczarowany jestem.

– Zabij go – podpowiedziała rotmistrzowi Ronsoise scenicznym szeptem. Debren, nie bez lekkiej przyjemności, wymierzył jej klapsa w pośladki, które wyraźnie wyprzedzały piersi w wyścigu ku dorosłości. – Auu... Za co?

– Za głupie rady – warknął. – Zbrhl, dosyć!

– Upoważniono mnie do złożenia wam propozycji – odezwał się troszeczkę tylko drżącym głosem Venderk opp Gremk. – Szlachetni panowie Małoczyrakowcy, suwerenną

władzę tu sprawujący, wielce łaskawi są i pomsty za najazd na swe włości nie szukają. Oczekują jedynie rekompensaty za poniesione krzywdy, zwrotu kosztów kampanii obronnej i zagwarantowania nienaruszalności interesów społeczności lokalnej w przyszłości. Sprawiedliwości się domagają, niczego więcej.

– A konkretnie? – precyzyjnie się do okna Vensuelli.

– Czterech widzę – meldował od drugiego okna Zbrhl. – Szlag by to, żeby tak druga kusza...

– Wachlarz propozycji pokojowych wielce bogaty jest – nadał się po swojemu Gremk. – Zaczniemy od wyeliminowania broni ofensywnych. Oddajcie, co do strzelania macie, a i my... to znaczy panowie tubylcy kusze swoje złożą w depozyt. Mnie ten zaszczyt spotkał, że na depozytariusza wytypowany zostałem, jako osoba o opinii nieposzlakowanej i zaufaniem obu stron jednako się...

– Venderk, ty papugo pod chwost chędożona, jedną kuszę ci już dałem do pilnowania! Teraz co najwyżej bełt dostać możesz! I cholernie szybko!

Prawnik cofnął się o krok.

– No, no... spokojnie. Ja tylko propozycje przekazuję. Druga jest, żeby dzieci i kobiety z rejonu walki usunąć. Niech idą, gdzie chcą. Bo chyba macie tam tę dziewczkę, Ronsoise? Hę? Macie? – Nie było odpowiedzi. – Lepiej ją z chałupy pogońcie. Chora jest, pozaraża was.

– Łżesz! – nie wytrzymała baronówna. Debren pokręcił głową, ale nic nie powiedział.

– A, więc jest – ucieszył się Venderk. – Wyjdź, panienko. Nic złego cię nie spotka. Ci tu dobrzy ludzie, prości, ale szlachetni, wielce radzi niewiastom są. Ugoszczą czym chata bogata.

– Czym bogata, to widziałam, obleśny wstręczycielu! Z wieży się raczej rzucę, a w te ich dyby nie pójdę! Na krew Machrusa się klnę!

– A skacz se – zarechotał dowodzący tubylcami. – Czwórkę żeśta ubili, Dwójka z lasu nie wrócił. Pięciu nas na cztery słodziutki zadki. – Klepnął ostatniego w szeregu Niebrzyma po słodkościach, aż zaklaskało. – Obejdzie się. A wieża nie taka wysoka. Zabić się zabijesz, ale się potrzaskasz. Parę dni zabawy będzie, póki gnić nie zaczniesz.

– Nie to nie – wtrącił się pospiesznie jurysta. – Nie nastajemy na to. Pan Jedyńka proponuje, byście w służbę u niego poszli. Na „Jaskółce” nikt żywy nie został, a galera ucieknie, jak się tylko rozwidni i rafy widać będzie. Znaczy to, że porzuceni na łaskę wroga będziecie, a to kontrakt rozwiązuje. Poza tym cesarz nie zapłacił w terminie panu Debrenowi, więc on już teraz nie w służbie.

– Rano pogadamy – warknął Vensuelli. – Dobranoc waćpanom.

– A niech tam... No dobrze, niech będzie strata panów Małoczyrakowców. Słuchaj, admirale, bo raz propozycję złożę i powtarzać nie będę. Wy trzej słowem honoru zaręczycie, a i zastawem na cały majątek, aktualny i przyszły, że nigdy i nikomu, na spowiedzi nawet, nie zdradzicie, coście na tej wyspie widzieli i co was spotkało. Ja taką obietnicę złożyłem i już jedną nogą w domu jestem. Jest też wariant alternatywny, dla panów wojskowych proponowany. Gdybyście warunków zaciągu koniecznie dotrzymać chcieli i upierali się przy obowiązku składania raportów sztabowi cesarskiemu, to odejdziecie wolno po odjęciu wam palców ręki prawej oraz języka. Honor żołnierski uszczerbku nie dozna. Osobiście nie zalecam, ale wybór macie. Pomyślcie chwilę.

Debren popatrzył na admirała, potem na Zbrhła. Pytająco i beznamiętnie. Na Ronsoise nie patrzył. Żaden z nich nie patrzył.

– Można im wierzyć? – zapytał cicho rotmistrz.

– Tobie można wierzyć – mruknął Vensuelli. – O mnie na

Międzymorzu różne rzeczy gadają, ale nikt nie powie, że przysięg nie dotrzymuję. Venderk to wie, a co wie ta sprzedajna kłapaczka, to i tamci. Debren najemny czarodziej jest, jego też kodeks cechowy obowiązuje i tajemnica zawodowa. Wszyscy trzej w dużej mierze z dobrej opinii żyjemy. Tak, Zbrhl. Możemy im wierzyć, bo oni nam mogą.

– Debren, jak u ciebie z magią bojową?

– Słabo.

– No to chyba trzeba zaryzykować – westchnął Zbrhl. – Prawdę raczej mówili, że karawela wzięta, a załoga wybita. Na tę ekspedycję speców od katapult werbowałem, machinerzystów głównie, bo miało być strzelanie do Ziejacza, a nie leśne boje z ludźmi. Więc nie przyjdą nam z odsieczą, a gdyby nawet próbowali, to ich te leśne duchy po kolei wytluką jak drwali. Prawda tak wygląda, że nas trzech przeciw tamtej piątce jest i będzie. Tu wody nie mamy. W końcu wyjść będzie trzeba.

Debren zgadzał się z każdym jego słowem, nie odzywał się więc.

– Czwooro – poprawił Vensuelli. – Czwooro nas tutaj. – Przysunął się do okna. – Venderk, o czymś zapomniałeś! A co z dziewczyną?

– Zostaje.

Vensuelli zerknął na czarodzieja, potem na rotmistrza. Na Ronsoise nie.

– Venderk, chcesz powiedzieć, że zasada „wszyscy albo nikt” cię nie interesuje?

– Za kogo mnie masz, Vens? Za żółtodzioba? Elastyczność to dewiza mego zawodu. Do każdego człowieka należy podchodzić indywidualnie. – Opp Gremk zastanawiał się chwilę. – Chyba się domyślam, w czym rzecz. Tamci wstręty czynią, co? Nie szkodzi. Propozycja jest dla każdego z osobna. Kto chce, parol daje i wolno odchodzi, na pozostałych się nie oglądając. Nikogo karać nie chcemy za to, że się z głupcami



pod jeden sztandar zaciągnął. Wyłaż. Nic ci nie zrobimy. Ty też, Zbrhl. Bo to nie ty, jak zgaduję, tym romantycznym głupkiem jesteś, co to dla przedłużenia żywota kawałka tkanki, bezużytecznej z biologicznego punktu widzenia, sam się chce na niewielkie kawałki tkanek dać przerobić.

– Co on gada? – nie zrozumiała Ronsoise.

– Za smarkata jesteś, żeby ci to tłumaczyć – warknął Vensuelli.

– Nie lubię cię, alfredzie jeden – parsknęła.

– Cicho, małolato. Venderk, słyszysz mnie? Ja bez dziewczyny nie odejdę. Jako wabik na smoki ją tu przywiozłem, a nie do zamtuza. Ze Zbrhlem i Debrenem negocjuj, oni zobowiązań nie mają.

– Jak chcesz. Ale ci powiem, że trup już jesteś. I żeś oszalał, czegom się po tobie akurat nie spodziewał. Panie Zbrhl?

Rotmistrz splunął.

– Ja też trup jestem! Wypuść czarodzieja i zaczynajmy, bo mi topór rdzewieje.

Venderk opp Gremk milczał jakiś czas, mrugając ze zdziwieniem oczami.

– No nie – zamachał w końcu rękami. – Ten obłąd zakaźny jest najwyraźniej. Panie Jedyńka, nie dotykajcie zwłok, jak skończycie, bo i na was się to cholerstwo przeniesie. Czarodzieju, wyłaż szybko, pókiś zdrowy!

Debren uśmiechnął się blado do Ronsoise. Łuska sypała mu się z ręki, ręka bolała.

– Chyba już za późno, mecenasie. I mnie dopadło.

Opp Gremk przeszedł nad trupem, stanął obok dowodzącego wyspiarzami. Naradzali się nad czymś, nie zwracając uwagi na pięć żywych tarcz stłoczonych tuż przy nich. Luwanec próbował kopnąć któregoś, ale strażnik czuwał. Przyskoczył, zamachnął się kuszoszczką, identyczną jak ta znaleziona w domu, i grzmotnął żeglarza w żołądek. Gdyby nie krótkie odstępki między pętlami, Luwanec wywinąłby

kozła po takim ciosie, ale jeńców związano ciasno, więc Culio i Zelgan, chcąc nie chcąc, podtrzymali go w pozycji stojącej.

– Bóg wam za to odpłaci – powiedziała cicho Ronsoise. – Bo ja... mojemu tatce księżna pani cały majątek sko...skofni... no, zabrała. Nie mam z czego wdzięczności wyrazić. Chociaż baronówna jestem.

– Cicho, małolato. Zbrhl, myślałem, żeś mądrzejszy. Cholera, z cechu cię za to mogą wywalić. Chyba darmo służysz.

– A co mi tam. Albo oni nas, albo świadków nie będzie. A jak się o moją karierę martwisz, to wyłóż za Ronsoise. Ty jeden masz przy sobie srebro.

Vensuelli sięgnął do sakiewki, rzucił monetę, nie patrząc, co rzuca. Zbrhl złapał zręcznie, zerknął, uśmiechnął się pod wąsikami.

– Złoty dublon, no, no... Dobrze admirałom płacą.

– Jest u nas przyjęte – odezwała się dziwnym głosem Ronsoise – że jak mężczyzna spoza rodu, a stanu świeckiego, za dziewczynę płaci, to albo ją potem do ołtarza wiedzie i za żonę bierze, albo dziewczka kurwą okrzyknięta zostaje i nie jest w prawie się bronić przed obmową.

Zrobiło się przeraźliwie cicho. Ucichł nawet poświst wiatru w poszyciu dachu.

– Zbrhl – powiedział stłumionym głosem Vensuelli – czy mógłbyś mi oddać dublona?

– Nie. Bo na mnie by wtedy kurwa wołali. Nie ma nic żałośniejszego od jurgieltnika, co zadatek wziął, a potem, gdy wrogów policzył, szybko do oddawania się rzuca.

Ronsoise oderwała od admirałskiej twarzy dziwnie poważne, trochę smutne i bardzo dorosłe spojrzenie. Uśmiechnęła się blado do rotmistrza.

– To mnie oddajcie, panie Zbrhl. Mnie chcecie za to złoto bronić, więc to ja w prawie jestem, by wam służbę wymówić. Na tym wasz kondotierski honor nie ucierpi.

– Prawda – przyznał, obracając monetę w palcach. – Ale beze mnie najmniejszych szans nie macie.

– Ale jak ty dublona weźmiesz i zostaniesz, to ja się będę musiała na jakiś nóż rzucić albo z wieży... Zamku już nie mam, złota też. Ale baronówna dalej jestem. Honor mi pozostał. Nikt mnie od ładacznicy wyzywać nie będzie. – Odetchnęła głęboko, napinając koszulę i pokazując, jak wiele brakuje jeszcze do dorosłości jej piersiom. – Chyba więc lepiej będzie, jak od razu... Wieża pod bokiem. A wy przeżyjecie, bo jak ja umrę, to nie będzie się o co bić i pozwolą wam odejść.

Zbrhl pociągnął nosem, zaczął nagle wycierać wąsiska. Niezręcznie, bo wielka jak bochen łapa zjechała mu gdzieś w kąt oka.

Vensuelli był szary na twarzy, krople potu połyskiwały mu w brwiach. Debren stał przy oknie, mrużąc oczy, gryzł dolną wargę, by nie myśleć o ogniu, palącym prawe ramię, i skanował. Szukał śladów magii. Rozpaczliwie, czerpiąc całymi garściami ze skromnych zapasów wewnętrznej energii i świadomie rezygnując z rybiego znieczulenia. Bolało jak cholera.

– Nie będzie mi smarkata przynęta na smoki mówić, co mam robić – wycedził przez zęby Vensuelli. – Ani histeryzować, z wieży się rzucając. Tylko podejdź do tamtych drzwi – wskazał wejście do baszty – a słowo daję, że tak ci tyłek skroję, że przez tydzień nie usiądziesz. Słowo...

– Czekaaj... – zaczął Debren.

– ...honoru daję. A ja honor już mam, bom dorosły.

Debren westchnął. Chciał coś powiedzieć, lecz i tym razem mu nie pozwolono.

– Hej wy, w domu! – rozległo się wołanie Venderka opp Gremka. – Widząc, żeście są ludzie honoru i rycerze z charakteru, choć chyba nie z urodzenia, tudzież pragnąc uniknąć rozlewu krwi osób postronnych i strat materialnych, drużyna Małoczyrakowców waszą na ręczny bój wyzywa!

Wyjdźcie i walczcie!

Z zarośli wysunęły się dwie rośliny, zniekształcone frędzlastymi strojami postacie. Obaj mężczyźni wyjęli pociski z korytek kusz, zwolnili cięciwy, a kusze cisnęły daleko w głąb łąki. Trzeci skrywający się w krzakach Małoczyrakowiec wyszedł na parę kroków przed kryjówkę, uniósł ręce, pokazując, że ma w nich tylko jakiś krótki drąg z dziwną, podobną do grabi główką bojową na końcu. Strażnik, ten od kuszoszczęki, rąbnął w kolana Culia, zręcznym kopniakiem z półobrotu ugodził Niebrzyma w krocze. Luwanec już przedtem zwisał półprzytomny, więc teraz cały łańcuszek jeńców zwałił się na brzuchy, plecy i kolana. Bezgłośnie. Nikt nie wydał najcichszego jęku. Debren znał powód.

– No, już? – Odsłonięty Jedyńka bez pośpiechu wyciągnął krótki miecz z pochwy na plecach. – I żadnego szycia z kusz, bo Siódemka kłapacza użyje. Pokaż im, Siódemka.

Drab potrząsnął kuszoszczęką, po czym przystawił ją do łokcia relacjonatorki. Kobieta próbowała krzyczeć, ale czar dobrze trzymał, nie pozwalał ruszyć ani zuchwą, ani językiem.

– Widzieliście, jak ślicznie nogi z dupy wygryza nasz kłapacz. Smok by lepiej kulasa nie Chapman. Dziabnie, prawie odgryzie pierwszą szczęką, a drugą się zaprze i odszarpie resztę. Rany autentyzmem tchną, najlepszy myśliwy się nie rozezna. Aż szkoda maszynierii na taką cieniuchną rączkę niewieścią, bo ją pierwszym kłapnięciem odejmie. Ale co tam, nasza strata.

Ronsoise zbladła. Upuściła oszczep. Przykucnęła, by podnieść, ale nieskładnie jej szło. Zbrhl odstawił kuszę, sięgnął do rygla, odblokował drzwi.

– Ronsoise – powiedział łagodnie Debren – przykro mi. Vensuelli dorosły jest, swój honor ma i słowa dotrzymać musi. A ty, bez urazy, dzieckoś jeszcze. W tyłek ci pasy brać żadna hańba. Jak przeżyję, to spróbuję ci balsam sporządzić, a jak nie... No cóż, traktuj to jak wojenną ranę; te zaszczyt przynoszą, nawet jak miejsce mało honorowe. A teraz weź od

rotmistrza róg, tę lampkę oliwną z warsztatu i leć na wieżę. Jeżeli zawołam, chluśnij oliwą, żeby się dobrze paliło na pomoście, a potem dmij w róg co sił w płucach.

– Zdurniałeś? – zainteresował się Zbrhl.

– Nie pójdę – dziewczyna tupnęła bosą stopą, potrząsnęła oszczepem. – Wiem, co ci po łbie chodzi, ale nic z tego! Nie będę jak baba w wieży się chować, kiedy wy pod ostrza idziecie! Moja krew ani gorsza od waszej, ani lepsza! Też chcę ją przelewać we wspólnej sprawie!

– Przelejesz – zapewnił zimno magun. – Vensuelli dyshonor by ci uczynił, symbolicznie po tyłku klepiąc. To prawdziwa chłosta musi być, różgą do krwi. Ronsoise – złagodził głos – my możemy bez uszczerbku wyjść. A ty z bólu płakać będziesz, nawet jak wygramy. A jak przegramy, to zdążysz tym ostrzem pomachać, bo i po ciebie na wieżę przyjdą. Więc proszę cię, jak dorosłego proszę: zrób tak, jak mówię. To nam wszystkim życie może ocalić.

Wahała się jeszcze, w oczach kręciły się jej pierwsze łzy.

– Idźcie, pani – powiedział Vensuelli. – Wolałbym wierzyć, że dla mądrej kobiety łba nadstawiam, a nie dla smarkuli płochiej. A kurwą nikt was z mojego powodu nie nazwie. Nikt i nigdy. Macie to pewniejsze od tego lania do krwi. Do widzenia, Ronsoise.

– Do widzenia, Vensu... – przełknęła ślinę. – Vens.

Zbrhl przekręcił gałkę zamka, otworzył drzwi. Wyszli. Już na zewnątrz dobiegł ich, w biegu chyba ku wieży rzucony, okrzyk dziewczyny:

– A alfred wcale nie jesteś!

\*\*\*

Tubylcy dotrzykali słowa. Nikt nie strzelał.

To, co przemknęło między Debrenem a zamykającym prawą flankę Vensuellim, było szybsze od strzały i przemieszczało się ciszej. W zasadzie bezgłośnie. Ci, którzy nie posiadali

wyrobionego zmysłu magicznego, usłyszeli dopiero trzaśnięcie drzwiami.

– To nic – powiedział szybko magun, widząc wahanie Zbrhla. – Lepiej nawet. Żaden nie pogna za dziewczyną.

Frędzlaści ustawili się w półkole, szeroko. Ci od kusz, już bez kusz, z lewej, naprzeciw rotmistrza, jeden z berdyszem, drugi z kiścieniem. Debren miał przed sobą dowódcę, niedbale trzymającego miecz, a Vensuellego zachodził od skrzydła Siódemka, wywijający ósemki napiętym kłapaczem. Piąty pozostał z tyłu, między zalegającymi jeńcami a zaroślami. To, co Debren brał początkowo za grabie, było żelazną łapą z osadzonymi pazurami smoka, bronią raczej psychologiczną, ale w silnych rękach niebezpieczną. Niektóre smoki miały bardzo twarde pazury, które po umiejętnym podostrzeniu cięły niczym kosa.

Venderk opp Gremk odsunął się za stertę kamieni. Nie próbował uciekać, choć obie tyraliery stały już blisko i nikt raczej nie ryzykowałby pogoni kosztem robienia zamieszania i dziury w szyku.

– Ostatni raz apeluję do rozsądku waćpanów! – zawołał. – Pożegnajcie się grzecznie i wracajmy na okręt.

Debren wyjął różdżkę z pochwy i odetchnął głęboko. Jedyńka nie ruszał się. Miał na twarzy trochę nerwowy, ale bardziej chytry uśmiech.

– Niedobrze się tak ubierać – powiedział Zbrhl, ruszając wolno w lewo. – Do drzew podobni jesteście i ktoś was ty końcu zrabie przez pomyłkę.

Rozciągnął szyk. Ryzykownie dla Debrena, bo Małoczyrakowiec z kiścieniem mógł teraz skoczyć w środek, wspomóc dowódcę. Ale też mądrze, bo nieoczekiwanie. Mógł to być wstęp do ucieczki i człowiek z berdyszem, zapominając, że ma teraz partnera z tyłu, runął do ataku.

– Grubego, Szóstka! – krzyknął Jedyńka i skoczył naprzód, wprost na Debrena. – Tego ja sam!

Berdysz uderzył straszliwie, z góry w dół i mocno po skosie. Nie do sparowania lekką bronią i nie do uniku, jeśli ktoś nie urodził się akrobatą. Człowiek o posturze dużej beczki, taki jak Zbrhl, mógł albo paść trupem, albo wyciągnąć się jak długi na trawie po rozpaczliwym uniku. Następny mądrze zadany cios musiałby go okaleczyć, a widać było, że ten z berdyszem mądrze tnie.

Debren nie uwierzył, widząc, jak ocieęwały z pozoru rotmistrz odskakuje w prawo, przepuszcza ostrze tuż za łopatką i udem, wybija się obunóż, prawie tyłem do atakującego i skacząc w ostatniej chwili nad ogromny topór, unosi stopy spod cięcia. Po czym, z półobrotu, leciutko, uderza siekierą w skroń przeciwnika.

Jedynka był zbyt blisko, by sprawdzać, czy Zbrhlowi nie trafił się ktoś twardogłowy, kto zdoła jeszcze pomóc nadbiegającemu z wrzaskiem Szóstce. Debren uderzył gangarinem przez różdżkę, nie za mocno, i odskoczył. Nie chciał przesadzić, tamten mógł mieć, przynajmniej teoretycznie, jakiś amulet odbijacz, co tłumaczyłoby jego niefrasobliwość. Debren nie spotkał wprawdzie jeszcze nikogo, kto w ten czy inny sposób obroniłby swój błędnik przed tym akurat czarem, ale nie zamierzał ryzykować bez potrzeby. Poza tym w pobliżu nie było żadnego zewnętrznego źródła mocy i mógł dysponować tylko nadwyżkami energii ze swych mięśni i mózgu. Było tego niewiele, musiał oszczędzać.

Nie zarejestrował odbicia, ale amulet był. Dobry, zdolny odchylić lot strzały ze średniej odległości, choć już mało skuteczny przeciw szybszym i masywniejszym bełtom. Na gangarin zareagował jakimś trzeciorzędym echem, zdradzając swoją obecność pod obszytym paskami płótna kaftanem i nie dając najmniejszego efektu. Jedynka zgubił rytm, ciął na oślep i upadł. Źle, wprost na kolana czarodzieja. Debren zdążył złapać różdżkę w zęby, po czym skończył niefortunny unik upadkiem. Przetoczył się przez prawy bok,

omal nie wyjąc od bólu zadawanego przez zdzierany z poparzonej ręki nablonek, przygniótł prawą nogą miecz i zaczął kopać jego właściciela lewą piętą.

Z boku Vensuelli obskakiwał Siódemkę, skaczącego jeszcze szybciej i zadziwiająco zręcznie osłaniającego się kuszoszczką. Szóstka machnął kiścieniem, zmuszając Zbrhla do odskoku, sparował drzewcem cios siekiery, raz jeszcze wywinął kolczastą kulą, aż zafurczało. Ten ze smoczą łapą...

Coś z nim było nie tak, ale Debren nie miał czasu ustalić, co. Jedyńka, choć pozbawiony zmysłu równowagi i miecza, głowy nie stracił i sięgnął po nóż. Łeb miał twardy, a magun był w pokładowych butach z miękką podeszwą, znakomitych, gdy oficera floty nachodziła fantazja wdrapywania się na maszty, ale nie bardzo sprawdzających się w tego typu gorączkowej kopaninie. Aby przeżyć, Debren musiał leżeć i tłuc nogą z całych sił, a to mocno ogranicza pole widzenia.

Kiedy Jedyńka uznał, że czas zmienić taktykę i odtoczył się od miecza, było już za późno. Debren sięgnął wprawdzie po różdżkę, a Zbrhl, dość ryzykownie podbijając kiścień, skrócił maksymalnie dystans i zderzył się brzuchem z przeciwnikiem, ale stojącego przy zaroślach tubylca nie dało się już powstrzymać. Zwolnił spust kuszy, rzucił ją natychmiast i pognał w stronę Vensuellego, wywijając smoczą łapą.

Bełt trafił rotmistrza w lewą pierś, wysoko. Może w obojczyk. Przedtem przebił się przez kark Szóstki, bo wystrzelono go z ciężkiej wojskowej broni i energii mu nie brakowało.

Obaj przeciwnicy, nawleczeni na wspólny kawałek drewna, zwalili się w wysoką trawę. Vensuelli zdołał odbić kłapacza, ciał Siódemkę w udo, odskoczył. Debren wymierzył różdżką, ale kiedy rzucał czar, Jedyńka wpił się zębami w jego stopę i gangarin, zamiast tego z łapą, trafił W Neruele, próbującą podstawić tubylcowi nogę. Luwanec szarpnął się, widząc bezbronne, nieświadome zagrożenia plecy swego dowódcy tuż



za plecami wyspiarza, skoczył i zdołał sięgnąć czubkiem buta pięty biegnącego.

Debren, wrzeszcząc z bólu, dźgnął różdżką. Trafił. Weszła w lewe oko Jedyunki, przebiła oczodół, ugrzęzła w mózgu. Vensuelli ciał, miecz zderzył się z paszczą kłapacza, przeraźliwie zachrzęściło, jęknął metal i trzy czwarte klingi, odgryzione w potężnych szczękach, poszybowało w granatowe niebo. To, co zostało, siłą rzeczy minęło zastawę i poszarpany kikut klingi rozpruł bardzo nieładnie gardło Siódemki.

Kopnięty w piętę człowiek ze smoczą łapą zatoczył się w biegu, próbując złapać równowagę, chybił głowy admirała. Osadzone w żelazie smocze pazury rozcięły powietrze bardziej na prawo, zewnętrzny rozorał gładko rękę Vensuellego, musnął kolano i wbił się w stopę, przygważdżając ją do ziemi. Vensuelli spróbował wykonać półobrót połączony z pchnięciem, ale po ćwierćobrocie i uderzeniu ułamkiem miecza w bok napastnika zaskowyczał krótko i runął twarzą w dół.

Ten, który zwyciężył, zachwiał się, z niedowierzaniem popatrzył na sterczącą z brzucha rękojeść miecza. Zatoczył się, wyszarpnął zza pasa myśliwski nóż, zrobił pół kroku. Odcięta klinga błysnęła czerwienią ostatnich promieni słońca, zawisła, zaczęła opadać. Debren poderwał dłoń, rzucił zaklęcie. Wyspiarz zrobił następne pół kroku, ostrożnie odstawił prawą nogę, na którą spływała już przemieszana z kałem krew, powolutku zaczął zginać lewą, kucać. Wzniósł ramię do uderzenia, lewą ręką oparł się o biodro Vensuellego.

I umarł.

Spadająca z nieba klinga, nie tak ciężka jak cały miecz, ale ostra i spionowana czarem, trafiła idealnie: wprost w przyczaszkowy odcinek kręgosłupa. Tubylec dźgnął nożem ziemię i znieruchomiał z twarzą na plecach równie nieruchomego admirała.

Debren wstał, ściskając w drżącej dłoni pękniętą, oblepioną

krwią i masą mózgową różdżkę. Wolałby siedzieć. Lewa pięta bolała go od kopania, w prawym bucie miał krew i co najmniej jeden nadłamany palec. Ręka piekła żywym ogniem, a widok pobojowiska budził mdłości. Ale nie chciał umierać siedząc.

– Ośmiu zdrowych, silnych mężczyzn – powiedział rycerz Błękitny z wysokości kulbaki. – Siedmiu nie żyje albo wkrótce umrze z ran, upływu krwi lub zakażenia. Baronówna Ronsoise roztrzaska się, skacząc z wieży, a pani Zelgan po raz ostatni podyktuje uczniom barwną, acz smutną relację z pola bitwy. Wyssaną z palca na domiar złego. Jaka parszywa ta polityka, prawda, mistrzu Debren?

Debren schylił się, podniósł miecz Jedyńki. Lewą ręką.

– Nie znaleźliście smoka, rycerzu?

– Dobrze wiesz, że nie ma żadnego smoka. – Jeździec nie sięgnął po przełożony w poprzek łągu długachny miecz, wazący ze trzy razy więcej niż ten Debrena i odpowiednio bardziej zabójczy. – Dziadek naszej księżnej, władca równie odważny, co głupi, wykończył staruszka Ziejacza. Ot tak, dla sportu. Wybrał się na niedźwiedzie, ale wielki łowczy spieprzył sprawę, więc pijane towarzystwo wsiadło na okręt flagowy i przyplłynęło tutaj, by z pustymi rękami z łowów nie wracać. Szczęście w nieszczęściu, że dziadek w jar jakiś wleciał, potłukł się i trzeba go było kurować tu, na miejscu. Księżna babka zdążyła skompletować zespół ratunkowy i tragedii zapobiec. Myśliwi pod nóż poszli, stary księżę do twierdzy, a smok taktykę zmienił. Już nie walczy twarzą w twarz, jak w dawnych, romantycznych czasach. Mało kto go widuje, a ci, co widzieli, klną się na wszystkie świętości, że urósł, barwy jak kameleon zmienia i ogniem zieję jak nigdy. Byli tacy, co dwie nowe głowy u niego widzieli.

– Muszę rannym pomóc – powiedział cicho Debren.

– Szkoda fatygi. Z tej wyspy nikt żywy nie ma prawa wrócić. Taka tradycja.

– A ty?

– Ja? Ja stoję na straży tradycji.

Debren patrzył do góry, na garnkowaty hełm z nieudolnie wykutym łbem zębatego stwora. Jeździec nie uniósł przyłbicy. Za jego plecami kołysały się sosny.

– Było ośmiu zdrowych i silnych, teraz zostałem tylko ja. – Magun zaczął przesuwać się powoli w lewo. – Zjawiasz się tu i w imię tradycji nawołujesz do następnej bezsensownej jatki. Po co ci to? Z tych siedmiu, co leżą, większość też wierzyła, że nic złego im się nie stanie. Nie brali pod uwagę starej prawdy. Kto mieczem wojuje...

– Miecz? – Stopa w strzemieniu drgnęła, ostroga musnęła koński bok. Wierzchowiec, znakomicie ułożony, zaczął powoli iść w stronę Debrena. – Nie oszukujmy się, mistrzu. Skanowanie nie do końca jest bierne, żadna forma magii nie jest. Wiesz, że te drzwi za tobą nie zatrasnęły się same i wiesz, że ta stara zbroja tylko z pozoru jest kupą rdzawych blach, które da się przebić dobrym sztychem. Nie, Debren, mój drogi konfratrze. Ja nie wojuję mieczem. Używam go, choć przyznam, że całkiem sprawnie, tylko do zabijania. Do walki używam magii. Jak ty.

Miecz był dwuręczny, ciężki, a przede wszystkim długi. Środek masy miał daleko od krzyżulca, choć długa i ciężka rękojeść znacznie poprawiała wyważenie. A rycerz Błękitny, jak większość rycerzy, był praworęczny. Więc jechał tek, by mieć Debrena z prawej.

– Nie szkoda pakować kosztowne czary w taką marną zbroję? – Debren cofnął się w lewo.

– Szkoda. Ale jakoś musiałem się tu dyskretnie zjawić, i to najlepiej w waszym towarzystwie. Widzisz, Debren, Anvashem i Marimalem też nie ostatni kretyni rządzą, choć nader często tacy właśnie korony noszą. Rejon Małego Czyraka często bywa patrolowany, a w portach wzdłuż Gardzieli o szpiega łatwiej niż o dokera czy dziwkę. Mamy

paru zaufanych rybaków, co z książęcego nadania łowią tu od pokoleń, więc zaopatrzenie dla Siedmiu Krasnoludków jakoś się przemyca na raty, choć i z tym problemów mnóstwo. Ale człowiek to całkiem inna sprawa. Tylko członek tej durnej rodziny – żelazna ręka postukała w kirys – może przybyć na wyspę nie budząc podejrzeń. Każdy wie, że od pokoleń zakuci w stal tu przyplływają, jak im żywot obrzydnie. Plotek o tym zawsze mnóstwo jest, ale zdrowych, bezpiecznych, ba... pożytecznych. Nic tak notowań Ziejacza nie podtrzymuje, jak świeży trup.

– Wypożyczyłeś tę zbroję? – Obchodzili jeden drugiego z prawej, więc jeździec był już bliżej budynku niż Debren. I dalej od sosen.

– Debren, mój ty poczciwcze... Nadal nic nie pojmujesz? To poważna, polityczna sprawa. O byt państwa idzie gra i o los dynastii. Jak to sobie wyobrażasz? Rycerz na Mały Czyrak płynie, a potem ten sam rycerz z powrotem w rodowych włościach się pojawia i nadmiar srebra w szynkach przepija? A gdzie dobre imię Ziejacza? Gdzie opinia smoka zabójcy o skuteczności dziewięćdziesiąt osiem koma pięć? Nie, konfratrze. Ten biedny głupek musiał zniknąć raz na zawsze, bym mógł na wyspę przyplwać. Nie rób takiej skwaszonej miny, ostatecznie nic się nie stało ponad to, co stać się miało. Rycerz patriotycznie życie za ojczyznę oddał, a i śmierć miał dużo mniej bolesną niż jego dziadowie, których Ziejacz ogniem smażył i kończyny im obgryzał.

– Cel uświęca środki?

– Nie stawiaj dziecinnych pytań. Pewnie, że tak. Co mówi jedna z Jedenastu Wytycznych? Nie zabijaj. Co nakazuje patriotyzm, szacunek dla prawa, miłość do bliskich? Zabijaj. Broń tego, co ci drogie. Nie dezerceruj, wieszaj morderców, wal w łeb gwałciciela żony i córki. Debren, nie musimy walczyć. Obiecuj milczenie, bierz szalupę „Jaskółki” i wynoś się stąd.

– Wypuszczasz świadka?

– Jedynka złożył ci propozycję, ale to ja ją sformułowałem. Uczciwie. Jestem, tak jak ty, człowiekiem magii. Potrafię przewidzieć twoje reakcje. Nie mówię, żeśmy tacy sami, nie. Ale reakcje przewidzieć potrafię. Jak będziesz już daleko, nie powiesz słowa o tym, że Ziejacz to lipa. Bo jesteś pacyfistą, bo nie nosisz miecza i brzydzi cię przelewanie krwi. A wiesz, że ten skurwiel – żelazna dłoń wskazała kucającego za skałką jurystę – tak zgrabnie wszystko pokomplikował, że tylko miecz spór rozstrzygnie i następcę smoka wykreuje. Mój kraj to przerabiał, Debren. Strategia, której uczą oficerów w Eileff i Tamburku, jest od wieków niezmienna, choć środki walki owszem, poszły do przodu. W anvaskim wydaniu mówi owa strategia: „Wysadź szybko desant w Dracji, porty trzymaj, a resztę księstwa we krwi utop, to obleganiu portów zapobiegiesz. Spalona ziemia i gnijące trupy Marimalczyków nie wykarmią”. Teoretycy z Eileff uczą zaś: „Obsadź szybko porty drackie, a resztę zrównaj z ziemią, bo przez zgłiszczą te anvaskie psy na naszą słodką ojczyznę nie uderzą, gdyż w logistyce lądowej dupy są”. Z doświadczeń naszych, drackich, wynika też, że w trakcie zajmowania portów załoga cała pod nóż idzie, a z ludności co czwarta osoba. Potem druga ćwierć z głodu zdycha w trakcie oblężenia, a trzecia od powojennej zarazy. Straty prowincji to dwie trzecie w dobytku i zabudowaniach oraz trzy piąte w ludności. Taki jest tu układ geopolityczny, Debren, Każdy z tych tu – pancerna rękawica wskazała pobojuwisko – przemnożony przez dziesięć tysięcy zostanie, jeśli Ziejacz oficjalnie łapy wyciągnie.

Debren widział go już teraz na tle wieży. Zatrzymał się więc.

– Venderk w las nie czmycha, choć może. Czy to znaczy...?

– Venderk to prawnik. Hiena i hipokryta. Ale wie, że z krzywdy ludzkiej żyć będzie długo i dostatnio tylko wtedy, gdy tajemnic zawodowych dochować potrafi. Zaangażowałem go za denara i teraz będzie milczał jak głaz. Tobie coś

podobnego proponuję. Zgódź się, a oprócz swego jeszcze jedno życie ocalisz. Szalupą ciężko się pływa po Gardzieli, jeśli nie ma kogo przy drugim wiośle posadzić.

– Posłuchaj, Bezimienny. Zabiorę tych, co przeżyli i odpłyniemy. Ponieważ los dziesiątek tysięcy w grę wchodzi, a ty, jak zgaduję, księżną Pompadrynę tu nieformalnie reprezentujesz, znajdą się pieniądze i sposoby, by dyskrecje tu obecnych kupić. Słowo moje, Vensa i Zbrhla masz darmo. Luwanec zrobi, co pan mu każe, też gratis. Pozostaje Zelgan z uczniami i Ronsoise, twoja krajanka. Oddacie jej zamek i będzie wasza. Ta dziewczyna potrafi docenić szlachetny gest i uczciwa jest, a poza tym strategia spalonej Dracji z pewnością nie przypadnie do serca komuś, kto ma tani zamek i włości. Zelgan... No cóż. Magiem jesteś, słyszałeś pewnie o pracach mistrza Berklana nad ludzkim mózgiem. Tak się składa, że go znam. Za symboliczne sto grzywien od głowy wykasuje tej czwórce z pamięci wszystko, co się ze smokami i wyspami wiąże. Trochę głupsi będą, co w tej profesji wielką tragedią nie jest, i migrenę do końca życia mają jak w kantorze, ale taka jest cena przeżycia w plotkarskim fachu. Odpowiada ci ta propozycja?

Jeździec wciąż nie zdejmował miecza z łęku siodła. Ale Debren nie łudził się.

– Wdzięczny ci jestem, konfratrze Debren. Nie zgadniesz za co. Za tych siedmiu, coście ich wytlukli. Siedmiu zboczeńców, sadystów i socjopatów, którzy nie umieli docenić łaski, jaką im Dracja okazała, i którzy, choć niepiśmienni oraz niemi w sześciu przypadkach na siedem, zdołali lęk przed prowokacją przełamać, dogadać się i rozpocząć budowę łodzi. Którzy mieli czelność nowej dziewicy najpierw raz na kwartał, a potem już co miesiąc się domagać, a chłopców gładkich do polowań i dupczenia sześciu w roku. O winie, kartach, mięsie i pszennej mące na białe pieczywo nie wspomnę. Debren, to biedne księstwo jest wyniszczone wojnami i dominacją

gospodarczą wielkich sąsiadów. O dziewicę niełatwo, a transport, dyskretny ma się rozumieć, na Mały Czyrak towaru wartego grosz kosztuje skarb księstwa... bacz, by nie upaść sześć talarów, osiem groszy i trzynaście denarów! Oczywiście, powiesz, nic prostszego jak stare krasnoludy na nowe wymienić. Łajdaków w okaleczaniu dobrych nie brak Ale, widzisz, oni tu smoka zastępowali. Dobrzy być musieli nie jeno w efektownym rozszarpywaniu zwłok, ale i w przerabianiu intruzów na owe zwłoki. Cicho i dyskretnie, by nikt nie poznał, że to nie Ziejacza robota. Mam już takich, co ich w tym zastąpią, ale nie miałem fachowców, którzy mogliby tanio i po cichu krasnali wytluc. A tu proszę: trafił się poczciwiec cesarz i jego intryga. Okazja jedna na sto lat. Jak z wyspy wrócę, to się przed szpiegami obu królów oś intrygi lewokołecznej dyskretnie odsłoni. Nie z zemsty, Boże broń. Po prostu to Anvash i Marimal ku większej zgodzie popchnie, a notowania mojej pani, no i Ziejacza, podniesie. Smok może się nawet paru ciepłych wzmianek w kronikach doczeka jako obrońca wschodnich wartości przed intrygami schizmatyków. Same korzyści. Więc powtarzam, wdzięczny ci jestem. Tak dalece, że zrobię dla ciebie coś, czego nie zrobiłbym dla innego konfratra. Przykażę nowej siódemce, by tych tutaj do miłości używali, ale potem nie zabijali. Kobiety, oczywiście, wysterylizować trzeba będzie. Przy ich powszechnym używaniu ciąża cholernie skomplikowałyby sprawę. Każdy czułby się ojcem i zrobiłaby się z tego jedna wielka rodzina, dbająca o potomstwo, a nie o rację stanu. Co ty na to? Prawda, że potrafię wdzięczność okazać.

– Prawda – przyznał Debren. Bez cienia kpiny, szczerze. – Doceniam gest. Ronsoise, poświęć nam! I zadmij w róg!

Rycerz nie zadarł głowy, nie spojrzął na wieżę. Nie pozwalał mu na to hełm. I pewność siebie.

– Wiesz, że to ci nie pomoże – powiedział spokojnie. – Noc już. Na tę wyspę nawet za dnia nikt normalny nie Schodzi,

a cóż dopiero nocą.

– Wiem. Nie w tym rzecz. Dwaj czarodzieje mieczami ciąć się będą. Taka walka na stosowną oprawę zasługuje, nie sądzisz? – Przez chwilę słuchali przejmującego dźwięku rogu.

– Psiakrew, fałszuje baronówna. Przy marnej muzyce przyjdzie umierać. I światło nieszczególne.

– Debren, odstęp.

– Nie mogę. Mnie Berklan tej wyspy z głowy nie wykasuje. Tych ludzi – poprawił się.

– Przecież wiesz, że ta zbroja wymaga czegoś więcej niż takiego śmiesznego mieczyka. A ty, lewą ręką, to i zwyczajnej kolczugi byś nie przebił. Czarami, jeśli nawet odpowiednie znasz, w co wątpię, wiele nie zdziałasz przeciw zbroi. Więc rzuć to żelastwo. Nie chcę cię zabijać. Bo my nie będziemy walczyć, Debren. Wiesz o tym. Wykonam dokładnie jedno cięcie. Wiesz.

– Wiem.

Było cicho, Zbrhl próbował wstać, zepchnąć z siebie przygwożdżonego bełtem trupa. Ale widać było, że nie wstanie. Dookoła wszystko lśniło od krwi.

– To chociaż odłóż miecz – powiedział cicho jeździec. – Umrzesz błyskawicznie, a w świat fama pójdzie, żeś zginął tak, jak żyłeś. Bez broni, próbując przekonywać, zło rozsądkiem zwyciężać. Może i mojemu krajowi coś dobrego z tego kiedyś przyjdzie? Może w następnej wojnie komuś drgnie ręka, nim cywila zarąbie? Nie umrzesz głupio i niepotrzebnie. Oczywiście, famę przed puszczeniem w świat trzeba będzie odpowiednio zmodyfikować. To od smoczego pazura towarzyszy swych bronić będziesz i to smoczy pazur tę dyskusję zamknie. Ale nie martw się, nie wyjdiesz w legendzie na idiotę fakira, co przy dźwiękach muzyki gadzinę morderczą próbuje instynktu wrodzonego perswazją oduczyć. Wieść pójdzie, żeś Ziejacza, istotę bądź co bądź rozumną, głęboko swą postawą wzruszył i do poważnych



refleksji skłonił. I że z żalem cię szczerym zabijał, bardziej w imię zasad i tradycji smoczej, niżli z przekonania. Ha, prawdziwie illeńska tragedia z tego się rodzi.

Debren odetchnął pełną piersią. Może ostatni raz. Czary to tylko czary, nic nie jest niezawodne. Ludzie nie zawsze robią to, za co im płacą. A Ronsoise fałszuje, aż uszy skręca.

– Ty też nie umrzesz głupio i niepotrzebnie, Bezimienny – zapewnił. – Ci, których z wyspy zabiorę, milczeć będą. Ziejacz pozostanie żywy. Zadbam o to. Słowo honoru.

Coś zadudniło pod hełmem. Śmiech.

– W głowie ci się od patosu pomieszało, nieszczęśniku. Na co jeszcze liczysz? Na cud? Ty, magun?

Debren zaryzykował dookolne lekkie skanowanie. Zapędzony w śmiertelną pułapkę czarodziej niczym się nie różni od zwykłego zjadacza chleba. Rozgląda się gorączkowo, bezsensownie. Nie ma w tym niczego nienaturalnego.

– Kradzione nie tuczy – uśmiechnął się ze smutkiem. Znalazł wibrację. Leciutką. I daleko jeszcze. Ale zbliżała się błyskawicznie. – To na hełmie... To smok, prawda?

– O czym ty...?

– Rupp... – zaczął Debren.

Coś zawyło, skradło granatowemu niebu odrobinę szczątkowego blasku, łupnęło, zachrzęściło dartymi blachami, mlasnęło pękającym mięsem, zgrzytnęło łamanymi kośćmi, zadudniło o kamienne ściany budynku, cisnęło w trawę wyszarpiętą z nitów główkę ni to żaby, ni to gada.

– ...i trup. Nie ruszaj się, Zbrhl. Już do ciebie idę. Już no wszystkim.

# Księga czwarta

## Której oczu nie zapomnieć

– Powiedzcie mu, że murarz sknocił robotę – Debren starł pajęczynę z czoła i ostrożnie zeskoczył z beczki. Deski ułożone w charakterze pomostów między kamiennymi stojakami pokryte były śliską mieszaniną pleśni i butwiejącego drewna, a tam, gdzie nie było desek, stała czarna woda. Czort wie jak głęboka i czort wie, co kryjąca pod swą mętną taflą. Posadzkarz też się nie popisał.

Dziesiętnik grodzkich drabów, który za młodu służył w lancknechtach i dobrze znał staromowę, przetłumaczył na depholski. Zwięźle, ale i tak udało mu się użyć trzech słów, które Debren zdążył poznać jako wielce w tych stronach plugawe. Nieźle. Całe zdanie liczyło słów sześć.

– On pyta, po jaką cholerę obrażacie dobrych rzemieślników, będąc zaś... będąc cudzoziemcem z kraju, gdzie cegły gwoździami zbijają.

Debren posłał karczmarzowi wieloznaczny zawodowy uśmiech.

– Powiedzcie gospodarzowi, panie dziesiętniku, że robię to z przykrością i tylko dlatego, że me serce swą hojnością podbił. Umówiliśmy się na wikt z mięsem i dobre łóżko, ciepłe. A jak się spiszę, to i premia w postaci dziewczki usługowej miała wpaść. Niektórzy karczmarze to samo obiecują, a potem dają suchą kaszę, wiązkę słomy w stajni i pijanego parobka za towarzystwo. Mile zaskoczony byłem, kiedy już na pierwszą wieczerzę podał płat mięsa tak wielki, że nie tylko go od razu w misce wypatrzyłem, alem i widelcem weń wcelował, choć

ciemno było. Ba, nawet zwierzynę udało się rozpoznać. Powiedz mu, że tam, skąd pochodzę, nikt tak dobrze szczura wodnego nie przyrządza. Podziękuj za miejsce do spania w kuchni. I kucharkę usłużną. Że czosnek na okrągło żre, to pewnie i lepiej, bo to widać zdrowe warzywo. Baba piąty krzyżyk na karku dźwiga, a proszę, jaka sprawna. Co rusz, niby to z winy sklerozy, posłania myli i do mego się pakuje.

Dziesiątnik podrapał się po głowie, splunął w przepływającego obok szczura wodnego i przetłumaczył, mocno skrcając.

– Mówi, że skoro chwalicie jego rzetelność, to zróbcie, co do was należy. Poślijcie złodzieja tam, gdzie jego miejsce. Na szubienicę.

– Zaraz – zaniepokoił się Debren. – O czym ten dusigrosz gada? Mówił, że chłopak służebny wino mu podpijał i że chce wiedzieć, jakim sposobem, skoro pieczęcie na szpuntach i kurkach nietknięte są. Za takie występki gardłem się nie każe, nawet na Zachodzie, gdzie cegły gwoździami zbijają. A tu jest przecież Wschód, matecznik liberalizmu i praw człowieka.

– Szczeniak ma piętnaście lat – wyjaśnił dziesiątnik, nie zaprzatając sobie głowy tłumaczeniem. Był tu służbowo, buty mu przemakały i najwyraźniej chciał szybko sprawę załatwić. – Do wojska się kwalifikuje, znaczy, ale pić mu jeszcze nie wolno, chyba że nasz tutejszy jabłecznik. Czyli dekret o wychowaniu w trzeźwości naruszył. Kradzież druga przewina jest, a lenistwo z zaniedbaniem obowiązków połączone... trzecia. Pół dnia tu siedział, a potem wylazł i jak zupę podawał, to klienta oblał, poparzył i upaprał. Tu jest Wschód, panie magun, my tu tore... relancyjne jesteśmy, więc prawo mówi: do trzech razy sztuka. Ale ten mały zbrodzień za jednym zamachem drugie tyle występków ohydnych popełnił. Świadkowie widzieli, jak kucharkę w tyłek poklepał, a że niewiasta z wrażenia garniec sobie na paluch upuściła, bo wnuki od niego ma starsze. Obraza to Boga i obyczajów,

o kontuzji nie wspominając. A na przesłuchaniu w lochu miejskim przyznał się łajdak do spiskowania przeciw majestatowi pana naszego, króla Belfonsa Irbijskiego, tudzież do organizowania komórki heretycznej. – Odchrząknął z zakłopotaniem, – Wiecie, kat młody jest, durny jeszcze i trochę za dużo chciał z otroka wyciągnąć. Na dodatek arkusze pytań mu się pomieszały i leciał według tego dla politycznych. W ucho za to od kancelisty oberwał. Niepotrzebne nam tu żadne polityczne afery, a inkwizyторы tym bardziej. Jak ostatnio do grodu wpadli, to wszystkie doświadczone akuszerki poszły z dymem. Do tej pory śmiertelność wśród niemowląt na takim mamy poziomie, że wstyd się przyznać. Gorzej jak w Ośmiogrodzie, tfu. Więc od tych oskarżeń burgrabia kazał odstąpić i zapomnieć. Ale i tak cztery zostają, a to recydywa i stryk daje.

Debren splunął. Nie był tutejszy, więc nie trafił w wyglądającego spod wielkiej beki szczura.

– Nikt wieszany nie będzie – mruknął. – Pieczęcie całe są, a chłopak nie kradł wina. Nie pił też alkoholu.

– E, tego mu nie przełożę – wskazał karczmarza dziesiątnik. – Ponoć na barkę tu czekacie, co w górę Nirhy płynie. Spóźniona jest, dziś już nie przyjdzie, więc lepiej nie zadzierajcie z waszym zleceniodawcą. Wypieprzy was na bruk, a tu Wschód jest, cywilizowana kraina. Położycie się przekimać na ławce jakiej czy w krzakach, to was za włóczęgostwo capną.

– Panie dziesiątniku, przysłali was tu, byście ekspertyzę sądową ode mnie, biegłego maguna, odebrali. Oto moja ekspertyza: kradzieży nie było, a cała reszta występków pozwanego młodzieńca jest efektem niezamierzonego odurzenia, co winę przekreśla. Wypadek nieszczęśliwy tu się zdarzył. Krótko wam to objaśnię, bo też mi klimat tego loszku nie odpowiada. Jak wiecie, karczma na podmokłym gruncie stoi. Cały gród, ba, Dephol prawie cały to jedno wielkie

grzędawisko, z jednej strony Nirhą, Musą i innymi wielkimi rzekami podlewane, z drugiej morzem. Podtapiane piwnice to u was żadna nowość i nie dziwota, że ekspertami w ich zabezpieczeniu jesteście. W czasach, gdy na Zachodzie pierwszą cegłę barbarzyńcy z podziwem w niezgrabnych łapach obracali, dumając, jak tu w nią gwóźdź wbić, wasi majstrowie smołowe powłoki izolacyjne komponowali, knoty wilgoć odciągające i inne cuda techniki. Ale drogie to było, bo drzew tu mało i smołę trzeba importować. Więc czarodziejów do pomocy poproszono i ci nową zaprawę opracowali. Chłonie ona wilgoć wszelaką z wnętrza domu i na zewnątrz wydala. Że nic za darmo nie ma, to energię, siłę znaczy, dla podtrzymywania owego procesu niezbędną, czerpie ściana trochę odnawiania czarów, raz na rok przynajmniej, a trochę ze źródeł ze ścianą sąsiadujących. Stąd przykładowo chłód nadzwyczajny w takich pomieszczeniach. Dlatego do budynku mieszkalnego nie zaleca się...

– Wiem, wiem – pochwalił się obyciem dziesiętnik. – W mieście Gadze władze prowincji nowoczesne więzienie niedawno postawiły i takie właśnie mury magiczne tam zastosowano. Łajdaków w lochu czy wieży zamkniętych same nie tylko ziębią, ale i suszą, tortury gratisowe zapewniając. Ponoć wielkie oszczędności z tego są, bo połowę oprawców można było z roboty zwolnić. Taak... Co tu gadać, w szczęśliwych czasach żyć nam przyszło. Ku lepszemu świat zmierza dzięki postępowi magicznemu. Ale co to ma do podkradania win?

– To, że nowoczesny mur dobry fachowiec stawiać musi. Piśmienny, a na dodatek rozumiejący, co w instrukcji napisano. Ten tutaj – Debren wskazał łukowe sklepienie – źle zaprawę mieszał, jeśli w ogóle, przegryźć się wapnu nie dał, a z dołu wcale magicznego proszku nie dodał, stąd ta woda stojąca. Za to górą tak ssie, że woda z wina przez beczki paruje, a alkohol, co mógłby teoretycznie pozostały trunek

wzmocnić, w części na zimno się spała, by proces podtrzymać. Powiedźcie karczmarzowi, że i tak ma szczęście. Gdyby nie ta woda do kostek, pół trunków już by mu z beczek znikło. Niech da spokój chłopakowi i na remont szybko bierze kredyt. Albo przeniesie karczmę tu, na dół. W suchej porze, jak woda gruntowa opada, to po kwadransie siedzenia tutaj, w tym oparze, najtęższemu pijusowi we łbie się zakręci. Trzeba by tylko nie kuflami, a klepsydrą należności mierzyć. I nieletnich zwolnić z pracy. Bo inaczej dekret o wychowaniu w trzeźwości mocno naruszony zostanie.

Dziesiątnik przełożył. Karczmarz najpierw słuchał z niedowierzaniem, potem złapał się za głowę, a w końcu dopadł beczki i zaczął walić w nią czołem, klnąc i łkając.

– Parszywy los – mruknął współczująco dziesiątnik. – Chodźcie, nic tu po nas. A dla was i lepiej będzie w oczy mu teraz nie wchodzić. Potem albo się upije, albo powiesi; tak czy siak na was sobie nieszczęścia odbijał nie będzie.

Wdrapali się po schodkach, przeszli przez kuchnię. Kucharka, umorusany potwór, równie ponętny jak jej piec, wyszczerzyła zęby i miejsca po zębach. Debren skrył się za dziesiątnika, przyspieszył. Weszli do izby gościnnej, gdzie smród przypalonej ryby ustąpił woni opiumowego dymu. W Depholu, mateczniku liberalizmu, narkotyki były modne i legalne.

– Co z chłopakiem będzie? – zapytał Debren.

– Zarzut o kradzież i pijaństwo może upadnie. – Dziesiątnik wyszedł na ganek, poprawił pas. – Ale z lenistwa się nie wykręci. Z napastowania kucharki też nie. Ten zupa obłany do medyka pobiegł, więc zapłacić pewnie musiał, a jak płacił, to pewnie zaskarży. No i mamy trzy poważne przestępstwa. Dodajmy czwarte i kat ręce zaciera. Dobra opinia z miejsca pracy pewnie by pomogła, ale widzieliście karczmarza...

– Czwarte? Co jeszcze zmalował ten nieszczęsny hultaj?

– No jak to? Przecie nie za dobre słowo drugi dzień w tym lochu siedzicie, ekspertyzy czyniąc. Mówił mi karczmarz, że poza wiktem, noclegiem i dziewczką umówił się z wami na osiemdziesiąt szelągów za dzieło. Za samo to smarkacz da gardło, bo w miesiąc tyle nie zarobi. A prawo mówi: jak strat komuś narobisz większych niż w cztery niedziele pensji bierzesz, to cię śmiercią ukarać mogą, o ile wierzyciel inaczej nie zdecyduje. Mądry złodziej to za pierwsze łupy zaświadczenie se kupuje, że pracę ma i krocie zarabia, dzięki czemu rzadko na stryczek trafia, ale ten tu to amator, więc pójdzie do nieba. No cóż, tak świat urządzone.

Debren przysiadł na ławeczce z malowanych desek, przez chwilę wpatrywał się w równie kolorową kamieniczkę po drugiej strone ulicy. Było ciepło, w maleńkich przydomowych ogródkach wróble radośnie chlapały się po kałużach. Gdzieś za rogiem walił kowalski młot, mechaniczny chyba, bo tempo miał jak werbel prawie, a uderzał mocno. Jakaś schludnie odziana panienska w drewniakach wyszła przed dom i wymieniając uprzejmości z grzejącym się w słońcu staruszkim wylewała do rynsztoka zawartość nocnika-konewki, który nie brudził ani chodnika, ani równo brukowanej jezdni. No cóż, to był Dephol, sam środek pępka świata, kraj czystych miast, statecznych obywateli i krów, którym ponoć myją wymiona.

No i komarów. Magun nie zastanawiał się długo, ale zatłukł aż dwa, nim przemówił.

– Jeśli nie wezmę tych osiemdziesięciu szelągów, to chłopaka nie powieszają, tak? Ile mogę wziąć, by żywy z lochu wyszedł?

Dziesiątnik, jak przystało na stróża porządku i reprezentanta przodującej nacji, celnie strzyknął śliną do ślicznej, malowanej w kwiatuszki spluwaczki. Bo i spluwaczkę ustawiono przy ławeczce.

– A co wam tak na owym otroku zależy? – uśmiechnął się

domyślnie, ale i wyrozumiale. – W oko wam wpadł? Nie bójcie się mówić, to Dephol, nie jakieś wczesnowieczne księstwko, gdzie za szczyt wyuzdania uważają wychędożenie własnej żony bez koszuli nocnej. My tu, mówiłem, torel... lancyjniśmy są. Chłopca chcecie? Nie ma problemu. Ale po co za byle karczemnego wycierucha osiemdziesięcioma szelągami płacić? Tylko nam złej sławy narobicie w świecie, że niby tak drogo u nas. Na ratusz wracam. Przejdźcie się ze mną, to wam po drodze wskażę, gdzie już za dwanaście ślicznego pacholika wam dadzą, i to porządnie, w łóżku czystym i przy świecach.

– Innym razem. Teraz, jeśli taki uprzejmy z was człowiek, powiedzcie w ratuszu, że czwartej skargi nie będzie. Jak się nie da inaczej, to zrezygnuję z zapłaty. Czy może tylko z części wystarczy, co, dziesiętniku?

– Głupio robicie – pokręcił głową podoficer drabów. – No cóż, serce nie sługa. Ale będzie was to kosztować prawie całą sumę. Tu czeladź w karczmach za wikt i opierunek głównie służy, płacą im tyle co nic.

Zasalutował do szturmaka i odszedł. Skacowanym marynarzom irbijskim, wracającym na okręt bez sakiewek, butów i części garderoby, honorów ostentacyjnie nie oddał, choć z pozostałej części garderoby wynikało, że służą w królewskiej flocie i jako wojskowym pozdrowienie im się należy. Irbijczycy nie zwrócili uwagi na uczyniony im dyshonor. Dwaj podtrzymywali trzeciego, który próbował rzygać na rabatkę tulipanów, czwarty śpiewał serenadę, śląc całusy zerkającej zza firany mieszcze, a piąty usiłował kopnąć psa.

Debren zatłukł następnego komara i zaczął się drapać. W piwnicy było zimno i wilgotno, a opar winny, mimo profilaktycznie wypitego rosołu i zaklęcia ochronnego, trochę go otumaniał. Tu szalały te krwiożercze bydłeta, całymi chmarami ciągnące do miasta z podmokłych łąk, polderów



i starorzeczy. Reumatyzm i kac – albo malaria. Miły wybór. Mógł też ukryć się w kuchni, gdzie było za gorąco i za smrodliwie nawet dla bardzo wygłodniałego komara. Ale nie wytrzymałby długo w szczelnie zapiętym kaftanie, a na widok pierwszego odpinanego guzika ta trzaskająca garami wiedźma zastawiała drzwi miotłą i zaczynała podciągać spódnicę. Cholerny precywilizowany Wschód, gdzie prosta baba nie tylko dożywa pięćdziesiątki, ale w parę lat później uganiania się jeszcze za portkami.

Mogłaby już przyplłynąć ta barka.

– Hej, ty. Tak, do ciebie mówię. Czy to karczma „Pod Złotym Bażantem”?

Jeździec był grubszy od swego muła, choć i ten na zabiedzonego nie wyglądał. Miał dobrze po czterdziestce – jeździec, nie muł – i trochę zaskakujący w tym wieku strój rycerskiego giermka. Strój był w dobrym gatunku, wytrzymały, co mu się bardzo przydało, bo plamy z błota, trawy, sadzy i tłuszczu świadczyły, że jego użytkownik rzadko sypia w karczmach. Ton, jakim zadano pytanie, pasowałby bardziej do rycerza niż sługi, ale Debrena nie zdziwił. Nieznajomy mówił płynną irbijszczyzną, językiem opiekunów względnie okupantów – w zależności, kto komentował – z dalekiego południa. Arogancja poddanych króla Belfonsa była przysłowiowa i dawała się zauważyć już od starszego pastucha wzwyż. Ten chyba nie był pastuchem, choć przywiódł drugiego muła.

– Bażant, głupku – zamachał łokciami grubas. Potem postukał się po sakiewce. – Złoty, rozumiesz? Zło-ty ba-żant. Nauczylibyście się w końcu ludzkiej mowy. Widzę, że nic nie rozumiesz.

– To źle widzicie. Rozumiem. Znam staromowę, a irbijski od niej się wywodzi.

– Ha. – Jeździec milczał przez chwilę. – No proszę. Poliglota.

– Za to depholskiego nie znam – wyznał szczerze Debren. – I pewności nie mam, czy dobrze trafiliście. To zwierzę, obok nazwy na szyldzie namalowane, równie dobrze może być rudym cietrzewiem, indorem anvaskim albo... Bo ja wiem?

– Nie zawracaj mi głowy, człowieku – zniecierpliwził się rumianogęby Irbijczyk. – Z pola walki tu przygnałem, czasu nie mam na prześmiejki. Wina aby łyknę i w drogę ruszam.

– Co się stało? – spoważniał Debren. – Chyba nie... nie powstanie?

– Bunt, chciałeś powiedzieć – poprawił chłodno grubas i zsiadł z muła. – Daruję ci tę omyłkę, bo staromowa to jednak nie irbijski, więc przyjmuję, żeś po prostu błąd językowy popełnił. Unikaj takich jednak na przyszłość.

– Wybaczcie.

– Wybaczam. Popilnuj moich mułów, jak już tu siedzisz i baki zbijasz.

– Zgaduję, że bunt nie wybuchł. Można wiedzieć...

Nie można było wiedzieć, ponieważ gruby wpadł do karczmy, głośno domagając się wina. Ktoś zatrzaskał drzwi i Debren został sam na sam z dwoma znudzonymi mułami. Nie wyglądały na zajeżdżone z pośpiechu, co dobrze wróżyło. Bunt, który tutejsi nazwaliby powstaniem, najwyraźniej nie wybuchł i istniało duże prawdopodobieństwo, że spóźniona barka dowlecze się jutro do przystani jeszcze jako barka, a nie rzeczny okręt pomocniczy niepodległego Depholu.

Zabił czternaście komarów i przymierzał się do piętnastego, kiedy gruby giermek zjawił się ponownie na ganku.

– Za takie siuski płacić nie będę! – przekrzyknął jazgot karczmarzowej. – A w ogóle to zamilcz lepiej, babo niewdzięczna! My z panem moim pierś za was nadstawiamy, z potworami się potykamy! I taka wdzięczność nas spotyka! Kutwy depholskie, dusigrosze! Żegnam! Noga moja więcej tu nie postanie!

Trzasnął drzwiami, zszedł na dół, zaczął odwiązywać uzdę

od belki.

– Wypadałoby zapłacić – powiedział od niechcienia Debren.

– Nie ucz mnie, mądrało. Nie po to król nasz nieboszczyk krew przelewał i tę smrodliwą prowincję pod swe berło przyjmował, żeby teraz porządny Irbijczyk musiał ostatnią koszulę pazernym tubylcom oddawać.

– Pewnie nie – zgodził się magun. – Ale też wiele tej krwi monarcha nie naprzelewał. Może trochę z księżniczki Zdelajdy, co mu w posagu Dephol wniosła, choć i to wątpliwe, bo młódka z niej już wówczas nie była.

– Jak śmiesz komentować politykę dynastyczną naszego tragicznie zmarłego króla? Cholera, gdybym się tak nie spieszył, to wziąłbym cię za kark i zawlókł do komendy garnizonu. – Wdrapał się na siodło, postępując pod ciężarem brzucha. – A, co mi tam,.. Chodź no tu, obwiesiu. I tak chyba muszę na zamek zajechać, to cię śledczym podrzucę. Mają tam pewnie tłumaczy, co to psie szczekanie tubylców rozumieją, a ja muszę koniecznie języka zasięgnąć.

– Może ja wam pomogę? – zapytał Debren, nie ruszając się z ławki. – Gorąco dzisiaj, łązić się nie chce. A przy zamku fosa jest, w niej komary od żab większe. O szubienicy nie wspominając. To kraj niewdzięczników, więc pewnie nie zdjęli tego trupa, com go przedwczoraj widział. A już wtedy cuchnął tak, że nos wykrzywiało. Przykład dawał, jak buntownicy kończą.

– No, nie wiem... Czarownika, co tu na stacji stanął, pewnie nie widziałeś?

– Czarownika?

– Ponoć zatrzymał się tu jeden z tych bezczelnych wydrwigroszy. Szukam go. Mój pan potrzebuje... hmm... powiedzmy, że medyka potrzebuje. Na czarach się znajdujęgo.

– Ktoś został ranny? – Debren zapomniał o samoobronie i jakiś komar dziabnął go w kark. – Może lepiej poszukać zwykłego lekarza? Nie brak ich tu i są całkiem...

– Zwyczajny lekarz nie jest nam potrzebny – uciął giermek. – Pan mój domaga się stanowczo, by dostarczyć mu szybko czarnoksiężnika, a najlepiej maguna. Bo przypadek nieko... niekon... no, niezwykle jest i syntezy wymaga.

– Analizy.

– Co? – Grubas zmarszczył brwi. – Ty mi tu nie świntusz, dobrze? Tfu, plugawce depholskie! Lizać mu się zachciało, patrzcie go. Wam się tu chyba wszystko z tą ohydą kojarzy: człek o poważnych problemach prawi, a ten mu o miłości anali... Tfu, ohyda! Nic dziwnego, żeście niepodległość w łóżku stracili, z krwią Zdelajdy, a nie w polu, jak Bóg przykazał. Chyba cię jednak do komendantury... Hej, a cóż to? Złaż z tego muła, obwiesiu!

– Jedźmy – powiedział spokojnie Debren. – Masz robotę dla maguna, a ja nie mam gotówki. Nie traćmy czasu. Niektóre analizy wymagają go sporo, a jutro odpływa moja barka. No, nie gap się tak. Szukałeś maguna, więc znalazłeś.

\*\*\*

Za rogatkami zjechali z grobli. Miała z pięć stóp wysokości, a i tak widok z niej roztaczał się jak z zamkowej wieży, którą po to stawiają, by na całą okolicę dało się patrzeć z góry. Okolica była płaska jak tafla jeziora, a teraz także do jeziora coraz bardziej podobna. Bujne łąki z wysoką trawą przypominały moczary pokryte zielonym dywanem rzęsy, wiele pól tonęło w błocie, a w rowie melioracyjnym ryczała rozpaczliwie jedna ze sławnych wysokomlecnych krów rasy depholskiej, która próbowała przejść na mniej podtopione pastwisko i ugrzęzła w błocie.

Debren jechał za grubym giermkim i rozglądał się, szukając dziury w wałach. Sam późnowiosenny przybór Wody w rzece Nirha nie tłumaczył tak katastrofalnej powodzi. Rozglądał się też za tłumem ludzi latających wyrwę czy przynajmniej ciągnących z wozami, łopatami i faszyną gdzieś,

gdzie doszło do nieszczęścia. Bo nieszczęście się zdarzyło, bez dwóch zdań. Jak okiem sięgnąć, pod wodą gniły dziesiątki łanów zbóż i warzyw, świeciły pustką łąki, pełne zazwyczaj bydła, a w nieckach terenu komary mnożyły się radośnie i w sposób niepohamowany. Lato musiało przynieść falę malarii, a jesień – głód.

Mlascząc kopytami w czarnym bloku, minęli pierwszy z szeregu wiatraków. Na starej kamiennej podmurówce wymazano pomarańczową farbą po irbijsku hasło: „Dobra Irbijczyk to matrfa Irbijczyk”, które ktoś skomentował na czarno: „Martfy Irbijczyk to dziesienciu martfych tóbylcuf. I naócz się pisatś w mowie Panóf”. Wiatrak, choć zamieszany w politykę, miał się dobrze. Obracał krzyżem szerokich, pozieleniałych gdzieniegdzie łopat i leniwie postukiwał pompą. Drugi podobny wiatrak stał w ruinie, obrośnięty trawą i przekrzywiony. Widać było, że zabił go podeszły wiek i ekonomia. Drogie, murowane wiatraki, których nie dało się przenieść w inne miejsce, stopniowo wychodziły z użytku. Debren podróżował w stronę Nirhy z taborem przedsiębiorcy budowlanego, który specjalizował się w robotach melioracyjnych i nieźle posługiwał się staromową, więc zdążył liznąć trochę wiedzy w tym zakresie. Przyszłość, jak tłumaczył budowlaniec, należy do drewna i gwoźdźcia, a to za sprawą bujnego rozwoju handlu morskiego, flisactwa i metalurgii opartej na magii i węgla. Murowane wiatraki przetrwają wprawdzie, ale tylko w charakterze młynów i pomocniczych stacji pomp odwadniających dobrze osuszone poldery w szczególnie wilgotnych latach. Wyrywaniem morzu nowych terytoriów na rozległych depresjach Nizu Depholskiego zajmą się lekkie, łatwe do demontażu wiatraki, którym eksperci wróżą wspaniałą karierę. Kiedyś może nawet obrotowe, dające się ustawiać w linii wiatru, co zwiększy ich moc i wydłuży czas efektywnego wykorzystania. Sugestię Debrena, że być może uda się następny krok i wiatrak obrotowy, napędzany

systemem przekładni i parą wołów, da się zastąpić samoobrotowym, funkcjonującym na zasadzie wieżowego kurka, mistrz budownictwa wodnoładowego dobrotnie wyśmiał jako zbyt fantastyczną.

Tak czy inaczej drewnianych wiatraków widywało się na kolonizowanych ziemiach coraz więcej. Tuż za resztkami dawnej przystani rybackiej, otoczonej teraz ze wszystkich stron zagonami marchwi i kapusty, Debren dostrzegł zwęglone belki, kamienne łożyska i stertę żelaznego złomu pochodzącego z okuć drewnianych elementów przekładni. Wiatrak musiał być staromodny, wznoszony z myślą o staniu w miejscu, a nie przewożeniu z jednego mokradła na drugie, bo wszystko przysypane było tłuczoną dachówką. Czerwone okruchy ceramiki leżały na pogorzeli, co sugerowało, że najpierw spaliła się budowla, a dopiero później runął dach. Znajomy przedsiębiorca żalił się Debrenowi, że wiatry sztormowe często przewracają wiatraki, czemu może towarzyszyć zderzenie części metalowych z kamiennymi, krzesanie iskier i pożar, ale to najwyraźniej nie był ten przypadek.

Przy drugim spalonym wiatraku Debren zaczął się zastanawiać. Przy trzecim, milę dalej, doszedł do wniosku, że być może nie wyrwa w wałach jest przyczyną podtopienia pól, a pewnie i piwnicy w „Złotym Bażancie”.

Minęli jeden z nielicznych w tych okolicach lasków, bardziej skupisko krzaków i wybujałego zielska niż las. Przez drogę niezdarnie przekicał oblepiony błotem zajęca. Zapachniało świeżym dymem i zwierzęcym nawozem. Na ścieżce biegnącej na północ, ku grobli, widać było ślady pozostawionych przez wóz kolein oraz odciski kopyt.

– Oho, chyba grabarze zajechali – powiedział giermek. – Rzućmy okiem. Tym łajdakom lepiej patrzeć na ręce.

Za jabłkowym sadem stał nieduży domek, parę budynków gospodarczych i coś, co do niedawna było wiatrakiem. Teraz

z wiatraka pozostała podłoga, koło czerpakowe i dolna część mechanizmu przekładniowego. Cała reszta albo runęła, albo została odbita od szkieletu ciężkimi młotami i załadowana na zaprzężony w dwa woły wóz. Czterej umorusani mężczyźni, cali w pocie, drzazgach i kurzu, odpoczywali przy niewielkim ognisku. Popijali, a jeden skubał świeżo zarżniętą kurę.

– Tak myślałem! – wrzasnął giermek, wjeżdżając na podwórko. – Hieny cmentarne! Wydrwigrosze! To za to srebro bierzecie?

Debren starał się zrozumieć. I trochę nawet rozumiał. Drzwi szopy, służącej chyba za warsztat właścicielowi wiatraka, kołysały się lekko od podmuchów słabej bryzy. W środku, choć dochodziło południe, widać było palącą się lampkę łojową i dwie nogi w wysokich impregnowanych butach. Nogi nie dotykały polepy, choć niewiele im brakowało, a obok leżał przewrócony stół.

– Pan Sansa?! – ucieszył się nieszczerze najstarszy i najdostatniej odziany z raczących się piwem. – Jaki miły widok!

– Darujcie, że nie powiem tego samego – rzucił opryskliwie giermek, – Ale zbyt mi dobro mego pana na sercu leży, by radowało mnie spotkanie z ludźmi, którzy bezczelnie go okradają. Czekam wyjaśnień, panie Vanringer, choć wyłącznie przez wrodzoną naiwność, bo z tego, co widzę, żadne wyjaśnienia nie są potrzebne.

Vanringer, szczerząc przymilnie zęby, przesunął się najpierw w prawo, by zasłonić tego z kurą, a potem w lewo, gdzie stał wóz. Dopiero teraz Debrena zastanowiła kolorystyka całej grupy. I ludzie, i woły, i nawet masywny, starannie wykończony pojazd odbijali się od radosnego zielonego tła czernią strojów, sierści i farby. Przy czym nie wyglądało to ani na gromadkę podróżujących po cywilnemu mnichów, ani na szajkę nocnych złodziejasków.

– Doprawdy nie rozumiem, co macie na myśli, panie Sansa

– oświadczył z lekką urazą Vanringer. – Bo chyba nie tę kurę, co ją Pieta troskliwie do piersi tuli? – Rosły, ale też dość bystry osilek przestał chować kurze zwłoki za plecami i z niewyraźną miną świeżo upieczonego ojca przycisnął je do brzucha. – Chyba nie przyszło wam do głowy... Nie, to śmieszne. On, widzicie, strasznie wrażliwy jest na cierpienie i śmierć; od razu się, pocziwiec, rozczula. Ratować pewnie ptaszynę chciał, przez lisa zduszoną.

– Wrażliwy? W tym fachu?

– A żebyście wiedzieli! Z początku też nosem kręciłem na takiego czeladnika sentymentalnika, bom starej daty jest, ale teraz już wiem, że tak właśnie trza. Jak klient łyzy w oczach widzi i cierpienie szlachetne na gębie, to mniej się na ceny krzywi.

– A pierze pewnie z rozpaczy darł, hę?

– Panie giermek, wyście wojenny człek, to i macie prawo na subtelnościach naszej profesji się nie znać. Ale tyle wam się chyba o uszy obilo, że darcie wszelakiego typu silnie się z rozpaczą wiąże, i to od wieków pradawnych. Tak oto włosy z głowy sobie niewiasta wydziera, gdy męża zmarłego żegna, zaś mężczyzna brodę szarpie i wąsy, gdy go nieszczęście dotknie. A płaczki co czynią na potrzebie? Drą się!

– Słuchaj no, Vanringer, tobie chyba się wydaje, że z panem moim mówisz. A tak nie jest. To ja, Sansa zwany Chudym. Nie żaden rycerz błędny, jeno giermek twardo na ziemi stojący, choć w siodle chwilowo. Mnie tak łatwo w pole nie wywiedziesz. Pijecie też z rozpaczy? Wszyscy? Jeden wrażliwy... niech będzie. Powiedzmy, Ale cała firma?!

Debren patrzył na narożniki skrzyni wozowej. Były okute polerowaną, a może nawet srebrzoną blachą i ozdobione głowicami, już bez dwóch zdań krytymi srebrem. Te z przodu wykonano w formie kół popiątnych, tylne miały kształt ludzkich czaszek. Spora część ozdób i nadwozia zdemontowano, ale magun zaczynał domyślać się, do czego



służył wóz. Nie był tylko pewien, czy służy nadal. Na przycywilizowanym Wschodzie wielce popularne były bankructwa, a na licytacjach można było kupić względnie tanio zupełnie nieprawdopodobne rzeczy.

– To się nazywa stypa polowa – wyjaśnił Vanringer bez mrugnięcia okiem. – Połączona z toastem ku czci poległego przeciwnika, któren, chociaż wróg, dzielnie wszelako stawał i uhonorowany być powinien. Jako sławny wojownik ten akurat zwyczaj rycerski znać powinienieś.

Sansa zasapał, poczerwieniał na twarzy i bez tego rumianej.

– A te rury na wozie?! – wymierzył oskarżycielsko palcem.

– Przekładnie ze stali hartowanej?! Wszystko, co najcenniejsze w wiatraku było?! Za durnia mnie masz?!

– Niepotrzebnie tak się podniecacie – oświadczył spokojnie Vanringer. – Nie moja to wina, że koszty dodatkowe ponoszę, po tych błotach woły i wóz ciągnąc. Wierzcie mi, że żadna to dla nas przyjemność, o korzyściach nie mówiąc. Ale po ostatnim pow... buncie, rzecz chciałem, przepisy sanitarne drastycznie zaostrzono, bo buntowników takie masy legły, że z trupich jadów zaraza wybuchła. Ha, złoty czas to był – uśmiechnął się błogo – a obroty, mój Boże... No, ale każdy kij ma dwa końce i zawsze którymś człek po łbie oberwie. Owóz dekretem wicekróla samego ustanowione zostało, że gdy masa trupia łączna, znaczy ludzi, koni i bydłał maszyny wojenne ciągnących, dwadzieścia cetnarów przekracza, wnętrzości padliny wyjęte mają być i na wskazany teren przewiezione. Tam, przez biskupa lub równego mu rangą skropione, szkód dużych już nie uczynią, a i pożytek dadzą, szcurów z grodu odciągając. No więc my, ludzie praworządni, kiszki i flaki owego wiatraka wywozimy. Z bożym błogosławieństwem bez ochyby, bo na tym trupie wiatracznym nieźle kuria, a więc i Pan nasz zarobi.

Debren znów nie rozumiał. Zaczął przyglądać się podejrzliwie twarzom czarno odzianych pomocników

Vanringera i ich porozpinanym dla ochłody szatom. Błysk fanatyzmu w oku albo odwrócone koło na piersi wiele by tłumaczyły. Na Wschodzie modne się ostatnio porobiły różne dziwaczne sekty. Chociaż, prawdę mówiąc, o takiej, co karawanem złom porozbiórkowy wozi, dotąd nie słyszał.

– Dobrze, Vanringer – powiedział Sansa zwany Chudym. – Widzę, że bezczelności ci nie brak i z niejednego potrafisz się wyłgać. Ale z tych desek, co na wierzchu leżą, to się już, depholski krętaczu, nie wyłgasz. W wiatraku też na wierzchu były. I pod dekret sanitarny za cholereę nie podlegają. Ha! Co ty na to, oszuście?

– To, żeś nie słuchał, jak się z twoim rycerzem umawialiśmy. Wino żłopałeś, które ci nieopatrznie córka moja podała, choć dla klientów jest, a nie dla ich pacholków.

– Giermków, drażdziuro jeden! Giermek jestem!

– Giermek prawą ręką pana swego jest, broni go przed popełnieniem głupstw i radą dobrą wspiera. A wy co robicie, Sansa? Judzicie, na ludzi uczciwych szczujecie, i to głupio. Bo jak ze mną umowę zerwie, to co mu zostanie? Samemu za łopatę się chwycić? Szlachcicowi?

– Uczciwego przedsiębiorcę pochówkowego znajdziemy!

– Nie tu, panie Sansa, nie tu. Nikt z wami gadać nie zechce; nie po tej masakrze, co ją wielmożny rycerz błędny urządził. Może i w naszym cechu o hienę cmentarną łatwiej niż w innych, ale za to z durnej brawury nie słyniemy. A patrioci już rozgłosili, że kto z wami trzyma, renegeację czyni i beknie za to głośno i boleśnie. Ja umową jestem zobowiązany, to się wybronię, bo jak się ugadywaliśmy, tom nie wiedział, że sprawy tak daleko zajdą. Ale teraz wszyscy już wiedzą. I klnę się, że chętnych do pracy nie znajdziecie. Zwłaszcza że prognozy wrózek dobry sezon zapowiadają, może pomór nawet, a głód to prawie na pewno, więc przymusu ekonomicznego w naszej branży nie czuć. Kantory same się z kredytami pchają. Koniunktura.

– To łazików z gościńca skrzyknę – nie dawał za wygraną giermek. – Za pół waszej stawki pobojojwisko uprzętną.

– Tak? – wziął się pod boki Vanringer. – Bez papierów? Zezwoleń? Pokropku? Narazając gminę, a może i cały Dephol na wybuch epidemii? Amatorów do grzebalnej roboty brać chcecie? To ludobójstwo!

– Eee tam...

– I przestępstwo – dodał Vanringer. – Gardłem karane.

Sansa zmarkotniał. Zabrakło mu konceptu. Debren, trochę urażony ciągnącym się przez całą drogę, wyniosłym milczeniem giermka, nie litował się nad nim zbyt. Ale w obejściu byli nie tylko czarno odziani i skłócony z nimi giermek.

– Tam wisi człowiek. – Pochylił się w kulbace, wskazał ręką. – Nie moja sprawa, ale jeszcze parę desek i nie zmieści wam się na wozie.

– Co? – zdziwił się szef grabarzy. – Że jak? Kto to jest, Sansa?

– Medyk – odpowiedział wstrzemięźliwie giermek.

– Medyk? Jeszcze jeden? I ty mi parę marnych groszy żałujesz? Na epidemię straszliwą narazacie ludność niewinną, a sami za ciężkie dukaty drugiego szarlatana sobie sprowadzacie?

– Nie wasza to sprawa – rzucił wyniośle Sansa. – A co do tego wisielca w szopie, to mistrz Debren praw jest. Ruszcie wasze tłuste od nieróbstwa depholskie tyłki i na wóz go przenieście, póki jest miejsce. Trup to ewidentny; stąd słyszę, jak muchy przy nim brzęczą, a trupy to przecie wasz chleb. He, he...

– Za ile? – zapytał spokojnie przedsiębiorca pochówkowy.

– Żadne „za ile”. Umowę macie. Pobojojwiska uprzętnacie z trupów. Walka tu była, trup jest. Czego jeszcze byście chcieli? Premii ekstra?

– Walka była i trup jest – zgodził się Vanringer. – Ale

niebojowy. Widać, że się gospodarz w nocy obwiesił, z rozpaczą pewnie.

– Bo warsztat pracy stracił – wskazał resztki wiatraka giermek. – Czyli kwalifikuje się jako ofiara działań bojowych. Jak ranny, przykładowo, co parę dni po bitwie zemrze.

– A łajno! – postawił się grabarz. – Pole miał, z wiatraka tylko dodatkowe dochody czerpał! I żona mu, suka, z trubadurem uciekła! Więc nie wiadomo, czemu się na życie targnął! Więc pod umowę nie podpada i jak chcecie, byśmy go grzebali, to płąćcie!

– A łajno! – Sansa szarpnął wodzami, zawracając muła. – Chodź, Debren. Nic tu po nas w tej padlinożernej kompanii.

– Zaraz. – Magun nie tknął cugli. – Mistrzu Vanringer, czy nie możesz rozszerzyć zakresu usługi i pochować gospodarza? Przecież nie może tak tu wisieć.

– W tym dowcip, że może. Jego posiadłość, jego sznur, jego szyja.

– A co z waszą etyką zawodową?

– Etyka etyką, a ja jego wzorem za szyję wisieć nie zamierzam. Jak bez zgody kogoś z domowników albo władzy przez próg cudzego domu przejdę, za złodzieja mogę być uznany. Dzięki, nie dla mnie. A pochówek to droga rzecz. Miejsce trzeba pod grób opłacić, dół wykopać na stóp sześć i pół. W tym błocie, co je wszędzie dookoła widzicie. Nie dalej jak w marcu dobry grabarz mi się przy takiej robocie utopił, bo zimno było, woda po uda, no i za mocno się winem rozgrzewał, nieborak. Przysnął, woda się podniosła i poległ chłopina na posterunku pracy. Nie, panie medyk. Nasz zawód bezpieczny nie jest, bo na cmentarzu, przy nadgodzinach głównie, i upiór się trafi, że o jadach trupich nie wspomnę. Więc i za darmo pracować nie możemy. Rodziny na utrzymaniu mamy, liczne w dodatku, bo jak się człek na tyle truposzy w robocie napatrzy, to i niechcący, sam z siebie zaraz nowego dzieciaka swej babie majstruje. Więc poczekać trzeba.

Ktoś na tej chałupie łapę położy, spadkobierca zawsze się znajdzie, to wtenczas zlecenie do firmy wpłynie i legalnie trupa obetnem. Teraz nie da rady.

– Wiecie – powiedział Debren, patrząc Vanringerowi w oczy – że z tego upiór będzie. Albo duch przynajmniej.

– Pewnie tak – zgodził się z powagą człowiek w czerni. – Pewnie będzie. Ale ja, widzicie, daleko stąd mieszkam.

\*\*\*

Tym razem dym niósł przyjemny zapach. Mięsa smażonego z cebulą i wywaru z mięty. Wywar miał pewnie ugasić czyjeś pragnienie, ale Debren wstrzymał muła przed zakrętem ścieżki i dwa czy trzy razy przełknął ślinę przez wyschnięte nagle gardło. Mięta nadal przypominała mu kogoś, kto nie chciał rozmawiać o źle gojących się ranach. Wspomnienie bolało.

Za kępą zdziczałego bzu był staw, a za stawem, otoczony kwiatami i warzywnikiem, stał wiatrak. Nowy, częściowo tylko pomalowany tanią szarą farbą, częściowo zaś połyskujący żółcią i brązem surowych desek, którymi obito szkielec. Morska bryza, dmuchająca wzdłuż doliny Nirhy, niosła od jego strony zapach żywicy i sosnowego lasu. Obok, przytulona do boku wiatraka, stała koślawa budka, niewiele większa od psiej, Była za ciasna, by oprócz posłań pomieścić palenisko, więc Debrena nie zaskoczył widok ogniska przed koślawymi drzwiami oraz kuchni w postaci paru wbitych w ziemię kijów, na które nasadzono garnki. Jeden garnek wisiał nad ogniem i dymił. Cokolwiek do niego włożono, teraz była to niejadalna spalenizna.

Przy ognisku na ładnym malowanym stołeczku siedziała skulona, zapłakana kobieta. Nie próbowała ratować resztek obiadu. Stojący obok mężczyzna w przybrudzonej, ale dość porządnym ubraniu roboczym, też nie zwracał uwagi na uchodzący z dymem posiłek. Pełnym rozpacz i bezsilnej

nienawiści wzrokiem wpatrywał się w gromadkę intruzów.

Składał się na nią dwukołowy wózek zaprzęgnięty do konia pociągowego, drugi koń, trochę przyciężki wierzchowiec rycerski okryty czerwono-żółtym kropierzem, nieduży rudy osobnik, kojarzący się z domokrażcą, oraz najważniejszy w tym towarzystwie wysoki chudy rycerz ze spiczastą bródką, modną na Południu. Obaj kryli się przed komarami w dymie drugiego ogniska, przy czym rycerz sącył miętowy wywar zaczerpnięty chochlą z kociołka, zaś domokrażca kończył smażenie wieprzowiny z cebulą.

– Jestem, panie! – zawołał z daleka Sansa, po raz pierwszy podczas całej jazdy waląc piętami w brzuch wierzchowca. Chyba wiedział, co robi, kiedy nie walił, bo muł obraził się, stanął w znamionującym upór rozkroku i mimo paru kolejnych szturchańców ani drgnął. – Pędziłem jak wiatr, by zdążyć!

– Tak – mruknął na pozór do siebie rudzielec. – Na obiad.

– Widzicie go, psiego loga – splunął pogardliwie giermek. – Mędrka zakichanego.

– Psycho, Sansa, psychologa – poprawił spokojnie rudowłosa. Dopiero podjechawszy bliżej, Debren zauważył srebrzysty nalot na marchewkowej czuprynie i drobne, za to liczne kurze łapki w kącikach jasnych oczu. – Tak się owa profesja w staromowie nazywa. Współcześnie bardziej popularne jest określenie „duszysta”. Jako że duszą ludzką się w gruncie rzeczy zajmuję.

– Patelnią się lepiej zajmijcie, Def Groot, bo mięso spalicie, jak ta tam baba kaszę. I jak ta baba gorzkimi łzami przyplacie swe gapiostwo.

Zsiedli z mułów. Sansa, giermek najwyraźniej z gatunku polowych, a nie pałacowych, o formach towarzyskich zapomniał i zajął się wiązaniem uzdy do gałęzi. Debren, widząc wyczekujące spojrzenie rycerza, podszedł sam i skłonił się nieznacznie.

– Pozwólcie, że się przedstawię. Debren z Dumayki jestem, magun. Ponoć szukacie maguna.

– Owszem, choć wielkich nadziei sobie nie robiłem. – Rycerz, mimo iż chudy jak szczapa, co pozory wątłości stwarzało, głos miał niski, dudniący. Jego staromowa miała zabawny akcent, lecz była poprawna. – Coraz trudniej o was, zwłaszcza jak kto po gościńcach szuka. Miło poznać, mistrzu. Jestem rycerz błędny Kipancho y Kipancho z Lamanxeny. Nie traćmy czasu. Nie godzi się przedłużać bez potrzeby cierpienia jakiegokolwiek istoty, choćby i nikczemnej. Zgadzasz się ze mną, mistrzu?

– W pełni. – Debren pobiegł śladem spojrzenia ciemnych i dziwnie smutnych oczu rycerza. – Masz na myśli tych ludzi? To pompiarz i jego żona, prawda?

– Ludzi? – Gęste, posiwiałe brwi uniosły się lekko, przydając długiej twarzy rycerza wyrazu roztargnionego zdziwienia. – O jakich ludziach... A, ci tutaj...

Wzruszył ramionami, wyprowadzając Debrena z pierwszego błędu. Był chudy po granicę zagłodzenia, ale jego powyginana, mocno staromodna zbroja płytowa z polerowanej blachy należała do grupy najcięższych, typowo kawaleryjskich, i trzeba było nie lada krzepy, by pozwolić sobie na podobne gesty. Niektórzy badacze zajmujący się stykiem historii, kultury i sztuki skłaniali się nawet ku tezie, że od rozpowszechnienia się tego typu zbroi rozpoczął się bujny rozwój poezji, liryki i krasomówstwa późnego wczesnowiecza. Dowodzili, nie bez racji, że ówcześni Viplañczycy, kurduple po pięć stóp mierzące, a i to w ciżmach z obcasem, w płytowy pancerz upchani, przygnębiająco nieruchawi byli i fatalne wrażenie robili zarówno na damach, jak i pospółstwie. Chcąc podbić niewieście i podli danyh serca, musieli nadrabiać ogólną sztywność giętkością języka i wykwinnością mowy.

– To nie ludzie – pospieszył z wyjaśnieniem rudzielec. Jego staromowa pobrzmiwała wyraźnym akcentem ludów

Pólnocy. Mógł być Wehrleńczykiem, Draklenem, a nawet Anvashem, ale sądząc z nazwiska, urodził się gdzieś tu, w Depholu, – To niewolnicy nieszczęśni, czarem zgubnym opętani. Pan Kipancho przy okazji uwolni ich, ale to sprawa drugorzędna. Nie zaprzatajcie sobie nimi głowy. Nie są ważni.

Debren zerknął na gospodarza, zaciskającego pięści aż do pobielenia kostek, i przyznał rację Def Grootowi. Ważny człowiek robi to, co uważa za stosowne, a pompiarz bez wątpienia uważał za stosowne poprzetrącanie intruzom możliwie wielu kończyn. Wszystkim, od rycerza poczynając, a na skubiącym trawę mule kończąc. Ale był tylko dzierżawcą, a w najlepszym razie właścicielem wiatraka, więc stał obok zapłakanej żony i bezsilnie zaciskał palce.

– A co jest ważne?

– On. – Opancerzone ramię uniosło się bez wysiłku, choć z pochrzęstem, i wskazało wiatrak. – Mam z nim kłopot, panie Debren. Dlatego po was posłał.

Debren przyjrzał się wiatrakowi. Budowla była nowoczesna, lekka i oszczędna, lecz raczej z tych tanich. Wieża kryjąca mechanizmy miała może tuzin stóp szerokości i zbliżoną głębokość, a spadzisty dach zaczynał się cztery sążnie nad ziemią. Układ skrzydeł był klasyczny, krzyżowy, choć łopaty odbiegały konstrukcją od tych, jakie widział po drodze w starych murowanych wiatrakach. Wykonano je z listwowych kratownic, obitych delikatnymi, cienkimi deseczkami, a na dodatek poszycie nie tworzyło bynajmniej jednej płaszczyzny, tylko jakiś dziwaczny wydęty płat, kojarzący się z wąskim żaglem lub ptasim piórem. W projektowaniu wirnika maczał bez wątpienia palce jakiś czarodziej lub inżynier, więc Debrena nie dziwiło zbyt, że skrzydła stoją nieruchomo jak przyklejone, choć wiatr dawał się wyczuć, a woda zalewała całą okolicę. Wymyślne nowinki czarodziejów lub techników nad wyraz często przestawały działać, gdy tylko opuściły mury pracowni.



Dach wiatraka nie był jeszcze skończony, od południa było w nim kilka nie przykrytych deskami szczerb. W jednej z nich na łączącej krokwie listwie siedziała dziewczynka w burej sukience. Dziesięcioletnia z grubsza.

– Tam jest dziecko – powiedział trochę niepewnie Debren.

– Na górze. Jak spadnie, to się zabije.

– Widzę, że naprawdę się znacie na wiatrakach – uśmiechnął się złośliwie rudy. – Trzeba nie lada fachowca, by tak od razu to stwierdzić. Na medycynie też się musicie znać, i to perfekcyjnie. Przeciętny medyk, jak go pytają, co będzie, to jeno mądre miny robi, coś uczenie mamrocze i gada o wielkiej złożoności procesów życiowych. A tu proszę: szast, prast! i stoi jasna, jednoznaczna diagnoza. Spadnie smarkula, to się zabije. Brawo.

– Pan Sansa sprowadził mnie tu do jakiejś roboty – stwierdził chłodno Debren. – Może o niej pomówmy. Zgaduję, że nie o zdjęcie dziewczynki z dachu chodzi.

– Nie – pokręcił głową Kipancho. – Problem jest dużo bardziej skomplikowany. To dziecko, panie magun, znajduje się pod złym urokiem podstępnego potwora. I zginie, jeśli popełnimy choć jeden mały błąd.

– Potwora? – Debren rozejrzał się zdziwiony. – Tu gdzieś jest potwór?

– Patrzycie na niego – uśmiechnął się melancholijnie Kipancho. – Dziewczynka siedzi na jego głowie.

\*\*\*

– Smakowało? – zapytał Def Groot i sam sobie odpowiedział: – Widzę, że smakowało, A mówiłem, że warto usiąść, pomyśleć chwilę, skosztować mojej kuchni. Pochopne decyzje nigdy mądre nie są. A już te na pusty żołądek Bo zupełnie głupie. Sansa, odłam jeszcze kęs chleba. Widzisz, że mistrz łakomie na tłuszcz zerka, a lizać miskę mu głupio. To co, panie Debren? Zdanie zmieniliście?

Debren wytarł starannie drewniany talerz, przeżuł pachnący pieczenią chleb. Porcja była średnia, ani duża, ani mała, w sam raz na regularnie napełniany brzuch. Czyli trochę za skromnie dla niego. Ostatnio więcej jeździł i pływał niż jadał. Podróże może i staniały, o czym trąbiły na prawo i lewo firmy obsługujące pielgrzymów, ale za to o bezinteresowną gościnę czy dorywczą pracę było coraz trudniej. Nie rozpieszczał się sutymi posiłkami już od dobrych dwóch tygodni, więc chętnie zjadłby więcej. Więcej jednak nie było. Pozostawało uzupełnienie pustki w żołądku gorącym, lekko słodzonym napojem.

Siedział po gorszej, nawietrznej stronie ogniska, gdzie nie było dymu, za to były komary. Jadł cudownie aromatyczną pieczenię. Więc zapomniał. Opar z podanego kubka uderzył go jak pięść dzuma, wyskakującego nagle z butelki.

– Niewiasta? Babę wam zapach przypomina?

Uniósł twarz, posłał pełne niedowierzania spojrzenie lekko uśmiechniętemu rudzielcowi.

– O czym mówicie? – Chciał, by zabrzmiało to szorstko, ale ta cholerna mięta zrobiła coś niedobrego z jego strunami głosowymi.

– Niewiasta – pokiwał głową Def Groot. – Pewnie wiedźma zielarka, co? Te są najgorsze. Rurowałem kiedyś jednego kupca, co w puszczy pobłądził i w gościnie u takiej na dwa dni stanął. Do dziś nie wiem, czym go tak omotała: lubczykiem, czarami czy może urodą, wiedźmim sposobem podrasowaną. Alem pół roku nad biedakiem pracował, a i jak skończyliśmy, to zdarzało mu się ni z tego, ni z owego łzami zalewać. Rodzina pretensji nie wniosła, bo ze dwa razy kontrahentów tak tym przy targu zaskoczył, że z ceny zeszedli. Taa... Ciężki był przypadek. Wasz, na szczęście, tak poważny nie jest.

– Nie wiem, o czym mówicie – powiedział Debren, patrząc w trzymany oburącz kubek.

– Dobrze gotuję – uśmiechnął się zagadkowo Def Groot. –

Ale kucharzem nie jestem. Jako duszysta na chleb zarabiam. – Odstawił talerz, nie do końca wyczyszczony z mięsa. – A także na sery, szynkę, wino zacne. Nie mówię tego, by się przechwalać. Chcę tylko zwrócić twą uwagę na fakt, który zapewne znasz z własnego doświadczenia. Na tym świecie tacy jak my, nisko urodzeni, muszą dobrze robić to, co robią, by szynkę i ser winem zapijać. Nie daj się zwieść pozorom, patrząc na mój skromny wózek i starą zbroję pana Kipancho. On nie jest byle kim, a i ja nie byle komu świadczyć swe cenne usługi.

Debren zerknął na czwarty talerz, ani lepszy, ani gorszy od innych, za to z nietkniętą porcją, a potem do tyłu, na wiatrak. Chudy szlachcic, wciąż w pełnej zbroi, choć bez hełmu, stał z zadartą głową i przyglądał się nieruchomym skrzydłom.

– Wiem – mruknął, odwracając się z powrotem ku duszyście. – Wiem, kto to jest Kipancho z Lamanxeny. Czytałem o nim. Nie doczytałem się tylko, że to ktoś realny, z krwi i kości.

– Tak bywa z tymi, co genialnych poetów zainspirują.

– Pan Kipancho, ten z eposu rycerskiego... Darujcie, że chociaż krytyk ze mnie żaden, opinię swą wygłaszam, ale chyba odosobniona nie jest. To wzniosła postać, tragiczna i w symbole bogata, ale trochę... no...

– Szalona? – Def Groot uśmiechnął się wyrozumiale. Nawet nie spojrzął na Sansę, choć ten, jako lojalny giermek, powinien teraz albo zdzielić go miską, albo odstawić ją i pognać z donosem. No cóż, Def Groot był duszysta, którego stać na wino i szynkę. Znał się na ludziach.

– Mój pan to wariat – stwierdził bez ogródek Sansa, oblizując łyżkę. – Medycy obaj jesteście, to mogę wam to śmiało powiedzieć. Zupełnie rąbnięty wariat. Młotem bojowym, konkretnie. W bitwie pustynnej z temmozanami.

– Rozumiem – powiedział wolno Debren. – I twoją tu obecność, mistrzu Def Groot, i dziwne urojenia rycerza,

któremu wiatraki z potworami się mylą. Młot bojowy ćwierć cetnara i więcej waży; mało się takich spotyka, co cios w hełm przeżyli. Ale co ja tu robię, nie rozumiem. Z owym młotem wasz zleceniodawca dawno się zetknął, to widać. Do świeżej rany nieraz byłem wzywany, zwłaszcza w okolicy mało w medyków i balwierzy zasobnej. Do takich przypadków... nigdy.

– Nikt cię nie prosi, byś leczył Kipancha – uspokoił go i duszysta. – Choroby umysłu to moja działka, zwłaszcza że z przyczyn naturalnych zrodzone. Co prawda pacjent upiera się, że młotem poraził go w boju Czwororęki Mag z Saddamanki, ale nawet jeśli tak było, bezpośrednia przyczyna pomieszania zmysłów magiczna nie jest, bo młot był zwyczajny. Nie mówiąc o tym, że psychice rycerza bardziej chyba zaszkodziła panna Dulnessa Romez. Cztery razy od owego młota cięższa i proporcjonalnie szkodliwsza.

– Jej też poeta nie wymyślił?

– Poeta historię ubarwił i upiększył, ale to, co oś narracji stanowi, to prawda.

Debren jeszcze raz poszukał wzrokiem długiej, lśniącej blachami postaci. Nie znalazł. Kipancha, trochę nie po rycersku, podchodził chyba wroga od tyłu, od strony wału przeciwpowodziowego i leszczynowych zarośli. Gospodyni, zgarbiona i zapuchnięta od płaczu, zdrapywała spaloną kaszę z kociołka, dziewczynka siedziała na dachu, nieruchoma i nastroszona niczym jakieś brązowe ptaszysko, a pompierz zniknął.

– Czy panna Dulnessa żyje jeszcze?

– Jako panna? – uśmiechnął się po swojemu rudy. – Nie. Widzicie, panie Debren, dziewczęta, na których wspomnienie kubek z miętą w pewnej ręce dygoce albo wiatrak skrzydła w szyderyczym geście zgina, otóż takie dziewczęta szybko mężów znajdują.

Debren odstawił kubek. Był zły, bo wcale nie drżały mu

dłonie. Może trochę za mocno zaciskał palce na cynowej blasze, to wszystko.

– Na babach całkiem się nie znam – wzruszył ramionami. – rzeczą maguna jest użyte czary rozpoznawać i radę przeciw nim znajdować. Czasem nowe zaklęcia składać i szlifować, nim w świat pójdą. Ale ciosów zadanych w duszę cetnarową niewiastą nie leczymy. Takie przypadki kieruję do najbliższego zamtuza z dobrze zaopatrzoną w trunki piwniczką.

– Na sobie tej przemysłnej metody próbowaliście?

Debren przyglądał mu się chwilę w sposób mało przyjazny.

– Czytałem kiedyś o jednym rycerzu – powiedział pozornie niedbale – co wspomnienia przykre zabijał, kładąc trupem Bogu ducha winne wiatraki. Pewnie dlatego, że mieszanie skrzydłami powietrza uznał za bliskie mieszaniu się w jego intymne sprawy. Uważajcie, panie duszysto. Ta metoda może w kimś wzbudzić duże nadzieje, a tu wiatrak dyskretny jest, stoi z boku i nosa w cudze sprawy nie wtyka. Więc w kolejce do złożenia skóry wy na pierwsze miejsce się wysuwacie.

– Pozostańmy lepiej przy metodzie pana Kipancho. – Def Groot nie robił wrażenia przestraszonego. – Jeśli zamtuz i trunki nie pomagają usunąć zapachu mięty, to może spróbujecie ramię w ramię z rycerzem jakiegoś potwora ubić?

– Mówicie o wiatraku?

Duszysta pacnął się dłonią w kark. Ujął w palce zgniecionego komara, ale nie wrzucił do ogniska, jak parę poprzednich.

– Słyszałem o jednym badaczu robali, co to paskudztwo oskarżał o to, że diabła na grzbiecie wozi. Tenże przy ukąszeniu w krew człowiekowi wchodzi albo zwierzyńie, z czego choroby się biorą. Głównie trzęsionka, zwana też febrą albo malarią. Badacz, co ową dziwną teorię głosił, nim na złą drogę zszedł, magunem ponoć był. Czyli ani durniem, ani fantastą. I nie za to na stosie go spalili, że głupoty o komarach

opowiadał, a za to, że zwykle bagienne duszki z siłą piekielną pomylił.

– I że na czele komisji śledczej jeden biskup stał z gębą całą w krostach, bo na mokradłach często na kaczkę polował. Ponoć reszta sędziów, mocno argumentacją uczonego wstrząśniętych, dziwnie na wielebnego zerkała. Efektów diabelskiej działalności szukając. Znam tę historię. Młodych magunów na jej przykładzie uczą, by od diabłów i kapłanów z daleka się trzymali. Po co mi ją opowiadasz?

– Chciałem tylko zwrócić twą uwagę na fakt, że złe duchy i potwory mieszczą się w takim oto zwykłym, maleńkim robaczku. Więc dlaczego miałyby nie pomieścić się w dużym wiatraku?

– Komar to żywa istota.

– Skąd wiesz? Bo skrzydłami macha? Wiatrak też macha. Krew pije? Wiatrak też pije, tyle że wodę.

– Wiatraki się nie rozmnażają.

– A widziałeś kiedy komara w trakcie samorozmnażania? – Debren otworzył usta, by prawie od razu zamknąć je z powrotem. – No właśnie. Wiadomo, że z błot i wody stojącej wielkimi chmurami wylatują. Gdyby Bóg na ziemię z niebios spojrział, to co by ujrzał z owej wielkiej wysokości? Chmurę maleńkich wiatraczków machających skrzydłami jak Dephol długi i szeroki. A co to jest Dephol? Błota i wody. Dostrzegasz analogię?

– Zaczynam – rzucił przez zęby Debren. – I nie pojmuję, dlaczego po bezdrożach się włóczycie, wiatraki spokojnym ludziom niszcząc. Ten sam efekt, czy raczej brak efektu, można osiągnąć, siedząc pod karczmą i tłukąc packą komary. Kipancho to Irbijczyk, więc rozumiem, że los tubylców jest mu obojętny, ale dla was ta kobieta – wskazał czyszczącą kociołek gospodynię – przecież jest rodaczką. Nie żal jej wam? I tej dziewczuszki, co ze strachu na dach uciekła? Wiecie, że w tym poprzednim wiatraku, coście go nawiedzili,

właściciel się powiesił?

– Debren, ja jestem duszysta, a nie świata naprawiacz. Pomagam ludziom, co sami ze swymi troskami sobie nie radzą. Za pieniądze, bo to mój zawód. Temu pompiarzowi też bym pomógł, gdyby zamiast po sznur, po radę fachowca sięgnął. Ale teraz płaci mi rycerz Kipancho i to jego duszą schorowaną przede wszystkim mam obowiązek się zająć.

– Mało skutecznie to robicie. Widziałem po drodze trzy świeżo spalone wiatraki. I gromadę grabarzy przy czwartym, rozwalonym. Piąty jeszcze stoi, ale coś mi się wydaje, że Kipancho nie po to wokół niego krąży, by uroki architektury podziwiać. Założę się, że teraz rękawicę wiatrakowi rzuci i walkę zacznie.

– Nie zakładajcie się lepiej, bo przegracie.

– Może nie jestem zawodowym duszysta, ale trochę na ludziach się znam. Stawiam wszystko, co mam w gotówce, że zaraz którąś z tych owiniętych szmatami tyczek wyciągnie. Bo to nie żadne tyczki, tylko kopie. Z tych nowoczesnych, na trzy części składanych. W sam raz broń, jak kto chce się z wiatrakiem potykać.

– Presji ulegam i zakład przyjmuję – uśmiechnął się szerzej Def Groot. – Nie z chęci zysku, bo zawodowiec jestem i widzę, żeś golec. Ale dla dobra pacjenta złamię swe zasady i oddam się hazardowi. Bo też i żaden to hazard. Przegrałeś, czarodzieju. Dawaj sakiewkę.

– He?

– Rzuć okiem na przednią ścianę wiatraka. Tam, za najniższą łopatą wirnika. Widzisz? To nie sęk ani żadna techniczna nowinka. Ta nieładnie przełamana rura drewniana, ze ściany stercząca, to koniec ułamanej kopii. Walki nie będzie, Debren, bo walka, krótka, lecz piękna, już się odbyła. Gdybyś przyjrzał się śladom, dostrzegłbyś trawę stratowaną kopytami. O tam, widzisz? Sansa zadał przepisowo w róg, a Kipancho zaszarżował stamtąd, zza jabłonki.

Pierwszym ciosem sięgnął trzewi potwora i wyeliminował go z walki. Kopia pękła wprawdzie, ale spójrzcie: czwororęki już żadną ręką nie rusza. Pokonany został.

– Czwororęki?

– Tak Kipancho określa wiatraki. Sakiewka, Debren.

Debren, kręcąc z niedowierzaniem głową, wysypał na dłoń kilka miedziaków i jednego małego srebrnika.

– Bierz, twoje są. Nie wiem, jak je chcesz w dobro pacjenta obrócić, ale szczerze ci życzę powodzenia. Za poczęstunek dziękuję i żegnam.

– Poczekaj. – Def Groot poderwał się, widząc, że magun wstaje. – Nie możesz tak po prostu...

– Mogę – wyprowadził go z błędu Debren. – Tak po prostu. Jeśli przyczyn nie rozumiesz, to lepiej zmień zasady i zajmij się zawodowo hazardem, bo dupa jesteś, nie dusz ludzkich znawca.

– Czekaj, Debren, nie odchodź. Rozumiem przyczyny. Ale nie odchodź.

– Zgodziłem się tu przyjechać, bo ten hultaj o jakichś ranach związanych z magią bajdurzył. To robota dla maguna, jak fachowca lepszego pod ręką nie ma. Ale do wiatraków to sobie cieślę najmijcie.

– W tym wiatraku zły duch siedzi.

– I ty w to wierzysz? Widziałeś może tego ducha? Słyszałeś? Nie chrzań mi tu, Def Groot, z łaski swojej. Zwłaszcza że zarabiasz na owym hipotetycznym duchu.

– Jak będziesz w mieście, zajdź do pierwszej napotkanej świątyni. Zapytaj księdza, mniejsza o wyznanie, czy W Boga swego wierzy. Czy widział go może lub słyszał. Poproś, by nie chrzań, zwłaszcza że zarabia na...

– Myślałem, że kodeks cechowy zabrania wam popychania ludzi do samobójstw.

– A ja, że wasz nakazuje potrzebującemu pomóc, a zleceniu się przyjrzeć, nim się je odrzuci. Prawo zaś stanowi, że każdą



odmowę uzasadnić należy.

Debren wyładował złość na jakimś komarze wielkim jak latawiec. Duszysty rąbnąć nie mógł. Kodeks cechowy magunów zdecydowanie tego nie zalecał.

– Dobrze, niech ci będzie. Zanim zaczniesz się pocić i zachciankę szaleńca na rzeczowe zlecenie przekładać, cholernie dobre uzasadnienie ci podam. Jutro wsiadam na barkę rzeczną. Zadatek już wniosłem. Nie mam czasu włączyć się z Kipanchem i podnosić mu morale twierdzeniami, że z wiatraków wredne sukinsyny są i kopia w bebechy słusznie im się należy.

– Dukat – powiedział spokojnie Def Groot.

– Co: dukat? – wzruszył ramionami Debren. – Mówiłem, że jutro odpływam. Nie mam czasu gnąć tu tygodniami i na owego dukata zapracowywać.

– Dukat za jeden dzień pracy. Niecały – spojrzał na słońce duszysty. – Południe dawno minęło, a barka przed południem odpływa. Dwadzieścia klepsydr roboty, w tym sen, bo nocą Kipancho nie poluje. Pomyśl, Debren. To wychodzi po trzy grosze za klepsydrę. Robotnik tyle za trzy dni harówki bierze, a mistrz murarski za dzień.

– N... nie – powiedział niepewnie Debren.

– To zadatek za przejazd zapłacony sam barką popłynię, bez ciebie. Bo całą gotówkę do mnie przegrałeś.

– Mam jeszcze... – Urwał. Przypomniawszy sobie i dziesiętnika drabów miejskich, i właściciela „Złotego Bażanta” tłukącego głową o beczkę.

– No, to pojedliśmy – odstawił miskę Sansa – a teraz do roboty. Chodźcie, panie czarodzieju, pokażę wam, jaki mamy sprzęt i środki potworobójcze. Może coś się wam w diagnozowaniu przyda.

– Diagnozowaniu?

– Ano tak. Potwór, widzicie, pokonany został, ale cudem jakimś przeżył. I teraz pan mój nie wie, co z tym począć. Ktoś

musi sprawę zbadać i powiedzieć, co dalej robić. To właśnie wasza robota.

\*\*\*

– Skąd pewność, że żyje? – zaczął od najprostszej metody Debren. Stali z rycerzem na tyłach wieży, obok wychodka i starannie wypielonego warzywnika. Debren miał przy sobie mały drewniany młoteczek, jakich używaną cyrulicy i znachorzy do opukiwania pacjentów, a Kipancho topór. Rozmiary topora sugerowały, że odkupiono go od jakiegoś łowcy smoków.

– Posłuchaj.

Za groblą szumiała rzeka, jakiś dopływ czy może odnoga Nirhy. Ćwierkały ptaki; w trzcinach, przelewających się i na tę stronę wału, kaczka uczyła kwakać swe młode. Brzęczały komary i bąki. Ale w sumie było dość cicho i Debren nie musiał zakłębiami podostrzać zmysłów, by zrozumieć, o co chodzi marszczącemu brwi rycerzowi.

– To jakiś mechanizm – stwierdził.

– Zgadza się – kiwnął głową Kipancho. – To coś wydaje się być jednym z mechanizmów wiatraka. Na moje ucho to będzie dolna przekładnia.

– Albo raczej coś, co ją przypomina – mruknął z przekąsem magun. – No dobrze. Co dalej? Myślicie, że powinniśmy zajrzeć do środka?

– Chyba tak... – powiedział niepewnie Kipancho i podrapał się po mocno przerzedzonej czuprynie. Był starszy i od Def Groota i od swojego giermka, ale podrapał się bez problemu prawą ręką. Tą z toporem na smoki. – Prześwietl go.

– Prze... Co mam zrobić?!

– Widziałem kiedyś, jak nadworny czarodziej naszej miłościwej pani prześwietlał ją magicznym blaskiem, z kryształowego zwierciadła płynącym. Niesamowity to był

widok. Kości wszystkie ukazane zostały, trzewia... Ale jakiej płci następca tronu będzie, ustalić się nie dało, z czego mały konflikt graniczny z Marimalem mieliśmy. Szło o to, kto komu zadatek na posag ma zapłacić. Bo tamtejszemu władcy obojętne było, czy syna, czy córkę za dziecię wyda, co je królowa powije. Chodziło o szybkie spisanie kontraktu małżeńskiego, żeby przed zimą część koalicji wehrleńskiej nastraszyć, a resztę pobić. A że gotówki w skarbcu brakowało, to kazali Marimalczycy swoim posłom obstawać przy twierdzeniu, że płód nic między nogami nie ma, a podświetlony, frywolnie kuperkiem kręci i wymyślne pozy przybiera, by zgrabniejszym się wydać. Znaczą się: dziewczuszka. Nasi medycy chłopca się dopatrzyli, ale pewności chyba nie mieli, bo król ostatecznie zaliczkę na posag wypłacił, by w razie omyłki lekarskiej córce staropanieństwa nie zafundować. Ale odsetek uzgodnić się nie dało i ostatecznie cały posag poszedł na wojnę nie z Wehrlenem, a między przyszłymi teściami.

– Smutne – stwierdził bez żalu Debren. – A jeszcze smutniejsze, że ja ani zwierciadła nie mam odpowiedniej wielkości, ani kwalifikacji nadwornego czarodzieja. Gdybym miał, zbijałbym majątek czy to badania prenatalne czyniąc, czy na zakładach z przyszłymi tatusiami. Więc chyba przyjdzie mi prostego sposobu użyć i wleźć do środka przez te wrota.

Zrobił krok i zatrzymał się, osadzony w miejscu chwytem za ramię.

– Poczekaj, mistrzu. – W ciemnych oczach Kipancha lśniła szczerą troską. – Nie chcę cię pouczać, bo to ty dwa dukaty bierzesz za...

– Ile?!

– ...udzielanie mi swych cennych rad. Ale zważ, gdzie stoimy. On tu plecy ma, a w dole pleców, potwór czy nie. to samo, co każda żywa istota.

– Mówicie poważnie? – Kipancho posłał mu pełne wyrzutu

spojrzenie, więc poprawił się szybko. – O tych dwóch dukatach, znaczy,

– A co, za mało? – pokiwał głową rycerz. – I mnie się tak widzi. Kazałem Def Grootowi od trzech składowanie propozycji zacząć, ale powiedział, że z takiego zawyżania stawek tylko nieszczęście dla biednych wdów i sierot idzie, bo ich potem na usługi rozwydrzonego fachowca nie stać. Więc zgodziłem się wypłacić mu pół dukata, jak się z wami zdoła na dwa dogadać. Jeśli cię uraziłem, Debren, to wybaczyć staremu wojakowi. Nigdy w rachunkach mocny nie byłem. Anim wrogów nie liczył, ani żołądka. Błądny rycerz jestem, a nie najemnik.

– W porządku – mruknął Debren. – Czytałem księgę, co ją o was napisali. Wiem, że dla sprawy i honoru mieczem wywijacie, a nie dla złota. – Westchnął. – To co z tymi plecami wiatracznymi? Chodziło, jeśli dobrze pojąłem...

– ...by w rzyć potworowi nie włożyć – dokończył rzeczowo rycerz. – Raz, że to nie po bożemu. Ja starej daty jestem i to ci rzeknę, że brzydzi mnie, jak słyszę o chłopie, co z drugim chłopem takie rzeczy robi. Dwa, że strasznie niehonorowo by to było i ludzie by się z was potem śmiali. Trzy wreszcie, że to niebezpieczne. Patrzcie tylko, jakie to wielgachne bydlę. I wiatrak w dodatku, więc wiatrów w nim pewnie wielka siła. Jak was z bakiem puści, to nad tą groblą przemkniecie i w drugi brzeg... hmm... pierdyknięcie. Straszna śmierć. A Vanringer, jak go znam, strasznych pieniędzy zażąda, twierdząc, że grzebanie tego, co potwór wysra, stu dodatkowych zezwoleń wymaga i musi słono kosztować.

Debren cofnął się posłusznie. Powtarzał sobie w duchu raz po raz, że to, co czuje jego nos, to tylko efekt bliskości wychodka. I wierzył w to, co powtarza. Ale sam fakt, że musi uciekać się do takich sposobów, wróżył niedobrze.

– Z boku jest okienko. Jakoś się precyzyjnie. Może być?

– Ty jesteś ekspert, nie ja. Ja wiem, gdzie stworę kopią pchnąć, by ducha wyzionął.

– Sansa, dawaj tu muła! – Zwrócił się z powrotem ku rycerzowi. – Myślałem, po poprzednich... hmm... trupach sądząc, że potwory ogniem zabijacie.

– Udam, że nie słyszałem – zapewnił łaskawie Kipancho. – Ogniem walczą smoki, inkwizytorzy i inna pozbawiona honoru hołota. Rycerzowi nie przystoi posługiwanie się tym plugawym orężem o trochę jakby piekielnym rodowodzie. A poza tym... – odchrząknął z zakłopotaniem. – Nie śmieję się, ale to zbyt bolesne.

– W rękawicy się nie oparzysz.

– Miałem na myśli ofiarę. Przeciwnika trzeba wziąć do niewoli albo zabić. Zadawanie niepotrzebnego bólu to zwykłe łajdactwo.

Sansa podprowadził muła. Ustawili go przy okienku. Debren wziął młotek w zęby i ostrożnie precyzyjnie przesunął się przez otwór. Na szczęście okienek było więcej i nie musiał przyświecać sobie pochodnią. Dziurawy dach też ułatwiał orientację.

– I co? – zawołał z zewnątrz Kipancho.

– Piękny cios. – Debren bez przekonania szarpnął zakleszczony między trybami ułomek kopii. – Zablokowało przekładnię. Na amen. Dlatego wirnik stoi.

– Ale żyje?

Magun stłumił klątwę... Bez odrobiny przekonania przeskanował otoczenie. Z magicznych przedmiotów był tu tylko duży pajak mutant, pewnie potomek zbiega z jakiegoś laboratorium. Miał za dużo kończyn i snuł dziwne pajęczyny, ale poza tym niczym się nie wyróżniał i czmychnął w kąt, gdy Debren zabrał się do oglądania pompy,

– To tylko woda – postawił diagnozę po dłuższej chwili opukiwania młotkiem i sondowania magicznym echem. – Zamiast koła mają tu pompę. Powinna tłoczyć wodę z polderu do rzeki, ale chyba zawór wysiadł i mechanizm stuka, a woda płynie w odwrotnym kierunku. Prawem naczyń połączonych.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Debren zdążył sobie nawet wyobrazić, że trójka pomyleńców spakowała się i wyniosła cichaczem, a na zewnątrz czeka na niego tylko właściciel wiatraka. Z kłonicą w rękę i mocnym postanowieniem porachowania komuś kości.

– Czyli nie umarł – zadudnił naraz głos rycerza. Debren westchnął w duchu.

– Chyba nie.

– Myślisz, że agonia potrwa długo?

Otwierał już usta, ale coś go powstrzymało. Albo ktoś. Ktoś się poruszył wysoko, na dachu.

– Trudno powiedzieć. – Poszukał wzrokiem drabiny. – Co zrobimy, gdy wyzionie ducha?

– My? Nic. Pojedziemy dalej. Za usuwanie trupów odpowiada Vanringer. Ten udający wiatrak czarodziej to poganin, więc pochówek ma zgodny z pogańskim zwyczajem. Poprzez palenie zwłok. To zresztą tańsze od kopania grobu.

– Syf i zaraza – zaklął pod nosem. Drabiny nie było. Tylko trochę usztywniających ściany listew, parę poziomych belek szkieletu i lina z węzłami. Wciągnięta na więzar dachowy. – Def Groot, mamy problem! Tej małej nie da się ściągnąć z dachu! Musi nam pomóc! Powiedz jej, by spuściła linę!

– Nic z tego. – Z głosu duszysty nie dało się wyczytać emocji. – Powiedziała, że nie zejdzie i nikogo na górę nie wpuści. A jak kto próbować będzie, to mu półcietnarowy pocisk na łeb zwali. Przy tej wysokości nawet Kipancho, sławny ze swej twardogłowości, czegoś takiego by nie przeżył.

– Bzdura. Ta smarkula nie ma niczego równie ciężkiego pod ręką.

– Ależ ma, Debren, ma. Siebie.

\*\*\*

– To niebezpieczne – spróbował po raz ostatni Def Groot. – Sansa, powiedz mu.

– Prawda – przytaknął giermek. – Te depholskie psy... bez urazy, panie duszysta, o buntownikach mówię, a wyście przecie lojalni... no więc ci obwiesie od początku wilkiem na nas patrzyli. Dwóch wozaków nam stłukli, a nasz własny wóz, co oś w nim pękła, drugi tydzień w naprawie stoi. Kręcą łajdaki, że mocy przerobowych nie ma, że części brak. A mnie, jak sam jechałem z tą czy inną sprawą, i to raz psy gnały, wielkie jak odyńce, od razu poznasz, że tresowane, raz jacyś z kijami otaczali, a dwa razy coś gwizdnęło przy uchu, strzała ani chybi. A przecie giermek jestem, więc rycerz prawie. Strach budzę i grozę. Was, bez urazy, jak tylko bez ochrony zobaczą, to od razu skoczą. A muł nie rumak, szybki nie jest. Możecie nie uciec.

– Nikt mnie nie będzie ganiał. – Debren dociągnął popręg.

– A gdyby nawet, to jechać trzeba. Bo dziewczynka nocy na dachu nie przetrzyma.

– Zmarznie, zdrętwieje, to zlezie – powiedział Def Groot.

– No, nie wiem – zerknął na budkę pompiaza Sansa. – Już zanim po mistrza Debrena pojechałem, to matka od próśb błagalnych całkiem ochrypła. Teraz choćby i chciała, to nie da rady zawołać.

– To ojciec zawoła – mruknął Debren.

– Jeśli wróci – zauważył giermek.

– Nie wróci – wzruszył ramionami Def Groot. – Powiedzieć wam, gdzie teraz jest? W najbliższej gospodzie. Będziesz przejeżdżał niedaleko niej. Może nie przejedziesz. Bo jak się dostatecznie mocno nie upije, a żebracy mają z tym problemy, to znajdzie sobie jakieś widły i ruszy w tę stronę. Może nie sam. Przez tę powódź – wskazał sterczące spod pól zasiewy – takich świeżo upieczonych żebraków jest tu trochę więcej. Ale możliwe, że będzie sam. Chłopi to są chłopi. Napluj na chłopa, a grzecznie podziękuje i tylko co zuchwalszy zapyta, czy wolno ślinę zetrzeć. Trzeba zdrowo nimi potrząsnąć, by za broń chwycili. Aż strach mówić, jak zdrowo.

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.
- No to jest nas dwóch – uśmiechnął się krzywo Def Groot.
- Jednak jedziesz?
  - Nie wiem, co robić, żeby drewniany wiatrak umarł. Albo nie umarł. – Debren wydzwignął się na siodło. – Cholera, nawet nie wiem, co bym wolał. Za to wiem, co zrobić, by ściągnąć tę małą z dachu.
  - Pogonić Vanringera. Rozpocznie ceremonię pogrzebową i wypłoszy gówniarę ogniem.
  - To nie jest śmieszne.
  - Wiem – powiedział dziwnym głosem Def Groot. – Możesz też przywieźć łuk.
  - Ludzie powiadają, że każdy duszysta jest najlepszym kandydatem na pacjenta innego duszysty. Boście są dwa razy bardziej pokręcani od takich wariatów jak rycerz Kipancho. I wiesz co, Def Groot? Jak rzadko, zgadzam się z tym, co ludzie powiadają.
  - Szerokiej drogi, mistrzu. Będzie ci potrzebna.

\*\*\*

Droga była wąska, ale za to pusta. Bez trudu, omijając coraz rozleglejsze połacie zalanego terenu, dojechał do przedmieścia. Ta już mogły być problemy. Między rzadko rozrzuconymi zabudowaniami kręciło się trochę za dużo ludzi i trochę zbyt liczni byli wśród nich wieśniacy, debatujący w najeżonych widłami i grabiami gromadach. Na szczęście niczego jeszcze nie uradzono. Grupki, choć wiele ich było, trzymały się z osobna i od nieznanego raczej odsuwały, niż próbowały zastępować drogę. Debren minął przystań, upewnił się, że barki nadal nie ma, i nie zaczepiany przez strażników przejechał pod zachodnią bramą.

Miasteczko Berhem, choć otoczone murem i z własnym portem rzeczny, do wielkich nie należało. Rynek był tuż za bramą, a stojąc na rynku i patrząc z wysokości siodła nad



głowami przechodniów, można było bez trudu zlokalizować połowę składów kupieckich. Zawieszane wysoko na drągach znaki cechowe wskazywały drogę niepiśmiennym i takim jak on, nie znającym języka.

Powroźnika, chyba jedyne w grodzie, znalazł tuż za ratuszem. Wąska uliczka była niemal całkowicie zatarasowana przez dwukołowy wóz taborowy, na który rozchełstani żołnierze ładowali zwoje lin i sznurów. Z okna kamienicy słała im ciepłe spojrzenia małżonka gospodarza, a sam powroźnik stał w bramie, odhaczał w księdze wydawane partie towaru i raz po raz zacierał ręce. Wokół Już gromadzili się amatorzy popijawy, która bez wątpienia nastąpi, gdy sfinalizuje się transakcję, więc w uliczce nie brakowało radosnych ludzi. Żołnierze, znudzeni garnizonową rutyną, też sprawiali wrażenie zadowolonych. Ale ci, co tylko przechodzili i na żadne korzyści nie liczyli, miny mieli dość ponure.

– Ciężkie, cholerstwo – narzekał jakiś gołowąs uginający się pod zwojem liny. – Po co nam taka grubaśna? Słonia wieszac będziem?

– Głupiś, szczyłu – stęknął niewiele starszy kompan ze śladem cięcia na gębie. – Nim do wieszania przyjdzie, trza buntowników w partie pogrupować i do twierdzy prowadzić. Taką okrętową liną ich się wtedy łączy, po trzydzieścioro. Palcówką szyję ciasno oplatasz i do owej czteropalcówki krótko wiążesz. Cienkiego sznura wtedy żaden zębami nie sięga, a grubego nijak nie zgryzie, choćby i tydzień w drodze.

– A nie lepiej łańcuchy i żelazne obroże stosować?

– Ale kmiot z ciebie, Hosse, aż dziw, że ci halabardę dali, a nie kawał kija. Ty wiesz, ile kajdany żelazne kosztują? A smar do nich, szczotki druciane do rdzy ścierania? W łańcuchy to się szlachciców zakuwa, co przeciw władzy knują, bo tych z natury mało jest i można nastarczyć. A tu, jak wywiad donosi, bunt ma być le... legurarny. Kupa Depholców

za broń chwyci, to i jeńce w tysiące pójdą. Kto by złoto na tyle łańcuchów wydawał? I po co?

Debren przywiązał uzdę do kraty w oknie, przecisnął się do powroźnika.

– Linka mi potrzebna – powiedział powoli, starannie wymawiając słowa. Dephol, choć formalnie własność królów Irbii, leżał daleko od metropolii i był prawdziwą potęgą gospodarczą, więc nawet z poważnymi kupcami trudno było niekiedy porozumieć się po irbijsku. A on, na dodatek, posługiwał się staromową.

– Ne ma linka – uśmiechnął się szeroko powroźnik. – Przedan systka.

– Nie potrzebuję dużo. Dwadzieścia pięć łokci tylko. Palcówki. Może być pośledniejszego gatunku. Nawet jednorazowa. Byle była.

– Jednorazna? – Wyplataczowi udało się poszerzyć uśmiech, który teraz sięgał aż za uszy. – Szubieniczna, tak? Ta zwłaszcza nie jest. Cały zapas na wojsko. Nawet ścinki brać. Duża zbyt.

– O ludzkie życie idzie. Dobrze zapłacę.

– Ludzkie, tak, tak, ja wiem. Wieszanie ludzi za gardło. Rozumie twoja język. Szubieniczna lina szukasz. Przyjdź pojutro. Dwa dni. Dzisiaj nie jest.

– Potrójna stawka. Policzcie sobie jak za siedemdziesiąt pięć łokci.

Powroźnik zawahał się.

– Musiał ja bym od wojsko brać trochę. To niedobra. Ktoś może myśli: on Depholec, on na braci nie daje sznur, by nie wieszać za gardło, choć to buntownicy. Może on sam buntownicy? – Odhaczył następny zwój czteropalcówki. – Eee, lepiej nie. Chyba że... no... jak za sto łokci.

– Co to za jeden? – zainteresował się dziesiętnik doglądający załadunku. – Hej, ty! Liny chcesz kupować? Można wiedzieć, po co ci liny?

– Psa chcę uwiązać – mruknął Debren.

– Psa? – Żołdak podszedł bliżej, podciągając pas z krótkim mieczem. – Irbijskiego może, he?

– A diabli go wiedzą, ja się tam na rasach nie znam. Ten irbijski jak wygląda?

– Królewski herb nosi – dziesiętnik postukał się po naszywce na żółtym kaftanie.

– Ten nie nosi. – Debren zerknął za siebie, na bramę i podwórko. Mur dzielący je od sąsiedniej posesji nie był wysoki, ale w przejściu kręcili się żołnierze dźwigający liny z ukrytego gdzieś w głębi warsztatu. Było też parę kur mogących zaplątać się między nogami, no i dziewczka służebna trzepiąca kobierzec. Kawał baby z trzepaczką niewiele lżejszą od bojowego młota, którym oberwał po głowie Kipancho. Niedobrze.

– Wiecie co, panie powroźnik? – podrapał się po grdyce dziesiętnik. – Sprawdzimy chyba jakość waszego towaru. Hosse, chodź no tu ze sznurem.

– Jestem w służbie rycerza Kipancho y Kipancho – powiedział szybko Debren. – Z Lamanxeny.

– Tak? – uśmiechnął się krzywo dziesiętnik. – To ciekawe. A jam słyszał, że owego sławnego rycerza elementy wywrotowe właśnie zamordowały. I że, przed śmiercią, z góry trupów depholskich apel płomienny wygłosił, króla Belfonsa sławiąc i pomsty za swą krew wzywając. Już o tym najnowszą kronikę do druku składają. Z relacją sławnej Lelicji Zelgan. Wstrząsającą ponoć.

– Przejdźcie się ze mną trzy mile, to zobaczycie rycerza w pełni sił i zdrowia.

– Po pierwsze to halabardnik jestem, a nie jakiś zakichany kawalerzysta, więc jeździć nie mam na czym. A po wtóre, choćbym i miał, nie takim głupi, żebym się dał jakiejś łazędzie, mowę moją kaleczącej, w pole wywieść. Słyszeli my o takich na szkoleniach, prawda, Hosse? Prowokatory zasrane. Tylko

patrz, jak tu samotnego wojaka, albo i oddział nieliczny, na jaką boczną groblę skierować, a potem opaść kupą i wytłuc. Przyznaj się od razu, żeś gerylas i że na irbijskie gardła te sznury kupujesz. Roboty mamy huk, to szczerłość docenimy. Bez tortur nijakich się ciebie powiesi. Może nawet u kata się za tobą wstawię, to ci pętlę dobrą uszykuje, natłuszczoną. I kamieni w kieszenie nabrać pozwoli.

– Prawdę gada! – zawołał ktoś z gromadki dalekich krewnych i znajomych powroźnika czekających na darmowy napitek w karczmie. – Żyw Kipancho!

– Dziesiętnik drabów za mnie poświadczy – powiedział Debren, cofając się o krok.

– Drabów? – zarechotał reprezentant halabardników. – A to dobre! Toś jeszcze nie słyszał, żeśmy całą draberię grodzką internowali? Szeregowy z ciebie spiskowiec być musi. Niedoinformowany. Aż szkoda loch takim zaśmiecać.

– To co, urznąć sznura? – zawahał się Hosse.

– Różnij, ciamajdo. Nie pamiętasz, co instruktorzy z Urzędu Ochrony Tronu gadali? Bunt trza wypalić do samiuśkiego końca. Całą zdegenerowaną tkankę i jeszcze trochę zdrowej, tak na wszelki wypadek.

– Żyw Kipancho! – zawołał łamanym irbijskim jakiś inny głos. – Ale już niedługo! Ręce precz od naszych wiatraków!

– I bab! – podchwycił następny. Po depholsku, ale Debren zrozumiał. – Bruneci do domu! Precz z okupantem!

Powroźnik zgubił gdzieś uśmiech. Woźnica wozu taborowego pogroził tłumowi batem. Tłum cisnął w woźnicę świeżym łajnem jego własnej taborowej szkapy.

– Cisza, hołoto depholska! – huknął dziesiętnik. – Rozejść się!

Debren próbował skorzystać z okazji, ale dwaj cofający się w głąb bramy żołnierze, zaniepokojeni gniewnymi okrzykami tłumu, zablokowali mu nieświadomie drogę. Hosse sięgnął po nóż, zaczął rozwijać linkę, zerkając na maguna jak krawiec

robiący pierwsze przymiarki. Nie wyglądało to dobrze. Debren zauważył, że przedmiotem oceny jest odległość od jego szyi do sterczącej nad bramą belki. Dźwigała znak cechowy, ale była dość solidna, by utrzymać wisielca.

– Za miecze! – krzyknął jakiś przyciskany do ściany wojak.  
– Lać tubylca!

– To prowokacja! – pisnął mocno zakapturzony osobnik, kręcący się to tu, to tam i nadstawiający ucha. – W imieniu Urzędu Ochrony...

Nie dokończył. W lewe ucho zdzielił go blondas w rzeźniczym fartuchu, w prawe oberwał od ciemnowłosego i smagłego Irbijczyka. Woźnica strzelił z bata, trafiając rzucającego nożem wyrostka. Doniczka, ciśnięta celnie i dyskretnie nie wiadomo skąd, roztrzaskała się na głowie specja od ekonomii konwojowania jeńców. Wojak, posłany po zaopatrzenie bez hełmu i halabardy, padł. Za to inni, nie bardzo pewni siebie bez swych blach, szturmaków i broni długiej, nie bawili się w standardowe rozpychanie tłumu. Krótkie miecze jeden po drugim wyskakiwały z pochew. Choć nie było specjalnie ciasno, ktoś oberwał po przedramieniu, a jakiś inny jasnowłosy cywil z niedowierzaniem plunął krwią i kawałkiem zęba.

– Mordują! – zawołał trzymający się ściany pijak. I runął, obalony siłą własnego okrzyku. Stojący obok żołnierz uskoczył, potrącając biodrem gapiącego się sześciolatka. Matka chłopca trzasnęła go bez namysłu koszem pełnym jaj. Ktoś chwycił ją za rękaw bufiastej bluzki, trzasnęły szwy, błysnęła biel kobiecej skóry.

– Gwałcą! – zawyła towarzyszką wojowniczej mamy.

– Machrusie, oczy mu wyciekły! – odskoczył od ociekającego żółtkami halabardnika któryś ze świeżo wcielonych żółtodziobów. – Oślepiła! Ludzie!

– Na wóz zbrodniarkę! – wywinął mieczem inny. – Przesłuchać!

- I przegwałcić!
- Niech żyje wolność!
- Niech żyje król!
- W mordę czarnego!
- Bić blondynów skurwysynów!

Poszybowały kamienie i noże. Zagwizdały miecze, ale tłum nie poszedł w rozsypkę. Zaulek był ciasny, wóz z koniem zajmowały zbyt wiele miejsca, a w powietrzu coś musiało wisieć od dawna i prawie każdy mężczyzna tubylec miał przy sobie jak nie długi sztylet, to tęgą łagę, która zupełnie nieźle radziła sobie przeciw lekkiemu mieczowi piechura.

Hosse podjął decyzję i zaczął szybko odwijać dłuższy kawałek liny. Debren też się zdecydował. Chwytał wiszący przy biodrze młodzika koniec zwoju, szarpnął w górę i zarzucił na łeb dziesiętnikowi.

– Szpieg! Łapać go! – Zaatakowany próbował sam wymierzyć magunowi sprawiedliwość, ale miał już zwój na wysokości piersi, a wystraszony Hosse obracał nim w drugą stronę. – Śmierć zdrajcom!

– Śmierć zdrajcom! – podchwycił jakiś Depholec, wyszarpując powroźnikowi ciężką księgę rachunkową i waląc go nią w łeb.

Debren naciągnął zwój w dół, na wysokość pasów obu skrępowanych nim wojaków, złapał stojący na stołku kałamarz, cisnął nim w skaczącego na odsiecz żołnierza i rzucił się biegiem w stronę podwórka. Za jego plecami, na ulicy, zawył pierwszy ciężko ranny człowiek, rozpaczliwie zarżał koń, któremu precyzyjnie wykonanym pociągnięciem noża rozpruto brzuch.

Pierwszego objuczonego liną żołnierza Debren rąbnął z wyskoku stopą w brzuch, przeskoczył nad nim, prawie nie zwalniając. Drugi zdążył zrzucić pęto liny i wydobyć trzydziestopalcowy miecz. Debren, w ostatniej chwili rezygnując z magii, trzasnął go w nos lewym prostym i wyrwał

broń z ręki. Zaraz potem potknął się o kure. Utrzymałby się na nogach, gdyby nie druga, którą nadepnął i dość rozpaczliwie próbował nie zgruchotać.

W efekcie kura poległa, a on wyłożył się jak długi, i to plecami w dół. Z prawej, wściekle furkocząc szeroką spódnicą i dudniąc drewniakami, rzuciła się na niego służebna. Po lewej, widziany kątem oka, szarpał się z linami stojący w drzwiach warsztatu Irbijczyk. Z tyłu dziesiętnik, któremu udało się przewrócić siebie i Hossego, wrzeszczał coś o darciu pasów, kłął i pluł ze złości. Debren osłonił się mieczem i wierzgnął prawą nogą. Celował w krocze i chyba nawet trafił. Ale to była baba.

Trzepaczka o rozmiarach i wadze małej łopaty przełamała blokadę i grzmotnęła go kantem w czoło. Służebna, prawdziwy niedźwiedź w spódnicy, przejechała ze dwa łokcie na jego trzeszczącej w stawach stopie i runęła obok.

Żołnierz już biegł. Zrezygnował ze ściągania zwoju, za to zdążył wyjąć miecz. Debren, oszołomiony, z lewym okiem zalany krwią, przetoczył się przez prawy bok, poderwał, chwytając miecz. Zginałby od cięcia przez środek czaszki, gdyby nie zaplątała się między nich służebna. Irbijczyk musiał uskoczyć, stracił trochę czasu. Uderzył mocno, ale już w zastawę.

Debren rozpaczliwie sparował kolejne dwa cięcia: z nad lewego i prawego ramienia. Żadne nie było wymyślne ani szczególnie mocne. Średniej klasy szermierz wyszedłby spod nich unikiem albo puścił miecz po zastawie i też niewymyślnym kontratakiem jeśli nie zabił, to przynajmniej boleśnie ugodził przeciwnika. On z trudem przeżył. I uświadomił sobie, że któregoś z następnych ciosów nie przeżyje.

W przypiływie paniki próbował uderzyć gangarinem. Irbijczyk chyba się nie zorientował, co znaczył wyrzut lewej ręki i dziwny układ palców, ale koordynacja zakłęcia

i wykonywanej mieczem zastawy wyszła Debrenowi fatalnie. Odbił ostrze w lewo, prosto na swoją drugą dłoń. Miał szczęście, bo klinga uderzyła płazem między knykciami a nadgarstkiem, niczego nie obcięła. Ale ból targnął całym lewym bokiem, a jemu pociemniało w nie zalany krwią oku.

Uskoczył, pchnął. Chybił. Odbił bliźniaczo podobne pchnięcie. Zarzuciło nim pod trzepak, ale za to, będąc w odwrocie, sparował trzy chaotyczne machnięcia irbijskiego miecza. Przed okiem wciąż migotały czarne i czerwone plamy, lewa dłoń pulsowała bólem. Próbował złożyć palce do gangarina. Stwierdził z przerażeniem, że nie jest w stanie. Dłoń była tylko kawałkiem bezużytecznego mięsa, promieniującego cierpieniem.

Dziewka służebna pozbierała się, mocniej zacisnęła swe wielkie łapy na rękojeści trzepaczki. Nie atakowała jeszcze, ale już ustawiała się z prawej, już odgradzała od sterty drew, po których można było szybko wdrapać się na daszek drewnutni, stamtąd na warsztat, a z warsztatu skoczyć za mur, do sąsiadów. Debren, osłaniając się rozpaczliwie od kolejnych uderzeń, gorączkowo szukał cienia pomysłu na wygrzebanie się z opresji.

Najchętniej by się poddał. Dziesiątki razy brano go pod straż i prowadzono do wyższych przełożonych, a ci zawsze w końcu puszczały go wolno, wychodząc ze słusznego założenia, że lepiej mieć dług wdzięczności u czarokrąży niż żyć z łatą zabójcy neutralnych i nieszkodliwych magików. Cech czarnoksiężników nader często prześladował w paskudny sposób nadgorliwców, którzy bez mocnych podstaw karali gardłem któregoś z konfratrów.

Teraz nie było jednak szans na bezpieczne oddanie się w ręce straży. Na ulicy, a częściowo już także w bramie, wrzała bitwa. Siły były wyrównane, a to znaczyło, że dziesiątnik nie będzie miał ani jednego podwładnego, którego mógłby odesłać do tyłu i wyznaczyć do pilnowania jeńca. W tego typu



walkach ulicznych, gdy nikt nie miał pewności, czy lada moment nie zwali mu się na kark całe zbuntowane miasto, nie brało się jeńców. Brało się nogi za pas i przebijało jak najszybciej do ratusza, zamku czy cytadeli, kładąc trupem każdego, kto, świadomie lub nie, opóźniał moment połączenia z głównymi siłami garnizonu.

– Cofać się! – wykrzykiwał rozkazy dziesiętnik. – Na podwórze! Za dużo ich!

Nie było już czasu. Bramy dało się bronić mniejszymi siłami, a pierwszym krokiem do sprawnego odwrotu lub zamienienia kamienicy w twierdzę musiało być oczyszczenie podwórza z elementu niepewnego. Dziesiętnik wciąż szarpał się ze zwojem i Hossem, z którym blokowali się wzajemnie, lecz lada chwila wokół trzepaka pojawić się musieli uciekinierzy z ulicy.

Debren przykucnął. Miecz zagwizdał mu nad uchem, rozpruł kobierzec na długości dwóch stóp. Był ostry i ciał, a nie uderzał, ale i tak buchnęło kurzem, zaś wokół zrobiło się szaro. Irbijczyk odskoczył, przetarł oczy wierzchem dłoni. Służebna, skradając się przy murze, zaczęła zachodzić Debrena od tyłu.

Kurz. To było to. Dużo kurzu, który praktycznie nic nie waży.

Musiał zaryzykować. Zanurkował na czworakach pod dolną poprzeczką trzepaka. Myślał, że przestraszy służebną. Pomylił się. Przez łzy w szparze między powiekami dostrzegł gwałtowny ruch; ciężka drewniana packa, tym razem dużo szybsza, pomknęła ku jego głowie. Średniej klasy szermierz odbiłby ją, musnął uderzającą dłoń końcem ostrza, pokaleczył palce i wykluczył kobietę z walki, nie czyniąc wielkiej krzywdy.

Debren spanikował. I pchnął. Nisko, bez cienia szansy na trafienie w drewnianą pałę. Trafił prosto w tętnicę, chyba udową. Ciepłą, pienistą krwią dosłownie strzyknęło mu po

twarzy. Przeturlał się pod mur, wypuszczając zatopiony w ciele miecz. Nie słyszał krzyku kobiety. Nie chciał słyszeć. Wyszarpnął różdżkę i zamaszystym ruchem posłał zaklęcie w środek podwórza.

Przesadził jak każdy człowiek walczący o życie. Temmozańska formuła, zdobyta w trakcie którejś z wypraw wojennych na Bliskim Zachodzie, służyła pustynnym wojownikom do wywoływania sztucznych burz piaskowych. Była mieszanką czaru iskrotwórczego, choć pozbawionego efektów świetlnych, z telekinezą, ale telekinezy nie nadużywała jako zbyt energochłonnej. Nawet w warunkach bojowych, przy licznych drużynach magów i mediów oraz posiłkowaniu się ogniami, z których czerpano moc, temmozanie ograniczali się do stacjonarnych zasłon pyłowych, przemieszczających się tylko wtedy, gdy zaczęli maszerować czarodzieje lub gdy wiał sprzyjający wiatr. Wspomaganie kurzawy sztucznym podmuchem i małymi wirami powietrznymi, podrywającymi z podłoża grubsze frakcje piasku, było nieracjonalne z wojskowego punktu widzenia.

Debren przedobrzył i posłał w powietrze nie tylko cały kurz zagrzebany w splotach wyniesionych na podwórze kobierców, ale także jeden kobierzec, ten wiszący na trzepaku. Sam trzepak, wetknięty w płytkie, obłożone kamieniami doły, lecz nie zamocowany w gruncie, podskoczył i runął, waląc w kolano odskakującego Irbijczyka.

– Czary! – wrzasnął dziesiętnik. – Ratuj się, kto może!

Debren prawie od razu stracił z oczu i jego, i tunel bramy, w który wlewała się ludzka rzeka, pryskająca śliną, krwią i drzazgami sękatych lag. Obrona chwiała się. Wirujący w locie kobierzec wpadł wprost w przejście pod kamienicą, wychłostał zaskoczonych żołnierzy ozdobnymi frędzlami, zbił kogoś z nóg, uwięził w grubych splotach miecz kogoś innego. Kiedy opadł na karki walczących – głównie Irbijczyków, bo

stali bliżej – pękła względna równowaga sił. Trzeci i czwarty szereg atakujących wdarł się na przywalone tkaniną plecy, biodra i głowy porzuconych ludzi, stratował pół tuzina swoich, ale i drugie tyle wojaków. Dla broniących się mieczami halabardników oznaczało to utratę połowy stanu. Utrzymaliby mimo wszystko bramę, bo w ciasnocie przejścia sztychy mieczami zdecydowanie górowały nad pchnięciami tępych kijów i zbyt krótkich sztyletów, a jakie takie wyszkolenie nad całkowitą amatorszczyzną, ale kiedy tuż za dywanem nadleciała ogromna chmura kurzu, pyłu i drobnego piasku, uzupełniona pierzem, kurzem łajnem i jakąś przerażoną kokoszką, zagarniętą przez główny strumień czaru, większość walczących oślepla, a niemal wszystkich ogarnęła panika.

Każdy próbował uciec, a ponieważ trafiał nieuchronnie na kogoś, kto usiłował zrobić to samo lub przynajmniej dzwignąć się z ziemi – kopał, kłuł, walił pałą, siekł mieczem, gryzł, wrzeszczał i zabijał. Każdego. Bo w tym piekle oślepionych pyłem nieszczęśników każdy był wrogiem, niezależnie od tego, w jakim języku krzyczał ze strachu, czyj herb nosił na kaftanie i z jakiej barwy włosami przyszedł na świat.

Otumaniony wpływem mocy Debren zatoczył się na ścianę. Niewiele widział. Ale i tak za dużo. Krew sikającą niczym wino z beczki, wielkie z przerażenia oczy służebnej, trupią bladość jej twarzy. Błyski noży w bramie. Brunatne błoto rozlewające się coraz szerzej tam, w dole, gdzie tuman nie był tak gęsty i gdzie od czasu do czasu dało się dostrzec czyjaś nieruchomą twarz czy wierzgającą w agonii nogę.

Za dużo widział. I wiedział za dobrze, czym skończy się to, czego z powodu kurzawy nie potrafił dostrzec. Może dlatego nie użył różdżki przeciw żołnierzowi, który próbował go zarębać, a teraz usiłował wstać, podpierając się na mieczu. Noga mogła nie być złamana, żołnierz mógł mieć wystarczająco dużo sił, przytomności umysłu i szczęścia, by

ciąć mieczem przebiegającego obok Debrena. Ale tego magun nie brał pod uwagę.

Po prostu pobiegł. Ku ułożonym w pryzmę klocek na opał i dachom przybudówek. Ku życiu i wyrzutom sumienia.

\*\*\*

– Wejź – powiedział siedzący na brudnym od mąki stole blondasek z rzadką irbijską bródką. Miał za mało lat na porządny, gęsty zarost. Na miecz – nie. Zwłaszcza na taki jak ten, którym się bawił, wspierając czubek o taboret i pchnięciami palca w jelec kręcąc bronią jak bączkiem. Miecz był krótki, dobry do noszenia przez takich, co jeszcze nie skończyli rosnać, a już chcieli uchodzić za dorosłych. Albo potrzebowali broni nie rzucającej się w oczy, dyskretnej.

Debren zawahał się, ale przekroczył próg. Z tyłu, na końcu korytarzyka oddzielającego kuchnię od izby jadalnej, pociemniało. Ktoś stanął tam, odciął odwrót. Ktoś, kto nie próbował atakować, lecz pewnie nalegałby mocno na przyjęcie zaproszenia jasnobrodego.

– Nie bój się. Nie przyszliśmy cię aresztować – starał się być miły jeszcze młodszy pyzaty chłopak pilnujący drzwi na podwórze. Debren gdzieś go już widział, ale to nic nie znaczyło. Po dwóch dniach spędzonych w takiej małej mieścinie człowiek miał za sobą przelotne spotkania z połową mieszkańców.

– To dobrze. Nie mam czasu na zabawy w drabów i złodziei.

Pyzaty zarumienił się, omal nie schował za plecy czegoś, co Debren wziął w pierwszej chwili za żelazną buławę, a co było chyba tłuczkiem od dużego moździerza. W przeciwieństwie do kompana nie miał jeszcze czego golić i zapewne bardzo niedawno wyrósł z zabawy, na którą magun nie miał czasu.

– Ktoś ci przetrącił łapę – powiedział niby od niechcienia ten drugi, prawie białowłosy. – Pewnie za wykonywanie nieuprzejmych gestów. Dziwne, że tak uczony mąż nie

wyciąga wniosków z własnych błędów. I nie zadaje sobie pytania, co też mu przetrąca za nieuprzejme słowa.

– Wybaczcie, młodzieńcy. – Trzymając zdrową rękę z dala od pochwy z różdżką, minął piec i podszedł do swego posłania. – Nie chciałem być nieuprzejmy. Chciałem być rzeczowy. Ponoć ludzie w waszym wieku nudzą się zbyt długimi mowami podstarzałych mędrków. Świat zmienia się zbyt szybko. Kto traci czas na słuchanie, zostaje w tyle.

– Patrzcie go, mędrka. – Jasnowłosa miękko zeskokczył ze stołu. – Tyle wie o współczesnej młodzieży, a nie wie, że agresywna jest, pobudliwa i skora do krzywdzenia takich, co się z niej podśmiewają. Uważajcie, panie Debren z jakiegoś zadupia, którego nazwy nie pomnę. Mam dla was robotę, ale nie jest to robota wymagająca wielkiej tężyzny fizycznej. Więc możecie oberwać bez znaczącej szkody dla waszej misji, za to z dużą szkodą dla was samych. Dobrze mówię, Miazga?

Pucołowaty poruszył się niepewnie, chrząknął cieniutko. Debren pomyślał ze znużeniem, że z jego strony żadne duże szkody mu raczej nie grożą. W związku z czym on, Debren, po raz drugi w ciągu tej samej klepsydry będzie musiał podjąć kolejną decyzję z gatunku tych, których szanujący się magun w ogóle nie powinien podejmować. Rozważyć użycie siły.

– Wyjeżdżam z miasta – oznajmił cicho, stojąc plecami do uzbrojonego w miecz młokosa i sięgając po swą podróżną sakwę. – Jak słusznie zauważyłeś, pochodzę z odległego zadupia i mam zamiar tam wrócić. To daleka droga, więc muszę szybko iść i zarobić parę groszy. Żegnam waćpanów.

Odwrócił się i bez zdziwienia popatrzył na miecz. Zaledwie pół stopy dzieliło jego czubek od gardła Debrena.

– Pożegnanie ze mną bywa jednoznaczne z pożegnaniem się z życiem doczesnym – poinformował maguna jasnowłosa. – Nazywają mnie Gep. To od geparda. Jak zapewne wiesz, jest to zwierzę, przed którym mało komu udaje się uciec.

– Nie uciekam – wzruszył ramionami Debren. – Nie mam

powodu.

– O, powodów by się znalazło... Ile, Miazga? – Puciołowaty uśmiechnął się z zakłopotaniem. – No, będzie z półtora tuzina. W tym trzy baby i dzieciak. Łzej poturbowanych nie liczę. Ani irbijskiej padliny, ma się rozumieć.

– Nie wiem, o czym mówisz – skłamał.

– Nie? Patrzcie, a ja myślałem, że czarokrażcy z owego tajemniczego Zachodu bez trudu w ludzkim rozumie czytają... O pomordowanych mówię, łajdaku. O spokojnych, bezbronnych ludziach, co przez ciebie zginęli, okaleczeni zostali lub na szafot z lochu trafią.

– Masz na myśli uczestników tej bijatyki pod domem powroźnika – stwierdził Debren, patrząc w brązowe oczy jasnowłosego – których kiedyś wasi historycy nazwą pierwszymi ofiarami powstania majowego... Maj jeszcze mamy, chyba się nie mylę?

– Myślisz, że żartuję? – potrząsnął mieczem Gep. – Miazga, powiedz mu!

– Komendant nie żartuje – zapewnił puciołowaty.

– To dobrze, bo ja też nie – oświadczył Debren. – Choć mimowolnie, też stałem się ofiarą powstania majowego. Ta ręka – ostrożnie uniósł lewą dłoń, pokrytą balsamami i bandażem – czyni ze mnie kombatanta waszej wojny wyzwolenczej. Zgaduję, że jeszcze długo nie wypłacicie swoim kombatantom ani grosza za połamane kości i utracone zarobki, więc wcale mi nie do śmiechu. Niedawno poparzyło mi ciężko prawą rękę, wciąż nie jest w pełni sprawna; teraz nie mogę ruszyć palcami lewej. Wiesz, co to znaczy dla czarownika? Bezrobocie, biedę i głód.

– Łajno mnie to obchodzi. Postaw tę torbę na pryczy. No już, bo pchnę. I odsuń się tam, pod komin. Sprawdzimy, czy naprawdę czarodziej jesteś, czy tylko nam tu czarujesz, by się od słusznej kary wykręcić. Miazga, miej na niego baczenie.

Debren posłusznie wycofał się w kąt za piecem. Patrzył, jak

wysypuje się jego dobytek, jak Gep rozgarnia po okrywającej legowisko derce zmianę bielizny, księgi, zeszytnice z notatkami, pęk piór, woreczki z ziołami, nożyki, szczypce i igły, onuce czyste i onuce mocno poczerńiałe, upchane w dziurawą skarpetę. Nie podobało mu się, że równie często jak lewą dłonią chłopak posługuje się w tym celu końcem trzymanego w prawej miecza, ale starał się nie okazywać braku zachwyty.

– A cóż to za frymuśna poduszczyca? – Ostrze nacisnęło na aksamit. Trochę zbyt mocno jak na tak starannie wyostrzony miecz i tkaninę, która opłynęła cały kontynent, moknąc często i przesiąkając solą. Powłoczka pękła. – Ty co, chłopofil jesteś?

– Zniszczyłeś mi poduszkę. – Stojący między nimi Miazga trafnie ocenił wyraz twarzy Debrena i cofnął się pospiesznie o całe dwa kroki.

– Jak chłopofil jesteś, co na niewieścią modłę rzyci nadstawia, to pewnie i igłą zręcznie umiesz machać – wyszczerzył zęby Gep. – Zaszyjesz sobie.

– Uważaj – powiedział cicho Debren. – Uważaj, bo pedofilem nie jestem. Nie dość, że z szyciem kiepsko mi idzie, to i nie mam sentymentu do takich jak ty. Do przemądrzałych gówniarzy, niszczących cudzą własność. Takich mogę skrzywdzić.

Pucołowaty usunął się szybko z drogi.

– Ależ się przeraziłem – zaszydził Gep. – Zaraz w pieluchę popuszczę. – Zręcznie przerzucił miecz z prawej ręki do lewej, zamłynkował, przerzucił z powrotem i wywinął ostrzem ósemkę, aż zagwizdało. – Widzisz? Ręce mi się trzęsą. Broni utrzymać nie mogę.

– Nie rób tak nigdy więcej – uśmiechnął się lekko Debren. – Bo jak trafisz na kogoś, kto telekinezą włada, własny miecz cię po łbie zdzieli.

– Chędożę twoje dobre rady. To – miecz trącił rozsypane po posłaniu przedmioty – nie jest bagaż kogoś, kto miałby prawo

mnie pouczać. Jesteś tylko zakichanym wędrownym zaklinaczem. Sądząc po tych prymitywnych narzędziach: cyrulikiem i trochę zielarzem. Kiepskim chyba, skoro z byle stłuczeniem ręki pognałeś prosto do aptekarza.

Miazga skrzywił się, syknął ostrzegawczo. Niepotrzebnie. Debren już od jakiegoś czasu wiedział, skąd zna tę puciołowatą twarz.

– Chylę czoła przed przenikliwością. I zastanawiam się, czegoż to wielki i sławny komendant Gep może chcieć od marnego zaklinacza.

– No właśnie – poparł go nieoczekiwanie Miazga. – Kończmy to szybciej. Czarni latają po mieście jak wściekli. Jeszcze tu wpadną i...

– Nie strasz naszego gościa – błysnął zębami Gep. – Gotów pomyśleć, że te irbijskie mały to Bóg wie co. Podczas gdy to głupcy i tchórze, którym słońce Południa rozum i odwagę wypaliło. Posłuchaj, Debrenie z zadupia – podkreślił polecenie ruchem klingi. – Jeśli jeszcze nie dotarło do ciebie, to informuję, że jestem komendantem partii tutejszych gerylasów. Partii licznej, dobrze zorganizowanej i jeszcze lepiej zorientowanej, co w trawie piszczy. Znamy każdy twój krok i znać będziemy każdy następny. Możesz wyprowadzić w pole Irbijczyków, ale nie nas. Wiemy, że czekasz na statek.

– Na barkę.

– Milcz, kiedy mówię. Powiedziałem: „statek”? Oczywiście miałem na myśli statek rzeczny, czyli barkę.

– To nie to sa... – Miazga ugryzł się w język, widząc spojrzenie dowódcy.

– Wiemy też – warknął Gep – że przygarnął cię ten obłąkany zbrodniarz wojenny i zboczeniec Kipancho z Lamanaxeny. Za samo to powinieneś dać gardło z ręki ludu. I dasz, jeśli nie zmyjesz swych grzechów.

– Handlujecie odpustami? – zapytał zimno Debren. – Ile mam zapłacić za prawo kontynuowania tego, co wy nazywacie



grzechem, a ludzie rozsądni rzemiosłem?

– Służba u tego potwora to nie rzemiosło – powiedział z przekonaniem pucołowaty. – Nie wiecie, co mówicie.

– Kipancho nie jest potworem. On z potworami... Chciałem rzec: on wierzy, że walczy z potworami. To chory człowiek.

– Chory – zgodził się Gep. – A my go, z twoją pomocą, wyleczymy. Raz na zawsze.

– Nie jestem medykiem.

– I dobrze. Nie potrzebujemy medyka. Miazga, daj mu sakiewkę.

Pucołowaty wyjął zza pazuchy mały woreczek z szarego płótna, bardzo podobny do porozrzucanych po posłaniu woreczków, w których Debren trzymał zioła, i rzucił go magunowi.

– To nie brzęczy – stwierdził z wyrzutem czarodziej. I wepchnął sakiewkę za kaftan.

– Wolne żarty, panie cyrulik. Nawet nie myślcie o trzosach srebrem czy choćby miedziakami wypchanych. Z waszego powodu doszło do masakry w domu powroźnika, a jego piętnastoletnia córka, pobita i splugawiona, do fosy się z murów rzuciła. Czy przeżyje, to się jeszcze okaże, ale nawet jak przeżyje, opluwana w mieście będzie i nie za tego oto Miazgę rodzina ją wyda, a za jakiegoś chłopca co najwyżej, który wiadrami bagno osusza. Dodaj do tego półtora tuzina usieczonych i tych, co ich czarni z zemsty zabijają. I zacznij całować mnie po butach za to, że po tym wszystkim jeszcze szansę ci daję. Powinienem na pal cię nawlec, jak nawlekać będziemy te irbijskie kundle, co Mariełę zgwałciły.

Debren przyglądał się przez chwilę pucołowatemu.

– Kochasz ją? – Chłopak posłał mu zdziwione spojrzenie, a potem z wysiłkiem przełknął ślinę. – Jak kochasz, to odnieś ten tłuczek ojcu, bo apteka bez sprawnego móździerza to jak kuchnia bez patelni. A potem idź do dziewczki, usiądź przy łożu i wal w pysk każdego, kto przyjdzie na nią pluć.

– Co ty bredzisz?! – wykrzywił się Gep. – Usiądź?! W pysk wal?! Ty co, spowiednik jesteś? Pokutę zadajesz?

– A pał zostawcie w spokoju – dokończył Debren. – Byłem tam i wiem, że żaden Irbijczyk nikogo nie zdążył zgwałcić. Wasi spokojni, bezbronni rodacy za szybko ich pozabijali. Co znaczy...

– Nie mów ani słowa więcej – wycedził Gep – bo klnę się na Machrusa, że odżałuję akcji i poszukam innego zielarza. A ciebie, zaszranego oszczerco...

– Wystarczy – przerwał mu Debren. – Obaj nie musimy kończyć, by zostać doskonale zrozumianymi. Przestań wymachiwać tym mieczem. Usiądźmy i porozmawiajmy jak poważni ludzie.

Dał dobry przykład, siadając na pryczy obok przeklutej poduszki. Gep zawahał się, w końcu jednak wskazał kompanowi drzwi do pilnowania, a sam usiadł okrakiem na taborecie. Miecza nie schował.

– Skoro wiesz, że ten gamoń – wskazał pucołowatego Gep – jest synem naszego pigularza, toś go musiał przyuważyć, kiedy waszą rozmowę podsłuchiwał, niby to zaplecze w aptece zamiatając. I pewnie się domyślasz, że niejedno podsłuchał.

– Co na przykład?

– Choćby to, że mocno o swe stare życie tyłkiem trzęsiesz. I grosza na pokazywacz zimniczny, testem malarycznym uczenie zwany, nie żałujesz. Mimo że każdy smarkaty Depholec, co ledwie pierwsze słowa składa, wyjaśni ci, że to pokazywacz głupoty i naiwności, a nie choroby. Bo kosztuje sporo, a korzyści nijakiej nie daje.

– Wyjaśnij kompanowi, Miazga, że niesłusznie cech aptekarski obraża. Specyfik oszukańczy nie jest. Czasem tylko niewłaściwie go reklamują, czego jednak twój szanowny rodzic nie czynił. Uczciwie wyjaśnił, że pokazywacz tym jest, co nazwa sugeruje. Nie leczy zimnicy, trzęsionki czy jak tam ją zwał, a jedynie wykrywa chorobę we wczesnym stadium.

– Dzięki czemu człek dłużej się zamartwia – podsumował Gep. – Może nie słyszałeś jako zielarz z odległego Zachodu, gdzie cegły gwoździami łączą, więc cię informuję: leków na trzęsionkę bagienną jest parę setek, a wszystkie jednakowo łajno warte. I dobrze, powiadam. Bo nas, tutejszych, choróbsko to zabija ledwie w jednym albo dwóch przypadkach na dziesięć, a obcych nawet pięciu-siedmiu, jak rok gorący się zdarzy. Co obcej kolonizacji zapobiega, a nam planowanie zrywów narodowowyzwoleńczych ułatwia. Wystarczy przepowiadaczy pogody o prognozy zapytać i wiadomo z góry, kiedy za broń chwytać. A ten rok, zdradzę ci w sekrecie, ma być ciepły. Połowa irbijskich załóg od zimnicy legnie, a z resztą sobie poradzimy.

– To cię cieszy? – Chłopak bez namysłu kiwnął głową. – Dziwne. Bo garnizonów król Belfons trzyma u was góra z dziesięć tysięcy chłopów, i to z flotą licząc. A was, Depholców rodowitych, jest ponoć milion i ćwierć ze sporym naddatkiem. To znaczy, że jak wielki pomór przyjdzie, to pięć tysięcy Irbijczyków do piachu trafi, a Depholców, w tym dzieci i kobiet, ze dwieście tysięcy nawet.

Gep przyglądał mu się tępo przez dłuższą chwilę. Miazga odłożył dyskretnie tłuczek na parapet i po cichu rachował na palcach.

– Co ty nam tu... – Jasnowłosa ochłonął pierwszy, jak przystało na dowódcę. – Zaraza, nie cierpię takiego krętackiego gadania. Ludzi tylko nam ogłupiacie, dziady zgrzybiałe. Dobrze powiadają, by nie słuchać nikogo, kto więcej jak ćwierć wieku przeżył. Bo łgarze to są, o sklerozie nie wspominając.

– Z wiekiem nie tylko skleroza przychodzi. Do pewnego momentu człek zbiera doświadczenia i coraz mądrzejszy się staje.

– To akurat wiem. I wiem, gdzie owa granica magiczna się znajduje. To właśnie dwudziesty rok. Środek żywota, średnio

biorąc.

– Teraz ludzie dłużej ponoć żyją – bąknął Miazga.

– Cicho, szczyłu. Pilnuj lepiej tłuczka, bo jak go zapomnisz, to ci stary zioła w zębach kruszyć każe. A ty, Debren, od tematu nie uciekaj i na zwłokę nie graj. Bo zwłoki wygrasz. Swoje. – Gep splunął dla podkreślenia swej powagi, a ponieważ był Depholcem, czystość podłóg szanującym, wcelował w kosz z opalem. – Zadania inne na nas czekają, więc krótko rzecz wyłożę. Masz podać rzeźnikowi z Lamanxeny to, cośmy ci do woreczka nasypali.

Debren sięgnął pod zielony, srebrem obszyty kaftan. Wyjął maleńką sakiewkę, prawie całkowicie kryjącą się w dłoni. Bardzo lekką i nie pobrzękującą.

– To? Mam to zawieźć do Lamanxeny i oddać...

– To ostatnia kpina, na którą ci pozwoliłem – powiedział na pozór spokojnie Gep. – Po następnej zabiję.

Przez chwilę słychać było tylko brzęczenie komarów, wielkich depholskich krwiopijców, rozmiarami i dodatkową parą skrzydeł bardziej przypominających ważki niż przyzwoitego viplańskiego komara. Debren wiedział, że te latające pijawki są takie, jakie są, bo ktoś kiedyś rozsypał parę niepozornych sakiewek niepozornego proszku na brzegu stawu, w którym legli się ich pradziadowie. Ten ktoś też był depholskim patriotą i też chciał uwolnić swój kraj od jednej z dręczących go zmór. Był też magunem, a jego imię inni magunowie obłożyli klątwą milczenia, więc mimo cisnących się na język porównań i proszących się o wyciągnięcie wniosków, Debren siedział i milczał.

– W sakiewce jest proszek. Możesz go wsypać do wina temu krwawemu zbrodniarzowi Kipancho. Możesz przekonać bydlaka, że to lek na potencję, porost włosów czy cokolwiek innego. Zielarz wydrwigrosz jesteś, to wiesz, jak naiwnym starte ze słomą kurze łajno jako cudowny balsam za srebro sprzedawać. Metodę tobie pozostawiam. Ale masz

doprowadzić do tego, by ów proszek trafił do Kipanchowego brzucha. Obiecuj... nie, czekaj. – Gep wyciągnął zza koszuli medalik koła popłatnego. – Na ten znak męki pańskiej przysięgnij. Klnij się na duszę własną i wszystko, co najświętsze dla ciebie jest, że uczynisz, co w twojej mocy, by rycerz Kipancho zeżarł to, co jest w tym worku.

Debren uniósł dłoń. Patrzył na wystającą spod palców odrobinę płótna, na rzemyk, którym związano trzosik.

– To ryzykowne – powiedział cicho. – Mogę... mogę nie przeżyć.

– Możesz. Dobrze powiedziane. Możesz. – Gep obejrzał pod światło klingę miecza. – Ale jeśli nie przysięgniesz, tu i teraz, to nie przeżyjesz na pewno. Bez żadnego „może”.

– Rozumiem. – Debren dotknął medalionu końcami palców. – Przysięgam.

Chłopak bez pośpiechu schował koło pod ubranie. Jego twarz rozluźniła się wyraźnie. Miazga pozwolił sobie na szeroki, pełen ulgi uśmiech.

– No to możemy się zbierać. – Wetknął tłuczek za pasek. – Załatwione.

– Czekaj – wstrzymał go gestem jasnowłosy. – Daj papier.

– A... racja. – Miazga podszedł, wręczył Debrenowi złożony w czworo nieduży arkusik. – Klejem specjalnym powleczony jest. Polizecie po odwrocie, to się trzymał będzie. Obojętne: czy do ściany przylepicie, czy do... eee... no, trupa. To dobry klej. Po pół talara za flakon.

Magun ostrożnie rozłożył kartkę. Była ciut większa od dłoni. Nieprzypadkowo chyba, bo właśnie ludzką dłoń, umoczoną w czarnej farbie, do niej przyłożono.

– Co to jest? – zapytał.

– Nasz znak rozpoznawczy – powiedział ze słabo skrywaną dumą Gep, dźwigając się z taboretu. – Niewidzialna ręka ludowej sprawiedliwości. Ta, co zmiecie tyrana z depholskiego tronu. Zostaw ją gdzieś obok, jak Kipancho już... no wiesz.

Idziemy, Miazga.

– Jeszcze jedno pytanie – uniósł głowę Debren. – Dlaczego w ten sposób?

Tym razem nikt nie kwapił się z odpowiedzią. A zwłaszcza Gep. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość: ani nie wyszedł, udając głuchego, ani nie zgromił wzrokiem Miazgi, kiedy ten w końcu przemówił.

– Bo nam tu kusz posiadać nie wolno, a i łuk jeno za specjalnym pozwoleniem i jeno szlachta, do polowań. Nawet z mieczem niebezpiecznie jest się pokazywać, jak kto wytłumaczenia dobrego nie ma. A Kipancho zbroi prawie nie ściąga i rycerz wielce sprawny jest, chociaż wariat i okrutnik. Nie dalibyśmy mu rady. Nie na taką broń – przeciągnął palcami po tłuczku. – Potem, jak się zacznie... Potem będziemy stawać honorowo, twarzą w twarz. W blachach, z puklerzami, machinami miotającymi. Ale teraz...

– Chodź już – powiedział cicho Gep. – Przed kim ty się tłumaczysz? On chce wyjść z tego żywy dziesięć razy bardziej niż my. Choćby dlatego, że to nie jego wojna. Aha, Debren. W stajni twój muł czeka. I lina, coś o nią pytał. Wracaj do rycerza i rób, coś obiecał. Do jutra masz czas. Bo my, widzisz, z domowej roboty łuku zbroi nie przestrelimy, ale zdrajcy, co obietnicy nie dotrzymał, to chyba damy radę.

\*\*\*

Ściemniało się powoli, ale dach wiatraka widział aż za dobrze na tle zachodzącego słońca. Dużo za dobrze.

Dach był pusty.

Zwolnił. Jechał teraz stępą przez sięgające wysoko nad kopyta kałuże, ubłocony, obolały i nagle wyzbyty sił. Nad przydrożnymi wierzbami krążyły wrzaskliwe wrony, a on włókł się środkiem zatopionych pól i próbował znaleźć jakieś inne wytłumaczenie. Nie znajdował. Był czarodziejem, nie wierzył w bajkowe zakończenia. Jeszcze dwieście kroków. Za

tymi zaroślami jest zakręt, potem drugi, a potem już staw i nowiutkie, jeszcze pachnące lasem obejście, w którym wszystko powinno być świeże i radosne, przesycone głupią może i naiwną, ale przecież nadzieją.

Powinno. Ale nie będzie. Bo świat nie jest tym, który opisują w bajkach dla dzieci.

Zatrzymał muła. Drapał w zadumie spocony kark zwierzęcia i zastanawiał się. Długo. Potem sięgnął pod kaftan, po lekką, nie pobrzękującą sakiewkę. Trudno powiedzieć, po co. Bo chyba nie po to, by trafić palcami na spłaszczoną bryłkę metalu, zawieszoną na rzemyku oplatającym szyję. Cóż mogła mieć wspólnego zdeformowana srebrna kula ze śmiercią małej Depholki, która zginęła spadając z dachu?

Nic.

A ze mną?

Też nic? Naprawdę nic? To dlaczego aż tak...?

– Jakie to banalne – powiedział Def Groot, wysuwając się spomiędzy krzaków kaliny. – Stoi jeździec na dróg rozstaju i duma. W lewo jechać? Czy prosto? Więc po monetę sięga srebrną, by w orła i re... Och, wybacz. To nie moneta? Dobrze widziałem?

– Co tu robisz? – zapytał sucho Debren, wpychając za pazuchę i sakiewkę, i spłaszczoną kulkę.

– To co i ty. Dumam w samotności, z dala od ludzi. A mówiąc uczciwie, to liści miękkich szukam i miejsca ustronnego. Dalej nie objaśniam, bo widzę, żeś w nastroju całkiem takim dialogom nie sprzyjającym. Tobie serce w piersi gra, mnie kiszki w brzuchu. To było srebro, prawda?

– Nie twój interes.

– Może mój, może nie. Przypominam, żeś zakład przegrał. I marnymi denarami zapłacił. Nie chcę podważać twojej uczciwości, ale wiem, jak ludzki umysł w takich przypadkach działa. Zasierj w nim ziarno wątpliwości, zaczniesz je mleć na mąkę, rozgryzać i na końcu wielki chleb z owej mąki upiecze,

dużo większy od ziarna. Może być tak, że upiję się kiedyś, moją podświadomość do głosu dopuszczę. A ta, wbrew mojej woli, obsmaruje cię przed ludźmi. Oszustwo zarzuci.

Debren westchnął, wyciągnął ramię z kulą spod kaftana.

– Wystarczy? Czy może mam zdzielić cię tym po czasie? Parę razy, bo nie udało się dotąd ustalić, gdzie owa podświadomość siedzi.

– Nie trzeba. – Def Groot nie próbował się cofać, choć ciekawość przywiodła go pod samo strzemię. – Dziwny jakiś amulet. Do sekty należysz?

– To nie... – Debren ugryzł się w język. – To nie twoja sprawa. I nie zaczynaj od początku tego kawałka z podświadomością.

– Nie zacznę – zgodził się rudzielec. – Ale głupio robisz. Być posądzonym o udane oszustwo to niewielka hańba, a w oczach niejednego nawet powód do dumy. A oskarżenie o przynależność do sekty... Uuu-uu. Tortury i stos.

– To nie amulet ani żaden znak sekciarski. Jenó pamiętka.

– Aha. Coś dobrego przypomina?

– Coś dziwnego – mruknął Debren po chwili zadumy.

– To samo co aromat mięty? – uśmiechnął się nieznacznie duszysta.

– Wybacz, że się powtarzam. Ale to nie...

– ...mój interes – dokończył Def Groot. – Wybaczam. A ty z kolei wybacz, że twojej znękanej duszy ulżyć próbuję. Odruch zawodowy. Mogę ci udzielić bezpłatnej porady?

– Nn... nie.

– Aha, zawahałeś się. To dobry znak. Zdajesz sobie sprawę z istnienia problemu. No cóż, nie, to nie. Ale powiem ci, jak się skończy to duszenie pytań w sobie, wykrztusisz je kiedyś w jakiejś obskurnej gospodzie, przy trzecim garncu podłego piwa. A jakiś zapluty, śpiący z mordą w misce łapserdak, co z tobą chlać będzie, ocknie się na chwilę i powie: „Chędożyć je wszystkie, kurwy chędożone”, z której to rady być może



skorzystasz. I nawet jak choroby żadnej marimalskiej nie podłapiesz, to do końca życia nie ci z tej srebrnej kuli nie przyjdzie, jeno gorycz i żal do siebie samego.

Debren trącił piętą bok muła. Zwierzę ruszyło wolno przed siebie, w stronę wiatraka. Def Groot zaczął iść obok, nie zważając na błoto do kostek.

– Czego ty właściwie chcesz?

– Pomóc. Bo ty potrzebujesz pomocy.

– Ja? – uśmiechnął się krzywo magun. – To dziecko potrzebowało.

Przez chwilę posuwali się w milczeniu.

– Jej pomoc nie mogłem – mruknął Def Groot. – Tobie mogę.

– Ja nie siedzę na krawędzi dachu, patrząc w przepaść przerażonymi oczyma.

– Ale kiedyś możesz usiąść.

– Bzdura.

– Jestem wybitnym duszysta, Debren. Wiem, co mówię.

Minęli zakręt, zbliżali się do drugiego. Debren patrzył do góry, na koniec wymierzonego w niebo skrzydła wiatraka. Siedział tam jakiś ptak. Nastroszony jak ta mała, której obraz nosił pod powiekami.

– Wiesz, co mówisz. I jesteś wybitny. Ale nie przyjmę od ciebie rady, bez wątpienia dobrej. Bo miałbym u ciebie dług wdzięczności. A nie chcę. Nie u ciebie. Bo nie umiem okazywać wdzięczności takim, co palcem nie kiwną, kiedy trzeba ratować dzieci. Nie mówię o narażaniu życia czy poświęcaniu majątku, nie zrozum mnie źle. Mówię o kiwaniu palcem. Jej krew jest między nami, Def Groot. Nie zmienisz tego.

Minęli zakręt. Za zakrętem wszystko było takie jak przedtem. Wóz, dwa ogniska, chmary komarów. Sansa, ukryty w chmurze dymu i zapatrzony w garnek z warzoną na wieczkę zupą. I żona pompiarza, krzątająca się przy swoich

garnkach z twarzą...

Debren zatrzymał się. Coś było nie tak z twarzą tej kobiety.

Zza wiatraka wyszedł Kipancho. Przechodząc obok nakrytego kocem stołu, zatrzymał się, schylił, podniósł coś małego, wsunął pod koc. Debren zsiadł; powoli, na trochę sztywnych nogach ruszył na spotkanie. Tego stołu nie było przedtem. Ale coś, co kryło się pod pasiastym kocem...

– Spóźniłeś się, mistrzu – posłał mu swój melancholijny uśmiech Kipancho. – Potwór, jak widzisz, nie ma już zakładniczki.

– Widzę. – Nie wiedział, co więcej mógłby powiedzieć.

– Z muła spadłeś? – rycerz zerknął na pokryty skrzepami łuk brwiowy, na obandażowaną dłoń. – Nie warto było tak gnać.

– Widzę – powtórzył. Przełknął ślinę. – Mała... gdzie jest?

– W owej budce, która tym nieszczęśnikom za dom służy. Matka jej kąpiel szykuje.

Debren popatrzył na kobietę. Miała pustkę w twarzy. Nie była ani szczęśliwa, ani nieszczęśliwa. Niektórzy ludzie tak reagowali. Gotowali wodę. Po prostu.

– Def Groot... Powinieneś z nią pomówić.

– Nie, Debren – powiedział spokojnie duszysta. Miał w oczach taki sam smutny uśmiech jak Kipancho. – Powiniennem ci coś wyjaśnić, bo widzę...

– Bydlę jesteś.

– Nie unoście się, mistrzu – wtrącił się rycerz. – Def Groot wie, co czyni. Potwór wciąż odgłosy wydaje, czyli żyw. A póki żyje, ci ludzie pod czarem jego są jak kukły bezwolne. Znam to z doświadczenia.

– Panie Kipancho, co was się tyczy, to...

– Ona żyje – przerwał mu szybko Def Groot. – Nie spadła.

– Co?

– Zrzuciła tę linę.

– Co?

– Mój pan wdrapał się na samiuśki dach – oświadczył chełpliwie Sansa, który wyrósł obok jak spod ziemi. – Ja bym poszedł, ale to depholska lina, niepewna. Męża postury słusznej mogła nie utrzymać, zwłaszcza ze smarkulą na plecach. A pan Def Groot, choć lekki i z umaszczenia wielce do wiewiórki podobny, namówić się nie dał.

– Jest uczonym – stwierdził pobłaźliwie Kipancho. – A to robota dla ludzi czynu była, takich jak my, Sansa.

– Zrzuciła linę? – wciąż nie wierzył Debren.

Def Groot, uśmiechnięty nie bardzo ładnie, ściągnął koc ze stołu. Debren zamrugał oczami, ale miraż nie zniknął. Cały blat zavalony był lizakami, pierniczkami w różnobarwnych polewach, sztabkami czekolad, cukrowymi groszkami, gwiazdkami, łódeczkami, wiatraczkami, gałganowymi lalkami i misiami z króliczego futra, suszonymi figami, rodzynkami i chyba wszystkim, co dobrze zaopatrzony jarmark mógł zaoferować spragnionej łakoci i zabawek dziatwie.

– Która dziesięciolatka by się oparła? Sam widok wystarczył. Kipancho nawet dużo gestykulować nie musiał.

– Musiał – rzucił mało przyjaźnie giermek. – Boście nie raczyli słów jego przetłumaczyć.

– Znam chłopów – powiedział Def Groot, patrząc nieruchomo w przestrzeń. – Łatwo było przewidzieć, że ktoś z ich krwi się wywodzący za parę błyskotek honor w kącie ciepnie i robi, co mu każą.

– Ale skąd to...? – Debren przesuwiał palcami po słodyczach i figurkach.

– W tym kraju, gdzie czwororękich potworów tak wiele, dzieci często przestraszone są i smutne. Więc kupiłem tego trochę. Rozdajemy po wsiach.

– I dzieci was kochają – skomentował Def Groot z nieprzyjemnym uśmiechem. – A sława waszych czynów idzie daleko w świat, więc świat przysyła więcej pieniędzy rycerzowi Kipancho. By miał za co kupić więcej słodyczy dla

smutnych dzieci Depholu. Oraz, co trochę znaczniejsze sumy kosztuje, nowe kopie w miejsce połamanych.

– Prawda – przyznał pogodnie Kipancho. – Lepiej nam się ostatnio wiedzie. W końcu ludzie zrozumieli, czym są wiatraki.

Debren wziął ze stołu suszoną figę i zaczął ją żuć. Nie chciało mu się jeść, ale jeszcze bardziej nie chciało mu się mówić.

\*\*\*

Obudziło go parsknięcie konia. Siwek rycerza Kipancho stał obok sterty chrustu, którym Sansa miał karmić maleńkie ognisko, ale który marnował się z winy kamiennego snu giermka. Ognisko nie zgasło całkiem dlatego, że opał był wilgotny i płomienie połykały go powoli.

Dlaczego rycerski koń parskał znad sterty chrustu – Debren nie rozumiał. Uwiązano go na długiej linie i miał do wyboru mnóstwo świeżej trawy. Nie musiał naciągać powrozu i wykręcać boleśnie szyi, podchodząc do śpiących najbliżej, jak się da.

– Nic, nic – wymamrotał Kipancho, otwierając na chwilę jedno oko i przewracając się na posłaniu. – To swój, już dobrze.

Koń, uspokojony, wycofał się ku łące. Debren, trochę za późno, zaczął skanować otaczającą zwierzę aurę. Niechętnie, bo bolała go od tego i ręka, i rozcięte czoło, a przede wszystkim senność parowała z głowy jak woda z rozgrzanej patelni. Wolał się jednak upewnić.

Trochę to potrwało, bo koń musiał być zdobyczny, przywieziony z północnej Yougonii lub Bliskiego Zachodu. Do tresury użyto temmozańskiej magii, a i to nie w postaci bezpośrednich zaklęć, lecz w charakterze katalizatora hipnozy. Nie miał pojęcia, co potrafi koń rycerza Kipancho. Może tańczyć i śpiewać, a może zupełnie nic poza tym, co

potrafi zwykły wierzchowiec, bo czarodzieje innowiercy umieli spaprać robotę albo oszukać klienta dokładnie tak samo jak viplańscy czarodzieje machrusanie. Ale ostrzegł swego pana cicho i dyskretnie, czyli tak, jak należy.

Zwykłemu rycerzowi ten element tresury nie przydałby się na wiele. Za to błędnemu, podróżującemu z jednym tylko, mało czujnym giermkim i mającemu na pieńku z takimi ludźmi jak pompierz czy Gep...

Usiadł i rozejrzał się. W otoczeniu, pomijając siwka, nie wyczuł magii. Zazwyczaj zadawała się takim stwierdzeniem. Ludzie skradający się nocą do obozowiska, w którym przebywał czarodziej, albo brali do pomocy innego czarokrażcę, albo zaopatrywali się w najwymyślniejsze amulety; eliksiry, zaklęcia-samoklepek i inne tego typu rekwizyty, dostępne niekiedy za zupełnie śmieszne pieniądze i zazwyczaj legalnie. Wszystko to, choć często dość skuteczne, mocno promieniowało energią i dawało się łatwo wyczuć z daleka.

Problem polegał na tym, że tubylcy, którzy mogli mieć pretensje do Kipancha, nie wiedzieli, że Debren jest magunem. A Gep, choć teoretycznie wiedział, lekceważył go w sposób widoczny i był głupim młokosem, ślepo ufającym w możliwości swego miecza.

Debren zapiął pas, sprawdził, czy różdżka nie wysunęła się z pochwy, i wstał. Przygryzł wargę, by zrównoważyć nagły skok bólu w opuchniętej dłoni. I podostrzył słuch. Na krótko. Jakiś czas temu doszedł do wniosku, że takie trwające chwilę skoki wrażliwości, nie wymagające eliksirów, medytacji wprowadzających i wielkiego wydatku mocy, mają przed sobą przyszłość. Inna sprawa, że opanowanie tej techniki kosztowało sporo zachodu i wymagało dość wysokiego WZ. A ludzi z wysokim Współczynnikiem Zaczepnięcia stać było i na najlepsze eliksiry, i na służących-ochroniarzy ze słuchem tak podostrzonym, że słyszeli, jak trawa rośnie.

Był jeszcze bardziej prozaiczny problem: najdoskonalszy zmysł niewiele pomógł, jeśli wymierzono go w pustkę. Należało nasłuchiwać kroków wtedy, gdy ktoś szedł i patrzeć, gdy było coś do zobaczenia. Krótkie okresy wyostrzenia zmysłów nic nie dawały, jeśli ktoś miał pecha i dobrał inny rytm niż ten, w jakim przemieszczał się złodziej lub skrytobójca.

Debren nie miał tym razem pecha. Pewnie dlatego, że stawką nie było jego życie. Ktokolwiek i cokolwiek robił wewnątrz wiatraka, nie przyszedł na pewno z zamiarem uśmiercenia rycerza Kipancho i jego błogo chrapiącej drużyny.

Przez chwilę słyszał niewyraźne mamrotanie śpiącego dziecka. Potem uszy wypełniła nieważka, niematerialna wata i przez jakiś czas nie mógł się pozbyć przeświadczenia, że ogłuchł. To była jeszcze jedna nieprzyjemna strona metody. Nikt nie lubi iść przez życie ze świadomością, że tak naprawdę jest głuchy, ślepy i ogólnie ciężko upośledzony. A takimi wnioskami kończył się każdy seans.

Nie sięgając po różdżkę, raczej szybko niż ostrożnie, Debren przeszedł brzegiem stawu pod wiatrak i stanął w otwartych drzwiach, tych samych, które zdaniem Kipancho kończyły od dołu plecy potwora i mogły zamienić się w śmiertelną pułapkę. Wewnątrz paliła się nieduża pochodnia i cicho postukiwał owinięty gałganami młotek. Klęczący obok kolumnienki pompy Def Groot delikatnie wybijał nim mocujące obudowę kliny, uderzając w przyłożony do nich stalowy pręt. Pręt przytrzymywała jasnowłosa żona pompiarza.

– Szukacie tam duszy, panie duszysto? – zapytał półgłosem Debren. Chyba mimo wszystko szedł tu dość ostrożnie, bo oboje dali się zaskoczyć. Rudowłosy machnął młotkiem ciut za nisko, kobieta poderwała w popłochu rękę i w efekcie oberwała po palcach. Zassała głośno powietrze, ale nie

krzyknęła.

Def Groot sięgnął do pasa. Szybko. Ale zdążył przedtem spojrzeć w stronę drzwi. A światła nie było wcale tak mało. Noża wprawdzie nie wyjął, Debren odnotował jednak tę znamiennej kolejność.

– Debren! Nastraszyłeś nas. – Def Groot zdjął dłoń z rękojeści, podniósł się. Kobieta stanęła obok, ssąc stłuczony palec. – A ty czego szukasz?

– Odpowiedzi na parę pytań. Na przykład: kto i po co zakrada się w środku nocy do popsutego wiatraka?

– Zadać takie pytanie w karczmie – poradził bez uśmiechu duszysta – i dodaj, że w grę wchodzi dwie osoby, jedna w portkach, druga w spódnicy. Odpowiedzi zadziwią cię swą zgodnością. Nie musisz nawet wspominać, że w pobliżu nie ma stodoły i męża niewiasty, a jej dom jest ciasną budą, ledwie co od psiej większą, i śpi tam dziecko.

– Romantyczna schadzka w tajemniczych czeluściach maszyny? – błysnął zębami Debren. – Prawie wierzę. Tylko nie wiem, jak to chcieliście robić za pomocą młotka i łomu. Nam, prostakom z Zachodu, takie rekwizyty miłosne całkiem się nie mieszczą. W głowach, rzecz jasna.

Kobieta zapytała o coś cicho, niepewnie. Była całkiem atrakcyjna i Debren pewnie uwierzyłby w najprostsze z nasuwających się wyjaśnień. Gdyby nie narzędzia.

– Mógłbyś przetłumaczyć – zwrócił się do Def Groota.

– To nie dotyczyło ciebie.

– Nie jestem telepatą – powiedział magun z lekką pogrózką w głosie – ale znam prosty czar, który potrafi wykryć łgarstwo. Więc uważaj, co mówisz.

– Mieszasz się w całkiem nie swoje sprawy. – Głos duszysty brzmiał ostrzegawczo. – Całkiem. W dodatku mocno cię przerastające.

– Chcieliście rozmontować pompę. – Debren podszedł bliżej, postukał w skomplikowany mechanizm trybów

i dźwigni. – Ciekawe po co.

– Ciekawość zabija, magunie. Niekiedy bardzo szybko.

– Podobnie jak brak ciekawości. Jak ją namówiłeś? – wskazał żonę właściciela. – Bo do czego, możesz nie mówić. Chcieliście zdjąć to z góry i zatkać rurę przepływową. Jedynym odgłosem wydawanym wówczas przez wiatrak byłby świst wiatru w szczelinach, a tego nawet wariat Kipancho nie uzna za oznakę życia. Potwór umrze i będzie można odjechać na poszukiwanie następnego. Płacą ci od sztuki, mistrzu?

– Idź spać. Bo zaśpisz i rano nie zdązysz na barkę.

– Powiedziałaś jej, co się stanie, jak Kipancho stwierdzi zgon przeciwnika?

– Nie. Bo nie wiem, co się stanie. To zależy od ciebie.

– Kręcisz, Def Groot. Obaj dobrze wiemy, co będzie dalej. Przyjedzie Vanringer i urządzi pogrzeb. Spali wiatrak i domek pompiaza przy okazji. Ci ludzie staną się żebrakami. A jeżeli budowali z kredytów, to gospodarz trafi do lochu. Wiesz, ilu osadzonych wychodzi z lochu? Niewielu. A ilu żebraków zdycha w przydrożnym rowie? Cholernie wielu.

– Nie zmienimy porządku świata. Ale tych akurat ludzi możesz ocalić. Wystarczy, byś wytłumaczył panu Kipancho, że z tego akurat wiatraka udało ci się potwora czarami wygnąć. Samego wiatraka nie zabijając. Żywego wiatraka Kipancho nie pozwoli spalić. On nie uznaje niepotrzebnego zadawania bólu komukolwiek.

– Kipancho to szaleniec. Nie mam zamiaru utwierdzać go w jego szaleństwie. Ktoś mu musi w końcu wyjaśnić, że wiatrak to tylko kupa zbitych przemyślnie desek.

– Leczenie choroby psychicznej metodą wyjaśnień? – zakpił Def Groot. – Interesujący pomysł. Proszę, próbuj. Rób, co chcesz, eksperymentuj, ostatecznie magun jesteś, nowych metod badacz i odkrywca. Tylko nie wbijaj klina między mnie a mojego pacjenta. I nie odzywaj się, kiedy będę go zapewniał w imieniu nas obu, że wiatrak nie żyje. Och, przepraszam...



Czarownik. Potwór, co się wcielił w kupę zbitych przemyślnie desek. Stój cicho z boku, a potem bierz zapłatę i maszeruj na tę swoją barkę.

– Nie rozumiem, czego się boisz. Jeśli od umysłu tego nieszczęśnika logiczne wyjaśnienia odbijają się równie uparcie jak młoty bojowe, to cóż ci szkodzi moje gadanie? Powiem, co myślę, i wyjadę. Kipancho, możesz mi wierzyć, głupszy od tego nie będzie.

– Zakłócisz mi rytm kuracji – warknął Def Groot. – Dusza ludzka to delikatna materia.

– To odłóż ten młotek – poradził Debren. – Delikatnej materii nie naprawia się młotkiem. Nawet owiniętym w szmaty.

Duszysta nie odłożył młotka. Za to zrobił krok do przodu. Nie zbliżyli się za bardzo, bo magun był czujny i prawie równocześnie odskoczył lekko ku drzwiom.

– Spokojnie – uśmiechnął się z przymusem Def Groot. – Coś taki nerwowy? Przecież nie będziemy się bić. Nie o jakieś... To śmieszne.

– Nie, nie będziemy. Mam dość na dzisiaj. Więc zrób jeszcze jeden gwałtowny ruch, tylko jeden, a tak ci przypieprzę, że do rana nie wstaniesz.

Rudzielec, cokolwiek by o nim nie mówić, w swoim fachu był dobry. Wiedział, kiedy i do jakiego stopnia ludzie mówią prawdę. Cofnął się więc powoli i odłożył młotek.

– Jak ją namówiłeś? – powtórzył pytanie Debren.

– A uwierzysz, jak powiem, że zaapelowałem do jej patriotyzmu?

– Nie.

– Obiecałem zbadać dziewczynkę – mruknął Def Groot. – Do pewnego stopnia jestem medykiem. A ona ma gorączkę. Pewnie dlatego dała się tak łatwo ściągnąć z dachu.

Debren bez słowa wyjął z uchwytu pochodnię, a potem skinął na stojącą z boku gospodynię.

\*\*\*

– Myślałem, żeś uciekł.

Debren obrócił się na stołku, choć nie musiał. Tylko jedna osoba mogła przecisnąć się przez wąskie drzwi z takim chrzęstem.

– Dzień dobry, panie Kipancho – powiedział cicho. – Nie uciekłem. Nie było powodu.

– Znalazłby się – rycerz zniżył głos. – Niektórzy boją się przebywać w moim towarzystwie, bo uważają, że postradałem zmysły i zagrażam otoczeniu. Inni sądzą, że otoczenie zagraża mnie, a przy okazji i tym, co jadą obok i śpią za blisko. Trochę racji w tym jest. Bywało, że ostrzeliwano nas z daleka, a i napad na biwak się przydarzył. Parę postronnych osób ucierpiało, więc nie mam pretensji. Do niej przyszedłeś?

Debren zerknął na szerokie małżeńskie łoże przykryte przybrudzoną pierzyną. Noc była chłodna, a na domiar złego szalały komary. Pewnie dlatego spod pierzyny wystawał tylko czubek jasnej czupryny z jednej i przybrudzona bosa stopa z drugiej strony. Pokręcił głową nie bez pewnego żalu. Wiedział, że wyżej jest zgrabna noga, biodra, piersi i cała reszta, składająca się na młodą jeszcze, ponętą kobietę.

– Do tej – wskazał mniejsze łóżko.

Kipancho usiadł na brzegu okutej skrzyni, pewnie z bielizną. Siadając, starał się nie chrzęścić zbroją.

– To jeszcze dziecko – powiedział bardziej ze zdziwieniem niż z wyrzutem. – Chyba nie...

– Nie – uśmiechnął się Debren. – W większości cywilizowanych krajów za dorosłą uważa się pannę trzynastoletnią, a na Południu, gdzie wszystko szybciej dojrzewa, dwunastolatkę. Handlować ciałem mogą dziesięciolatki za zgodą opiekuna i przy pewnych ograniczeniach. W zamtuzach, na poły oficjalnie, bez robienia

skandalu, oferuje się dziewczęta od ósmego roku życia. To karalne, ale niewysoko. Ja jednak, panie Kipancho, mam na te sprawy trochę wypaczony pogląd. Kobiety poniżej dwudziestki uważam za dziewczęta. A z dziewczętami do łóżka nie chodzę.

– Cóż, każdy z nas ułomny jest – stwierdził z powagą rycerz. – Każdy ma swoje słabostki i dziwactwa, osobliwie na tym polu. – Rozejrzył się po ciasnym, zagraconym wnętrzu. – Dzięki za zaufanie. Możesz być pewien, że cię przy winie obmawiał przed ludźmi nie będę.

– Wiem.

– A co do dziewczki, to masz rację. – Obaj patrzyli przez chwilę na przykrytą po szyję, oddychającą trochę chrapliwie dziewczynkę, śpiącą na mniejszym łóżku. – Jak ją wczoraj znosiłem na plecach z dachu, to jednej miękkiej krągłości nie wyczułem. Dziecko to jeszcze. Widać, że na piękną niewiastę wyrośnie, ale póki co... Z myślą o przyszłości tu siedzisz?

– He?

– Ja moją Dulnessę też niewiele starszą po raz pierwszy ujrzałem. Też chude to było, kanciaste. Ale już wtedy ślub złożyłem, że tylko ją, do końca życia... Bo mi serce z wrażenia zamarło. A takie dziewczęta, na widok których serce człowiekowi w piersiach zamiera, zwykle szybko mężów znajdują. Więc, choć się kompani śmiali, smarkuli wierność i stałość uczuć obiecałem, by sobie kolejkę zaklepać. W rycerskim stanie jest to przyjęta metoda, choć dość rzadko stosowana. Bo wiesz, w młodym rycerzu i krew młoda, gorąca, a słowo to słowo, trzyma mocniej od łańcucha. Alem nie myślał, że wśród czarodziejów tak się żony zdobywa.

– Nie myślałem o żeniactwie.

– No tak, u was... hmm... swobodniejsze obyczaje. Rzec chciałem: kochanki.

– Kipancho, ona jest chora. Dlatego tu siedzę.

– Chora?

– Ma gorączkę, dreszcze. Czekam, aż się obudzi. Chciałbym

coś sprawdzić.

Kipancho przyglądał się śpiącej, marszcząc brwi i wysokie czoło. Sposepniał.

– Myślisz, że to czary? – Debren zamrugął, posłał mu zdziwione spojrzenie. – On jest zdolny do każdej podłości.

– On?

– Czwororęki Mag z Saddamanki. Ten, który wiatraki w posłuszne sobie bestie zmienia, a na ludzi urok rzuca. Najgorszy wróg Wolnego Świata.

– Myślałem, że najgorszy jest sułtan Wezyratu – mruknął Debren. – A niektórzy mówią, że inflacja. Albo...

– Nie, mistrzu. Sułtan Oleyman IV i jego hordy to tylko zdolny wódz i sprawna, głodna sukcesu armia. Jeszcze jedna, która zwała się na nasz nieszczęsny kontynent ze stepów i gór Zapadniki. Już za Starego Cesarstwa, ba, dużo wcześniej, wypływał ów ład dziki i ogromny plemiona jeszcze dziksze, naszej krwi i złota żądne. Ale Viplan i zawsze potrafił się wybronić. I teraz też się wybroni, bo ci u nas nie brak ani dowódców łebskich, ani knechtów i jezdnych, gotowych choćby z diabłem się rąbać. A wiesz dlaczego? – Debren zaprzeczył gestem. – Bo żyjemy w raju. W pępku świata.

– My, to znaczy...?

– Ci wszyscy, co żyją wśród lasów, łąk zielonych. Co po wodę do własnej studni chodzą, a rzekę czy strumień przez okna widzą. Viplańczycy. Mieszkańcy kontynentu, na którym jest dużo wody i równie dużo życia.

– Podobno w Irbii z wodą i zielenią krucho bywa.

– Prawda to. I może dlatego to mnie właśnie Bóg wybrał, bym niósł ludziom prawdę. Bo to w mojej ojczyźnie, jak nigdzie indziej w machrusańskim świecie, widać, jak brak wody ziemię piękną i urodzajną w pustynię zmienia. Ani w Illenie, ani w Bootalyi tego nie zobaczysz, co u nas przy lecie cieplejszym. Jaja się smażą, nim je kura złożyć zdąży, a rzeki nawet ćwierci wody normalnej nie toczą. Istna

Yougonia.

– Hmm, no tak... Ale co ma do tego Mag z Saddamanki?

– Jeszcze nie rozumiesz? To powiedz, z czym ci się kojarzy Temmo i jego psia religia? Nie myśl, mów. Szybko.

– No... wielbłąd, szabla... harem... słońce na sztandarach i wieżach świątyn... upał, piaski, pustynie...

– Właśnie, Debren. Pustynie. Od nich należało zacząć. Temmozanie to dzieci pustyni. Z nich czerpią swą siłę, swą wściekłą nienawiść do jedynej prawdziwej wiary, swą pogardę śmierci, która tak strasznymi w boju ich czyni. Nigdy nie wygraliśmy z nimi wojny wśród piasków. Nigdy. Zwyciężaliśmy w bitwach i kampaniach, ale w końcu oni zawsze byli górą.

– Rycerze kołowi przez kilka wieków w Ziemi Pańskiej się trzymali. Jeszcze dzisiaj pojedyncze twierdze...

– Bo grób Machrusa tam jest, a Pazrel i przymorska część Bliskiego Zachodu to mimo wszystko nie pustynia. I kupa luda zawsze chadzała, by koło w świętej rzece Jond obmyć. Ale to już historia. Dziś nikt do wyprawy kołomyjnej nawet nie nawołuje.

– Może i lepiej, że nie. Jak sam zauważyłeś, w rzyć zawsze nasi brali, ledwie z lasów i łąk zielonych między piaski wyszli. Czytałem, że i ty...

– To, co czytałeś, to bajania poety, co z grodu nosa nie wytknął i nie ma pojęcia, jak wojna z poganami wygląda. Ja się z tymi psami trzy lata biłem. A potem w łeb od Czterorękiego dostałem i przez następne cztery lata w niewoli kołowrót przy studni obracałem. W oazie, w północnej Yougonii. Ci, co ze mną kręcili, w większości powymierali. Mnie się udało. A studnia, wystaw to sobie, wyschła. I to mi dało do myślenia.

– Znależliście analogię między północnyougonońską studnią a depholskim wiatrakiem?

– Łatwo ją znaleźć. Jedno i drugie urządzenie wodę czerpie,

jedno i drugie czworo ramion posiada. Pogańscy dozorczy mówili, że w takich skrzyżowanych belkach duch starożytnego czarodzieja ichniego siedzi, wielce potężnego, co dawno temu, jeszcze nim Temmo swą naukę głosić zaczął, obiecał całą wodę ziemi wyrwać. Choćby kryła się milę pod piachem i skałą. A Czwororęki Mag z Saddamanki kontynuuje dzieło tego zbrodniczego czarnoksiężnika. Wodę ziemi chce zabierać. Naszej ziemi. By w pustynię ją obrócić i temmozanom oddać.

– Dlatego wiatraki niszczysz?

– Wiem, co powiesz – uśmiechnął się ze smutkiem Kipancho. – Że tu Dephol jest, kraina, która płacze nie od braku, a od nadmiaru wody. Prawda. Ale jak w końcu z owej oazy uciekliśmy, tośmy się przez parę niedziel wielbładami przez najstraszliwszą pustynię świata wlekli. Suchar się nazywa i ogromna jest, od całego Viplanu rozleglejsza, chyba że Sovro doliczyć. I pośrodku tej pustyni wiesz, co widziałem?

– Debren potrząsnął przecząco głową. – Muszle, mistrzu. Wielgachne, w skałach odcisnięte. I rybie ości, też w kamień obrócone. Z dużych ryb. Morskich, nie żadnych tam rzecznych czy jeziornych. A wiesz, co to znaczy?

– Domyślam się – mruknął czarodziej. Machnął dłonią, odganiając komara znad pokrytego śladami ukłuć czoła dziewczynki.

– I dobrze się domyślasz. Morze tam było. Wielkie, bo i doliny wielkich rzek wśród skał i wydm po dziś dzień widać, co do morza uchodziły. Piękny kraj to był. Na skałach widziałem starożytne malunki sprzed wieków, może tysiącleci nawet. Drzewa na nich były, myśliwych tłumi i zwierzęta. Zdziwiłbyś się, jakie bogactwo zwierząt. Niektóre takie, jakie w Viplanie żyją, ale też inne, dziwaczne. A na żadnym malunku nie było ani wielbłąda, ani tych pogańskich psów z zakrzywionymi mieczami i w zawojach na łbach. Wniosek prosty jest, Debren. Świat lasów i łąk daleko, daleko na

południe sięgał. Aż przyszli temmozanie, bożka Hala wyznawcy, i znikły lasy, znikły łąki. Morze znikło. Słyszysz, Debren? Morze!

– Słyszę. Ale...

– Nie ma żadnego „ale”, Debren. Widziałeś kiedyś atlas, zbiór map świata? Kształcony jesteś, toś pewnie widział. Przypomnij sobie więc, jak wygląda. Pośrodku Viplan leży, zielony, piękny. Na zachodzie Zapadnika. Górą gdzie Sovro się ciągnie, szarawo jest, sinawo, ale też zielono. To puszcza śniegowa, tajgą zwana. Paskudny, zimny las, ale przecież las. A w tym lesie Sovrojcy, dzikusy i grubianie, lecz Machrusa sławiący, choć znak koła w lewo czyniący. A teraz na południe Zapadniki spójrz. Brązowo od gór, trochę zieleni i żółć piasku. Środkowy Zachód. I Daleki. Kraje dziwnych ludów, co oczy mają krzywe i skórę żółtą. Z nich się Kummonowie wywodzą, co rok w rok Lelonię, Sovro i Żmutawil łupią i do słońca się modlą. Ale najpaskudniej wygląda w dole mapy, za Międzymorzem. Yougonia i Bliski Zachód. Piasek, piasek, po trzykroć piasek. I hordy żądnych krwi temmozan. Byli już w Irbii, doszli aż do południowego Marimalu. Całe pokolenia wypierały ich, krok po kroku, ku cieśninie Kariatydy i Yougonii. Prawie skończyliśmy oczyszczanie ojczyzny. No to wleźli na ziemię Bikopuliss, od zachodu na kontynent się włąli. Ośmiogród zagrożony, Smoyeed do obrony się szykuje, nawet w Lelonii na południe się oglądają i psioczą na władze, że smoka, co grodu stołecznego strzegł, do zguby przywiodły. A teraz by się przydał na pogan. Nie, Debren, nie ku dobremu świat zmierza. Grozi nam zagłada. Całej cywilizacji wschodniej.

– Z powodu wiatraków?

– One wodę wysysają, moczary suszą. I morze w ląd zamieniają. Wiem, że powoli. Nie jestem dureń, rachować trochę potrafię, i to nawet bez palców. Zdaję sobie sprawę, że za mego, a i tej dziewczki życia nie zmieni się Viplan w pustynię

do Suchara podobną. Alem widział w Irbii wsie wyludnione nie przez wojnę czy zarazę, a przez pola wyschnięte. Chude bydło widziałem, pszenicę, co na łokieć jeno wyrosła. A bez ludzi i plonów nie ma złota na wojsko. Kraj idzie w ruinę, a potem w obcą niewolę. Pomyśl: już teraz trudno nam Viplanu bronić. Co będzie, jak choć o jedną ćwierć produkcja rolna spadnie? A to nic wszystko jeszcze. Suchy Dephol wysie wodę skąd? Z Nirhy. A Nirha to królowa rzek Wehrlenu. Więc w Rzeszy Wehrleńskiej susza nastanie i kryzys gospodarczy. A wiesz, jacy są Wehrleńczycy i jak swoje kryzysy rozwiązują. Machiny zamiast masła i przec, przec po trupach sąsiadów. Jak się nie da na zachód i południe, to choćby na wschód. Już to przerabialiśmy.

– Kipancho, to, co mówisz, cholernie logiczne jest do pewnego momentu. Ale założenia, z jakich wychodzisz...

– Widziałem muszle i ryby pośrodku pustyni. Bóg mnie przez Suchar przeprowadził, mnie jednego. I chyba nie po to Dulnessę odebrał, by zakpić, prawda? Chyba miał jakiś plan, kiedy nas rozdzielał? Czemuś to przecież służyło, do cholery!

– Ciszej, bo małą obudzisz. Kipancho, jeśli o Boga chodzi... Lepiej nie dyskutujmy o Bogu.

Rycerz wpatrywał się w ścianę z surowych desek. Próbował milczeć. Ale nie mógł.

– Debren, ja mam prawie pięćdziesiąt lat. Kopii krótszych używam, bo w tych pełnowymiarowych grot mi się z proporcem mylił. Jak sikać w krzaki idę, to konia uwiązuję, żeby się nie znudził i nie poszedł, bo tak długo to trwa. Ale jej twarz ciągle widzę, wystarczy powieki opuścić. I zbroja za ciasna się na mnie robi. Wiesz, co mam na myśli.

– Chyba wiem. – Debren zastanawiał się dość długo, jak i czy w ogóle zadać to pytanie. Nie był duszystą, nie potrafił przewidywać ludzkich reakcji. – Kipancho, dlaczego ty i ona... dlaczego nie jesteście razem?

Rycerz też pomyślał trochę, nim przemówił.



– Jak ruszałem na południe, Dulnessa miała dwanaście lat. Według naszych kryteriów, jak słusznie zauważyłeś, była już właściwie dorosła. Mogła iść za mąż, choć kochający rodzice nie puszczają z domu córki, co jeszcze rosnąć nie skończyła. Teraz zacznij rachować. Trzy lata wojny. Jak miecz z młotem Maga z Saddamanki skrzyżowałem, dziewczyna piętnaste urodziny obchodziła. Po czternastych konterfekt mi przysłała. Mały obrazek był, alem wtedy wzrok miał lepszy i dostrzegłem, że chudzina, co mnie żegnała, cycastle i biodrzasta już jest. W piętnastym roku panna z dobrego domu wyprawę kończy wyszywać i kufry pakuje, bo czas to na zamążpójście najlepszy. Ale ona narzeczonego miała, więc nie rwała się przed ołtarz. A potem wieść przysłała, że narzeczonego z całą chorągwią w piaskach Yougonii zaginał. Więc czekała. Rok, drugi... Rodzice sarkali. Bo panna, jak przed osiemnastym rokiem wianka nie zrzuci, do klasztoru zwykle idzie. Ludzie zaczynają taką z daleka omijać. Mówi się: z posagiem coś pewnie nie tak albo chora jest, albo wredna z charakteru, albo nawet babofilka, tfu. No bo jakiś defekt musi przecie mieć, skoro w staropanieństwie usycha. No więc przyszedł ten osiemnasty rok. Moja Dulnessa żałobę po mnie zdjęła. Jeszcze u wróżbitów za ciężkie dublony ratunku szukała, jeszcze co dzień do kościoła biegała, po trzy klepsydry na dobę się modląc, ale w końcu na duchu upadła. Mówi się, że na wieżę się pięła, by skoczyć i umrzeć jak jej ukochany... w tej księdze o mnie tak jest napisane... ale ją na schodach wojak jeden, rezerwista z cechu złotników, zdybał, co z innymi cechowymi coroczne szkolenie zaliczał. No i, słowo po słowie, zgadali się, potem polubili, a na koniec do ołtarza poszli. Jak wróciłem, to już z brzuchem chodziła. Chciałem złotniczego synalka z miejsca ubić, bo mi się kurwim widział, ale szlachcicem nie był, więc nim moi juryści umyślili, jak ów problem obejść, bo pojedynkę w grę nie wchodził, trochę mi wściekłość przeszła. I na Dulnessę, i na niego. Bo przecie

życie jej ocalił na tej wieży. A jest mocno w rycerskiej tradycji zakorzenione, że panna za bohatera za męża idzie, jak ją od śmierci wybawi. Honoru by nie miała, jakby nie poszła. A ja tę dziewczuszkę i za to kocham, że nie tylko lico, ale i duszę ma piękną.

Debren żałował, że pytał. Dałby wiele za zaklęcie odwracające bieg czasu. Ale takiego, mimo wielowiekowych wysiłków licznych kapłanów i magów, nikt dotąd nie zdołał opracować. Błędy pozostawały błędami jak w pradawnych czasach opisanych w Księdze Świętej, gdy ludzie byli jaroszami, żyli w rajach i nie potrafili wyczarować nawet królika z czapki.

– Nic nie dało się zrobić? – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tylko czekać i modlić się. O to, by w sercu Dulnessy nie wypaliło się dawne uczucie. I o zwyczaj cen złota.

– To bardzo szlachetne, żeś jej dobrobytu życzył, choć przy boku innego żyła.

– No... tak po prawdzie... Widzisz, u nas, jak Coloman Vensuelli dla Korony Nowy Świat odkrył i kruszców drogie przybyło, to się i napady na składy złotnicze modne i popłatne zrobiły. Ponoć na stu jubilerów i stu rycerzy tych pierwszych więcej dzisiaj od miecza, bełtu czy maczugi ginie. A im mocniej złoto drożeje, tym niebezpieczniejsza staje się ta profesja. Boga o krzywdę, choćby i dla wroga, prosić nie wypada, ale o wzrost notowań kruszców na giełdzie w Tamburku czy Żuli to już chyba wolno, nie sądzisz? Ostatecznie potęgą mojej ojczyzny na tym się głównie opiera. Na drogim złocie i srebrze.

– Hmm... No cóż.

– Pogan też bijalem, by zasług sobie w niebie narobić. Potem tani w ubijaniu poganie się skończyli. Ci, co jeszcze na południu Irbii się trzymają, po twierdzach siedzą; bez wielkich nakładów na oblężenie ani ich ruszysz. A za Międzymorze, czy to do Wezyratu, czy do sułtanatów

północnej Yougonii, nikt dziś pływać nie chce. Raz, że linie żeglugowe na ocean się przerzuciły, bo to tam teraz duże pieniądze są, a dwa, że kołomyje przeżytkiem ogłoszono. Nikt już grobu machrusowego nie chce z rąk temmozan odbijać, w Jondzie koni poić. Sam bym musiał chyba statek czarterować, a na to błędnego rycerza nie stać, nawet takiego, co by chciał na boku dorabiać, po gościńcach łupiąc. Więc się na potwory, czarownice i smoki przerzuciłem. Żeby z wprawy nie wyjść, sławę podtrzymać, a przez to i pamięć mojej lubej, no i jakoś na życie zarobić.

– W książce o tobie nic o smokach i wiedźmach nie pisali.

– Bo i wielkiej kariery jako ich ubijacz nie zrobiłem. Czarownice chytre są; wytropić taką to ho, ho... Doświadczonego draba śledczego do tego trzeba albo funkcjonariusza UOT-u, uotra znaczy. A jak już w końcu babę taką dopadłem, to nie dość, że iluzją do Dulnessy Romez się upodobniła, miecz mi z ręki tym sposobem wytrącając, ale jeszcze kumom swoim patent ów sprzedała. A co do smoków, to ci rzeknę, że tylko najpodlejsze spośród nich przechery i kombinatory okres heroiczny przeżyły, kiedy to nikt rycerskiego pasa nie dostawał, jeśli w polowaniu na gadzinę nie uczestniczył i, choćby zbiorowo, paru zębów, łusek i pazurów nie zdobył. To jak z wojną, Debren. Z każdej armii, jak żółtodziobów wybiją w pierwszych bitwach, to jądro zahartowane zostaje, wiara bliznami pokryta, którą niełatwo już zatłuc. Dziś smok albo w puszczy się chowa, albo opancerzony chodzi jak wieża oblężnicza, albo ogniem strzyka dalej i celniej niż Bobin Czapa strzałę posyła, albo wreszcie, jak go dopadniesz, pazurem tabliczki pokazuje wokół jaskini ustawione, na których jakieś lokalne książątko pisze, że bestia prawnie chroniona jest i naskoczyć jej można. Nie, Debren. Na łowiectwie smoczym kariery dzisiaj zrobić się nie da, a i doczekanie się wdowieństwa Dulnessy wielce jest wątpliwe.

– Więc zabijasz wiatraki.

– Ano zabijam. I coraz silniej utwierdzam się w przekonaniu, że dobrze robię. Na początku, w Irbii, gdzie mało ich jest i zboże głównie mieli, miałem poważne wątpliwości. Bo też Czwororęki mocny był wtedy i bliżej miał z domu, a ponoć siła czaru w proporcji do odległości pozostaje. Mnóstwo ludzi otumanił. Cech młynarzy wojnę mi nawet wypowiedział, najpierw handlową, a potem prawdziwą. Gubernatorzy królewscy pachołków za mną ślali, nawet z Inkwizycji przyszło wezwanie, bym się na przesłuchanie stawił. Z workiem małym na zęby, palce i insze części w śledztwie odjęte i dużym, na ciało, gdyby kat robotę spaprał. Ale w końcu ludzie przejrżeli na oczy. Sekretarz Rady Królewskiej do Spraw Rolnictwa wstawił się za mną, ten sam, co rzekę Gat regulować zaczął i wodne młynarstwo silnie lansował. Musiałeś słyszeć o owej inwestycji, wielkie to dzieło było.

– A, tak. Splajtowało ponoć.

– Bo wiatraki wodę z Półwyspu Irbijskiego wyssały i w rzekach jej teraz brakuje. Nieważne. W każdym razie infamię ze mnie zdjęto, w kronikach opisywano jako gromiciela wstecznictwa i świątłego wizjonera. Słyszałeś o sławnej Zelgan Lelicji? To ze mną pierwszy wywiad przeprowadziła, ja ją na szczyty relacjonatorstwa pchnąłem. A potem ów poemat prozą powstał, Pan Kipancho, co go ponoć lekturą obowiązkową chcą uczynić w szkołach rycerskich i, nie wiedzieć czemu, medycznych. Jak do Depholu przyjechałem, to nawet zarabiać po raz pierwszy na swej profesji zacząłem. Sponsorzy się znaleźli. Porządni, anonimowi, nie żadni szalbierze, co na wamsie i kropierzu herby swoje każą rycerzowi malować, by część chwały na nich spłynęła.

– Kipancho, anonimowi sponsorzy zazwyczaj nie przez skromność kryją swe twarze. Nader często paskudne intencje

im przyświecają.

– Nie tym. A gdyby nawet, to cóż z tego? Diabelskie intencje Bóg w dobro obraca. Ja Bogu służę i Machrusowi. I patrząc wstecz, widzę, że powierzyli mi tę misję, że dlatego przeżyłem. Z dala od Dulnessy – dodał ciszej.

– Wybacz szczerłość, ale każdy, kto od dziewczki kosza dostał, też może sobie gorycz taką teorią osłodzić. „Nie leżę w łóżu z ukochaną, bo Bóg powierzył mi misję”. Ja też nie leżę z nikim w łóżu. A poczucia misji w sobie nie zauważam.

Kipancho nie obraził się. Nie zdzielił w łeb ani Debrena, ani nawet komara, szukającego dla siebie kawałka dobrze ukrwionej skóry między jego rzadkimi włosami.

– Jesteś czarokrążcą – powiedział. – Rozumiem, że chłodna logika i wnioski wypływające ze studiowania geografii politycznej mogą do ciebie nie przemawiać. Możesz nie przyjmować do wiadomości, że to, co robię, akceptują i królewscy sekretarze w Madrelli, i Depholec Def Groot. Ale chyba wierzysz we wróżby? W losy ludzkie, gdzieś tam, w innym wymiarze boską ręką zapisane? No to ci powiem, że pytałem o to, co będzie, czy we właściwym kierunku zmierzam. Nie byle kogo pytałem. Sama Damstruna na mój list odpisała.

Sięgnął do pasa, wyciągnął z sakiewki kilka zrolowanych pasków dekturańskiego papirusu, cieszącego się opinią wodoodpornego, jako że sporządzono go ze specjalnej trzciny, porastającej brzegi największej rzeki świata. Poza tym to właśnie z yougońskiego Dekturanu pochodziły dekturki – wygrzebane z piachu pustyni tabliczki z prymitywnie obrobionego papirusu, na których tysiące lat przed Machrusem jakaś ludzka ręka postawiła pierwsze znaczki archaicznego pisma. Nic dziwnego, że wszelkiej maści wróżbici, czarodzieje i zwykli szalbierze lubowali się w zapisywaniu przepowiedni, tajemnych formuł i pseudomagicznego bełkotu na takim właśnie tworzywie.

Dodawalo ono powagi treści dokumentu, a przy sprzedaży windowalo cenę. Papirus, nie wiedziec czemu, byl drozszy od pergaminu, choc tańszy od skór wołowych. Ale skór wołowych używano w sądownictwie, czyli w obszarze usankcjonowanego zdzierstwa.

– Posłuchaj – przybrał uroczystą minę Kipancho. Rozwinął największy pasek i mrużąc oczy, odczytał:

*Zabije cię ten, co cztery skrzydła ma i postać nieludzką, wstrętem napawającą i nikczemną. Ogniem płonąć będziesz od ciosu, co nie widać go i nie słyhać, mieczem odbić, ni pancerzem powstrzymać. Życie oddasz za tę, której oczu nie zapomnieć, za tę, co serca swego ci odmówiła. Za pannę z góry spoglądającą, co prześliczna będzie i co nie ciebie, a czleka stanu niskiego poślubi. Uniknięcie losu: patrz recepta nr 4.*

Milczeli dłuższą chwilę. Debren unikał wzroku rycerza. Patrzył na śpiącą dziewczynkę, na kubek z wodą, której mała nie tknęła, i stojący obok dzbanuszek, do którego ktoś wsunął pęk zerwanych w rowie drobnych kwiatków.

– Receptę też kupiłeś? – zagadnął cicho. Kipancho kiwnął głową, rozwinął inny pasek.

*Krajów północnych nie odwiedzaj, a jeśli musisz, od stworzeń z dala się trzymaj magią odmienionych. Tym, co z szybkością wielką czworgiem skrzydeł wymachują, z drogi ustąp. Panny, której oczu nie zapomnieć, z góry spoglądającej, drugi raz nie ratuj. Drugie ratowanie śmierć twą nieuchronną oznacza. Życie oddasz, lecz wspominać cię będzie panna bez uśmiechu, bez wdzięczności w sercu. A ci, co sławili, kpić z ciebie będą, i wielu ludzi zawiedziesz w ich rachubach wielkich. Nikt wierzyć nie zechce, żeś ludzi mrowie ocalił od zguby, a swego zabójcę ubił. Przyjmij więc*

*dar życia od przyjaciela swego i złóż oręż, bo nie dane ci zwyciężyć.*

Kipancho zwinął pergamin, wsypał paski do woreczka przy pasie. – I jak ci się to podoba?

Dziewczynka poruszyła się, zajęczała przez sen. Debren podniósł leżącą obok bukietu ściereczkę, ostrożnie wytarł pot z czoła małej.

– Nie wierzę w przepowiednie – wzruszył ramionami.

– Nie? – zdziwił się Kipancho. – Myślałem, że czarokrażcy... No, nieważne. A ja wierzę.

– To mętne bajdurzenie, które na wiele sposobów można tłumaczyć.

– Debren, ta przepowiednia od sławnej Damstruny pochodzi. Jednoznaczna jest i jasna. Czwororęki Mag z Saddamanki mnie zabije. Ogniem. Ale zdążę go swą bronią dosięgnąć. A że niewidzialny potrafi bywać i rozwiewa się jak mgła, gdy zagrożenie poczuje, to i ciała nie znajdują. Nie uwierzą, że go dostał. No i dobrze. Nie dla sławy walczę. Dla niej to naprawdę robię, dla Dulnessy.

– Tu słowa nie ma o twojej Dulnessie.

– Jest. To jej sarnich oczu nie da się zapomnieć. Ona jest ową panną z góry spoglądającą. U rodziców w zamczku komnatę w wieży miała, a i zamek na wzgórzu stał.

– Większość zamków na wzniesieniach stoi. A panny dorastające w dużej mierze pannami właśnie dlatego do ślubu pozostają, że się im komnaty gdzieś wysoko przydziela, z kratą w oknie najlepiej i złymi psami na dole.

– Poślubiła człeka niskiego stanu.

– E tam... Przez tyle lat, przy takich cenach kruszcu, pewnie dawno dość zarobił, by tytuł kupić.

– Mów, co chcesz, a ja wiem swoje. I swoje będę robił. Wiesz dlaczego? Bo i w przepowiedni, i w recepcie na jej uniknięcie napisane jest, że Dulnessa potrzebuje ratunku.

Debren, ja się tysiąc razy o to modliłem! By pozwolone mi było moją lubą od złego ochraniać, udowodnić czynem, nie słowem tylko, że droższa mi jest od życia.

– Dulnessa niańczy teraz dzieci, jeśli nie wnuki, tysiące mil stąd. A ty wiatraki spokojnym ludziom niszczysz. Szmąt kraju już zalałeś. Przez Dephol przejeżdżam jeno i krótko tu jestem, ale już za mojej bytności ceny żywności o dwie trzecie podskoczyły. Głód z tego będzie, z głodu rozruchy, a potem może wojna i mór. Tego chcesz?

– Niewiastę chcę ocalić, com jej swe życie u stóp złożył.

– I w nosie masz ofiary w ludziach?

– Ludzi pierwszy nie zabijam. Jak bronią potworów, to choć zdrajcy Wolnego Świata są, staram się rozgonić, ranić tylko.

– To hipokryzja, Kipancho. Niszcząc im system odwadniający, zabijasz więcej ludzi niż duża i krwiożercza armia. Popychasz ten kraj ku krawędzi wojny, i to tej najstraszliwszej, bo między władzą a ludem. Takie wojny powszechną rzezią się kończą.

– Może i popycham. Ale bez wielkiej chęci tych, co się potem rzną, żadne popychanie w wykonaniu jednego człowieka nic nie zmienia.

– Jeden człowiek – powiedział powoli Debren – czasem bardzo wiele znaczy. Odstąp, Kipancho. To północny kraj, przynajmniej z irbijskiej perspektywy. Wracaj do siebie, bo tu zginiesz. I mnóstwo ludzi do grobu za sobą pociągniesz. Niewinnych. Jak ta mała choćby.

– Ta mała – uśmiechnął się nieoczekiwanie Kipancho – właśnie się obudziła. Dzień dobry, panienczko. Nie bój się.

Dziewczynka chyba się nie bała. Debren wiedział, dlaczego. Już wtedy, po pierwszym spojrzeniu w wielkie, skryte w półmroku oczy. Ale pewność zyskał troszeczkę później, gdy obudzona jękiem dziewczynki żona pompiarza wyskoczyła w samej koszuli spod pierzyny i przysiadła na brzegu dziecinnego łóżka. Zaczęła płakać, ledwie dotknęła czoła córki.



– Płacisz Def Grootowi – zwrócił się do rycerza Debren. – Mógłbyś go tu przywołać i nakazać, by tłumaczył?

– Płacę jako duszyście, nie tłumaczowi. A co chcesz powiedzieć tej niewieście?

– Myślę, że dziewczynka zachorowała na malarię, ale pewności nie mam. Chciałbym to sprawdzić. Kupiłem w mieście test. Proszek, co na ranę drobną sypnięty, barwę krwi zmienia.

– Chcesz jej krew odmienić? – oburzył się Kipancho, ściągając na siebie zażawione spojrzenie kobiety. – Co za pogańskie praktyki! Ani mi się waź!

– Nie w ciebie przecież, a tylko tę kroplę, co wypłynie. Nikomu to nie zaszkodzi, ale ukłucie może małą wystraszyć, więc wyjaśnić trzeba.

Widać było, że Kipancho spośród obecnych ostatni da się przekonać do tego pomysłu. Ale los uśmiechnął się do maguna. Zanim zebrał się w sobie, zaskrzypiały zawiasy i do izby wkroczył Def Groot. Towarzyszący mu Sansa stanął w progu, może dlatego, że w prowizorycznym domku nie było już miejsca, a może z powodu trzymanej w ręku, buzującej ogniem pochodni.

– Musimy pomówić – zwrócił się nie wiadomo do kogo Def Groot.

– Najpierw coś przetłumaczysz – powiedział chłodno Debren.

– Po co? – uśmiechnął się krzywo duszysta. – Żeby ta chłopka dłużej beczała? Po co stwierdzać, że to malaria, skoro nie da się wyleczyć malarii?

– Widzę, że już wiesz, co trzeba tłumaczyć. – Debren zerknął ku drzwiom. – Kto by pomyślał, że tak daleko głos niesie. To pewnie przez tę mgłę.

– Podśluchiwałem – wyznał bez skrępowania duszysta.

– Sansa? – rycerz posłał giermkowi spojrzenie naznaczone bolesnym zdziwieniem.

– Ja tylko pomagałem podsłuchiwać – oświadczył z godnością Sansa. – A przedtem przeszukiwać sakwę mistrza Debrena.

– Co?!

– Spokojnie, panie Kipancho – rzucił przez zęby magun. – Odlóżmy to chwilowo. Def Groot, zanim zaczniesz się tłumaczyć z tych uotrowskich manier, zadbaj o okoliczności łagodzące i wyjaśnij swym rodaczkom, na czym polega zabieg. I dodaj, że jeśli to malaria, być może potrafię pomóc dziewczynce.

Def Groot, jak na przedstawiciela dziwacznej profesji przystało, zadziwił wszystkich, wygłaszając po depholsku dłuższy wywód dość obojętnym, ale raczej łagodnym tonem. Odpowiedział też, jeszcze uprzejmiej, na dwa nieśmiałe pytania gospodyni. Chyba nie przeinaczył treści, bo w jasnych oczach kobiety zaśniły iskierki nadziei. A dziewczynka, patrząc na Debrena, cofnęła się pod ścianę.

– Boi się – przetłumaczył wyjaśnienia matki Def Groot. – Pyta, czy Debren to wampir.

– Dobre pytanie – mruknął Sansa, przekładając pochodnię z ręki do ręki.

Targi między matką a córką trwały jakiś czas. Debren wiedział, że wielkich sukcesów nie przyniosą. Bały się obie. Gospodyni trochę mniej, ale strachu było w niej i tak więcej niż nadziei. Mała zaczęła płakać.

– Wystarczy kropla, tak? – zapytał nagle Kipancho. Sięgnął po sztylet i zanim ktokolwiek zareagował, ukłuł ostrzem wierzch dłoni. – Widzisz, maleńka? To nie boli. Debren, sypnij tym... no, tym do sypania.

Debren, zdziwiony, wyjął z kieszeni zawinięty w papierek pokazywacz zimniczny i igłę zabezpieczoną korkiem. Def Groot powiedział coś do dziewczynki.

– Daj igłę matce – zwrócił się do maguna. – I jak się chcesz tak cackać, najpierw sypnij Kipanchowi. To je przekona.

Proszku było sporo, a przecucie mówiło Debrenowi, że oszczędzanie nie ma sensu. Gep i Def Groot w jednym mieli rację: bez leku test był tylko kosztownym środkiem do wcześniejszego zabijania nadziei.

Podzielił porcję na pół i wtarł proszek najpierw w plamkę krwi na wielkim łapsku rycerza, a następnie w nakłute przedramię dziewczynki. Dopiero teraz, przy otwartych drzwiach i czerwonym blasku wschodzącego słońca, miał okazję zajrzeć jej w oczy. Były błękitne z lekkim różowym nalotem, pewnie od tego dziwnego, rozmytego w mgiełce światła poranka.

Dokładnie takie same jak kwiatki w stojącym obok dzbanuszk.

– Powiedz matce, że trzeba poczekać parę pacierzy. Potem zobaczymy, czy plamka zmieni kolor. – Def Groot przełożył. – Wyjdźmy, panowie. Niech się pomodli w spokoju. Ma o co.

Na zewnątrz było zimno i mokro. Wiatrak stał na wzniesieniu, ale błoto wpełzło nawet tu. Siwek Kipancho skubał liście z drzewa. To, co jeszcze wczoraj służyło mu za pastwisko, dziś przypominało gęsto zarośnięty staw.

– Powinniśmy pogadać na osobności.

Def Groot nie zdążył odnieść się do propozycji. Kipancho był szybszy.

– Nie, Debren. Wszyscy bierzecie moje pieniądze. Mam prawo wiedzieć, co tu się dzieje. Kto nie czuje się na siłach mówić szczerze, niech ograniczy się do dwóch słów: „Żegnaj, Kipancho”. A teraz po kolei. Czego szukałeś w torbie Debrena? I jakim prawem?

Duszysta wahał się tylko chwilę.

– Nie pracuję dla Urzędu Ochrony Tronu, jeśli to chcecie wiedzieć. Formalnie prawa żadnego nie miałem. Za to przeczuć parę. Poprosiłem Sansę, by pomógł mi sprawdzić, co za czarodziej nam się do pomocy trafił. Pokaż, Sansa, cośmy znaleźli.

Stali obok stołu na słodycze, teraz pustego. Giermek bez słowa rzucił na blat mały woreczek z pieczętką apteki i złożony we czworo papier.

– Co to jest? – zapytał cicho Kipancho.

– Trucizna – wyjaśnił Def Groot. Po czym rozłożył kartkę. Na kartce widniał odcisk dłoni. – A to chyba znasz.

– Znak buntowników – mruknął rycerz. – Za takie coś... Debren, możesz to wytłumaczyć?

Magun nie spieszył się ze składaniem wyjaśnień. Patrzył na rozmazane mgłą kontury zagajnika.

– Ktoś nas obserwuje. Magią się wspomaga, bo mgła.

– Ależ żaloszny wybieg – pokręcił głową Def Groot. – Myślałem, że stać cię na więcej.

– Ja też. Podrzucanie kartek do worków, które całą noc leżą z dala od właściciela, za to tuż obok posłania podzuczającego? Chyba naprawdę żaden z ciebie uotr.

– Powiedz jeszcze, żeś nigdy nie widział czegoś takiego.

Debren zaśmiał się i wyjął z zanadru złożoną w ćwierć kartkę papieru. Rozprostował ją i położył na stole obok pergaminu rzuconego na blat przez Sansę.

– Mógłbym. Moja jest lewa. – Uśmiechnął się z przekąsem, widząc osłupienie rudzielca. – Skąd ta zdziwiona mina, mistrzu? Cóż nadzwyczajnego widzisz w fakcie, że zbrodniczy truciciel i buntownik przygotowany jest do więcej niż jednej dywersji?

– Skąd ją wzięłeś? – Def Groot, jak ktoś nie ufający własnym oczom, dotknął papieru z odbiciem lewej dłoni.

– Godne uwagi – powiedział Debren. – Twoją ciekawość budzi ta jedna kartka.

– Skąd ją wzięłeś? – powtórzył duszysta, czerwieniąc się mimowolnie. Zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd.

– Lewą rękę i truciznę dali mi niejaki Gep i niejaki Miazga. – W kilku zdaniach magun streścił rozmowę przeprowadzoną „Pod Złotym Bażantem”. Po czym uśmiechnął się dość

nieładnie. – Papier zachowałem na pamiątkę, a zawartości woreczka nie wysypałem do rowu z bardziej poważnego powodu. Otóż, w przeciwieństwie do mistrza duszysty, nie potrafię od jednego rzutu oka i jednego pociągnięcia nosem stwierdzić, co jest w tej sakiewce. Może tylko magiczny środek, po którego zażyciu krwiożerczy rębajło zamieni się w pacyfistę i samarytanina, ale może jakieś cholernie silne paskudztwo do trucia smoków. Kiedyś pod Starohuckiem, lełońskim grodem stołecznym, szewc jeden, bardziej ambitny niż mądry czy odważny, smoka tamtejszego Wawelkę taką bronią chemiczną chciał uśmiercić. Srebro na skóry przepił, jak to szewc, więc wydumał sobie, że ze smoczych buty szyć będzie. Zdobył gdzieś specyfik z opóźnieniem działający, owcę nim napoił i przy grocie w zaroślach nadrzecznych się zasadził. Ale smok był już stary, węchu dawnego nie miał, więc nim się go doczekali, owcę w brzuchu piec zaczęło. Wyrwała się, pognała pić do Stulwi i tak żłopała, że się utopiła i z wodą popłynęła. I wystawcie sobie, waćpanowie: rzekę, co z racji wielkości słusznie królową rzek lełońskich się mieni, na przestrzeni dwustu mil zatrąła. Jeszcze za Lejczomierzem ryby brzuchami do góry wypływały albo ogłupiałe biły łbami w łodzie rybackie i na brzeg wpełzały. W epoce rozdrobnienia dzielnicowego rzecz się działa, więc incydent międzypaństwowy z tego wyniknął i półroczna wojna Starohucka z Lejczomierzem, Wniosek z tej historii płynie, by z nieznaną trutką ostrożnie sobie poczynać. Zwłaszcza jeśli pochodzi od gołowąsów, co głowy gorące mają i nieco puste.

– Zamierzałeś słowa dotrzymać? – zapytał bez złości Kipancho. – Na wszystkie świętości przysięgałeś. Pod mieczem, ale jednak.

– Debren to człowiek honoru – rzucił szyderczo Def Groot.

– Znam się na ludziach, z tego żyję. On słowa dotrzymuje.

– Z tymi pod przymusem danymi różnie może być – magun mówił trochę roztargnionym tonem, zajęty skanowaniem. –

Ale owszem, zamierzałem dotrzymać słowa. Z ludźmi, którzy nie są jurystami, staram się postępować honorowo. A ci dwaj nie są. Nie potrafią ani sformułować umowy tak, by człeka w kozi róg zapędzić, ani nie patrzą na ręce jak każdy oszust, co w drugim też oszusta zawsze widzi.

– Przyznaję, że nie rozumiem – westchnął Kipancho. – To chcesz mnie ubić czy nie?

– Zabić legendę? Najbardziej błędnego z błędnych rycerzy? Chyba do reszty zgłupiałeś, Kipancho. – Debren sięgnął za pazuchę, wyjął pięść zaciśniętą na związanej rzemykiem sakiewce. Potem wziął woreczek z trucizną w drugą rękę. Ból i opatrunek nie pozwalały na skrycie go w dłoni tak dokładnie jak tego z zanadrza, ale przy odpowiednim ustawieniu palców wszystko poza przewiązaną rzemykiem czupryną sakiewki ginęło sprzed oczu patrzących. – Tę włożyłem, tę wyjąłem, gdy obiecywałem uczynić wszystko, co w mej mocy, byś zjadł zawartość. Już sama konstrukcja pozwala na duże krętactwo, bo co to znaczy: „Wszystko, co w mej mocy”? Mogę cię na przykład zaatakować z łyżeczką, jak niania dziecko, i z całych sił próbować nakarmić. Efekt takich zapasów łatwo przewidzieć. Ale mniejsza o wybiegi interpretacyjne. Brzydę się wyprowadzaniem ludzi w pole. Uznałem, że najprościej będzie nakarmić cię zawartością tego woreczka. Jest mój, wiem, co zawiera.

– A co zawiera? – zainteresował się Sansa.

– Eksperymentalny lek przeciw malarii. Eksperymentalność nie polega na tym, że jest ryzykowny w stosowaniu i komukolwiek zaszkodził. Po prostu nie dopuszczono go do obrotu handlowego.

– Dlaczego?

– Ciekawość zabija, Sansa. – Debren zerknął na Def Groota. – Powiem ci tylko, że ten, co miksturę sporządził, był poddanym króla anvaskiego, Wonstona Szerokiego. Nadmienię, że Anvash ostro konkuruje z Irbią i depholskimi

osadnikami w Nowym Świecie, jak dotąd bez wielkich sukcesów. Wszystkie krainy obfitujące w złoto, srebro i miedzianoskórych pogan, których można zapędzać do kopalń i na pola, leżą na południu, w irbijskiej strefie wpływów. Jest tam gorąco i wilgotno, roi się od komarów i raz po raz wybuchają epidemie malarii, Na tych ogólnie dostępnych informacjach może poprzestańmy. Idź lepiej i przynieś z wozu hełm swego pana. Nie podoba mi się ten podglądacz.

– Pójdiesz go poszukać? – domyślił się Def Groot. – I znikniesz?

– Nie. Mam tu jeszcze sporo do zrobienia. A w czasie skanowania zauważyłem, że te ozdobne rozety na naramiennikach zbroi naszego pracodawcy to nie sama tylko ozdoba. Odchylacze strzał, co, Kipancho?

– Nie lubię podróżować w hełmie – uśmiechnął się rycerz.  
– Ale na turniejach je odkręcam, nie myśl sobie. Specjalnie zamówiłem zdejmowane, chociaż płatnerz nosem kręcił, marudził, że jakieś tam pole mu śruby zakłócają.

– Zdarza się, rzadko, ale jednak, że zręczny czarodziej odchylacz zakłębieniem i specjalną strzałą na przyciągacz przerobi, który byle jak wypuszczony pocisk prosto na rycerza skieruje. Więc lepiej nie odsyłaj hełmu do lamusa. Czary czarami, a blacha blachą.

Sansa wbił pochodnię w błoto, potruchtał w stronę wozu.

– Taki eksperymentalny lek prohibit musi być diabelnie drogi – zauważył od niechcienia Def Groot. – Ciekawe, że wolisz go zmarnować, zamiast ratować honor poprzez atakowanie Kipancha z łyżeczką na wzór niani. Zwłaszcza że groszem nie śmierdzisz. Za tę porcję leku, zakładając nawet ryzyko, że nie podziała, dostałbyś tu, w Depholu... no, przynajmniej z sześćset talarów.

– Ile?! – rycerzowi opadła szczęka. – Groszy, chciałeś chyba powiedzieć! Sześćset talarów to... Za to wieś można kupić!

– Są tacy, co wsi mają na pęczki – wzruszył ramionami rudzielec. – A życie tylko jedno. I żonę jedną. I syna pierworodnego. A tu, jak kto malarię złapie, to w jednym albo dwóch przypadkach na dziesięć więcej z łoża nie wstanie.

– Machrusie... – Kipancho spoglądał oszołomiony to na Debrena, to na niepozorny woreczek odłożony na stół. – Naprawdę chciałeś...? A mówią, że to mnie się we łbie poprzesta wiało. Za dwa dukaty się tu z nami męczysz. Widzę, że wbrew sobie, że nie podoba ci się ta robota. A tu sześćset talarów leży! I ty je chcesz w błoto... Żeby dwójki gówniarzy, szantażystów i terrorystów antykrólewskich jurystycznymi sztuczkami w pole nie wyprowadzać. Nie rozumiem cię.

– Ja też cię nie rozumiem, Kipancho. I też za mocno rąbniętego uważam. Co nie zmienia faktu, że szacunkiem cię darzę i ufam w twój honor rycerski.

Kipancho przyłożył dłoń do tego kawałka pancerza, który okrywał serce. Skłonił się, chrząszcząc blachami. A potem popatrzył na pobladłą twarz maguna i uniósł pytająco brwi.

– Co?

– Twoja ręka – wykrztusił Debren.

Przez chwilę wpatrywali się wszyscy w niebieski strup w miejscu, gdzie sztylet naciął skórę. Pierwszy otrząsnął się Kipancho.

– No cóż, zawsze wiedziałem, że mam błękitną krew.

Coś pacnęło w błoto. Sansa wypuścił z wrażenia kapalin swego pana.

– Dżuma i syfilis... – zaklął Debren. – Cholera. To malaria. Nie ma dwóch zdań. A niech to...

– Co cię tak martwi? – rzucił z przekąsem Def Groot. Trochę jednak pobladł. – Przynajmniej nie wyrzucisz w błoto sześciuset talarów. Gepard i Miazga medalem cię uhonorują za słowa dotrzymanie, a król Belfons drugim, za to, żeś chlubę irbijskiego rycerstwa uratował.

Debren nie odpowiedział. Nie zdążył. Z chatki wypadła



gospodyni, zawołała coś łamiącym się głosem.

– Chyba nie muszę tłumaczyć – powiedział powoli Def Groot. – Zdaje się, że już wiesz. Nieszczęścia chodzą parami.

\*\*\*

Wyszedł z chatki i stał przez chwilę w progu, wciągając w płuca chłodne, wilgotne od mgieł powietrze poranka. Było cicho. Bryza utonęła gdzieś w spowijającym zatopione pola oparze, ani jeden podmuch nie zaszeleścił w listowiu bzu i kaliny, w porastających podnóże wału trzcinach. Rzeka toczyła swe wezbrane wody nienaturalnie cicho, może nasycona triumfem, dumna z rozlania się na całe mile od głównego koryta. Wychylające się zza odległego jak na morzu horyzontu, lecz wciąż jeszcze nie wychylone słońce zalewało świat miękkim, różowym światłem. Debren patrzył na przemieszane z łopianem i skrzypem polne kwiatki, takie jak te, które przed chwilą odsuwał z taboretu przy łożu dziewczynki. Próbował odgadnąć ich kolor. Były ni to błękitne, ni to różowe. Jak oczy małej.

Trochę potrwało, nim usłyszał. Trudno usłyszeć coś, co nie jest dźwiękiem, a jego brakiem. Chyba pomógł mu Sansa, podchodząc do stołu i wyciągając z ziemi wbitą w nią pochodnię.

Miał bliżej, zdążył przegrodzić giermkowi drogę do wiatraka.

– Nie.

Sansa zatrzymał się z niewyraźną miną. Popatrzył za plecy Debrena. W stronę warzywnika i wychodka. I wału przeciwpowodziowego, ku któremu prowadziła rura wypływowa.

– Odsuń się – powiedział łagodnie nadchodzący od strony rzeki Kipancho. Miał na głowie kapalin, pokierszowany grotami strzał w czasach, gdy zbroi nie uzupełniono magicznymi rozetami na naramiennikach. Śladów miecza czy

topora nie dało się zauważyć. Dobry rycerz zbroję nosi na wszelki wypadek, ale broni się klingą swego miecza i tarczą.

– Nie.

– Potwór wyzionął ducha. – W głosie Def Groota nie było satysfakcji. – Ustał dopływ życiodajnego płynu do organów wewnętrznych.

– Mówiąc inaczej: zatkałeś rurę przy jej ujściu do rzeki.

– Zgadza się.

Debren, nie robiąc sobie większych nadziei, spojrział na Kipancho. Miał rację, nie podsycając złudzeń.

– Człowieka dobija się mizerykordią – oświadczył rycerz. – Potwora można i tak. Nie cierpiał długo. Odgłosy funkcji życiowych ustały od razu.

– Jak wyjmę tę szmatę, czy co tam Def Groot wepchnął, to zaraz powrócą.

– Tak – zgodził się gładko Kipancho. – Potwory, raz ubite, ożywione być mogą. Mój wróg, Czteroręki Mag z Saddamanki, potrafi tego dokonać. Dlatego właśnie Sansa spali ciało już teraz, nie czekając na Vanringera.

– Nie spali – powiedział cicho Debren.

– Założysz się? – zapytał bez uśmiechu Def Groot.

– Założę się. O całą zapłatę, którą mi winni jesteście. – Debren przesunął się za skrzydło wiatraka, wyszarpnął różdżkę. – Przykro mi, Kipancho. Nie pozwolę puścić z dymem tego wiatraka. Choćby dlatego, że za jednym zamachem dom spalicie. A bez dachu nad głową mała nie przeżyje.

– Chcesz ze mną walczyć? – zdziwił się rycerz. – Zgłupiałeś?

– Z nami – sprostował Def Groot. – To podobno czarodziej. Na magika uderza się kupą, tu honorowe zasady nie obowiązują. Kto wie, może ten patyk, co nim Debren wywija, nie tylko do zadawania szyku i podbijania stawek służy? We trzech skoczmy. Bez zabijania, ale kupą.

– Dlaczego – Kipancho patrzył z wyrzutem spod okapu kapalina. – Dlaczego, Debren?

– Bo uważam, że nie masz racji. Że źle interpretujesz przepowiednie Damstruny. I mapy świata. Że nie pustynia ciągnie za temmozanami, tylko oni za pustynią, bo w przeciwieństwie do nas z nią żyć chcą i umieją i silni są wśród piasków. Bo nie wierzę w totalne wysuszenie Viplanu za pomocą wiatraków. Ani w bezinteresownych sponsorów twej kołomyi, co ją przeciw depholskim pompiarzom prowadzisz. Bo Def Groot nazwał przywódcę gerylasów Gepardem, choć ja w swej opowieści Gep o nim mówiłem. Bom zauważył, jaką goryczą napawa pana duszystą bierna postawa tutejszych chłopów, co zamiast za broń chwycić i niepodległość dla swoich klas wyższych wywalczyć, drugiego policzka po machrusańsku Irbii nadstawiają. Bo wiem, że jedną kartkę miałem, z lewą dłonią odbitą i wiem, że nie przypadkiem na tej drugiej prawą odcisnięto. Stara prawda głosi, że nie wie prawica, co czyni lewica. A lewica tutejszego ruchu oporu, żółtodzioby zapalczywe i pozbawione wyobraźni, dość mają przyglądania się, jak ludowi plony się zatapia i w nędzę spycha. Więc szantażuje bezmyślna lewica zielarza cudzoziemca co się w łaski pana Kipancho wkręcił, i każe mu rycerza jak smoka, smoczą trutką uraczyć. W naiwnym przekonaniu, że się od tego los mas ludowych polepszy, a masy z wdzięczności i w poczuciu siły za widły i grabie chwycą. Nie pojmują młokosy bez wyobraźni, że naród za broń chwyta jednomyślnie dopiero wtedy, gdy go do ostateczności doprowadzić. Jak połowa zboża na polach wygnije, a połowa dzieci i starców z głodu pozdycha. Nie mieści się w ciasnych, zasmarkanych łbach ta oczywista prawda. Że czasem, jak chcesz okupantowi i ciemńeycy w rzyć nakopać, to najpierw musisz parę razy boleśniej swoim przyłożyć. Nogą okupanta, ma się rozumieć. Gniew we właściwą stronę kierując.

Przyglądali mu się z trzech stron. Nie umiał odgadnąć ich myśli.

Bardzo długo nikt się nie odzywał.

– To twoja interpretacja – powiedział w końcu Kipancho. – Moja jest inna. Czy to powód, byśmy się bili?

– Większość wojen wybucha z powodu odmiennej interpretacji. Czy to linii granicznej, czy pojęcia Boga, czy słowa „sprawiedliwość”. Wszyscy ludzie na całym świecie uważają się za dobrych, moralnych i postępujących właściwie. I mordują. Z winy różnic interpretacyjnych.

Kipancho nie sięgnął po miecz. Debren stał z opuszczoną różdżką i próbował zrozumieć, co go powstrzymuje przed jej użyciem. Gdyby powalił rycerza rzuconym z zaskoczenia zaklęciem, zapewne poradziłby sobie z pozostałą dwójką.

– Któryś z nas ma rację – mruknął Kipancho. – Pozostaje pytanie, który.

– Znakomicie ujęty problem – pochwalił Def Groot. Nie wyglądał na głęboko wstrząśniętego, choć przynajmniej jedna z wersji mocno go pogrążyła. Może nawet obie. W świecie Czwororękiego Maga z Saddamanki i podstępnych wiatraków, przerabiających Viplan na Północny Suchar, było mimo wszystko dość miejsca dla depholskich patriotów pragmatyków z opcji prawicowej. A Kipancho, pomijając ewidentny obłęd, zadziwiał logiką i umiejętnością poprawnego wnioskowania. To Def Groot powinien się bać, przynajmniej dymisji. Ale wyglądał bardziej na kogoś, kto właśnie opuścił konfesjonał, zwaliwszy z sumienia gniotący je ciężar. – Proponuję rzut monetą.

– Nie – pokręcił głową rycerz. – Jest lepszy sposób dochodzenia prawdy. Panie Debren, pozywam was na sąd boży.

Debren przełknął ślinę. Czegoś takiego nie oczekiwał. Poczul, że tonie.

– Nie jestem pasowany...

– W takich sprawach to bez znaczenia. W oczach Stwórcy równi jesteśmy.

– Pozwany ma prawo wyboru broni – pochwalił się znajomością ceremoniału Sansa.

– Różdżki – zażartował ze smętnym uśmiechem Debren.

– Zgadzam się na każdy oręż, jaki wskażesz – oznajmił z powagą Kipancho. – Ale pamiętaj, że nie walczymy po to, by zaspokoić swą próżność czy żądzę krwi. Mamy ustalić, który z nas ma rację. Wierzę w Boga i wierzę, którą to wiarę nie wszyscy podzielają, że i magia jego jest dziełem. Sądzę, że racja po mej stronie stoi, a więc i łaska Stwórcy. Mogę bić się i z użyciem czarów. Tylko... bardzo proszę, nie bierz tego za sarkazm: skąd weźmiemy drugą różdżkę?

Sansa zarechotał ukradkiem. On jeden nie zastosował się do prośby i uznał słowa swego pana za dowcipny wybieg.

– No to chyba miecze – rozejrzał się bezradnie Debren, chowając różdżkę. – Bo kopią to, zdaje się, trzeba z konia?

– Mogę coś zasugerować? – zapytał Kipancho. Magun skinął głową. – Miecz Sansy jest krótszy i lżejszy od mojego, a ty swój, jak widzę, straciłeś...

– Ja... ja nie używam miecza. Nigdy nie miałem... A, nieważne. Na taki jak ten twój i tak nie miałbym siły w ręce. Niech będzie ten od Sansy.

– Nigdy nie miałeś miecza? – Kipancho zmarszczył brwi. – To i o szermierce pewnie pojęcie masz blade?

– Wspomogę się magią – wzruszył ramionami Debren. – Oczywiście wymierzoną do wewnątrz. Kondycjonującą, nie agresywną.

– Wiesz co? Wspomagaj się, jaką chcesz, ale bez różdżki. A ja za to będę walczył w zbroi. – Debren zawahał się, bo propozycja miała i plusy, i minusy. – No i najważniejsza sprawa. Byłbym wdzięczny, gdybyś jako oręż wybrał kije. Te tam trzonki od grabi i miotły będą w sam raz. Sansa, przytnij je, tak na trzy łokcie każdy. I zapłać gospodyni po dwadzieścia

denarów od sztuki. Tu drewno jest drogie.

– Kije? – rzucił mu zaskoczone spojrzenie Def Groot. – Ty, rycerz światowej sławy, chcesz się zniżyć do bijatyki na kije od mioteł?

– Nie podzielałam opinii mistrza Debrena, ale rozumiem jego motywację. I szanuję. Nie ma powodu zabijać kogoś, kogo się szanuje, nie uważasz?

Debren skłonił się. Trochę sztywno.

– Dzięki. Ale jeśli kijami walczyć będziemy...

– Do pierwszego trafienia w korpus lub głowę – pospieszył z wyjaśnieniami Kipancho. – Uderzenie w kończybę... No, jak się trafi, to przerwiemy i powiem ci, na ile by to groźne było.

– Aha – Debren chrząknął. – Ale twoja zbroja... W takiej walce będzie ci tylko przeszkadzać.

– Mogę ją zdjąć. Ale wolałbym walczyć w zbroi. Ty też masz swoją magię do pomocy.

– Kipancho, ta zbroja nie daje żadnego zabezpieczenia przeciw czarom. Jest balastem, niczym więcej, jeśli kijami się bić.

Rycerz posłał mu szeroki uśmiech.

– Zaraz – poruszył się niespokojnie Def Groot. – To sąd boży, tu forów dawać nie wolno. Może jeszcze rękę sobie każesz pałą obić i w szmaty zawinąć, he?

– Nie, ale za pas wetknę. A co do zbroi, to walczę w niej nie z litości dla Debrena, a dlatego, że przywykłem. Niedobrze przed walką wieloletnie nawyki na siłę zmieniać.

– To oszustwo – parsknął duszysta.

– Nie, to uczciwa walka. Bóg ma o prawdzie rozstrzygnąć, a nie to, że większy jestem, silniejszy i trzydzieści lat machanie bronią ćwiczę, zaś Debren wcale. I dlatego do prawej rękawicy Sansa mi worek z tamtym oto kamieniem uwiąże, bym za szybko kijem nie machał.

– Tamten? – Giermek przestał rąbać miotłę. – Zgłupieliście, wielmożny panie?! Toż się podźwignę!

– Przesadzasz, Kipancho – mruknął Debren. – Jest większy od mojej głowy. Jeśli już musisz... – rozejrzył się. – O, tam leży mniejszy. Jak półgłówek.

– Czyli jak znalazł – splunął Def Groot. – Kompatybilny z użytkownikiem. Przeciągasz strunę, Kipancho. Uważaj, bo pięknie i w łeb cię trzaśnie.

– Boisz się o powodzenie swej misji? – uśmiechnął się dziwnie rycerz. Rudzielec cofnął się o krok, nagle przestraszony. – Spokojnie, mistrzu. Przecież szalony jestem. Puknięcie oberżniętym trzonkiem miotły w korpus, a choćby i w głowę, to żaden lek na obłęd. Powinniście o tym wiedzieć, duszysta przecie z was nie byle jaki. Każdy spec od dusz chorych wam powie, że na ciężką obsesję nie pomoże przegrana bijatyka na kije z czarokrążcą. Więc skąd ten lęk? Założę się, że przed południem wiatrak dopalał się będzie, a my spakujemy wóz i pojedziemy szukać następnych przeciwników. Dalej będziesz mnie leczył, łagodził tęsknotę do Dulnessy, podsycił we mnie wiarę, że słusznie postępuję. Nie zwolnię cię, bo jakkolwiek prawda o owych kartkach lewo i praworęcznych wygląda, duszysta z ciebie dobry. Lżej mi żyć, odkąd cię spotkałem. Nie lekko, ale lżej. Więc stań sobie z boku i nie przeszkadzaj.

Sansa skończył z kijami, zabrał się za dopasowywanie worka do kamienia, a potem przywiązywanie całości do przedramienia prawej ręki rycerza.

– Pozostaje ustalenie, co dany rezultat znaczy – oświadczył Debren. – Jeśli wygram, wiatrak cały zostanie, a ty do Irbii wrócisz.

– Zgoda. Ustalmy może po prostu, że zwycięzca dyktuje warunki.

– Niech będzie. – Debren oddychał powoli, głęboko, poprawiał krążenie i dozowanie adrenaliny. Stał blisko wbitej w ziemię pochodni, więc czerpał z płomienia, ile się da, nie dbając nawet zbytnio o dyskrecję, a jedynie o to, by nie

zadławić ognia. Budował blokadę na nerwach lewej dłoni i pompował tlen do krwi. – Jeszcze jedna sprawa, Kipancho.

– Nie spiesz się, zaczniemy, jak uznasz, że jesteś gotowy. – Rycerz machnął ręką w jedną i drugą stronę, skrzywił się. – Przywiąż to lepiej, Sansa. Ten kamień waży ze dwadzieścia funtów. Jak się urwie, to jeszcze komuś krzywdę uczyni. Co to za sprawa, Debren?

– Dziewczynka jest ciężko chora, test aż granatowy się zrobił. Jest młodsza, ma silniejszy organizm i wrodzoną odporność po przodkach. Ty masz z kolei nie lada krzepę i mniej jadu we krwi.

– Jadu?

– Tego, co komary roznoszą. Bagiennych duszków, jak je Def Groot nazywa.

– Def Groot głupoty prawi – uciał rycerz. – Komar to robal jest i swędzenie powoduje. Ale roznoszenie choroby, co zabić może? Bzdura.

– Bzdura czy nie, chcę, byście się z małą lekiem podzielili. Jedna trzecia dla niej, dwie trzecie dla ciebie. To da wam z grubsza podobne szansę przeżycia.

– Szansę? – zaniepokoił się giermek.

– Pewnością dwojga nie obdzielę. Istnieje ryzyko...

– W walce, choćby i na kije, zwycięzca bierze dobro pokonanego – zaprotestował Sansa. – Łup mu przypada. Ta święte prawo wojny. Więc jak pan mój wygra, to te sześćset talarów w proszku przeciw zimnicy jego będzie.

– On ma rację – mruknął Def Groot. – Wojownik z wojowania coś musi mieć. Inaczej chętnych do dźwigania miecza zabraknie i barbarzyńcy naszą cywilizację w proch zetrą.

– Kipancho...

– Dość, Debren. Ustaliliśmy: zwycięzca dyktuje warunki. A to sąd boży będzie. Cokolwiek się stanie, za jego wolą się stanie.



Na jednej szali był Bóg, przyszłość cywilizacji Wschodu i mięśnie aż tryskające energią. Poczucie siły, szybkości i słuszności sprawy, o którą walczy. Na drugiej szali trochę większe szanse przeżycia depholskiej dziewczynki, której koloru oczu nie umiał nawet nazwać.

Łatwa decyzja. No... prawie łatwa.

Zasalutował rycerzowi kijem.

Kipancho skończył bezgłośnie modlitwę, potem oddał salut. Z chrzęstem blach, ale lekko, bez widocznego wysiłku, mimo dwudziestu funtów przypasanych między łokciem a nadgarstkiem.

Debren sprawdził, czy da radę złożyć palce lewej dłoni do gangarina. Nie dał. No i dobrze. To by nie było uczciwe. Co innego szprycowanie się magią kondycjonującą. Gdyby nie ten kamulec pod przedramieniem rycerza, mógłby zagrać nieelegancko, przerzucić kij do lewej i trzasnąć w przeciwnika zaklęciem. Ale tylko ostatni cham postąpiłby tak po tym, jak Kipancho zrobił wszystko, co mógł, by wyrównać szanse.

Zdecydował, że ten atut pozostawi sobie w rękawie na czarną godzinę. Zerknął pod nogi, sprawdził, gdzie błoto grozi wywrotką, i zaatakował. Szybko. Z furią i zrzecznością, która jego samego zaskoczyła.

Kipancho, odbiwszy tuzin sypiących się jak grad ciosów, cofnął się o dwa kroki. Potem pchnął. Trochę za mocno, ze zbyt dużego zamachu. Debren bez trudu wykonał unik w lewą i dźgnął z lewej w prawą, w locie, za łokieć. Nie mógł nie trafić. Ale nie trafił.

Zarzuciło nim za plecy rycerza. Kipancho skoczył, by wyjść spod ciosu, choć bezstronny sędzia nie zaliczyłby magunowi niczego poza lekką obcierką. Tylko dlatego nie trafił Debrena.

Następne dwa cięcia Debren wziął na zastawę, siłowo. Trzeciego nie próbował. Napakowane energią mięśnie nie mieściły mu się pod skórą; miał wrażenie, że zdołałby zatrzymać w miejscu rzucony z wieży wór ziarna. Ale

Kipancho miał w ramieniu dwa wory. Cios, który mu dobrze wyjdzie, może i nie przełamie zastawy, za to palce powybijają ze stawów na pewno. Więc nic na siłę.

Na szczęście był dużo lżejszy, I zwinny. I mocniejszy w nogach, biodrach, mięśniach potrzebnych do tego, by ciało umykało w bok, gdy kij, unikając czysto siłowego starcia, zbija broń Kipancho w przeciwnym kierunku.

Jakoś szło. Obskakiwał rycerza jak kundel dzika, parował ciosy i próbował znaleźć kawałek wolnego miejsca. Mały. Na mgnienie oka. Nie potrzebował więcej.

Cięcie, odskok. Cios z dołu, unik, parada, cięcie, odskok.

Walka przedłużała się. Zaczynał rozumieć, że nie oberwał po łbie tylko dlatego, że Kipancho był starym rutyniarzem i nie potrafił wyzbyć się trzydziestoletnich nawyków. Rycerze walczyli konno, w ciężkich zbrojach, często aplikowanych magią. Wszystkie szczeliny, gdzie stawy i przeguby osłaniała mniej odporna kolczuga czy skórzane ochraniacze, starano się zabezpieczyć czarem magnetyzującym mknącą ku nim klingę czy grot, zepchnąć zabójcze ostrze o pół cala. To wystarczyło. Broń trafiała w blachy, pogrubione na styku, grzęzła. Więc ci, którzy walczyli z równymi sobie, ze szlachtą dostatecznie zasobną, by sprawić sobie najlepszy ekwipunek, uderzali mocno albo wcale, nie bawiąc się w finezyjną szermierkę. Było to racjonalne. I skuteczne, mimo wszystko. Debren przejmował na kij może ćwierć walącej węż siły, reszta ześlizgiwała się, mijała odskakujące ciało. Ale i od tej ćwiartki mdlały palce, wiotczał nadgarstek. Gdyby zamiast kamienia nad rękawicą Kipancho miał w ręku prawdziwy miecz lub, nie daj Boże, topór, dawno połamałby przeciwnikowi broń i rękę.

W dodatku pocił się i męczył znacznie wolniej od Debrena. Choć ten czarował, aż mu włosy sztywniały. Bez powodzenia. Mięśnie maguna drętwiały, blokady przeciwbólowe puszczały jedna po drugiej, serce waliło jak bębny na regatach pościgowych galer straży przybrzeżnej Bikopuliss.

Unik. Cięcie znad kolana, do góry. Parada. Uskok. Gwizd kija z lewej, podmuch powietrza, rozpaczliwy skręt ciała. Sztych. Pudło. Drugi. Odbicie. Odskok. Cholera. Cholerny Kipancho. Co robi Bóg? Przecież to nie zabawa.

Tylko niezamierzony poślizg wyniósł go spod płaskiego cięcia. Dźgnął żałośnie lekko. W prawdziwym boju nawet półnagi przeciwnik zaśmiałyby mu się w twarz po takim ciosie. Zadrapanie, nic więcej. Zbroja cofnęła się. Zbyt wolno. Chyba ją musnął. Samym końcem kija. Z boku. Pod nakolannikiem. Chyba.

– Rana nogi! – ni to krzyknął, ni sapnął Kipancho. – Przerwa!

Debren, sapiąc jak zziajany szczeniak, podniósł się z wysiłkiem.

– W boju rozłupałbyś mi łeb.

– To sąd boży. Sansa, dawaj tu linkę. Podwiążesz mi nogę do pasa.

– No nie! – zaprotestował Def Groot. – To już przesada!

– Ruszaj się, Sansa. Debrenowi czary kondycjonujące się kończą. Zaraz mi tu padnie i dalej łajno będziemy wiedzieć.

Giermek, choć twarzą wyrażając protest, szybko i sprawnie zarzucił pętlę na stopę pana i zamocował koniec linki do rycerskiego pasa.

Giermek wycofał się. Debren, zbyt zmęczony, by odczuwać skrupuły, zaatakował. Mniejsza o realizm i zasady uczciwej walki. W sądzie bożym żadne zasady nie obowiązują. Chce się bić, podskakując na jednej nodze? Proszę bardzo. A więc giń, Kipancho, rycerzu obłądny.

Było ślisko. Już przedtem musieli uważać, brać poprawkę na konieczność utrzymania równowagi. Teraz, mając tylko jedną nogę sprawną, Kipancho był, zdaniem Debrena, bez szans. Wystarczy zakołować nim, obsypać pozornymi ciosami, krążąc wokół i zmuszając do obracania się. A potem, gdy wpadnie w rytm podskoków z lewa w prawo, samemu nagle

zmienić kierunek, dać susa w prawo i trzasnąć rycerza w odsłonięte plecy.

Tak właśnie zrobił. Trzy obejścia wokół zbyt słabego w nodze, a więc skazanego na obronę Kipancha. I skok. Ryzykowny, przesadzony. Taki, co bardzo wysokie prawdopodobieństwo trafienia celu zmienia w pewność kosztem stworzenia przeciwnikowi maleńkiej szansy udanej riposty. Przy tak dalekim skoku dał Kipanchowi odrobinę więcej czasu. Trudno powiedzieć, czy był to błąd. Prawie nie czuł już ręki; było wielką zagadką, któremu z nich dalsze przeciąganie walki pomoże, a któremu zaszkodzi. Kipancho, grzechocząc blachami, wciąż ustawiał się w linii ciosu niczym kurek w linii wiatru i wydawało się, że tak już będzie zawsze. Więc Debren zaryzykował.

Już w locie zwinął się, ciał nisko, po nerkach. Sprzedał równowagę za szybkość tego ciosu. Musiał upaść fatalnie, z nogami daleko z tyłu za prawym barkiem, musiał poślizgnąć się i wyrznąć tymże barkiem o błotnistą ziemię. Ale nie miało to znaczenia, bo jeszcze bardziej musiał trafić.

Trafił. W sam koniuszek kija. I – niewiarygodna sprawa – nie przełamał zastawy, choć jego kij zdawał się mknąć szybciej niż bełt ciężkiej kuszy, a efekt dźwigni był miazdząco niekorzystny dla Kipancha.

Obaj runęli. On, przygniatając sobie tułowiem prawe ramię i wyciągając się jak długi, Kipancho – na tyłek.

Zobaczył podrywające się ramię, rozdęte do monstrualnych rozmiarów zbroją i podwieszonym pod łokciem kamieniem. Nie miał szans osłonić się kijem, nie mówiąc o skuteczności takiej osłony. Miał wolne palce prawej ręki, bo oprócz równowagi zgubił też kij. Więc złożył je i bez namysłu uderzył gangarinem. Kipancho nie skończył jeszcze zamachu. Czar został rzucony w porę i z wielką siłą. Powinien zadziałać i posłać rycerza na łopatki.

Debren zdążył się zdziwić, widząc mknący ku swej głowie

trzonek grabi. Niczego więcej uczynić nie zdążył.

\*\*\*

Ocknął się na stole, z głową trochę obolałą, lecz zaskakująco dobrze nadającą się do myślenia. Od razu zrozumiał, czym jest to miękkie pod karkiem i potylicą oraz co tak potrzaskuje. Leżał z głową na swej obszytej aksamitem poduszce i słyszał odgłos płonącego drewna.

Uniósł powieki. Pierwszym, co ujrzał i co go na moment sparaliżowało, był bukietik drobnych kwiatów położony przez kogoś na jego piersi.

Wciąż nie umiał nazwać ich koloru. Słońce nadal świeciło na różowo, a palący się wiatrak atakował oczy migotliwą mozaiką pomarańczowych, żółtych i niebieskawych plam. Ogień pochłonął już poszycie skrzydeł i dach. Ściany rozpalały się dopiero, głównie na styku z dachem i obramowaniem okienek. Domek pompierza jeszcze się nie palił.

– No proszę, obudziliśmy się – usłyszał nieco rozwlekły głos Def Groota. – A już myślałem, że nie zdążymy się pożegnać.

Debren ostrożnie spojrział w bok. Kręciło mu się w głowie.

– Pięś – stwierdził nie wiadomo po co.

– Jest u nas taka ludowa mądrość: „Pięś – nie jedź”. – Duszysta pociągnął ze sporego i chyba już lekkiego bukłaka. – Więc moja sentymentalna podświadomość popchnęła mnie w stronę wozu i zapasów wina. Pewnie w nadziei, że jak sobie dobrze golnę, to poddam się nakazom ludowych mądrości i zostanę. Ale wiesz co? Chyba za małe mam te zapasy.

– Wierzysz... wierzysz w boże sądy?

– Od dzisiaj mocniej niż dotąd – Def Groot uśmiechnął się krzywo. – Ostatecznie Bóg opowiedział się po naszej stronie. Co, nie ukrywam, mocno mnie zaskoczyło. No cóż, to potwierdza tylko moją prywatną tezę, że na wyższych szczeblach władzy naturalne jest myślenie kategoriami

strategicznymi, obracanie pojęciami wielkich mas ludzkich, procesów dziejowych i racji stanu. Zaprzątanie sobie głowy losami jednostek charakteryzuje osobników o ciasnych horyzontach.

Debren obrócił głowę, spojrział w drugą stronę. Przed domkiem, w znacznej odległości, pozwalającej przetrwać pożar, stały łóżka, kufry, stołki i rozmaite drobne a liczne sprzęty, składające się na ruchomy dobytek gospodarczy. Na większym łożu, przytulone do siebie, siedziały matka i córka. Przyglądały się otępiałym z rozpaczyny wzrokiem, jak ogień pochłania ich dobytek.

– Gdzie Kipancho i Sansa?

– Po tamtej stronie domu. Kipancho ubzdurał sobie, że polewanie dachu tej budy wodą z rzeki może ją ocalić, więc biegają z wiadrami i polewają.

– Ty nie biegasz.

– Pominąwszy fakt, że nie ma to najmniejszego sensu, a wiadra są tylko dwa, ja wyznaję obecnie pewną kontrowersyjną zasadę. Brzmi ona; „Im gorzej, tym lepiej”.

– Miałem rację z tą prawą ręką, hę?

– Pewnie, że miałeś. Mądry z ciebie człowiek, Debren. Horyzonty masz ciasne jak zamiatacz ulic, ale teoretycznie daleko mógłbyś zajść.

– Straszny z ciebie skurwysyn, wiesz?

– Wiem. I dlatego wdzięczni rodacy wystawią mi kiedyś szereg pomników. Leco Def Groot, czołowy organizator powstania kwietniowego.

– Kwiecień już minął.

– Mówię o przyszłym. Zaplanowaliśmy wszystko szczegółowo. Powódź, nieurodzaj, głód. Straszna zima z przypadkami kanibalizmu. Zdaniem wróżbitów pogodoznawców to będzie idealny rok. Wiosną dużo wody, latem upały, a więc malaria. Załogi irbijskie mnóstwo ludzi stracą. Ogólny kryzys uderzy w całe społeczeństwo. Wiosną

wszyscy będą tak doprowadzeni do ostateczności, że wystarczy rzucić hasło i wskazać przywódców. Ja ich będę wskazywał. Między innymi, ma się rozumieć.

– Nie boisz się mówić mi tego? A jeżeli...

– Debren, ja gerylasem jestem z patriotyzmu i ambicji. Ale z wykształcenia naprawdę duszystą. Nie przechwalam się, mówiąc, że znam się na ludziach. I na takich jak ty, i na tych wszystkich, co w Depholu panowania irbijskiego bronią. Po pierwsze, nie będzie żadnego „jeżeli” i ty z donosem nie pobiegiesz. Po drugie, gdybyś jednak pobiegł, to nim się ze swymi rewelacjami do wicekróla przebijesz, albo sami Irbijczycy, albo nasi ludzie cię dziesięć razy uśmiercić zdążą. Po trzecie, wicekról to przeżarty sklerożą, skorumpowany idiota, który nie zrozumie, o czym w ogóle mówisz i dla świętego spokoju odeśle cię Inkwizycji. Po czwarte, ten złodziej siedzi u nas w kieszeni, a my mamy na niego i jego doradców cały plik teczek. Po piąte...

– Wystarczy. – Debren usiadł ostrożnie, przytrzymując zsuwający się bukiet. – Masz rację, Def Groot, zawędrujesz na pomniki. Co to za zielsko?

– To? Niezapominajki depholskie. Ta niewiasta ci je położyła, jak się dowiedziała, żeś lek za sześćset talarów w błoto cisnął. Myślała pewnie, że już się nie zbudzisz. Kipancho tak cię trzasnął, że kij złamał. Mówi, że coś mu w głowie zakręciło i na chwilę koordynację ruchów utracił.

Debren patrzył na jasnowłosą kobietę, która po chwili wahania dźwignęła się z łóżka i ruszyła w jego stronę. Chciał wstać, ale za bardzo wirowało mu w głowie, a w nogach czuł nie mięśnie, lecz bezsilną, rozlaną papkę.

Kiedy podeszła, zdążył zauważyć znajomy woreczek w jej dłoni. Z zabraniem własnej dłoni się spóźnił. Zanim pomyślał o schowaniu jej za plecy, kobieta przyssała się do niej suchymi ustami. Za to oczy i nos miała mokre.

– Nie wie, jak ci dziękować – przetłumaczył Def Groot, gdy

w końcu Debrenowi delikatną szarpaniną i rozpaczliwym pochrząkiwaniem udało się skłonić jasnowłosą do ustąpienia o dwa kroki. – Ot i masz chłopski rozum, wdzięczność ludu prostego. Wyjaśnić jej, jak szybko, tanio i nie bez przyjemności może ci się za życie córki odwdzieczyć?

– A chcesz swego powstania dożyć? – warknął Debren. Duszystą skłonił się błazeńsko na znak, że zrozumiał. – Skąd ona wzięła...?

– Kipancho kazał jej dać lek i powiedzieć, że to od ciebie. Od niego, jak uważał, mogła nie wziąć. Widać, że zna się na instynkcie rodzicielskim jak ja na astronomii, ale dobrze jest, jak jest. Głupio by wyglądało, gdyby Potwór z Lamanxeny ni z tego, ni z owego dzieci depholskie ratować zaczął. I to ryzykując własnym życiem.

– Dużo jej dał?

– Całość. Nalegałem, by podzielił porcję tak, jak mówiłeś, albo choć po połowie, ale wiesz, że to kretyn. Jak się uprze... – Kobieta przerwała mu nieśmiało. – Ona pyta, jak podawać lek.

Debren objaśnił sposób dawkowania, a potem popatrzył z lekkim żalem, jak odchodzi. Była wysoka, pięknie zbudowana. Miała wszelkie warunki, by spłacić mężczyźnie zaciągnięty dług. A co najważniejsze, wystarczyło...

– Wystarczy gwizdnąć – stwierdził z lekkim uśmiechem Def Groot, – Może i nie przybiegnie w radosnych podskokach, ale przyjdzie na pewno. Ocaliłeś jej jedyne dziecko i próbowałeś ocalić dorobek życia rodziny. Jest ci tak wdzięczna, że aż prawie zastąpi wam to miłość. I jest też zrozpaczona, samotna, zagubiona. Szuka odrobiny bezpieczeństwa w męskich ramionach. Nie myśl tyle, tylko bierz babę na mój wóz. Nie będziesz żałował.

Debren, zły na samego siebie, wyładował się na jakimś wyrośniętym komarze, który przysiadł obok na stole. Celnym przytknięciem zmiażdżył owadowi głowę. Siedział



z bukiecikiem na kolanach i patrzył na podrygujące w agonii skrzydełka. Wszystkie cztery lśniły odblaskiem pożerających wiatrak płomieni. Ze zgniecionej ciała wysączyła się na deski spora plama krwi. Obrzydlistwo zginęło za późno, krzywda zdążyła się dokonać, ktoś będzie się drapał i może nawet...

– O Machrusie – westchnął.

– Modlitwą nie wyleczysz tego bólu – ciągnął swój wywód Def Groot. – Jak ci podrzucałem kartkę z czarną ręką, obejrzałem twoje rzeczy. Zastanowiła mnie ta poduszka, bo całkiem nie pasuje do obrazu wędrownego maguna gołodupca. Dziura w niej jest, pewnie nie zauważyłeś. No więc pakuję wścibski paluch w tę dziurę, bo my, konspiratorzy, wszędzie tajne skrytki widzimy i takie tam... No i co znajduję? Oprócz pierza, ma się rozumieć?

– Def Groot, zawołaj go. Zawołaj Kipancho.

– Spokojnie, nie pali się. No, z paleniem przesadziłem – zerknął na wiatrak, – Ale spieszyć się już do niczego nie musisz. Tu w każdym razie. Natomiast zaryzykowałbym twierdzenie, że być może powinieneś wrócić szybko tam, skąd przybyłeś.

Debren zsunął się ze stołu. I od razu usiadł. Na trawie.

– Przedobrzyliśmy z czarami, co? No, nie dziwię się. Szkoda, żeś się nie mógł z boku oglądać. Skakałeś tak, że tutejsze zające królem by cię jednogłośnie obwołały, gdyby ich Kipancho w ramach swej kołomyi nie potopił. Teraz za to płacisz. Nic za darmo, jak mawiają niewiasty.

– Zamknij się. I bukłak też lepiej zamknij. – Debren oparł się o stołową nogę, zaczął rozcierać własną. – Dżuma i syfilis. Powiniennem wcześniej... Że też mnie podkusiło na tego gangarina.

– Bredzisz – postawił diagnozę Def Groot. – Widać i rozum mocno w walce angażowałeś. Co tylko dowodzi tezy, że rozum rzecz dobra, ale siła jeszcze lepsza. No, nic. O czym to ja...

Aha. – Łyknął wina. – O poduszce. Nie zgadniesz, kto ci ją pod łeb podłożył. Pewnie myślisz, że ta baba, co wybawcy zamiast pary ponętnych cycków niezapominajki na sercu kładzie? Otóż nie. Mnie wygodę zawdzięczasz. I sny miłe.

– Sny? – jęknął Debren. Rozmasowywana noga bolała.

– Co, nie pamiętasz? A może się wstydzisz gadać? Nie musisz. Ja duszysty jestem, a duszysta o takich sprawach wie, od których stara akuszerka albo zamtuzmama rumieńcem by się zalały. I milczy, bo tajemnica zawodowa to w naszym fachu rzecz pierwsza.

– Upiłeś się i bredzisz – odwzajemnił się diagnozą za diagnozą Debren.

– Z zawodowej ciekawości pytam: zawsze takie myśli cię nawiedzają, jak na tej poduszce sypiasz?

– Nie wiem, o czym gadasz – mruknął. Prawie szczerze. Właściwie nawet całkiem szczerze. Tylko przekonania trochę mu brakowało. Bo chociaż nie wiedział, to gdzieś w głębi, bardzo głęboko...

– Nie trzeba duszysty, by sny odgadnąć, jak ktoś za obcisłe portki nosi.

– Def Groot, uważaj, co...

– Zastanawiam się, czy jedna i ta sama dała ci tę kulkę srebrną, co ją na sercu nosisz, i poduszkę. Hej, Debren? Jedna? – Debren nie odpowiedział, ale coś w jego twarzy czy oczach zrobiło to za niego. – Tak myślałem. Na czarach się nie znam, więc nie wiem, ile z tego, co o nich gadają, to prawda, ale co gadają, to akurat wiem. A ty wiesz?

– Co miałbym wiedzieć? – wymruczał, unikając wzroku rudzielca.

– Że wśród bab przesąd krąży, jakoby pukiel włosów, podarowany miłemu, w wierności go podtrzymuje i zapomnieć nie daje. Gdzie tenże pukiel trzymać powinien, tego dokładnie nie wiadomo. Większość zgadza się z opinią, że jak najbliżej ośrodka kochania, ale tu ciężki problem

wynika, i to dwojakiej natury. Teoretyczny, bo nikt nie dowiódł dotąd, że to ta, a nie inna konkretnie część ciała. I praktyczny: jak pukiel, możliwie obfity, blisko owej części ulokować. Znałem jedną, co mężowi w zupełności drobno cięte kudły sypała, bo serce, tłumaczyła, od żołądka ledwie co oddalone. Nabawił się biedaczysko...

– Po co mi głowę tymi bzdurami zawracasz?

– Bo cię lubię, choć horyzonty masz ciasne. Bo jak nieprzytomny leżałeś, to z gotówki cię oczyszczając, zerknąłem raz jeszcze na tę kulkę srebrną, żeby sprawdzić, czy wzrok mnie nie omylił i do gotówki się owo srebro nie zalicza.

– Okradłeś mnie?!

– Nie okradłem, tylko należność za drugi zakład brałem. I tak stratny jestem, boś z wziętego dukata część na ten pokazywacz malaryczny wydał. Ale mniejsza z pieniędzmi. Zaniepokoił mnie znak na kulce odcisnięty.

– To znak manufaktury – wzruszył ramionami Debren. – Grot stylizowany, marnie wytłoczony. Kulka do kuszy była. Widocznie firma, co ją odlała, stara jest i od sprzętu łuczniczego zaczynała, stąd herb staroświecki. Dziś grotów listkowych już nikt nie używa, chyba że na zwierzynę. Konwencja w Gadze spisana zabrania kucia takich ostrzy. Łamią się w ciele, niehumanitarne są. A, co ważniejsze, nawet lekuchnej zbroi nie przebiją i celność mają do rzyci.

– Do rzyci to ty oczy masz. I nie z tej co trzeba strony patrzysz, jak to na wisior. To nie żaden grot listkowy jest, ślepak, jeno serce rozszczepione.

– Serce całkiem inaczej... – nie dokończył, uświadomiwszy sobie, że dla większości ludzi rzeczywisty kształt serca na zawsze pozostanie tajemnicą. I że na dziecięcych malunkach i w sztuce tak właśnie, piernikowe i głupawo, ten najważniejszy z mięśni wygląda. – No dobrze, pewnie masz rację. Pewnie odlewnik chciał w ten sposób przekonać kupującego, że całe serce w robotę włożył.

– Oj, Debren, uwodziciel Cassamnoga to ty nie jesteś; aż dziw, że babę od bociana odróżniasz. Nie chwytasz symboliki? To żaden pocisk do kuszy, chyba że do takiej, co to z niej ten mały goły anioł, Amok czy jak mu tam, w ludzi celuje. On ma, ten pocisk tak zwany, rozszczepić serce chłopu upatrzonemu na męża. A włosy ranie się goić nie pozwalają. Ha, iście zabójcza kompozycja.

– Co za włosy znowu?

– Te, co je twoja czarnowłosa księżniczka w poduszkę upchała.

Debren wstał. Pewnie w rezultacie uprzednio dokonywanych zabiegów i pomagania magią systemowi krwionośnemu. Ale teraz zatracił jakąkolwiek kontrolę nad swym systemem krążenia. Było mu zimno i gorąco równocześnie. Bładł i czerwieniał, też równocześnie.

– Coś powiedział? – Z trudem przepchnął pytanie przez zaciśniętą krtani.

Def Groot nie zdążył odpowiedzieć. Zza wiatraka i domu, który buchał kłębamii pary, ale wciąż nie płonął, dobiegł bojowy okrzyk. Przeciągle „Uuuaaa!” z kilku przynajmniej gardeł.

– O Boże... – Duszysta zbladł w mgnieniu oka. – Kipancho... Moje plany...

Ogień to moc, a ognia było mnóstwo w pobliżu. Debren zaczerpnął, ile się dało i, już biegnąc, formułą Stachanusa zaczął wzmacniać kolejne partie mięśni, od dołu zaczynając. Wiedział, jak ryzykuje, robiąc to na chybcika i korzystając z takiego źródła mocy. Wiedział, że długotrwałego kaca mięśni i kręgow nie ryzykuje – ból był pewny jak zachód słońca. Nic za darmo, jak ponoć mawiają niewiasty. Nienawidził tego robić. Ale teraz musiał.

Północny narożnik chatki mijał już z szybkością cwałującego konia. Nie miał czasu myśleć o szybkości, ale skojarzenie błysnęło samo, gdy kątem oka dostrzegł pędzący

przez zarośla czerwono-żółty kropierz, ciągnący się za siwą grzywą. W powietrzu wibrował krzyk i dźwięk rogu, trzeszczały i furczały grabie oraz cepy, rozrzucone po całym warzywniku.

Kipancho wirował pośrodku gromady bosonogich wieśniaków, obskakujących go z trzech stron. Z czwartej był płonący wiatrak i zlana wodą, parująca niczym łaźnia ścianka przybudówki mieszkalnej. I Sansa. Z rycerskim rogiem przy ustach, kapalinem w lewej ręce i strzałą w łydce. Strzała musiała być dostosowana do konwencji spisanej w mieście Gaga, z nowoczesnym grotem stożkowym, więc przebiła nogę i ugrzęzła głęboko w deskach ściany, unieruchamiając giermka. Kilka innych chybiło o parę lub paręnaście stóp, wbijając się w chatkę i wiatrak na całej ich szerokości i wysokości, co wystawiało łucznikom jak najgorsze świadectwo. Biorąc pod uwagę, że strzelali z korony wału, oddalonej o rzut kamieniem, wynik był żałosny.

Dopiero po chwili Debren zdał sobie sprawę, że czterej mężczyźni i chłopcy, na wyścigi napinający łuki, nie byli aż tak kiepscy, jak sugerował rozrzut strzał i fakt, że Sansa wciąż żył. Po prostu początkowo polowali na rycerza. Dwaj, młodszy i głębszy albo może ambitniejsi, nadal próbowali szczęścia.

Szaro opierzona strzała pomknęła w lukę między cepiarzami, skręciła najpierw łagodnym, a potem wyraźnie zakrzywionym w górę łukiem i wpadła przez okno do wiatraka na wysokości dwóch sążni. Druga, nie zdążywszy wejść w pole działania zamocowanych do zbroi magicznych rozet, trafiła w kark któregoś z chłopów. Chłop padł na twarz, kopiąc w agonii nogami. Łucznik, piętnastoletni najwyżej, zwałił się na kolana i złapał za głowę, porażony rozmiarem swej zbrodni.

Trzeci łucznik, najbardziej przytomny, posłał strzałę Debrenowi. Dobrze posłał. Gdyby magun nie podbudował sił formułą Stachanusa i nie uważał, wbiegłby prosto na grot. Ale

uważał. I był w stanie uskoczyć.

Któryś z wieśniaków, trzymający się z tyłu, zamierzył się na niego grabiami. Debren rąbnął go między oczy błyskawicą; drugą, mocniejszą, strącił czwartego łucznika z wału do rzeki.

Kipancho, z wiadrami w obu rękach, wytrącił następną kosę i powalił nie dość szybko uskakującego Depholca. Czterech już leżało między grządkami, paru innych albo dźwigało się z wysiłkiem, trzymając za kontuzjowaną kończynę czy zakrwawioną głowę, albo zbierało wytrąconą potężnym ciosem broń. Ale pozostałych, próbujących sięgnąć za zasłonę z wirujących wiader i zachęcających się okrzykami, było jeszcze z tuzin.

Któryś cisnął siekierką w Sansę. Giermek osłonił się trzymanym za wyściółkę hełmem pana, odbił ostrze. Raz jeszcze zadał w róg, po czym zastawił się nim przed pchnięciem widłami. Niepotrzebnie. Debren uderzył gangarinem. Też niepotrzebnie, bo Kipancho walił wiadrami tylko dlatego, że wyciągając miecz straciłby chwilę i tym samym odsłonił giermka. Wszystko, co robił, robił z myślą o trzymaniu tłumu z daleka od Sansy, więc nie przegapił tego z widłami i grzmotnął go w kark, nim czar zadziałał.

Coś załśniło, zadudniło o naramiennik zbroi, o całe minęło się z głową rycerza. Tuczek od aptecznego moździerza.

– Won stąd, Miazga! – wrzasnął Debren, waląc w tłum jeden gangarin za drugim. – Do domu, gówniarze!

Łucznik, ten, co nie trafił Debrena, strzelił do Sansy. I trafił. Ze strzałą w obojczyku giermek zwałił się na ziemię, znieruchomiał.

– Zdrajca! – krzyknął Gep, przepychając się z mieczem przez mocno zdezorientowanych Depholców. – A my cię mścić przyszedliśmy! Zabić go! Kupą!

Ruszyli. Na szczęście nie kupą. Debren trzasnął dwóch pierwszych gangarinem, obaj zaplątali się we własnych nogach, runęli. Dwaj inni poprzewracali się o leżących.

Jednego magun uderzył błyskawicą w pierś, przypalił koszulę, sypnął iskrami, oparzył i oszołomił. Innego trzepnął wiadrem Kipancho, nim troje wideł, kosa i grabie zepchnęły go dalej w stronę wiatraka. Gep i wielkie chłopisko z cepem przebili się, skoczyli na boki, by uderzyć z obu stron równocześnie.

Debren wycelował różdżką w chłopaka, posłał gangarina... a raczej próbował posłać.

Zza wychodka ktoś wykrzyczał końcówkę zaklęcia neutralizującego. Magun nigdy nie dowiedział się, kto. Chyba ten sam, który podglądał, gdy Def Groot oskarżył go o trucicielstwo, lecz kim był ten człowiek, trudno powiedzieć. Bez wątpienia dyletantem i bez wątpienia patriotą, skoro dał się wciągnąć w akcję gerylasów. Proporcje mogły być różne, na pewno jednak odwagi i gotowości ryzykowania głową miał ten ktoś więcej niż wiedzy i praktyki. Miał też wysoki WZ.

Sięgnął po ogień jak Debren. Zdążył uformować i przekształcić w zaklęcie początek strumienia energii. Ale zapomniał, a może nawet nie wiedział, że przy tak potężnych przepływach mocy trzeba myśleć przede wszystkim o tym, jak proces wyhamować. Nie wyhamował i głowa rozbryznęła się szeroko po ogrodzie, a reszta stanęła w białym ogniu, który zwęglił górną część ciała, nim padło na ziemię.

Któryś z większych odłamków czaszki trafił dryblasą z cepem, rozszarpał mu gardło. Mężczyzna padł na kolana, zalał się krwią. Debren, nagle bezsilny jak noworodek, zwałił się na plecy. Czar neutralizujący wymiół z niego wszystko ze skutecznością huraganu spadającego na stertę pierza.

– Giń! – wrzasnął Gep, przeskoczył nad drewnianymi taczkami i zamachnął się do cięcia. – Niech żyje wolny...

Krótki, lekki, ale i szybki bełt uderzył go w środek piersi, złamał mostek, zarzucił chłopakiem do tyłu. Zanim ugięły się pod nim nogi, popatrzył z niedowierzaniem na sterczący z ciała kijek, potem na rudowłosego mężczyznę z niedużą kuszą w ręku. Potem upadł.

– Dephol – dokończył Def Groot. – Żegnaj, głupi smarkaczu. Może i tobie postawią jakiś pomnik. Gdzieś w bocznej uliczce.

W gromadę otaczających rycerza Depholców wpadł okryty czerwono-żółtym kropierzem wierzchowiec. Ktoś trzasnął go z góry kosą, ale ostrze trafiło w siodło i pękło. Ktoś zamachnął się widłami i zginął od ciosu kopyta. Koń obalił pięciu ludzi, z których dwóch zaraz rozdeptał. Odciążył pana, dał mu tę upragnioną chwilę, której Kipancho nie zdołał sobie wywalczyć. Pan odwdzięczył się rumakowi, ciskając wiadrem w jakiegoś chłopca, mierzącego kosą w pęciny. Drugim wiadrem rycerz zasłonił się jak tarczą, wyszarpnął miecz, głownią trzasnął tego, co ciał wiadro toporem.

– Wystarczy! – Debren dźwignął się, stanął na czworakach. – Oni się poddadzą! Przestań, Kipancho! Def Groot, tłumacz!

Łucznicy z wału rzucili łuki, zbiegli na dół, wyciągając zza pasów kordelasy i maczugi.

– Nie! – Def Groot rzucił kuszę i trzymając ostrzegawczo dłoń na rękojeści zatkniętego za pas pałasza, zaczął się szybko cofać. – Niech się dopełni! To w końcu ludzie, nie te cholerne wiatraki!

– Def Groot!!!

Kipancho zamłynkował mieczem, cofnął się parę kroków. Chciał zyskać trochę przestrzeni, by popatrzeć, co z Sansą. Został źle zrozumiany. Nie można w nieskończoność opędzać się wiadrem przed tłumem zbrojnych, zwłaszcza mając na sobie ciężką zbroję. Rycerz był stary, chudy. Był też nie całkiem normalny, czyli – w prostodusznym chłopskim ujęciu – zwyczajnie głupi. Jeśli dodać do tego śmiertelne znużenie i fakt, że cofał się przed przeciwnikami, miał prawo sprawiać wrażenie łatwej ofiary. A choć wiadrami nikogo chyba nie zdążył zabić, Depholcy stracili paru swoich. Więc chcieli krwi i zemsty.

Debren zrozumiał, że duszysta ma dużo racji. Tamtych



pozostało około dziesięciu. Doprowadzonych do nędzy przez powódź. Najodważniejszych spośród setek, jeśli nie tysięcy, u których Gep i frakcja lewej ręki szukali zapewne pomocy. Nie trzeba było być duszystą, by dojść do wniosku, że nie ustąpią ot tak, bo ktoś zaapeluje o to w ich ojczystym języku.

– Do mnie, Debren! – krzyknął zza rogu Def Groot. – Zostaw go! Poradzi sobie, a ty ranny jesteś!

Miał rację. Szok wywołany przez zakłęcie neutralizujące sprawił, że magun miał siłę stać, dość chwiejnie zresztą. O czarach nie było na razie mowy. A bez czarów jego kondycja fizyczna pozostawiała bardzo wiele do życzenia.

– Nie zabijaj ich! – zawołał.

Kipancho odbił cztery ostrza jednym machnięciem miecza, cep wiaderkiem, a cięcie siekierą puścił po nałokietniku. I pchnął, lekko. Ktoś padł z dziurą w brzuchu. Ktoś inny trzasnął maczugą w naplecznik. Rycerz oddał głowicą miecza, zmiażdżył nos i pół twarzy.

– „Zabije cię ten, co cztery skrzydła ma i postać wstrętą”!  
– krzyczał Debren. – Komar, Kipancho! Roznosiciel malarii!

Ktoś wypadł z gromadki walczących. Miazga. W rękach ścisnął widły.

– Oszust! – zawołał płaczliwie. – Sprzedałeś nas!

Debren miał dość przytomności umysłu i refleksu, by poderwać z ziemi miecz Gepa.

– „Ogniem płonąć będziesz od ciosu, co nie widać go i nie słyszać!” – Odbił mało wymyślne pchnięcie wideł. – Komar cię zakazi gorączką!

Kipancho wpadł między Depholców, rozbił szyk. Rozłupał czyjąś czaszkę, odrzucił wiadro, sztyletem odbił cep, ciał cepiarza przez gardło.

– Sansa umiera! – zahuczał basem. – Won!

To ostatnie było do konia. Rycerz nie potrzebował jego pomocy, za to potrzebował transportu – na później. Do polowań na wiatraki siwkowi nie zakładano ciężkiego,

bojowego, opancerzonego rzędu. Oznaczało to, że teraz byle łachudra z widłami może zabić warte majątek zwierzę. Mądrego wierzchowca, który ostrzegał pana dyskretnym parsaniem, cwałował z odsieczą, gdy słyszał róg i cofał się posłusznie, kiedy Kipancho kazał mu iść won.

Ale jego posłuszeństwo miało swe granice. Pierwszego Depholca, który zdzielony wcześniej wiadrem, poderwał się teraz i uciekł na wał, rumak z miejsca zaatakował. Mężczyzna zeskoczył z wału o dwie stopy niżej, zakolebał się na sztywnych nogach, wyciągnął skądś wiosło. Debren zrozumiał, w jaki sposób Depholcy podeszli ich tak niezauważenie.

Siwek nie bawił się w stawanie dęba. Odważnie wziął cios na bok i uderzeniem piersi cisnął człowiekiem daleko za burtę. Po czym dowiódł inteligencji, podrywając kopyta i druzgocąc deski dna łodzi.

Debren cofał się i odbijał pchnięcia. Miazga posługiwał się widłami dokładnie z taką samą finezją jak tłuczkiem w ojcowej aptece. Celował w pępek przeciwnika z takim uporem, że dysponując kawałkiem blachy Debren mógłby zatknąć ją za pas, odłożyć miecz i po prostu czekać, aż chłopak padnie z wyczerpania. Gdyby nie przeciążył uprzednio mięśni, poradziłby sobie bez trudu z przyszłym aptekarzem. Teraz musiał wkładać wszystkie siły w obronę. Równie amatorską jak ataki.

– „Życie oddasz za tę, której oczu nie zapomnieć”! – wołał urywanym zadyszka głosem. – Za pannę z góry, co chama poślubi!

Kipancho odrąbał jakąś dłoń. Depholcy już nie atakowali. Bronili się.

– Ona ma oczy jak te kwiaty! Jak niezapominajki! I z dachu ją zdjęłeś!

Debren zastawił się przed widłami, pchnął, nie sięgnął, odskoczył. Kipancho odbił grabie, widły i topór, ciął, rozrąbał

męską pierś, uskoczył w lewo, dziabnął sztyletem. Jego zbroja była pogięta, porysowana, ale większość spływającej po blachach krwi nie była jego.

– Ty nie o Dulnessę się bijesz! To tę małą Damstruna ci przepowiedziała!

– Nie!

Debren poczuł, że nie ma już sił walczyć i krzyczeć tak, by brzmiało to przekonująco. Odskoczył i opuścił miecz. Chłopak został trzy kroki dalej. Też chwiał się na nogach.

– Spieprzaj, Miazga – wydyszał magun. – Mężczyzna jesteś czy gówniarz? Bo jak mężczyzna, to nie baw się tu w wojenkę. Wracaj do swojej Merieli. Broń jej. Utrzymuj. Dawaj oparcie. Nie dawaj opluwać. Żyj dla niej.

– Zabiję cię – obiecał płacząco puciołowaty smarkacz.

– Spieprzaj!!! – ryknął Debren, wbijając miecz w ziemię. – Won! I nie mieszaj się nigdy więcej do polityki! Słyszysz?! – Miazga, już bez wideł, gnał przez warzywnik ku zaroślom bzu i kaliny. – Aptekarz jesteś! Aptekarz nie ma prawa rąk w gównie nurzać!

Odwrócił się. Dopiero teraz dostrzegł dwie bardzo blade, okolone jasnymi włosami twarze. Matka i córka przybiegły za dom. Patrząc i zapamiętywać.

W którymś momencie kobieta krzyknęła. Krótco, rozpaczliwie. I poderwała dłonie do twarzy, zasłoniła oczy. Dziewczynka patrzyła. Na mężczyznę, z którego cięcie mieczem wypuściło strugę krwi, jelit i kału. Na człowieka wolno, z wnetrznościami w dłoniach, osuwającego się na kolana i po raz ostatni wznoszącego oczy ku płonącemu wiatrakowi. Na swego ojca.

Zostało czterech wieśniaków. Zanim Debren zdołał odzyskać głos, jednego Kipancho przeszył na wylot, a drugi, choć osłaniał się grabiami, legł pod końskimi kopytami już na skraju zarośli.

Niektórzy spośród leżących ruszali się jeszcze. Jak Sansa.

– Możesz żyć. – Debren podszedł bliżej, nie musiał krzyknąć. – „Drugie ratowanie śmierć oznacza”. Odłóż miecz. Pozwól odejść tym ludziom. Zobacz, Sansa już siada. Nic mu nie będzie.

Dwaj ostatni Depholcy, obaj z toporami, stali o trzy kroki od rycerza, dysząc jak zagonione psy. Już bez cienia wiary w sukces, z własną śmiercią przed pociemniałymi oczami.

– Jeszcze nie koniec – wysapał Kipancho. – Jeszcze oberwać mogę. Hełmu nie mam.

Debren zrozumiał.

– Recepta – przełknął ślinę. – Recepta mówi: „Przyjmij dar życia od przyjaciela swego”. Możesz żyć, Kipancho.

– Nie – uśmiechnął się z wysiłkiem rycerz. Młodszy z Depholców rozejrzał się rozpaczliwie, poszukał swej szansy. Nie znalazł. Siwek zarżał ostrzegawczo, wyszczerzył zęby. Przednie nogi aż po brzuch pokrywała mu krew stratowanych przezeń chłopów. – Nie, Debren. Ja nigdy nie miałem przyjaciela. Kto by się z szaleńcem przyjaźnił?

– Jesteś silny. Połowa leku...

– Nie.

– Jedna trzecia? Kipancho? – Popatrzył na dwie nieruchome postacie w nocnych koszulach. – Ona jest stąd. Nawet bez leków ma osiem szans na dziesięć, a może i dziewięć, że...

– Nie. – Kipancho schował sztylet do pochwy. – Wariat jestem i skurwysyn, ale rycerz. Błędny. Wdów i sierot opiekun. A ją, zdaje się, właśnie uczyniłem sierotą. Jak będę miał szczęście... pecha – poprawił się – to zadbaj, by ze spadku coś im skapnęło. Sansa, tłuszczochu! Słyszałeś, co mówię?

– Słyszałem – wystękał giermek.

– Macie się podzielić.

– Kipancho, proszę. – Debren mówił przez zaciśnięte gardło. – Podzielcie się lekiem. Ty i mała. Puść tych dwóch. I wyjedź.

– Rycerze – poinformował go Kipancho – mają jedno marzenie. By odejść z tego świata z mieczem w dłoni, na górze wrogich trupów, ratując swój świat i Machrusa oraz służąc ukochanej kobiecie. Mało któremu się to udaje. Ja mocno się do ideału zbliżyłem. Więc proszę, Debren. Nie zabieraj mi wiary.

– Lek cię uzdrowi. I dziewczynka też powinna przeżyć.

– Dałem jej twój cudowny lek. Odbierać nie będę, choćby i części. Kto daje i odbiera... wiadomo.

Debren przymknął oczy. Wyteżył pamięć. I znalazł odpowiednie słowa spośród tych kilkudziesięciu depholskich, które zdążył poznać.

– Oddajcie broń.

Posłuchali od razu. Chyba naprawdę pożegnali się już z wszelką nadzieją.

Kipancho zamrugnął powiekami, niepewnie poruszył mieczem. Chciał coś powiedzieć. Nie potrafił.

– Wybacz – szepnął Debren. – Ale nie mieli żadnych szans. Żadnych.

Bardzo powoli czerwony od krwi miecz rycerza wsuwał się do pochwy. Po raz ostatni. Obaj o tym wiedzieli. Szanujący się rycerz nie chowa po bitwie zakrwawionego miecza. Krew niszczy stal.

– Iść – wyciągnął z pamięci jeszcze jedno depholskie słowo. Pomógł sobie machnięciem dłoni. – Iść, iść.

Rzucili się ciężkim truchtem w stronę krzaków. Jakiś ranny powłókł się ich śladem na czworakach. Sansa zdjętą z nogi onucą obwiązywał prawą nogę. Widać było, że przeżyje.

– Jak długo? – zapytał cicho Kipancho. Debren zawahał się. Ale odpowiedział.

– Dni. W łóżku dłużej, ale jeśli pytasz o to, kiedy spadniesz z siodła...

– Dni. – Kipancho uśmiechnął się lekko. – To mały kraj. Zdążę jeszcze położyć trupem parę potworów.

– Nie przekonałem cię? Wolisz swoją interpretację przepowiedni Damstruny?

– Dziwi cię to? – Debren, z pełną świadomością tego, co robi, pokręcił głową. – Ale wiesz co? Pogrzebów chyba urządzać nie będę. Czas zająć się swoim, a Vanringer to cholerny zdzierca. No i palenie zdrowiu szkodzi. Masz załzawione oczy, Debren.

– To dym... Od dymu.

– Pewnie, że od dymu. – Kipancho zerknął na niebo. – Chyba czas na ciebie. Jak chcesz zdażyć na barkę, musisz się zbierać. A przejeżdżając przez miasto, wstąp do jakiegoś medyka, przyślij go tu.

– Dobrze.

– Muła możesz zatrzymać. Nie będzie mi potrzebny.

Debren próbował znaleźć stosowne słowa. Ale ciężko było. Dym drażnił nie tylko oczy. Zrobił też coś złego z gardłem. Z płucami. I z sercem.

– Może to ty masz rację. – Wziął się jakoś w garść. – Temmozańska magia... Cóż my o niej wiemy? Może naprawdę te wiatraki...

– W Irbii stawiać ci będą pomniki – oświadczył uroczyście Def Groot, zwabiony na pobojuwisko widokiem umykających rodaków. – Każde dziecko znać będzie imię rycerza Kipancho. To co: pakujemy się i w drogę? Według moich obliczeń potrzeba jeszcze pięciu, sześciu niedziel pracy. Dobrze, że nic ci się nie stało, Kipancho. Nie masz pojęcia, jak rad jestem. Kupę wiatraków jeszcze ubić trzeba, nim nasz wielki cel osiągniemy. Ale uda się nam. Teraz, po bożym sądzie, wiem to na pewno. A tym niebieskim strupem się nie przejmuj. Pigularze to banda oszustów, straszą ludzi taką metodą i do większych zakupów popychają. Oszwabili cię, Debren, bez dwóch zdań. Kipancho zdrów jak ryba jest, chorzy sądów bożych nie wygrywają, o tej tu jatce nie wspominając. – Pełnym satysfakcji wzrokiem rozejrzał się po zasłanym

ciałami warzywniku. – Sporo pracy jeszcze przed nami. Ale warto. Mrowie ludzi od zguby ocalisz, mówię ci. Od wojny, głodu, zarazy. Mrowie. A ty, Debren, zabieraj się już i nic lepiej nie mów. Twoje chore teorie nikogo nie interesują. Do widzenia. Tam stoi muł.

Debren po raz ostatni popatrzył na chudą postać w powyginanej zbroi. Nie widział jej zbyt wyraźnie. Dym z depholskich ognisk dziwnie szkodził oczom, gorzej niż cebula.

– Żegnaj, Kipancho. Cieszę się, że u ciebie... z tobą...

– Żegnaj – powiedział najślawniejszy z błędnych rycerzy, uśmiechając się dziwnie. – A z tym przyjacielem... to już nieaktualne.

Debren odwrócił się na pięcie i powlókł ku mułom. Idąc, nie przecierał załzawionych oczu rękawem. Bał się, że zetrze obraz chudego rycerza w poobijanej zbroi, po której skakały odblaski płomieni. A przecież powinien być ktoś, kto zapamięta Kipanacha takim, jakim był naprawdę. W swej ostatniej, zwycięskiej walce. Tej, która go zabiła.

Mijając dziewczynkę, popatrzył jej w oczy. Ale spoglądała na płonące budynki i Debren nigdy nie dowiedział się, jakiego koloru były jej tęczęwki. Pewnie po prostu niebieskiego.

Dla niego pozostała dziewczynką o oczach jak depholskie niezapominajki.

super  
**NOWA**



# Spis treści

Strona tytułowa	2
Strona redakcyjna	3
Księga pierwsza	5
Księga druga	54
Księga trzecia	114
Księga czwarta	234